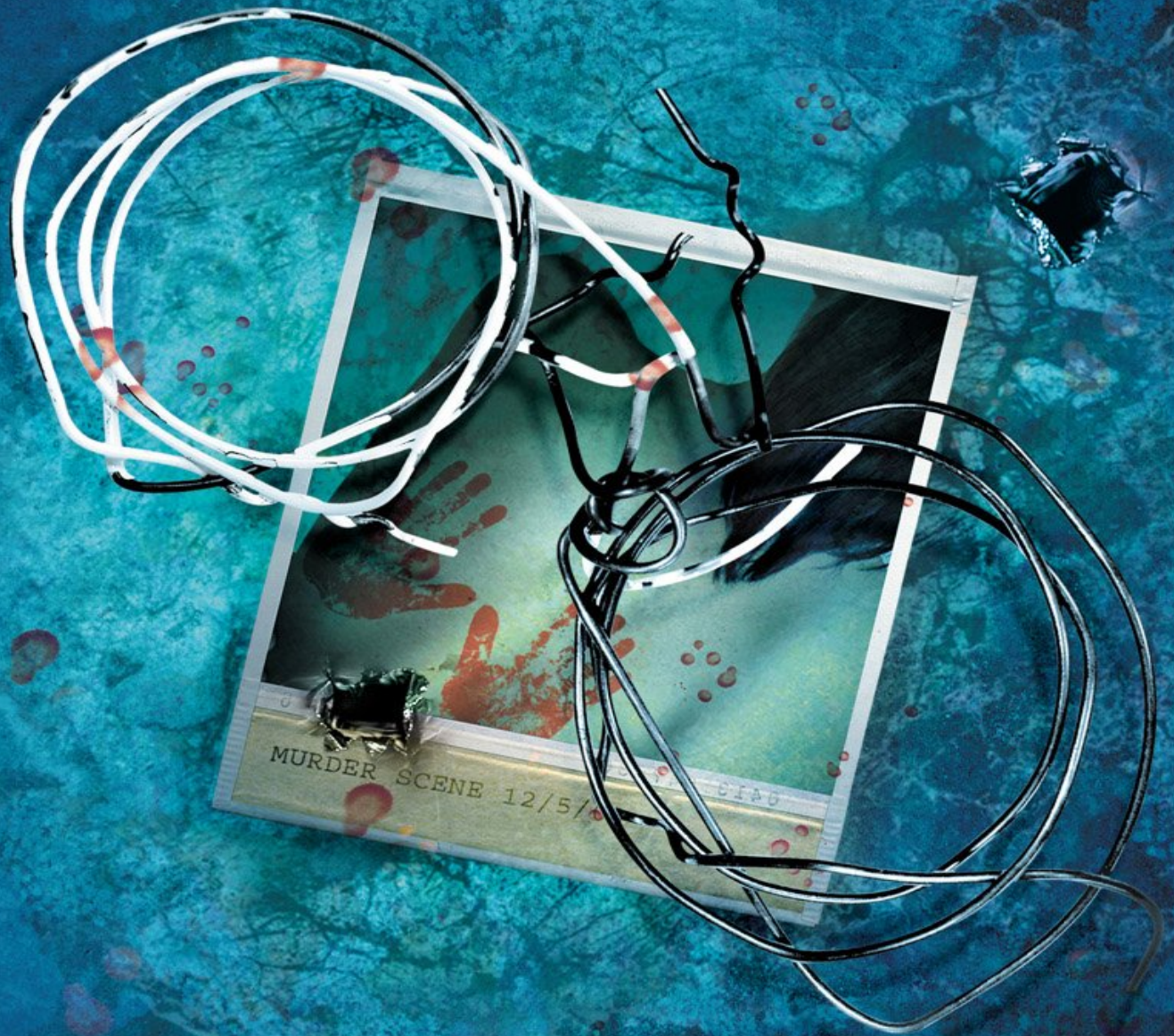


PATRICIA  
CORNWELL



PREDATOR

Prószyński i S-ka



**PATRICIA CORNWELL**

# **PREDATOR**

(PREDATOR)

Przełożył: Janusz Ochab



Prószyński i S-ka

2007

# Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 17

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

*Dla Staci*

# PODZIĘKOWANIA

Szpital MacLeana afiliowany przy Harvard Medical School to jeden z najlepszych szpitali psychiatrycznych w kraju, znany na całym świecie ze swych programów badawczych, szczególnie w dziedzinie neurobiologii. Największe i najistotniejsze wyzwania, przed jakimi stoi dzisiejsza nauka, nie dotyczą przestrzeni kosmicznej, lecz ludzkiego mózgu i roli, jaką odgrywa on w chorobach umysłowych. Szpital MacLeana nie tylko wyznacza najwyższe standardy w dziedzinie badań psychiatrycznych, ale i proponuje rozwiązania przynoszące chorym ulgę w cierpieniach.

Jestem ogromnie wdzięczna wspaniałym lekarzom i naukowcom, którzy zechcieli podzielić się ze mną swą wiedzą:

szczególnie

doktorowi Bruce'owi M. Cohenowi, rektorowi i głównemu psychiatrze

a także

doktorowi Davidowi P. Olsonowi dyrektorowi klinicznemu Centrum Obrazowania Mózgu

i przede wszystkim

doktor Staci A. Gruber, wicedyrektor laboratorium neurobiologii procesów poznawczych.

# Rozdział 1

**J**est niedzielne popołudnie, doktor Kay Scarpetta siedzi w swym gabinecie, w Narodowej Akademii Medycyny Sądowej w Hollywood na Florydzie. Na niebie zbierają się czarne chmury, zwiastujące kolejną burzę. Luty tego roku jest wyjątkowo upalny i deszczowy.

Słysząc trzask wystrzałów i jakieś niewyraźne głosy. Symulowane walki to popularna weekendowa rozrywka. Agenci Oddziałów Specjalnych w czarnych mundurach biegają między budynkami akademii i strzelają do siebie bez opamiętania. Nie słyszy ich nikt prócz doktor Scarpetty, a i ona nie zwraca na nich uwagi. Przegląda zaświadczenie wydane przez koronera z Luizjany, opis badania pacjentki, kobiety, która później zamordowała pięć osób i twierdzi, że w ogóle tego nie pamięta.

Doktor Scarpetta uznaje w końcu, że ta sprawa nie nadaje się do programu badawczego „Przedczołowe determinanty agresywnej nadreaktywności”, zwanego w skrócie PREDATOR. Pochyliła się nad klawiaturą, rejestrując mimochodem warkot motocykla dobiegający zza okna.

Pisze email do psychologa sądowego Bentona Wesleya:



*Przypadek tej kobiety może być interesujący, ale czy te dane do czegoś nam się przydadzą? Myślałam, że ograniczasz PREDATORA tylko do mężczyzn.*

Motocykl podjeżdża z rykiem pod budynek i zatrzymuje się dokładnie pod jej oknem. Kay myśli z irytacją, że to Pete Marino znów przyjechał ją dręczyć. Jednocześnie czyta błyskawiczną odpowiedź Bentona.

*Luizjana i tak by nam jej nie wydała. Za bardzo lubią wykonywać egzekucje. Ale żarcie mają dobre.*

Doktor Scarpetta spogląda przez okno na Marina, który wyłącza silnik, schodzi z motocykla i rozgląda się wyzywająco dokoła, zawsze ciekaw, kto nań patrzy. Kay chowa teczkę z dokumentami PREDATORA w szufladzie biurka, podczas gdy detektyw wchodzi bez pukania do jej gabinetu i siada na krześle.

– Wiesz coś o sprawie Johnny’ego Swifta? – pyta.

Doktor Scarpetta omiata beznamiętnym spojrzeniem jego potężne wytatuowane ramiona opięte dżinsowym bezrękawnikiem z logo Harleja na plecach.

Marino jest szefem wydziału dochodzeniowego Akademii, pracuje też jako śledczy w biurze lekarza sądowego okręgu Broward. Ostatnio coraz bardziej przypomina karykaturę oprycha z gangu motocyklowego. Kładzie na biurku czarny, porysowany kask, oklejony kalkomaniami imitującymi otwory po kulach.

– Odśwież mi pamięć. A ten kawał plastiku to tylko kiczowata ozdoba – mówi Kay, wskazując na kask. – Zupełnie bezużyteczny, jeśli będziesz miał wypadek na tej swojej jeżdżącej trumnie.

Marino rzuca teczkę z dokumentami na blat biurka.

– Lekarz z San Francisco z praktyką tutaj, w Miami. Mieszkał z bratem w Hollywood, w domu przy plaży, niedaleko Renaissance, no wiesz, tego apartamentowca przy John Lloyd State Park. Jakieś trzy miesiące temu, w Święto Dziękczynienia, brat znalazł go martwego na sofie, z dziurą po kuli w piersiach. Aha, kilka dni wcześniej miał operację nadgarstka, która nie poszła najlepiej. Na pierwszy rzut oka typowe samobójstwo.

– Nie byłem wtedy jeszcze w biurze lekarza sądowego – przypomina mi.

W owym czasie była już dyrektorem działu medycyny sądowej w Akademii. Jednak dopiero w grudniu, gdy doktor Bronson zaczął coraz częściej mówić o przejściu na emeryturę i stopniowo skracał godziny pracy, objęła posadę konsultanta w dziedzinie patologii sądowej w biurze lekarza sądowego okręgu Broward.

– Pamiętam, że coś o tym słyszałam – mówi. Nie czuje się dobrze w obecności Marina i niechętnie go teraz widuje.

– Doktor Bronson robił sekcję – mówi detektyw, patrząc na biurko i starannie omijając wzrokiem jej twarz.

– Byłeś przy tym?

– Nie. Nie było mnie w mieście. Sprawa nie jest jeszcze zamknięta, bo gliniarze z Hollywood nie byli do końca przekonani, że to samobójstwo. Podejrzewali Laurela.

– Laurela?

– To brat bliźniak Johnny’ego Swifta. Nie mieli jednak żadnych dowodów i musieli dać sobie z tym spokój. A potem, w piątek, o trzeciej nad ranem, odebrałem dziwny telefon. Ustaliliśmy, że dzwonił ktoś z automatu w Bostonie.

– W Massachusetts?

- Zgadza się.
- Myślałam, że masz zastrzeżony numer.
- Bo tak jest.

Marino wyjmuje z tylnej kieszeni dzinsów złożony na pół kawałek porwanego, szarego papieru i otwiera.

– Przeczytam ci, co powiedział ten facet, bo zapisałem sobie wszystko, słowo po słowie. Mówił o sobie „Krab”.

– Krab? Dziwne przezwisko. – Doktor Scarpetta przygląda mu się badawczo, zastanawiając się, czy próbuje z niej zakpić, wystawić na pośmiewisko.

Ostatnio często to robi.

– Powiedział tylko:

„*Jestem Krab. Więc jak dzieciom nierozumnym zesłałeś im karę na ośmieszenie*”. Nie mam pojęcia, co by to miało znaczyć. Potem powiedział jeszcze: „Nie bez powodu z domu Johnny’ego Swifta zniknęły pewne przedmioty, a jeśli masz choć trochę oleju w głowie, przyjrzyj się uważnie temu, co stało się z Christian Christian. Nic nie dzieje się bez powodu. Lepiej spytaj o to Scarpettę, bo ręka Boga dosięgnie wszystkich zbrodzców, także tę lesbijską dziwkę, jej siostrzenicę”.

– Jesteś pewien, że to właśnie powiedział? – pyta Scarpetta beznamyślnym tonem, ukrywając starannie targające nią uczucia.

– Czy ja wyglądam na bazarza?

– Christian Christian?

– Cholera go wie, tak zapisałem. Wątpię, żeby facet chciał mi to przeliterować. Mówił tak, jakby nic nie czuł, jak maszyna, a potem od razu odłożył słuchawkę.

– Wymienił Lucy z imienia czy... ?

– Powtórzyłem ci dokładnie to, co powiedział – przerywa jej Marino.

– Masz tylko jedną siostrzenicę, prawda? Więc na pewno miał na myśli Lucy. A „Krab” może być skrótem od Karzącej Ręki Boga, jeśli sama się jeszcze tego nie domyśliłaś. Tak czy siak, skontaktowałem się z gliniarzami z Hollywood, a oni poprosili, żebyśmy się przyjrzeni bliżej sprawie Johnny’ego Swifta. Z materiału dowodowego wynika, zdaje się, że został postrzelony z większej odległości i z bliska. To raczej niemożliwe, co?

– Cóż, jeśli był tylko jeden strzał... Widocznie ktoś miał kłopoty z właściwą interpretacją. Nie wiesz, kim może być ten Christian Christian? I czy w ogóle mówimy tutaj o człowieku?

– Jak dotąd nie znalazłem nic w naszych komputerach.

– Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Siedziałam tu przez cały weekend.

– Byłem zajęty.

– Kiedy dostajesz takie informacje, powinieneś przekazywać mi je od razu. – Doktor Scarpetta z trudem zachowuje spokój.

– I kto tu mówi o strzeżeniu informacji?

– Jakich informacji? – pyta zdumiona.

– Powinnaś bardziej uważać. Tyle mam ci do powiedzenia.

– Takie odzywki do niczego nie prowadzą, Marino.

– Byłbym zapomniał. Policja z Hollywood chciałaby poznać opinię Bentona w tej sprawie – dodaje tamten po chwili, siląc się na obojętność. Nigdy nie umiał ukryć tego, co czuje do Bentona Wesleya.

– Z pewnością mogą go poprosić – odpowiada Kay. – Ja nie będę decydować za niego.

– Chcą, żeby orzekł, czy ten telefon w środku nocy to jakiś głupi żart. Powiedziałem im, że nie będzie to łatwe, skoro nie mamy oryginalnego nagrania, tylko bazgroły, które zapisałem na papierowej torebce.

Wstaje z krzesła, wypełniając swą osobą niemal cały gabinet, i sprawia, że Kay Scarpetta czuje się przy nim jeszcze mniejsza niż dawniej.

Podnosi swój bezużyteczny kask i zakłada ciemne okulary. Nie spojrzął na nią ani razu podczas całej rozmowy, a teraz Kay w ogóle nie widzi jego oczu. Nie wie, co się w nich kryje.

– Zajmę się tym natychmiast – mówi, kiedy on idzie do drzwi. Gdybyś chciał potem porozmawiać o tym, daj znać.

– Mhm...

– Może wpadniesz do mnie do domu?

– Mhm – mruczy ponownie. – Która godzina?

– Siódma.

## Rozdział 2

**B**enton Wesley stoi w sali mieszczącej aparat do wykonywania rezonansu magnetycznego, zwanego w skrócie MRI, i przygląda się swemu pacjentowi przez ściankę z pleksiglasu. Światła są przygaszone, liczne ekrany wideo ciągną się wzdłuż długiego blatu, na aktówce leży zegarek Bentona. Doktorowi Wesleyowi jest zimno. Po kilku godzinach spędzonych w laboratorium neurobiologii procesów poznawczych czuje chłód nawet we włosach i w kościach, a przynajmniej tak mu się wydaje.

Dzisiejszy pacjent oznaczony jest numerem identyfikacyjnym, ale Benton zna też jego imię. Basil Jenrette. Trzydziestotrzyletni wielokrotny morderca, nerwowy i inteligentny. Benton unika określenia „seryjny zabójca”. Jest tak wyświechtane, tak często nadużywane, że nie ma już żadnego znaczenia. Nigdy zresztą nie znaczyło nic ponad to, że sprawca zabił co najmniej trzy osoby w pewnych odstępach czasu. Słowo „seryjny” sugeruje, że coś dzieje się po kolei. Nie mówi nic o motywach zbrodniarza ani o stanie jego umysłu, a kiedy Basil Jenrette zabijał, robił to pod wpływem impulsu. Nie mógł się powstrzymać.

Benton bada mózg Basila w maszynie 3-Tesla MRI, która wytwarza pole magnetyczne sześćdziesiąt tysięcy razy mocniejsze od pola magnetycznego Ziemi. Robi to, by się przekonać, czy w szarej i białej substancji oraz ich



funkcjonowaniu znajdzie choć ślad odpowiedzi na pytanie „dlaczego”. Benton już wiele razy zadawał to pytanie Basilowi podczas wywiadów klinicznych.

– Chciałem ją zobaczyć, to wszystko. Musiałem to zrobić.

– Musiałeś to zrobić właśnie w tamtej chwili?

– Nie na ulicy. Śledziłem ją, dopóki nie zaplanowałem, jak to zrobić.

Prawdę mówiąc, im dłużej o tym myślałem, tym bardziej mi się to podobało.

– Ile to trwało? To śledzenie, planowanie. Możesz to jakoś określić? Dni, godziny, minuty?

– Minuty. Może godziny. Czasami dni. Zależy, głupie suki. Sam powiedz, gdyby ktoś chciał cię uprowadzić, siedziałbyś nieruchomo w samochodzie i nawet nie próbował uciekać?

– Czy one tak się właśnie zachowywały, siedziały w samochodzie i nawet nie próbowały uciec?

– Prócz dwóch ostatnich. Wiesz o nich, bo właśnie dlatego tu jestem.

Nie dałyby rady, ale zepsuł mi się samochód. Idiotki. Gdybyś był na ich miejscu, wolałbyś umrzeć w samochodzie czy poczekać i zobaczyć, co szykują dla ciebie w mojej specjalnej kryjówce?

– Gdzie była twoja specjalna kryjówka? Zawsze w tym samym miejscu?

– A wszystko przez to, że zepsuł mi się samochód.

Na razie nie widzi w mózgu Basila niczego niezwykłego prócz niewielkiej sześciomilimetrowej torbieli w mózdzku, która może zaburzać nieco zmysł równowagi, ale nic ponad to. Szwankuje nie tyle mózg zabójcy, ile sposób jego funkcjonowania. Na pewno nie działa prawidłowo.

Gdyby było inaczej, Basil nie byłby kandydatem do programu badawczego PREDATOR i prawdopodobnie nie zechciałby w nim uczestniczyć. Dla Basila wszystko jest grą, a on sam uważa się za

bystrzejszego od Einsteina, za najbardziej utalentowanego człowieka na ziemi. Nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia i przyznaje szczerze, że zabijałby nadal, gdyby tylko miał ku temu okazję. Niestety, Basil jest sympatyczny.



Dwaj strażnicy w sali MRI przyglądają się z zaciekawieniem i niepewnością długiemu na dwa metry walcowi, w którym kryje się magnes.

Strażnicy są ubrani w mundury, ale nie mają broni. W tym miejscu nie wolno nosić broni. Nie wolno wносить niczego, co zawiera żelazo, nawet kajdanków, dlatego też ręce i nogi Basila skrępowane są tylko plastikowymi kajdankami. Zbrodniarz leży nieruchomo na płycie we wnętrzu magnesu, wsłuchując się w trzaski i popiskiwanie impulsów wysokiej częstotliwości, które brzmią niczym jakaś piekielna muzyka wygrywana na przewodach wysokiego napięcia – a przynajmniej tak wyobraża to sobie Benton.

– Przypominam, że następny test dotyczy kolorów. Chcę tylko, by nazywał pan poszczególne kolory – mówi do interkomu doktor Susan Lane, neuropsycholog. – Nie, panie Jenrette, proszę nie kiwać głową. Taśma na podbródku ma panu przypominać, by się pan nie poruszał.

– Dziesięć-cztery – dobiega z interkomu głos Basila.

Dochodzi wpół do dziewiątej. Benton jest niespokojny. Czuje niepokój już od miesiący. Nie obawia się, że nagle wszyscy Jenrette'owie świata zamknięci w starych murach szpitala MacLeana wpadną w szal i zabiją wszystko, co stanie im na drodze, tylko tego że program badawczy skazany jest na niepowodzenie, że to strata pieniędzy i cennego czasu. Szpital

MacLeana należy właściwie do wydziału medycznego uniwersytetu Harvarda, a ani szpital, ani uczelnia nie będą zadowolone z porażki.

– Proszę się nie przejmować, jeśli nie uda się panu prawidłowo nazwać wszystkich barw – mówi doktor Lane przez interkom. – Nie oczekujemy tego od pana.

– Zielony, czerwony, niebieski, czerwony, niebieski, zielony. – Pewny głos Basila wypełnia cały pokój.

Pracownik naukowy nanosi wyniki na arkusz badań, podczas gdy technik MRI sprawdza obrazy na swoim monitorze.

Doktor Lane ponownie wciska guzik na interkomie.

– Panie Jenrette? Doskonale pan sobie radzi. Widzi pan wszystko dobrze?

– Dziesięć-cztery.

– Doskonale. Kiedy ekran robi się czarny, proszę leżeć nieruchomo.

Proszę nic nie mówić i patrzeć na białą kropkę pośrodku ekranu.

– Dziesięć-cztery.

Doktor Lane zwalnia guzik, przerywając łączność z badanym, i zwraca się do Bentona.

– Dlaczego on używa tego policyjnego żargonu?

– Był gliniarzem. Prawdopodobnie dzięki temu udawało mu się zwabiać ofiary do samochodu.

– Doktorze Wesley? – mówi pracownik naukowy, odwracając się w swoim krześle. – Telefon do pana. Detektyw Thrush.

Benton bierze słuchawkę do ręki.

– O co chodzi? – pyta Thrusha, detektywa z wydziału zabójstw policji stanowej Massachusetts.

– Mam nadzieję, że nie planowałaś położyć się wcześniej do łóżka odpowiada Thrush. – Słyszałeś o ciele znalezionym dziś rano przy Walden

Pond?

– Nie. Siedziałem tu przez cały dzień.

– Biała kobieta, tożsamość nieznana, trudno określić wiek, prawdopodobnie w okolicach czterdziestki. Postrzelona w głowę, morderca wepchnął łuskę po naboju do odbytu.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Zrobili jej już sekcję, ale pomyślałem, że może sam chciałbyś ją obejrzeć. To nie jest zwykłe morderstwo.

– Skończę za niecałą godzinę – mówi Benton.

– Spotkamy się w kostnicy.

W domu jest cicho. Kay Scarpetta przechodzi z pokoju do pokoju i zapala wszystkie światła. Nasłuchuje warkotu silnika, czeka na Marina. Jest już późno, a on nie odpowiedział na jej telefony.

Niespokojna i podenerwowana sprawdza, czy alarm jest włączony i czy świecą się reflektory. Zatrzymuje się przy monitorze, by zobaczyć, czy kamery kontrolujące otoczenie jej domu działają prawidłowo. Na zewnątrz zapadł już mrok, na ekranie widać ciemne kształty drzew cytrusowych, palm i hibiskusów kołyszących się na wietrze. Przystań za jej basenem i ciągnące się za nią morze to ciemna płaszczyzna poznaczona świetlistymi plamami latarni ustawionych wzdłuż brzegu. Scarpetta miesza sos pomidorowy i grzyby w miedzianych garnkach na kuchni.

Sprawdza, jak rośnie ciasto, zagląda do miski, w której moczy się świeża mozzarella.

Dochodzi dziewiąta, Marino miał tu być prawie dwie godziny temu.

Nazajutrz czeka ją mnóstwo pracy, nie ma czasu na jego fochy. Czuje się wystrychnięta na dudka. Ma go już dość. Pracowała przez bite trzy godziny nad rzekomym samobójstwem Johnny’ego Swifta, a teraz Marino nawet nie

raczy się pojawić. Czuje się dotknięta, potem ogarnia ją złość. Łatwiej radzić sobie ze złością.

Jest bardzo zła, kiedy wchodzi do salonu, wciąż nasłuchując warkotu silnika, wciąż czekając. Podnosi z sofy remingtona marine magnum kaliber dwanaście i siada. Kładzie sobie niklowaną strzelbę na kolanach i wkłada mały kluczyk do zamka. Przekręca kluczyk w prawo i wyciąga zamek z osłony spustu, a potem się upewnia, czy w magazynku nie ma naboii.

## Rozdział 3

**Z**ajmiemy się teraz czytaniem – mówi doktor Lane do Basila. – Proszę czytać kolejne słowa od lewej do prawej, dobrze? I proszę się nie poruszać. Świetnie pan sobie radzi.

– Dziesięć-cztery.

– Hej, chcecie zobaczyć, jak on naprawdę wygląda? – pyta technik MRI, zwracając się do strażników.

Ma na imię Josh. Skończył fizykę na MIT, pracuje jako technik, studiując jednocześnie kolejny kierunek, jest inteligentny, ale ekscentryczny, ma też dziwne poczucie humoru.

– Ja już wiem, jak on wygląda. Eskortowałem go wcześniej – odpowiada jeden ze strażników.

– Co potem? – pyta Bentona doktor Lane. – Co z nimi robił, kiedy już zwabił je do samochodu?

– Czerwony, niebieski, niebieski, czerwony...

Strażnicy podchodzą bliżej do monitora Josha.

– Zabierał je na odludzie, wyłupiał im oczy, przetrzymywał przez kilka dni, wielokrotnie gwałcił, podrzynał im gardła, wrzucał ich ciała do wody, układał je w specjalnych pozach, żeby szokować ludzi – mówi Benton beznamiętnym tonem, w charakterystyczny dla siebie sposób. Przynajmniej



tak wyglądały te sprawy, o których wiemy. Podejrzewam, że ofiar było więcej. W tym samym czasie na Florydzie zaginęło wiele młodych kobiet. Zakładamy, że nie żyją, choć ich ciał nigdy nie odnaleziono.

– Dokąd je zabierał? Do motelu, do swojego domu?

– Poczekajcie moment – mówi Josh do strażników, wybierając w menu opcję 3D, a potem SSD, czyli cieniowanie powierzchniowe. – To jest naprawdę niezłe. Nigdy nie pokazujemy tego pacjentom.

– A to czemu?

– Strasznie ich to wkurza.

– Nie wiemy, dokąd je zabierał – mówi Benton do doktor Lane, zerkając na Josha, gotów zainterweniować, gdyby tamtego poniosło. – Ale to ciekawa sprawa. Mam na myśli ciała ofiar. Na wszystkich znaleźliśmy mikroskopijne drobiny miedzi.

– Jak to?

– Zmieszane z brudem i wszystkim innym, co przykleiło się do ich krwi, skóry i włosów.

– Niebieski, zielony, niebieski, czerwony...

– To rzeczywiście bardzo dziwne.

Naciska guzik przy mikrofonie.

– Panie Jenrette? Jak pan sobie radzi? Wszystko w porządku?

– Dziesięć-cztery.

– Teraz zobaczy pan nazwy kolorów, ale każda z nich będzie wydrukowana w kolorze innym niż ten, który określa. Chcę, by wymieniał pan barwę tuszu. Proszę tylko nazywać kolory, w jakich zostały wydrukowane poszczególne słowa. Rozumie pan?

– Dziesięć-cztery.

– Czy to nie niesamowite? – mówi Josh, kiedy na ekranie pojawia się dziwny kształt, rekonstrukcja milimetrycznych plastrów o wysokiej

rozdzielczości, które tworzą magnetyczny obraz głowy Jenrette'a. Obraz jest blady, pozbawiony włosów i oczu, urywa się tuż pod brodą, jakby głowa została odcięta od reszty ciała.

Josh obraca obraz, by strażnicy mogli obejrzyć go pod różnymi kątami.

– Dlaczego ta głowa wygląda jak odcięta? – pyta jeden z nich.

– Bo tu się kończy sygnał z cewki.

– Ta skóra nie wygląda jak prawdziwa.

– Czerwony... eee... zielony, niebieski... to znaczy, czerwony, zielony... – dochodzi z głośnika głos Basila.

– Bo właściwie to wcale nie jest jego skóra. Jak by to wyjaśnić... cóż, komputer pokazuje nam tutaj rekonstrukcję objętościową, obraz powierzchni.

– Czerwony, niebieski... eee... zielony, niebieski... to jest, czerwony...

– Wykorzystujemy to tylko do prezentacji w PowerPoincie. Wiecie, można zebrać dane i przygotować je do analizy, przyglądać im się z różnych stron.

– Fe, ależ on paskudny.

Benton usłyszał już wystarczająco dużo. Test z nazywaniem kolorów już się zakończył. Benton spogląda ostro na Josha.

– Josh? Jesteś gotowy?

– Cztery, trzy, dwa, jeden, gotów – mówi Josh, a doktor Lane zaczyna test interferencji.

– Niebieski, czerwony, to znaczy... cholera, czerwony, to jest niebieski... zielony, czerwony... – rozbrzmiewa ponownie głos Basila, który popełnia błąd za błędem.

– Powiedział ci kiedyś dlaczego? – pyta Bentona doktor Lane.

– Przepraszam – odpowiada Benton w roztargnieniu – dlaczego co?

– Czerwony, niebieski, cholera! Czerwony, niebieski...

– Dlaczego wyłupiał im oczy.  
– Mówi, że nie chciał, by widziały, jak mały jest jego penis.  
– Niebieski, niebiesko-czerwony, czerwony, zielony...  
– Tym razem nie poszło mu najlepiej – mówi doktor Lane. – Właściwie popełniał niemal same błędy. Gdzie on pracował? Wolałabym wiedzieć, gdzie lepiej się nie zatrzymywać na wezwanie policji. – Naciska guzik przy mikrofonie. – Wszystko w porządku, panie Jenrette?

– Dziesięć-cztery.  
– Hrabstwo Dade.  
– Szkoda. Zawsze lubiłam Miami. Więc stąd go wyczarowałeś.  
Przydały ci się twoje koneksje na Florydzie – mówi, ponownie wciskając guzik.

– Niezupełnie. – Benton wpatruje się w głowę Basila po drugiej stronie magnesu, wyobrażając sobie resztę jego ciała w zwykłych dżinsach i białej koszuli.

Więźniowie nie mogą nosić więziennych ubrań na terenie kompleksu szpitalnego. Nie jest to politycznie poprawne.

– Kiedy zaczęliśmy wypytywać więzienia stanowe o potencjalny materiał do badań, Floryda uznała, że ten się nada. Był znudzony. Chętnie się go pozbyli – tłumaczy Benton.

– Świetnie, panie Jenrette – mówi Lane do mikrofonu. – Teraz wejdzie do pana doktor Wesley i poda panu myszkę. Potem zobaczy pan pewne twarze.

– Dziesięć-cztery.

Zazwyczaj doktor Lane wchodzi do pokoju MRI i sama zajmuje się pacjentami. Jednak kobiety nie mogą mieć fizycznego kontaktu z badanymi w ramach projektu PREDATOR. Mężczyźni także muszą zachować największą ostrożność, przebywając w sali MRI. Poza komorą aparatu

więzień może zostać skrepowany na czas wywiadu, decyduje o tym prowadzący badanie. Benton wchodzi do sali MRI, włącza światło i zamyka drzwi. Towarzyszy mu dwóch strażników. Strażnicy stają obok magnesu i przyglądają się uważnie, kiedy Benton podłącza myszkę i umieszczają w skrepowanych dłoniach Basila.

Więzień to niski, drobny mężczyzna o rzednących blond włosach i małych, szarych oczach umieszczonych blisko siebie. W królestwie zwierząt lwy, tygrysy i niedźwiedzie – drapieżniki – mają oczy ułożone blisko siebie. Żyrafy, zające, gołębie – ofiary – mają oczy rozstawione szerzej, skierowane bardziej na boki, muszą bowiem ogarniać wzrokiem większą przestrzeń, by przetrwać. Benton zawsze był ciekaw, czy ta sama zasada odnosi się do ludzi, wiedział jednak, że nikt nie zechce sfinansować takiego badania.

– Wszystko w porządku, Basil? – pyta Benton.

– Co to będą za twarze? – odpowiada pytaniem głowa Basila uwięziona w magnecie.

– Doktor Lane wszystko ci wyjaśni.

– Mam niespodziankę – mówi Basil. – Powiem wam o niej, kiedy skończycie.

– Świetnie. Uwielbiam niespodzianki. Jeszcze tylko kilka minut i będzie po wszystkim. – Benton się uśmiecha. – Wtedy sobie pogawędzimy.

Strażnicy wychodzą wraz z nim z komory MRI i wracają na swoje miejsca, a doktor Lane wyjaśnia Basilowi, że chce tylko, by nacisnął lewą stronę myszki, gdy zobaczy twarz mężczyzny, a prawą, gdy będzie to twarz kobiety.

– Nie musi pan nic robić ani mówić, proszę tylko naciskać myszkę powtarza.

Test składa się z trzech części, a ich celem nie jest wcale określenie, czy badany potrafi rozróżniać przedstawicieli odmiennych płci. W rzeczywistości chodzi o zmierzenie przetwarzania afektywnego. Wyświetlane na ekranie męskie i kobiece twarze ukryte są za innymi twarzami, które pojawiają się tylko na moment, zbyt krótko, by wychwycić to ludzkie oko. Mózg jednak widzi wszystko. Mózg Jenrette'a widzi twarze za maskami, twarze, które są szczęśliwe, złe lub przestraszone, twarze prowokujące.

Po zakończeniu każdej z trzech części badania doktor Lane pyta go, co widział, a jeśli potrafi przyporządkować widzianym twarzom jakieś emocje, pyta, jakie to emocje. Twarze mężczyzn są poważniejsze niż twarze kobiet, odpowiada Basil. Za każdym razem powtarza to samo. Na razie jeszcze nic to nie oznacza. Nic, co zaszło w tym pomieszczeniu, nie będzie miało większego znaczenia, dopóki nie zostaną przeanalizowane tysiące neuroobrazów. Wtedy naukowcy będą mogli stwierdzić, które obszary mózgu Basila były najaktywniejsze podczas poszczególnych testów.

Zrobią to, by przekonać się, czy jego mózg pracuje inaczej niż mózg normalnego człowieka, i dowiedzieć się czegoś poza tym, że Jenrette ma torbiel zupełnie niezwiązaną z jego morderczymi skłonnościami.

– Coś ci się rzuciło w oczy? – pyta Benton doktor Lane. – A przy okazji piękne dzięki, jak zawsze, Susan. Dobra z ciebie koleżanka.

Próbują umówić się na analizę danych na popołudnie lub na weekend, kiedy nikt nie będzie im przeszkadzał.

– Jak na razie wszystko wygląda w porządku. Nie widzę tu żadnych anomalii. Prócz jego gadulstwa. Czy kiedykolwiek stwierdzono u niego chorobę dwubiegunową?

– Rzeczywiście, można by się nad tym zastanawiać, znając jego poglądy i czyny. Ale nie, nigdy nie został tak zdiagnozowany. Nie dostawał żadnych

leków na zaburzenia psychiczne, a w więzieniu jest dopiero od roku. Wymarzony obiekt badań.

– Cóż, twój wymarzony obiekt nie poradził sobie najlepiej ze sprzecznymi bodźcami, zrobił mnóstwo błędów w teście interferencji.

Moim zdaniem nie potrafi się skupić wystarczająco długo na jednej czynności, co jest typowe dla zaburzenia dwubiegunowego. Później dowiemy się czegoś więcej.

Wciska ponownie guzik i mówi:

– Panie Jenrette? Skończyliśmy. Świetnie pan sobie radził. Doktor Wesley wróci teraz po pana i zabierze stąd. Proszę bardzo powoli podnieść się do pozycji siedzącej, dobrze? Bardzo powoli, żeby nie zakręciło się panu w głowie, dobrze?

– To wszystko? Tylko te głupie testy? Pokażcie mi zdjęcia.

Doktor Lane spogląda porozumiewawczo na Bentona i zwalnia guzik.

– Powiedzieliście, że będziecie oglądać mój mózg, kiedy będę patrzył na te zdjęcia.

– Zdjęcia z sekcji jego ofiar – wyjaśnia Benton doktor Lane.

– Obiecaliście mi te zdjęcia!

– W porządku – wzdycha doktor Lane. – Jest cały twój.



Strzelba jest ciężka i nieporęczna. Doktor Scarpetta, leżąc na swojej sofie, nie potrafi przycisnąć lufy do piersi i jednocześnie pociągnąć za spust palcem lewej stopy.

Opuszcza broń i próbuje wyobrazić sobie dokonanie tej samej sztuki po operacji nadgarstka. Strzelba waży około czterech kilogramów i zaczyna



drzeć w jej dłoniach, gdy podnosi ją za lufę o długości czterdziestu pięciu centymetrów. Opuszcza stopy na podłogę i zdejmuje but i skarpetkę z prawej stopy. Jest lewonożna, zastanawia się, czy Johnny Swift był prawonożny czy też lewonożny. Mogło to mieć jakieś znaczenie, choć niezbyt duże, szczególnie jeśli był bardzo przygnębiony i zdeterminowany, choć Kay nie jest wcale pewna, czy tak było w istocie.

Myśli o Marinie, a im częściej to robi, tym bardziej się denerwuje.

Nie ma prawa traktować jej w taki sposób, nie ma prawa okazywać jej braku szacunku tak samo, jak wtedy, kiedy się poznali, a było to tak wiele lat temu, że jest wręcz zaskoczona, iż on może pamiętać, jak wówczas ją potraktował. Pokój wypełnia zapach przyrządzonej przez nią pizzy. Wypełnia cały dom, a uraza i poczucie krzywdy przyspieszają bicie jej serca i ściskają pierś. Kładzie się na lewym boku, opiera kolbę strzelby na poduszce, ustawia lufę na środku klatki piersiowej i pociąga za spust palcem u prawej nogi.

## Rozdział 4

**B**asil Jenrette nie zrobi mu krzywdy. Pozbawiony kajdanek siedzi na przeciwko Bentona, po drugiej stronie biurka, za zamkniętymi drzwiami pokoju badań. Basil jest teraz cichy i uprzejmy. Wybuch złości w sali MRI trwał jakieś dwie minuty, a nim się skończył, doktor Lane już wyszła. Nie widział jej, gdy wychodziła na zewnątrz, a Benton dopilnuje, by nie zobaczył jej nigdy.

– Na pewno nie masz zawrotów głowy ani mdłości? – pyta Benton swym spokojnym, wyrozumiałym tonem.

– Czuję się doskonale. Te badania były świetne. Zawsze lubiłem testy.

Wiedziałem, że zrobię wszystko, jak należy. Gdzie są zdjęcia? Obiecałeś.

– Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, Basil.

– Rozwiązałem wszystko jak trzeba, same celne trafienia.

– Więc podobało ci się to doświadczenie?

– Następnym razem pokaż mi zdjęcia, jak obiecałeś.

– Nigdy ci tego nie obiecywałem, Basil. Podobało ci się to doświadczenie?

– Pewnie nie wolno tu palić.

– Niestety, nie.

– Jak wyglądał mój mózg? Dobrze? Widzieliście coś ciekawego? Czy można określić inteligencję człowieka, oglądając jego mózg? Gdybyś pokazał mi zdjęcia, przekonałbyś się, że pasują do tych, które mam w mózgu.

Mówi teraz szybko i cicho, jego oczy lśnią, wydają się niemal szkliste, wciąż wraca do tego, co naukowcy mogą znaleźć w jego mózgu, zakładając, że są w stanie zobaczyć, co tam jest, i że na pewno widzieli tamto miejsce.

– Tamto miejsce? – pyta Benton. – Co masz na myśli?

– Moją pamięć. Jeśli możecie do niej zajrzeć, zobaczcie, co tam jest, moje wspomnienia.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Akurat. Założę się, że widzieliście różne cuda, kiedy robiliście te wszystkie bip-bip i stuku-puku. Założę się, że widzieliście te zdjęcia, tylko nie chcecie mi o nich powiedzieć. Było ich dziesięć i zobaczyliście wszystkie. Zobaczyliście ich zdjęcia, dziesięć, nie cztery. Zawszę mówię dziesięć-cztery, to taki żart. Myślicie, że było ich cztery, a ja wiem, że dziesięć, wy też byście wiedzieli, gdybyście pokazali mi te zdjęcia, przekonalibyście się, że pasują do tych w moim mózgu. Na pewno widzieliście te zdjęcia, kiedy byliście w moim mózgu. Dziesięć-cztery.

– Powiedz mi, jakie zdjęcia masz na myśli, Basil.

– Wygłupiam się tylko – odpowiada Basil, puszczając do niego oko.

– Chcę moją pocztę.

– Jakie zdjęcia moglibyśmy zobaczyć w twoim mózgu?

– Te głupie kobiety. Nie chcą dać mi mojej poczty!

– Chcesz powiedzieć, że zabiłeś dziesięć kobiet? – pyta Benton spokojnie, nie okazując zdumienia ani potępienia. Basil uśmiecha się, jakby ucieszony jakąś myślą.

– Oho, mogę wreszcie ruszać głową, prawda? Nie mam już tej cholernej taśmy na brodzie. Okleją mi brodę, kiedy będą wbijać igłę?

– Nie będą wbijać ci igły, Basil. To część umowy. Zamienili ci karę śmierci na dożywocie. Pamiętasz, jak o tym rozmawialiśmy?

– Bo jestem wariatem – mówi Basil z uśmiechem. – Dlatego tu trafiłem.

– Nie. Porozmawiamy o tym raz jeszcze, chciałbym, żebyś dobrze to zrozumiał. Jesteś tutaj, bo zgodziłeś się wziąć udział w eksperymencie.

Gubernator Florydy zgodził się, by przeniesiono cię do naszego szpitala stanowego, ale władze Massachusetts zażądały, aby zmieniono ci wyrok na dożywocie. W Massachusetts nie ma kary śmierci.

– Wiem, że chcecie zobaczyć tych dziesięć dziewczyn. Zobaczyć je takie, jakimi je zapamiętałem. Są w mojej pamięci.

Wie, że nie można dojrzeć czyichś myśli i wspomnień. Jak zawsze prowadzi swoje sprytnie gierki. Chce zobaczyć zdjęcia z sekcji zwłok, by karmić nimi swoje chore fantazje, i jak każdy narcystyczny socjopata uważa, że jest bardzo zabawny.

– Czy to jest ta niespodzianka, Basil? – pyta. – Że popełniłeś dziesięć morderstw, a nie cztery, za które cię sądzono?

Basil kręci głową i odpowiada:

– Jest jedno, o którym na pewno chciałbyś wiedzieć. To jest właśnie ta niespodzianka. Coś specjalnie dla ciebie, bo byłeś dla mnie bardzo miły. Ale chcę dostać swoją pocztę. Taka jest umowa.

– Bardzo mnie zaintrygowała ta twoja niespodzianka.

– Kobieta w sklepie z ozdobami choinkowymi – mówi. – Pamiętasz ją?

– Może sam mi o tym opowiesz – proponuje Benton. Nie ma pojęcia, o czym mówi Basil. Nie słyszał o morderstwie w sklepie z ozdobami choinkowymi.

– A co z moją pocztą?

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Przysięgasz?

– Zajmę się tym.

– Nie pamiętam, kiedy dokładnie to było. Chwileczkę... – Wpatruje się w sufit, ręce oparł nieruchomo na kolanach. – Jakies trzy lata temu w Las Olas, chyba gdzieś w lipcu, czyli dwa i pół roku temu. Po co komu ozdoby choinkowe w lipcu i to na południowej Florydzie? Sprzedawała małych Mikołajów z elfami, dziadki do orzechów i dzieciątka Jezus.

Wszedłem do niej tamtego ranka po nieprzespanej nocy.

– Pamiętasz, jak się nazywała?

– Nigdy nie wiedziałem, jak się nazywała. Choć właściwie może i wiedziałem... Ale nie pamiętam. Gdybyś pokazał mi te zdjęcia, może coś by mi się poruszyło w pamięci, może zobaczylibyście ją w moim mózgu. Spróbuję ją opisać. No tak. To była biała kobieta z długimi farbowanymi włosami jak ta babka z „I Love Lucy”. Trochę przy kości. Miała jakieś trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Wszedłem do środka i wyciągnąłem nóż. Zgwałciłem ją na zapleczu, w magazynie, a potem poderżnąłem jej gardło jednym cięciem.

Przesuwa dłonią po gardle w wymownym geście.

– To zabawne... Pod sufitem był wentylator, wiesz, taki wielki wiatrak, włączyłem go, bo było duszno, a on rozbryzgał krew po całej tej dziurze, dosłownie wszędzie. Było co sprzątać. Potem... chwileczkę, co było potem... – Znów spogląda na sufit, jak niemal zawsze, kiedy kłamie. – Nie byłem wtedy na służbie, przyjechałem tam na moim chopperze, zostawiłem go na płatnym parkingu za hotelem Riverside.

– Masz na myśli rower czy motocykl?

– Mówię o mojej hondzie Shadow. Chciałem kogoś zabić, musiałbym być idiotą, żeby jeździć wtedy na rowerze.

- Więc planowałaś już wcześniej zabić kogoś tego ranka?
- Wydawało mi się, że to dobry pomysł.
- Planowałaś zabić właśnie ją czy kogokolwiek?
- Pamiętam wszystkie te kaczkę, które siedziały w kałużach na parkingu, lało wtedy od kilku dni. Kacza mama i mnóstwo małych kaczątek. Zawsze mnie to przygnębiało. Biedne małe kaczuszki. Tyle ich ginie pod samochodami. Widzisz żółte maleństwo rozgniecione na drodze i mamę, która drepcze wokół swojego dziecka, taka smutna.
- Przejechałaś kiedyś jakąś kaczkę, Basil?
- Nigdy nie skrzywdziłbym żadnego zwierzęcia, doktorze Wesley.
- Mówiłaś, że w dzieciństwie zabijałaś ptaki i króliki.
- To było dawno temu. Wiesz, chłopcy i ich zabawy. Wracając do mojej opowieści, zgarnąłem wtedy tylko dwadzieścia sześć dolarów i dziewięćdziesiąt jeden centów. Musisz zrobić coś z moją pocztą.
- Już o tym mówiłaś, Basil. Powiedziałem ci, że zrobię, co w mojej mocy.
- Trochę się wtedy rozczarowałem. Tylko dwadzieścia sześć dolarów i dziewięćdziesiąt jeden centów.
- Z kasy.
- Dziesięć-cztery.
- Musiałaś być cały okrwawiony, Basil.
- Na zapleczu była łazienka. – Znów patrzy na sufit. – Obląłem ją cioroksem, teraz to sobie przypominam. Żeby zatrzeć ślady mojego DNA. Teraz ty jesteś mi coś winien. Chcę swoją cholerną pocztę. I zabierzcie mnie z tej celi dla samobójców. Chcę normalną celę, gdzie nie będą mnie ciągle podglądać.
- Robimy to dla twojego bezpieczeństwa.

– Załatw mi nową celę, zdjęcia i pocztę, a ja opowiem ci więcej o tym sklepie – mówi Basil. Oczy ma szkliste, wierci się nerwowo na krześle, zaciska dłonie w pięści, stuka stopą o podłogę. – Zasluguję na nagrodę.

## Rozdział 5

**L**ucy siedzi w miejscu, z którego dobrze widać drzwi, skąd widzi, kto wchodzi lub wychodzi. Przygląda się nieznajomym ludziom. Obserwuje i ocenia, choć ma się relaksować.

Przez kilka ostatnich wieczorów zachodziła do Lorraine i rozmawiała z barmanami, Buddym i Tonia. Żadne z nich nie zna prawdziwego nazwiska Lucy, oboje jednak pamiętają Johnny'ego Swifta, tego przystojnego lekarza, który był hetero. Lekarza mózgu, który lubił Provincetown i niestety był hetero. Zawsze przychodził sam, mówi Tonia, oprócz ostatniego razu. Pracowała tamtego wieczoru i pamięta, że Johnny miał szyny na nadgarstkach. Kiedy go o to spytała, odparł, że właśnie miał operację, i że nie poszła najlepiej.

Johnny i jakaś kobieta usiedli przy barze, byli dla siebie bardzo mili, rozmawiali tak, jakby dokoła nie było nikogo innego. Ona nazywała się Jan i wydawała się bardzo inteligentna, była ładna i uprzejma, bardzo nieśmiała, wcale nie zadzierała nosa, młoda, ubrana w luźne dzinsy i bluzę, przypomina sobie Tonia. Widać było, że Johnny nie zna jej długo, może dopierają poznał i zainteresował się nią, najwyraźniej ją polubił, dodaje.

– Podobała mu się? Myślisz, że chodziło mu o seks? – spytała Tonia Lucy.



– Nie, nie miałam takiego wrażenia. Wyglądało raczej na to, że ona miała jakiś problem, a on starał się jej pomóc. No wiesz, w końcu był lekarzem.

To nie dziwi Lucy. Johnny był bezinteresowny. Niezwykle wręcz uczynny.

Siedzi w barze Lorraine i myśli o Johnnym, o tym jak wchodził do tego samego baru, być może nawet siedział na tym samym stołku. Wyobraża go sobie z Jan, którą być może dopiero co poznał. Nie miał w zwyczaju podrywać kobiet, nie szukał przelotnych znajomości, to nie było w jego stylu. Może rzeczywiście jej pomagał, doradzał. Ale w jakiej sprawie? Czy to był jakiś problem medyczny? Psychologiczny? Opowieść o nieśmiałej, młodej kobiecie imieniem Jan jest zagadkowa i niepokojąca. Lucy właściwie nie wie dlaczego.

Może był w kiepskim humorze, nie czuł się najlepiej. Może był trochę wystraszony, bo operacja kanału nadgarstka nie poszła tak dobrze, jak się spodziewał. Może rozmowa z nieśmiałą, ładną dziewczyną pozwoliła mu zapomnieć o strachu, przywróciła poczucie własnej wartości.

Lucy wypija tequilę i myśli o tym, co powiedział jej we wrześniu w San Francisco, kiedy widziała go po raz ostatni.

– Biologia jest okrutna – mówił. – Fizyczne ułomności to przekleństwo. Nikt cię nie chce, kiedy jesteś okaleczony i zdeformowany, bezużyteczny.

– Boże, Johnny, to tylko operacja kanału nadgarstka, a nie amputacja.

– Wybacz – odrzekł. – Nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o mnie.

Myśli o nim, siedząc w barze Lorraine i obserwując ludzi, głównie mężczyzn, którzy wchodzi do sali i wychodzących na zewnątrz. Patrzy na płatki śniegu wdzierające się do środka.

W Bostonie zaczyna właśnie padać śnieg, kiedy Benton przejeżdża swoim porsche turbo S obok ceglanych wiktoriańskich budynków kampusu

akademii medycznej i przypomina sobie dawne czasy, gdy Kay Scarpetta wzywała go nocą do kostnicy. Zawsze wiedział, że to musi być jakaś trudna sprawa.

Większość psychologów sądowych nigdy nie była w kostnicy. Większość z nich nigdy nie widziała sekcji zwłok ani nawet nie chce oglądać zdjęć z sekcji. Interesują się bardziej osobowością sprawcy niż tym, co zrobił ofierze, ponieważ sprawca jest ich pacjentem, a ofiara to tylko środek, za pomocą którego wyraził swą przemoc. Taką właśnie wymówką posługuje się wielu psychologów i psychiatrów sądowych. Zazwyczaj jednak po prostu nie mają odwagi ani ochoty rozmawiać z ofiarami lub, co gorsza, oglądać ich martwe zmaltratowane ciała.

Benton jest inny. Po ponad dziesięciu latach znajomości z Kay nie mógłby się nie zmienić.

– Nie ma pan prawa zajmować się daną sprawą, jeśli nie wysłucha pan najpierw tego, co mają do powiedzenia zmarli – powiedziała mu przed piętnastu laty, kiedy pracowali wspólnie nad pierwszym morderstwem. – Jeśli nie chce pan tego robić, to, prawdę mówiąc, ja też wolałabym się z panem nie zadawać, agencie specjalny Wesley.

– Zgoda, pani doktor. Chętnie wysłucham tego, co mają do powiedzenia pani pacjenci.

– W porządku – odrzekła – proszę iść za mną.

Wtedy po raz pierwszy w życiu znalazł się w kostnicy. Wciąż pamięta trzask otwieranych drzwi i powiew zimnego, cuchnącego powietrza.

Poznałby ten zapach wszędzie, ten ciemny, martwy smród. Wisi ciężko w powietrzu, a Benton wyobraża sobie, że gdyby mógł go ujrzeć, z pewnością wyglądałby jak gęsta, brudna mgła wypełzająca ze wszystkiego, co zmarło.

Odtwarza rozmowę z Basilem, analizuje każde słowo, każde drgnienie ust, każdą minę. Brutalni zabójcy obiecują różne rzeczy. Manipulują swymi rozmówcami, by zdobyć to, na czym im zależy, twierdzą, że pokażą miejsca, w których ukryli ciała, przyznają się do przestępstw, których sprawców nigdy nie odkryto, opowiadają ze szczegółami o wszystkim, co zrobili, wyjaśniają motywy postępowania i opisują swój stan psychiczny. W większości przypadków są to tylko i wyłącznie kłamstwa. W tym przypadku Benton nie jest pewien. W zachowaniu Basila było coś, co każe sądzić, że przynajmniej część jego opowieści jest prawdziwa.

Próbuje zadzwonić na komórkę doktor Scarpetty. Nie odbiera. Kilka minut później próbuje ponownie, znów bez rezultatu.

Zostawia wiadomość: „Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz mogła”.

Drzwi otwierają się ponownie, do środka wchodzi kobieta otoczona chmurą śniegu.

Ma na sobie długi, czarny płaszcz, otrzepuje go ze śniegu, a potem ściąga z głowy kaptur, jej jasna skóra zaczerwieniła się od mrozu, oczy płoną jasno. Jest ładna, bardzo ładna, o blond włosach i ciemnych oczach; porusza się w wyzywający, seksowny sposób. Lucy przygląda się jej, gdy przechodzi w głąb sali, przesuwając się między stolikami niczym seksowny pielgrzym lub zmysłowa wiedźma, a poły jej długiego czarnego płaszcza ocierają się o wysokie skórzane buty w tym samym kolorze.

Zmierza prosto do baru. Choć w pobliżu jest mnóstwo pustych stołków, wybiera ten obok Lucy, podciąga płaszcz i siada bez słowa, nie obdarzając jej nawet spojrzeniem.

Lucy popija tequilę i patrzy w telewizor, jakby naprawdę interesował ją najnowszy romans jakiejś gwiazdeczki. Buddy podaje kobiecie drinka, jakby wiedział, co ona lubi.

– Jeszcze raz to samo – mówi do niego Lucy po chwili.

– Już się robi.

Kobieta w czarnym płaszczu spogląda z zainteresowaniem na kolorową butelkę z tequilą, po którą sięga Buddy. Wpatruje się w strumień złotego alkoholu, opadającego na dno kieliszka. Lucy powoli obraca kieliszek, zapach tequili wypełnia jej nozdrza, sięga aż do mózgu.

– Po czymś takim będziesz się czuła tak, jakbyś trafiła do Hadesu mówi kobieta w czarnym płaszczu lekko zachrypniętym, uwodzicielskim, pełnym tajemnic głosem.

– To jest znacznie czystsze niż większość zwykłych alkoholi – odpowiada Lucy. – Dawno już nie słyszałam słowa Hades. Większość znanych mi ludzi używa słowa piekło.

– Najgorszego kaca miałam po margeritach – komentuje kobieta, popijając różowy cosmopolitan z wysokiego kieliszka. – I nie wierzę w piekło.

– Uwierzysz, jeśli nadal będziesz pić to gównu – mówi Lucy, spoglądając w lustro, w którym widzi, jak znów otwierają się drzwi, a do wnętrza baru ponownie wdziera się śnieżycą.

Gwałtowne podmuchy wiatru wiejącego od zatoki przywodzą jej na myśl odgłos wydawany przez jedwabne pończochy zawieszane na sznurze do bielizny, choć nigdy nie widziała jedwabnych pończoch na sznurze ani nie słyszała, jak trzepoczą na wietrze. Wie, że jej sąsiadka ma czarne pończochy, bo wysokie stołki barowe i krótkie, rozcięte spódniczki nie stanowią bezpiecznego połączenia, chyba że kobieta jest w barze, gdzie mężczyźni interesują się tylko sobą nawzajem, a właśnie tak zwykle jest w Provincetown.

– Jeszcze raz cosmo, Stevie? – pyta Buddy i dzięki temu Lucy zna już jej imię.

– Nie – odpowiada za nią. – Niech Stevie spróbuje tego co ja.

– Mogę spróbować wszystkiego – mówi Stevie. – Chyba widziałam cię kiedyś w Pied i Vixen, tańczyłaś z kimś.

– Nie tańczę.

– Na pewno cię tam widziałam. Trudno cię nie zauważyć.

– Często tu przychodzisz? – pyta Lucy, bo nie widziała Stevie wcześniej ani w Pied, ani w Vixen, ani w jakimkolwiek innym klubie czy restauracji w Ptown.

Tamta obserwuje, jak Buddy nalewa kolejną tequilę. Zostawia butelkę na barze, odsuwa się i przyjmuje zamówienie od innego klienta.

– Nie, jestem tu pierwszy raz – odpowiada Stevie. – Zrobiłam sobie prezent walentynkowy, tydzień w Ptown.

– W środku zimy?

– O ile pamiętam, walentynki zawsze wypadają w środku zimy, a tak się składa, że to moje ulubione święto.

– To nie jest święto. Przez ostatni tydzień byłam tutaj co wieczór i nigdy cię nie widziałam.

– A co, bawisz się w policję barową? – Stevie uśmiecha się i wpatruje w oczy Lucy tak intensywnie, że przynosi to wymierny efekt.

Lucy coś czuje. Nie, myśli. Tylko nie to.

– Może nie przychodzę tu tylko wieczorami, jak ty – dodaje Stevie, sięgając po butelkę i dotykając ramienia Lucy.

Uczucie przybiera na sile. Stevie przygląda się przez chwilę kolorowej nalepce, potem powoli odstawia butelkę na bar i znów ociera się o Lucy. Uczucie staje się coraz mocniejsze.

– Cuervo? Dlaczego właśnie Cuervo? – pyta Stevie.

– Dlaczego uważasz, że jestem policjantką? – odpowiada pytaniem Lucy.

Stara się odsunąć od siebie to uczucie, zapomnieć o nim.

– Domyśliłam się. Wyglądasz na kogoś, kto lubi przesiadywać po nocach. Twoje włosy są naturalnie rude, prawda? Mahoń zmieszany z burgundem. Farbowane włosy tak nie wyglądają. Nie zawsze były takie długie jak teraz.

– Jesteś jakimś jasnowidzem czy co?

Lucy już wie, że nie uda jej się stłumić tego uczucia.

– Domyśliłam się – odpowiada Stevie uwodzicielskim głosem. – Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego właśnie Cuervo.

– Cuervo Reserva de la Familia. Jest wyjątkowa.

– No cóż, pewnie masz rację. Zdaje się, że to dla mnie wieczór pierwszych razów. – Stevie dotyka ręki Lucy, zatrzymując przez moment dłoń na jej ramieniu. – Pierwszy raz w Ptown. Pierwsza prawdziwa tequila po trzydziści dolarów za kieliszek.

Lucy zastanawia się, skąd ona wie, że jeden kieliszek kosztuje trzydzieści dolarów, mówiła przecież, że nie pije tequili.

– Wezmę jeszcze jeden – zwraca się Stevie do Buddy'ego. – Mógłbyś mi tym razem nalać trochę więcej. Bądź dla mnie miły.

Buddy uśmiecha się i napełnia kieliszek. Dwie kolejki później Stevie nachyla się do Lucy i szepcze jej do ucha.

– Masz coś?

– Co masz na myśli? – pyta Lucy, poddając się ostatecznie, oszołomiona tequila i planami na resztę nocy.

– Wiesz, co mam na myśli – mówi cicho Stevie. Jej oddech łaskocze Lucy w ucho, jej piersi napierają na jej ramię. – Coś do palenia. Coś dobrego.

– Dlaczego uważasz, że mogłabym mieć coś takiego?

– Domyśliłam się.

– Jesteś w tym naprawdę dobra.

– Tutaj możesz to dostać wszędzie. Widziałam cię.

Lucy dokonała zakupu poprzedniego wieczoru, wie, gdzie to robić, w Vixen, gdzie nie tańczy. Nie widziała wtedy Stevie. Nie było tam wielu ludzi, nie o tej porze roku. Zauważyłaby Stevie. Zauważyłaby ją w wielkim tłumie, na zatłoczonej ulicy, wszędzie.

– Może to ty jesteś policjantką – mówi Lucy.

– Nawet nie wiesz, jakie to zabawne – słyszy uwodzicielski głos Stevie.

– Gdzie mieszkasz?

– Niedaleko stąd.

## Rozdział 6

**B**iuro stanowego lekarza sądowego znajduje się tam, gdzie większość urzędów, na obrzeżach lepszej części miasta, zwykle gdzieś pośród zabudowań akademii medycznej. Kompleks budynków z cegły i betonu obwiedziony jest z jednej strony autostradą Massachusetts, z drugiej zaś graniczy z domem poprawczym okręgu Suffolk. Z okien nie widać nic ciekawego, a hałas uliczny nigdy nie ustaje.

Benton parkuje przy tylnym wejściu, oprócz niego na parkingu stoją tylko dwa inne samochody. Granatowa crown victoria należy do detektywa Thrusha. Honda suv to prawdopodobnie własność jakiegoś patologa sądowego, któremu za mało płacą i który pewnie nie był zbyt zadowolony, gdy Thrush wezwał go tutaj o tej porze. Benton dzwoni do drzwi i ogarnia spojrzeniem pusty parking. Nigdy nie zakłada, że jest samotny i bezpieczny. Thrush otwiera drzwi i zaprasza go gestem do środka.

– Boże, nienawidzę tego miejsca nocą – mówi Thrush.

– Za dnia też nie ma tu niczego, co mogłoby się podobać – zauważa Benton.

– Cieszę się, że przyjechałeś, choć nie mogę uwierzyć, że właśnie tym – mówi, spoglądając na czarne porsche, potem starannie zamyka drzwi.

– W taką pogodę? Zwariowałeś?



– Napęd na cztery koła. Nie padało, kiedy jechałem rano do pracy.  
– Inni psychologowie, z którymi współpracowałem, nigdy nie wychodzili w czasie pracy z biura, czy to w śnieg, deszcz czy w słońce – mówi Thrush. – Większość agentów FBI, których znałem, nigdy nie widziała trupa.

– Prócz tych z kwatery głównej.

– Zgadza się. W centrali policji stanowej też mamy ich niemało. Proszę.

Thrush wręcza Bentonowi kopertę, prowadząc go jednocześnie w głąb korytarza.

– Zapisałem ci wszystko na płycie. Wszystkie zdjęcia z sekcji, wszystko, co udało nam się dotąd zebrać. Ma potem śnieżyć jak cholera.

Benton znów myśli o Kay Scarpencie. Nazajutrz są walentynki, mieli spędzić ten wieczór razem, zjeść romantyczną kolację na przystani.

Nie widzieli się już prawie od miesiąca. Jeśli zacznie mocno padać, być może ona nie zdoła tu dotrzeć.

– Mówili tylko o lekkich opadach – stwierdza Benton głośno.

– Od zatoki idzie wielka śnieżycy. Mam nadzieję, że masz jeszcze jakieś inne auto prócz tej zabawki za milion dolarów.

Thrush jest roslym mężczyzną, który spędził całe życie w Massachusetts i mówi z tutejszym akcentem. Ma pięćdziesiąt kilka lat i krótko przycięte, siwe włosy, ubrany jest w pomięty brązowy garnitur. Prawdopodobnie pracował bez przerwy przez cały dzień. Idzie wraz z Bentonem przez zalany światłem korytarz. Korytarz utrzymany jest w idealnej czystości, w powietrzu unosi się zapach odświeżacza, po obu stronach ciągną się rzędy drzwi prowadzących do magazynów i biur. Wstęp do każdego z nich wymaga znajomości kodu. Jest tu nawet skanujący mikroskop elektronowy, sprzęt, jakiego nie powstydziałaby się największa i najlepiej wyposażona kostnica. Personel to całkiem inna kwestia.

Biuro od wielu lat ma kłopoty z personelem ze względu na niskie pensje, które nie są w stanie przyciągnąć tu kompetentnych patologów i innych specjalistów. Dochodzą do tego rzekome pomyłki i nadużycia, będące przyczyną ostrych sporów, i kłopoty z public relations, co nie ułatwia nikomu życia. Biuro jest zamknięte dla mediów i ludzi z zewnątrz, panuje tu atmosfera niesłabnącej wrogości i nieufności. Benton woli przychodzić późną nocą. Każdy, kto zjawia się tu w godzinach urzędowania, traktowany jest jak intruz.

Wraz z Thrushem zatrzymuje się przed drzwiami sali, w której wykonuje się sekcje dotyczące spraw bardzo ważnych, niezwykłych lub związanych z zagrożeniem biologicznym. Czuje, jak zaczyna wibrować jego telefon. Spogląda na ekran. Numer zastrzeżony to zazwyczaj ona.

– Cześć – odzywa się Kay. – Mam nadzieję, że masz lepszą noc niż ja.

– Jestem w kostnicy – odpowiada Benton, a potem rzuca do Thrusha. – Chwileczkę.

– To musi być coś paskudnego.

– Później opowiem ci o wszystkim. Mam pytanie. Słyszałaś kiedykolwiek o czymś, co wydarzyło się w sklepie z ozdobami choinkowymi w Las Olas, jakieś dwa i pół roku temu?

– Zakładam, że mówiąc o czymś, masz na myśli morderstwo.

– Zgadza się.

– W tej chwili niczego sobie nie przypominam. Poproszę Lucy, może ona coś znajdzie. Słyszałam, że u was pada.

– Ściągnę cię tutaj, choćbym miał pożyczyć sanie od Świętego Mikołaja.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Kończy rozmowę i zwraca się do Thrusha:

– Kto to prowadzi?

– Doktor Lonsdale był tak miły i zgodził się mi pomóc. Polubisz go.  
Ale to nie on robił sekcję. Ona robiła.

Ona jest szefem. Ona dostała to stanowisko, bo to ona, a nie on.

– Moim zdaniem – mówi Thrush – kobiety w ogóle nie powinny się tym zajmować. Co za kobieta chciałaby to robić?

– Niektóre są w tym naprawdę dobre – odpowiada Benton. – Bardzo dobre. Nie wszystkie dostają dobre posady tylko ze względu na płeć.

Raczej pomimo niej.

Thrush nie zna doktor Scarpetty. Benton nigdy o niej nie mówi, nawet ludziom, których zna całkiem dobrze.

– Kobiety nie powinny oglądać tego gówna – obstaje przy swoim detektyw.

Nocne powietrze na Commercial Street jest przenikliwie zimne i białe jak mleko. Płatki śniegu wirują w blasku latarni, świat wydaje się dziwnie opustoszały, niemal nierealny, kiedy idą we dwie ulicą w stronę domku, który Lucy wynajęła kilka dni wcześniej, po tym jak Marino odebrał dziwny telefon od człowieka nazywającego siebie Krabem.

Rozpala ogień w kominku, a potem siada obok Stevie na narzutach leżących przed ogniem. Zwija jointa z bardzo dobrego kolumbijskiego towaru, potem wypalają go razem. Palą i śmieją się, a potem Stevie chce jeszcze.

– Jeszcze tylko jednego – błaga, kiedy Lucy ją rozbiera.

– To ciekawe – mruczy Lucy, patrząc na smukłe nagie ciało Stevie i czerwone odciski dłoni na jej skórze, może tatuaże.

Jest ich cztery. Dwa na piersiach, jakby ktoś chwycił ją za nie, i dwa na wewnętrznych częściach ud, jakby ktoś chciał rozsunąć jej nogi. Nie ma żadnych odcisków na plecach, tam gdzie Stevie nie mogłaby sięgnąć sama i ich odcisnąć, zakładając, że są celowo zrobione. Lucy wpatruje się w

czerwone ślady, potem kładzie dłoń na jednym z nich, pieszcząc pierś Stevie.

– Sprawdzam tylko, czy pasuje – mówi. – Prawdziwe?

– Może byś się tak rozebrała...

Lucy robi wszystko, o co prosi ją Stevie, ale nie zdejmuje ubrania.

Przez kilka godzin spełnia wszystkie jej życzenia, kiedy leżą razem w blasku ognia, przed kominkiem. Stevie pozwala jej na wszystko, jest cudownie delikatna, gładka i smukła, jak jeszcze niedawno sama Lucy.

Kiedy Stevie chce ją rozebrać i niemal się z nią bije, Lucy jej na to nie pozwala. W końcu Stevie ma dość, poddaje się, a Lucy pomaga jej położyć się do łóżka. Kiedy już śpi, Lucy leży z otwartymi oczami, wsłuchana w przejmujące wycie wiatru. Próbuje nazwać w myślach ten odgłos i dochodzi do wniosku, że nie brzmi on jednak jak trzepot jedwabnych pończoch, lecz jak dźwięk pełen bólu i cierpienia.

## Rozdział 7

**P**omieszczenie, w którym wykonuje się sekcje, jest niewielkie, wyłożone niemal w całości płytkami i wypełnione typowym dla takich miejsc sprzętem, takim jak wózek chirurgiczny, cyfrowa waga, szafka, różnego rodzaju piły i noże, deski do narzędzi i stół operacyjny przymocowany do osadzonego w ścianie zlewu. Lodówka na zwłoki wbudowana jest w ścianę, drzwi są lekko uchylone.

Thrush wręcza Bentonowi parę niebieskich gumowych rękawiczek i pyta:

– Chcesz buty i maskę?

– Nie, dzięki – odpowiada Benton. W tej samej chwili z lodówki wynurza się doktor Lonsdale, który pcha przed sobą stalowy wózek z zamkniętymi w plastikowym worku zwłokami.

– Musimy się z tym pospieszyć – mówi, zatrzymując wózek obok zlewu i blokując koła. – Moja żona i tak jest już na mnie wściekła. Ma dzisiaj urodziny.

Rozsuwa worek i odsłania ciało. Ofiara ma nierówno przycięte krótkie, czarne włosy, zlepione krwią i fragmentami mózgu oraz innych tkanek. Praktycznie nie ma twarzy. Wygląda tak, jakby wewnątrz jej głowy wybuchła mała bomba, co nie jest dalekie od prawdy.

– Strzał w usta – mówi doktor Lonsdale. Jest młody, pełen energii, która czasami zamienia się w zniecierpliwienie. – Duże ubytki czaszki, uszkodzenia mózgu, co zwykle wiążemy z samobójstwami, jednak w tym wypadku nic innego nie wskazuje na samobójstwo. Przypuszczam, że miała głowę mocno odchyloną do tyłu, kiedy zabójca pociągnął za spust, co wyjaśniałoby, dlaczego twarz została praktycznie odstrzelona, łącznie z częścią zębów. Właściwie to także zdarza się dość często przy samobójstwach.

Włącza lampę powiększającą i przysuwa ją do głowy.

– Nie ma potrzeby otwierać jej ust – komentuje – bo praktycznie nie ma twarzy. Dziękujemy Bogu chociaż za to drobne ułatwienie.

Benton pochyla się niżej, wciąga w nozdrza słodki, odstręczający zapach rozkładającej się krwi.

– Sadza na podniebieniu i języku – kontynuuje Lonsdale. – Powierzchowe rany na języku i podniebieniu powstałe w wyniku gwałtownego rozszerzania się gazów w pocisku. Niezbyt przyjemna śmierć.

Rozsuwa worek do końca.

– Najlepsze zachowaliśmy na koniec – mówi Thrush. – Co o tym myślisz? Mnie kojarzy się z Szalonym Koniem.

– Masz na myśli tego Indianina? – Doktor Lonsdale spogląda nań ze zdumieniem, odkręcając jednocześnie wieko słoiczka wypełnionego przezroczystą cieczą.

– Tak. Zdaje się, że to on zostawiał czerwone odciski dłoni na końskim zadzie.

Na ciele kobiety widać czerwone odciski dłoni, na jej piersiach, podbrzuszu i wewnętrznych częściach ud. Benton przysuwa bliżej lampę powiększającą.

Doktor Lonsdale dotyka czerwonego odcisku dłoni.

– Alkohol izopropylowy, taki rozpuszczalnik powinien to zmyć.

Oczywiście to nie rozpuszcza się w wodzie, przypomina raczej farby lub barwniki, którymi ludzie robią sobie krótkotrwałe tatuaże. Może to być też niezmywalny marker.

– Zakładam, że coś podobnego nie pojawiło się w innych sprawach z tej okolicy – mówi Benton.

– Nie.

Przez szkło powiększające widać, że odciski mają równe, wyraźne krawędzie, jakby wykonano je przy użyciu szablonu. Benton szuka śladów pędzla, czegoś, co pozwoliłoby mu odgadnąć, w jaki sposób została nałożona farba. Nie znajduje niczego podobnego, jednak na podstawie intensywności barwy wnioskuje, że odciski powstały stosunkowo niedawno.

– Przypuszczam, że mogła mieć je już wcześniej. Innymi słowy, nie mają związku z jej śmiercią – dodaje doktor Lonsdale.

– Ja też tak sędzę – zgadza się z nim Thrush. – Tutaj, w okolicy Salem, wielu ludzi bawi się w czary i magiczne sztuczki.

– Zastanawiam się, po jakim czasie coś takiego zaczyna blaknąć mówi Benton. – Zmierzyliście to? Czy to wielkość jej dłoni? – pyta, wskazując na ciało.

– Moim zdaniem wyglądają na większe – odpowiada Lonsdale, spoglądając na własne dłonie.

– Ma jeszcze jakieś inne ślady z tyłu? – pyta Benton.

– Po jednym na każdym pośladku i jeden między łopatkami – odpowiada doktor Lonsdale. – Są dosyć duże, wyglądają raczej jak dłonie mężczyzny.

– Tak – potwierdza Thrush.

Doktor Lonsdale przewraca ciało na bok, a Benton przygląda się odciskom na plecach.

– Zdaje się, że ma tutaj jakieś otarcie – mówi, zauważywszy naruszony fragment skóry na odcisku między łopatkami. – Jakieś zadrapanie.

– Nie znam wszystkich szczegółów – odpowiada doktor Lonsdale.

To nie moja sprawa.

– Wygląda na to, że ślad został namalowany już na tej ranie – rozmyśla głośno Benton. – Czy mi się wydaje, czy widać tu też jakiś obrzęk?

– Może rzeczywiście jest tu jakaś miejscowa opuchlizna. Histologia powinna wszystko wyjaśnić. To nie moja sprawa – powtarza. – Nie brałem udziału w sekcji. Rzuciłem tylko na nią okiem, do tej pory nawet jej nie dotykałem. Nie widziałem też raportu z sekcji – asekuje się Lonsdale, na wypadek gdyby okazało się, że jego szef zgrzeszył niedbalstwem lub brakiem kompetencji.

– Wiadomo mniej więcej, kiedy umarła? – pyta Benton.

– Cóż, niska temperatura spowolniła proces zesztywnienia.

– Była zamrożona, kiedy ją znaleziono?

– Nie, jeszcze nie. O ile pamiętam, jej ciało miało wtedy temperaturę piętnastu stopni. Nie byłem na miejscu zbrodni, więc nie znam więcej szczegółów.

– Dzisiaj o dziesiątej rano było około minus dwóch stopni – wyjaśnia Bentonowi Thrush. – Wszystkie informacje tego typu są na płycie, którą ci dałem.

– Więc raport z sekcji jest już gotowy – stwierdza Benton.

– Zgadza się, masz go właśnie na tej płycie – potwierdza detektyw.



- Mikroślady?
- Trochę ziemi i włókien, inne zanieczyszczenia, które przykleiły się do krwi – odpowiada Thrush. – Sprawdzę je w laboratorium, gdy tylko będę mógł.
- Powiedz mi coś o łusce pocisku, którą znaleźliście w jej ciele – prosi go Benton.
- Dokładnie rzecz biorąc, w odbycie. Z zewnątrz niczego nie było widać, zobaczyliśmy ją dopiero na zdjęciu rentgenowskim. Na początku myślałem, że leży gdzieś pod jej ciałem, nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby to w nią wepchnąć.
- Co to był za pocisk?
- Remington express magnum, dwunastka.
- Cóż, jeśli zastrzeliła się sama, to z pewnością już nie ona wepchnęła sobie potem łuskę w odbyt – stwierdza Benton. – Puściliście to przez NIBIN?
- Właśnie to robimy – odpowiada Thrush. – Może dopisze nam szczęście.

## Rozdział 8

**R**ankiem następnego dnia wciąż pada śnieg, ciężkie płatki suną nad powierzchnią zatoki Cape Cod i topnieją w zetknięciu z wodą. Śnieg ledwie zakrywa wąski skrawek plaży za oknami Lucy, ściele się jednak głęboką warstwą na pobliskich dachach i balkonie za jej sypialnią. Lucy podciąga kołdrę pod brodę i patrzy na zewnątrz, na wodę i śnieg, zirytowana myślą, że musi za chwilę wstać i zająć się kobietą leżącą obok niej, Stevie.

Nie powinna była pójść do baru zeszłego wieczoru. Żałuje, że to zrobiła, wciąż pluje sobie w brodę. Jest na siebie wściekła, niemal brzydzi się samej siebie, chciałaby jak najszybciej opuścić ten domek z szerokim gankiem i dachem pokrytym gontem, te zniszczone długim użytkowaniem meble, tę małą zatęchłą kuchnię z przestarzałym sprzętem. Patrzy, jak blask porannego słońca maluje horyzont różnymi odcieniami szarości. Śnieg pada niemal równie intensywnie jak poprzedniego wieczoru.

Lucy myśli o Johnnym. Przyjechał do Provincetown tydzień przed śmiercią i poznał tu kogoś. Powinna była dowiedzieć się tego już dawno

temu, ale nie mogła. Nie mogła spojrzeć prawdzie w oczy. Spogląda na pogrążoną we śnie Stevie.

– Śpisz jeszcze? – pyta. – Powinnaś już wstawać.

Znów wpatruje się w śnieg, patrzy na kaczki kołyszące się na pomarszczonych wodach zatoki, zastanawia się, jak wytrzymują na takim zimnie. Choć zna izolacyjne właściwości puchu, wciąż nie może uwierzyć, że jakiegokolwiek żywe stworzenie może spokojnie pływać po lodowatej wodzie podczas śnieżycy. Ona, choć okryta kołdrą, ubrana w bieliznę i koszulę, czuje się zmarznięta i zniechęcona do życia.

– Stevie, obudź się, muszę wychodzić – mówi głośno.

Stevie nie reaguje, jej plecy unoszą się i opadają w rytm powolnego oddechu. Lucy jest rozżalona i wściekła na samą siebie, bo nie może się powstrzymać od robienia tej rzeczy, rzeczy, której nienawidzi. Przez większą część roku mówiła sobie „nigdy więcej”, a potem zdarza się taka noc jak ta i nie jest to ani mądre, ani logiczne. Zawsze potem tego żałuje, zawsze, bo to upokarzające, a ona musi wyplątywać się z chorej sytuacji i wymyślać kolejne kłamstwa. Nie ma wyboru. Jej życie jest już pozbawione wyboru. Zabrnęła za daleko, by mogła wybrać cokolwiek innego, a niektóre wybory zostały dokonane za nią. Wciąż nie może w to uwierzyć. Dotyka swych wrażliwych piersi i nabrzmiałego brzucha, by upewnić się, że to prawda, i nadal nie może w to uwierzyć. Jak to się mogło stać?

Jak to możliwe, że Johnny nie żyje?

Nigdy nie interesowała się tym, co się z nim stało. Odeszła i zabrała ze sobą swoje tajemnice.

Przepraszam, myśli w nadziei, że bez względu na to, gdzie teraz jest, zrozumieją, tak jak rozumiał niegdyś. Być może teraz może czytać w jej myślach. Może rozumie, dlaczego trzymała się od niego z dala, może uznał, że sam jest temu winien. Może był przygnębiony. Może wpadł w głęboką

depresję. Nigdy nie wierzyła, że zabił go brat. Nie sądziła też, by zrobił to ktoś inny. A potem Marino odebrał ten złowieszczy telefon.

– Musisz wstawać – mówi do Stevie.

Lucy sięga po kolta mustanga leżącego na stole przy łóżku.

– No już, wstawaj.

Basil Jenrette jest w swojej celi, leży na stalowym łóżku, przykryty cienkim kocem wykonanym z materiału, który podczas spalania nie wydziela trujących gazów, takich jak cyjanek. Materac jest cienki i twardy, ale także nie zawiera trujących substancji. Zastrzyk byłby nieprzyjemny, krzesło jeszcze gorsze, lecz komora gazowa to koszmar. Duszenie się, brak powietrza, powolna śmierć. Boże, nie.

Kiedy Basil spogląda na swój materac podczas ścielenia łóżka, myśli o pożarach i o duszeniu się. Nie jest taki zły. Przynajmniej nie zrobił nikomu tego, co robił mu nauczyciel gry na pianinie, dopóki Basil nie zrezygnował z lekcji, choć matka biła go wtedy pasem z całej siły. Zrezygnował i nie chciał za nic wrócić, by przeżyć jeszcze jedną sesję krztuszenia się, dławienia, niemal duszenia. Nie myślał o tym dużo, dopóki nie pojawił się temat komory gazowej. Choć wiedział dobrze, że tam, w Gainesville, zabija się ludzi zastrzykiem, strażnicy grozili mu komorą gazową, śmiali się i pohukiwali, kiedy zwijał się w kłębek na łóżku i trząsał ze strachu.

Teraz nie musi się martwić o komorę gazową ani o jakikolwiek inny sposób egzekucji. Teraz jest uczestnikiem projektu naukowego.

Nasłuchuje zgrzytu szuflady pod metalowymi drzwiami celi, czeka, aż się otworzy i ktoś wsunie mu tacę ze śniadaniem.

Nie widzi światła na zewnątrz, bo w celi nie ma okna, wie jednak, że już świta, słyszy bowiem kroki strażników i zgrzyt szuflad w innych celach, gdy jego współwięźniowie dostają jajka z bekonem i ciasteczka, czasami jajka sadzone, czasami jajecznicę. Czuje zapach jedzenia, kiedy leży na

łóżku, pod swoim bezpiecznym kocem, na bezpiecznym materacu, i myśli o swojej poczcie. Musi ją dostać. Odczuwa ogromny gniew i niepokój. Słyszy zbliżające się kroki, potem ktoś odsuwa wąski pasek metalu, a w kratce wysoko na drzwiach pojawia się okrągła, czarna twarz wujka Remusa.

Tak właśnie nazywa go Basil. Wuj Remus. Właśnie dlatego nie dostaje już swojej poczty. Nie dostał jej od miesiąca.

– Chcę swoją pocztę – mówi do twarzy wuja Remusa. – To moje konstytucyjne prawo.

– A skąd ci przyszło do głowy, że ktoś chce pisać do twojego żalostnego ryja? – pyta twarz za kratką.

Basil nie widzi zbyt dużo, tylko ciemny kształt twarzy i wilgotne oczy wpatrzone w jego łóżko. Basil wie, co zrobić z oczami, wie, jak je wyłupię, by nie lśniły już więcej, by nie widziały miejsc, których nie powinny widzieć, nim zmętnieją i oszaleją, a on omal się nie udusi. Tutaj niewiele może zrobić, a gniew i niepokój skręcają mu żołądek jak ścierkę.

– Wiem, że mam pocztę – upiera się Basil. – Chcę ją dostać.

Twarz znika, potem otwiera się szuflada. Basil wstaje z łóżka, bierze swoją tacę, a szuflada na dole grubych stalowych drzwi zamyka się z trzaskiem.

– Mam nadzieję, że nikt nie napluł ci do jedzenia – rzuca wuj Remus przez kratkę. – Smacznego.

Lucy wraca do sypialni, stąpając na palcach po zimnej podłodze z desek. Stevie nadal śpi, gdy Lucy stawia dwie kawy na stoliku nocnym i wsuwa rękę pod materac, szukając magazynków do pistoletu. Poprzedniego wieczoru zachowała się lekkomyślnie, nie na tyle jednak, by pozostawiać naładowany pistolet w obecności obcej osoby.

– Stevie? – mówi. – Hej, obudź się wreszcie.

Tamta otwiera oczy i patrzy ze zdumieniem na Lucy, która stoi przy łóżku i wkłada magazynek do pistoletu.

– Co za widok – odzywa się Stevie, ziewając.

– Muszę iść – oświadcza Lucy, wręczając jej kawę.

Stevie wpatruje się w pistolet.

– Musiałaś mi ufać, skoro zostawiłaś to na noc na stoliku, pod moim nosem.

– Dlaczego miałabym ci nie ufać?

– Wydaje mi się, że wy, prawnicy, musicie bać się wszystkich tych ludzi, którym zrujnowaliście życie – odpowiada Stevie. – W dzisiejszych czasach ludzie miewają naprawdę dziwne pomysły.

Lucy powiedziała jej, że jest prawniczką z Bostonu. Stevie zapewne wyobraża sobie teraz o niej mnóstwo rzeczy, które nie są prawdą.

– Skąd wiedziałaś, że lubię czarną kawę?

– Nie wiedziałam – przyznaje Lucy. – Po prostu nie mam mleka ani śmietanki. Naprawdę muszę już iść.

– Myślę, że powinnaś zostać. Na pewno nie pożałujesz. Nie skończyłyśmy jeszcze, prawda? Tak mnie upiłaś i upaliłaś, że nie udało mi się cię rozebrać. Pierwszy raz coś takiego mi się przytrafiło.

– Zdaje się, że wiele rzeczy przytrafiło ci się wczoraj pierwszy raz.

– Nie zdjęłaś wczoraj ubrania – przypomina jej Stevie, popijając kawę. – To dla mnie naprawdę nowość.

– I tak chyba nie miałaś dość sił, żeby to zrobić.

– Miałam dość sił, żeby próbować. Jeszcze nie jest za późno na następną próbę.

Siada prosto i podkłada sobie poduszki pod plecy. Kołdra zsuwa się poniżej jej piersi, sutki twardnieją w chłodnym powietrzu. Wie doskonale,

co ma i co może z tym zrobić, a Lucy nie wierzy, że poprzedniej nocy cokolwiek przydarzyło jej się po raz pierwszy.

– Boże, ale mnie boli głowa – wzdycha Stevie, spoglądając na Lucy. Mówiłaś, że po dobrej tequili nic mi nie będzie.

– Zmieszałaś ją z wódką.

Stevie poprawia poduszki za plecami, a kołdra opada jeszcze niżej, na jej biodra. Odgarnia blond włosy z twarzy i trzeba przyznać, że naprawdę niczego jej nie brakuje, ale Lucy nie chce mieć już z nią nic wspólnego, w dodatku znów dostrzega paskudne czerwone odciski dłoni.

– Pamiętasz, jak pytałam cię o nie wczoraj w nocy? – pyta teraz, spoglądając na te ślady.

– Pytałaś mnie wczoraj o wiele rzeczy.

– Pytałam, gdzie je sobie zrobiłaś.

– Może wrócisz tu do mnie – proponuje Stevie, poklepując dłonią łóżko. Ani na moment nie odrywa spojrzenia od Lucy.

– Musiało cię to boleć. Chyba że to nie są prawdziwe tatuaże i prawdę mówiąc, tak mi się właśnie wydaje.

– Można je usunąć zmywaczem do paznokci albo olejkiem dla dzieci.

– Więc po co je zrobiłaś? – pyta Lucy, wpatrzona w czerwone odciski.

– To nie był mój pomysł.

– Więc czyj?

– Kogoś irytującego. Zrobiła mi to, a teraz muszę wszystko pozmywać.

Lucy marszczy brwi.

– Pozwoliłaś komuś, żeby cię pomalował? To trochę dziwne – mówi, czując jednocześnie ukłucie zazdrości, kiedy wyobraża sobie, że ktoś maluje nagie ciało Stevie. – Nie musisz mi mówić, kto to był – dodaje, jakby to nie miało znaczenia.

– Znacznie lepiej być tą, która robi to komuś innemu – odpowiada tamta, a Lucy znów czuje zazdrość. – Chodź tutaj – dodaje Stevie kojącym tonem, ponownie poklepując łóżko.

– Musimy się stąd wynosić. Mam parę spraw do załatwienia – oznajmia Lucy, zabierając czarne szerokie spodnie, czarny sweter i pistolet do maleńkiej łazienki przylegającej do pokoju.

Zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz. Rozbiera się, nie patrząc na swoje odbicie w lustrze i żałując, że to co, zdarzyło się z jej ciałem, nie jest tylko jakimś nocnym koszmarem lub wytworem wyobraźni. Dotyka się pod prysznicem, sprawdzając, czy nic się nie zmieniło, omija wzrokiem lustro, kiedy wyciera się ręcznikiem.

– No, no, spójrz tylko na siebie – mówi Stevie, kiedy Lucy wychodzi z łazienki, ubrana i zdenerwowana, w znacznie gorszym nastroju niż jeszcze przed chwilą. – Wyglądasz jak jakiś tajny agent. Naprawdę nieźle. Chciałabym być taka jak ty.

– Nie znasz mnie.

– Po ostatniej nocy znam cię wystarczająco dobrze – zapewnia tamta, mierząc Lucy spojrzeniem. – Kto nie chciałby być taki jak ty? Mam wrażenie, że nie boisz się niczego. Boisz się czegośkolwiek?

Lucy pochyła się i poprawia kołdrę, przykrywając Stevie aż po szyję.

Twarz tamtej zmienia się nagle. Stevie sztywnieje i wbija wzrok w łóżko.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić – mówi niepewnym tonem, czerwieniąc się.

– Tu jest zimno. Przykryłam cię, bo chciałam...

– W porządku, rozumiem. Nie jesteś pierwsza. – Podnosi wzrok, jej oczy wypełnia smutek i strach. – Uważasz, że jestem brzydka, prawda? Brzydka i gruba. Nie podobam ci się. W świetle dnia wcale już ci się nie podobam.



– Ostatnią rzeczą, jaką mogłabym o tobie powiedzieć, to że jesteś gruba i brzydka – odpowiada Lucy. – I podobasz mi się. Ja tylko... Cholera, przepraszam. Nie chciałam...

– Nie jestem zaskoczona. Dlaczego miałabym się podobać komuś takiemu jak ty? – mówi Stevie, wstając z łóżka i owijając się szczelnie kołdrą. – Możesz mieć każdą i każdego. Jestem ci wdzięczna. Dziękuję.

Nie powiem nikomu.

Lucy patrzy oniemiała, jak Stevie zabiera swoje ubrania z salonu i ubiera się, cała drżąca. Jej usta wykrzywiają się w dziwnym grymasie.

– Boże, Stevie, nie płacz.

– Przynajmniej nazwij mnie tak, jak na to zasługuję!

– Co masz na myśli?

Stevie patrzy na nią wielkimi, wystraszonymi oczami i mówi:

– Chciałabym już sobie pójść, proszę. Nikomu nie powiem. Dziękuję, jestem ci bardzo wdzięczna.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – pyta zdezorientowana Lucy.

Stevie wkłada swój długi czarny płaszcz z kapturem. Lucy obserwuje przez okno, jak idzie przez kłęby wirującego śniegu, a wiatr szarpie połami jej płaszcza i odsłania wysokie czarne buty.

## Rozdział 9

**P**ół godziny później Lucy zasuwa zamek kurtki i chowa do kieszeni pistolet oraz dwa dodatkowe magazynki.

Zamyka na klucz drzwi domku i schodzi po drewnianych pokrytych śniegiem stopniach na ulicę. Myśli o Stevie i jej dziwnym zachowaniu, czując się winna. Myśli o Johnnym i także czuje się winna. Przypomina sobie San Francisco, kiedy zabrał ją na kolację i zapewniał, że wszystko będzie dobrze.

– Wszystko dobrze się skończy – obiecywał.

– Nie mogę tak żyć – odpowiedziała.

W Mekce przy Market Street była wtedy noc kobiet, restauracja wypełniła się kobietami, atrakcyjnymi kobietami, które wyglądały na szczęśliwe, pewne siebie i zadowolone z życia. Lucy miała wrażenie, że wszystkie się na nią gapią, co ogromnie jej przeszkadzało, bardziej niż kiedykolwiek.

– Chcę natychmiast coś z tym zrobić – oświadczyła. – Spójrz tylko na mnie.

– Lucy, wyglądasz świetnie.

– Nie byłam taka gruba, odkąd skończyłam dziesięć lat.

– Przestaniesz brać lekarstwo i...

– Jest mi po nim niedobrze, czuję się zmęczona.

– Nie pozwolę ci zrobić niczego głupiego. Musisz mi zaufać.

Patrzył jej w oczy w blasku świateł. Jego twarz na zawsze pozostanie w pamięci Lucy, taka, jaką zapamiętała z tamtego wieczoru. Był przystojny, miał delikatne rysy i niezwykle oczy przypominające ślepią tygrysa. Nie mogła ukryć przed nim niczego. Wiedział o niej wszystko, co tylko mógł wiedzieć.

Samotność i poczucie winy towarzyszą jej nieustannie, kiedy idzie zaśnieżonym chodnikiem wzdłuż Cape Cod. Uciekła. Pamięta, jak dowiedziała się o jego śmierci. Poznała prawdę w najgorszy z możliwych sposobów: usłyszała o tym w radiu.

„Znany lekarz został zastrzelony w swoim mieszkaniu w Hollywood.

Policja przypuszcza, że mogło to być samobójstwo... „

Nie miała kogo spytać. Nie mogła przyznać się do znajomości z Johnnym, a nigdy nie poznała jego brata Laurela ani kogokolwiek z przyjaciół Johnny’ego, kogo więc mogłaby spytać?

Dzwoni jej telefon, wkłada więc słuchawkę do ucha i odbiera.

– Gdzie jesteś? – pyta Benton.

– Idę przez śnieżycę w Ptown. Właściwie to nie jest już śnieżycy. Powoli przestaje padać. – Jest trochę oszołomiona, ma lekkiego kaca.

– Dowiedziałaś się czegoś ciekawego?

Lucy myśli o ostatniej nocy, czując wstyd i zakłopotanie.

Odpowiada spokojnie:

– Tylko tyle, że nie był sam, kiedy zjawił się tam po raz ostatni, na tydzień przed śmiercią. Najwyraźniej przyszedł tam prosto po operacji, a potem pojechał na Florydę.

– Był z nim Laurel?

– Nie.

- Jak sobie radził sam?
- Mówiłam już, że najprawdopodobniej nie był sam.
- Kto ci to powiedział?
- Barman. Wygląda na to, że kogoś poznał.
- Wiesz kogo?
- Kobietę. Znacznie młodszą.
- Jak się nazywała?
- Wiem tylko, że miała na imię Jan. Johnny był trochę przygnębiony operacją, która, jak wiesz, nie całkiem się udała. Ludzie robią różne dziwne rzeczy, kiedy są przestraszeni i niepewni siebie.
- A jak ty się czujesz?
- W porządku – kłamie Lucy.
- Była tchórzem. Była samolubna.
- Chyba nie całkiem – stwierdza Benton, który dobrze ją zna. – Nie jesteś winna temu, co przydarzyło się Johnny’emu.
- Uciekłam przed tym. Nic nie zrobiłam.
- Może spędziłabyś trochę czasu z nami? Kay przyjedzie tutaj na tydzień. Bardzo chętnie byśmy się z tobą zobaczyli. Może uda nam się trochę porozmawiać mówi Benton psycholog.
- Nie chcę jej widzieć. Daj jej to jakoś do zrozumienia.
- Lucy, nie możesz jej ciągle tego robić.
- Nie chcę nikogo krzywdzić – oświadcza Lucy, znów myśląc o Stevie.
- Więc powiedz jej prawdę. To bardzo proste.
- Zadzwońiłeś do mnie – zmienia nagle temat.
- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła, i to jak najszybciej – prosi Benton. – Jestem na bezpiecznej linii.
- Ja też, chyba że w pobliżu czai się ktoś z systemem podsłuchowym.
- Mów.

Opowiada jej o morderstwie, które rzekomo wydarzyło się w sklepie z ozdobami choinkowymi, gdzieś w Las Olas, jakieś dwa i pół roku temu. Powtarza wszystko, co powiedział mu Basil Jenrette. Mówi, że Kay nie słyszała o takiej sprawie, ale w tamtym czasie nie pracowała na południowej Florydzie.

– Informacje pochodzą od socjopaty – przypomina jej – więc niekoniecznie musi się w nich kryć choćby ziarno prawdy.

– Czy ta ofiara w sklepie z ozdobami miała wyłupione oczy?

– Nie powiedział tego. Nie chciałem zadawać zbyt wielu pytań, dopóki nie sprawdzę tej historii. Możesz puścić to przez HIT? Może uda ci się coś znaleźć.

– Zacznę w samolocie – obiecuje Lucy.

## Rozdział 10

**Z**egar na ścianie nad biblioteczką wskazuje wpół do pierwszej, a adwokat reprezentujący dzieciaka, który prawdopodobnie zabił swojego małego braciszka, wypełnia powoli i systematycznie dokumenty ułożone po drugiej stronie biurka Kay Scarpetty.

Dave jest młody, śniady, ładnie zbudowany, należy do mężczyzn, których nieregularne rysy dają niezwykle atrakcyjny wygląd. Znany jest z nieszablonowego podejścia do pracy w sądzie, a gdy tylko pojawia się w akademii, sekretarki i studentki znajdują nagle mnóstwo powodów, dla których muszą się pojawić pod gabinetem doktor Scarpetty. Oczywiście nie dotyczy to Rose, która jest sekretarką Scarpetty od piętnastu lat, dawno już osiągnęła wiek emerytalny i pozostaje nieczuła na męskie wdzięki, chyba że wdzięki te roztacza Marino. To prawdopodobnie jedyny mężczyzna, z którym gotowa byłaby nieco poflirtować. Doktor Scarpetta podnosi słuchawkę, by spytać Rose, gdzie podziewa się detektyw.

Powinien przyjechać na to spotkanie.

– Próbowałam dodzwonić się do niego wczoraj wieczorem – mówi Kay do Rose przez telefon. – Kilka razy.

– Zobaczymy, czy mnie uda się go znaleźć – odpowiada sekretarka.

– Ostatnio trochę dziwnie się zachowywał.

– Nie tylko ostatnio.

Dave przegląda raport z sekcji zwłok, odchylając nieco głowę do tyłu, by łatwiej było mu czytać przez ułożone nisko na nosie okulary.

– Przez ostatnich kilka tygodni było gorzej. Podejrzewam, że chodzi o kobietę.

– Spróbuj go dopaść.

Kay odkłada słuchawkę i spogląda na drugą stronę biurka, by przekonać się, czy Dave gotów jest już zadawać jej pytania dotyczące jeszcze jednej nagłej śmierci, której okoliczności można jego zdaniem wyjaśnić za sowitą opłatą. W odróżnieniu od większości policyjnych wydziałów zabójstw, które zwracają się do akademii z prośbą o pomoc, prawnicy zazwyczaj płacą za konsultacje, a z reguły większość klientów, którzy płacą, reprezentuje ludzi winnych zarzucanych im zbrodni.

– Marino nie przyjdzie? – pyta Dave.

– Próbujemy go ściągnąć.

– Za godzinę mam zeznanie. – Przegląda powoli raport. – Moim zdaniem wszystkie dowody przemawiają za tym, że było to zwykłe uderzenie, nic więcej.

– Nie powiedziałabym tego w sądzie – odpowiada Kay, patrząc na raport. Analizuje szczegóły sekcji, której nie przeprowadziła. – Mogę powiedzieć tyle, że choć krwiaki podtwardówkowe mogą być wynikiem uderzenia, w tej sytuacji, przy rzekomym upadku z sofy na podłogę, jest to bardzo mało prawdopodobne. Przyczyną był raczej bardzo silny wstrząs, który doprowadził do krwotoku wewnętrznego i uszkodzeń kręgosłupa.

– A jeśli chodzi o krwotok siatkówkowy, czy nie uzgodniliśmy, że może być on także wynikiem urazu powstałego na przykład przy uderzeniu głową o podłogę, co z kolei spowodowałoby powstanie krwiaka?

– Nie przy upadku z tak małej wysokości. Znacznie bardziej prawdopodobną przyczyną wydają się gwałtowne ruchy głowy do przodu i do tyłu, dokładnie tak, jak opisano to w raporcie.

– Nie pomagasz mi zbyt, Kay.

– Jeśli nie zależy ci na bezstronnej opinii, poszukaj sobie innego eksperta.

– Nie ma innego eksperta. Jesteś niezrównana – uśmiecha się. – A co z niedoborem witaminy K?

– Potrzebujesz do tego krwi pobranej przed śmiercią, w której wykazano by wyraźny niedobór witaminy K – odpowiada doktor Scarpetta.

– Problem w tym, że nie mamy krwi pobranej przed śmiercią.

Umarł, zanim przywieziono go do szpitala.

– To rzeczywiście problem.

– Cóż, nie można też udowodnić, że dziecko umarło, bo nim potrząsano. To nie jest wcale jednoznaczne. Tyle mogłabyś powiedzieć.

– Jednoznaczne jest to, że żadna matka nie powinna zostawić noworodka pod opieką czternastoletniego syna, który już dwukrotnie trafił do sądu dla nieletnich za napaść na inne dzieci i znany był ze swego wybuchowego charakteru.

– Ale nie powiesz tego.

– Nie.

– Posłuchaj, chcę tylko, byś stwierdziła, że nie ma jednoznacznych dowodów na to, że ktoś potrząsał dzieckiem.

– Mogę też stwierdzić, że nic nie świadczy przeciwko takiej tezie ani że nie znajduję żadnych braków w raporcie z sekcji zwłok.



– Akademia jest świetna – mówi Dave, wstając z krzesła. – Ale wy jesteście dla mnie bezlitośni. Marino nie raczył się nawet pojawić.

Przepraszam za niego – mówi doktor Scarpetta.

– Może powinnaś go lepiej kontrolować.

– To raczej nie jest możliwe.

Dave wciska w spodnie swą prążkowaną koszulę, poprawia jedwabny krawat i zakłada jedwabną, szytą na miarę marynarkę. Upycha dokumenty we wnętrzu aktówki z krokodylej skóry.

– Krążą plotki, że zajmujesz się sprawą Johnny’ego Swifta – mówi po chwili, zapinając srebrne zatrzaski aktówki.

Doktor Scarpetta milczy przez chwilę, zaskoczona. Nie ma pojęcia, skąd on mógł się o tym dowiedzieć. W końcu mówi:

– Staram się nie zwracać większej uwagi na plotki, Dave.

– Jego brat jest właścicielem jednej z moich ulubionych restauracji w South Beach. Restauracja nazywa się, o ironio, Plotka – ciągnie dalej Dave.

– Wiesz, Laurel miał ostatnio trochę problemów.

– Nic o nim nie wiem.

– Ktoś, kto tam pracuje, rozpowiada, że Laurel zabił Johnny’ego dla pieniędzy, bo zależało mu na spadku, i że Laurel ma nałogi, na które go nie stać.

– Brzmi to jak typowa plotka. Albo jak sprawka kogoś, kto chowa do niego jakąś urazę.

Dave idzie do drzwi.

– Nie rozmawiałem z nią. Kiedy dzwonię, nigdy jej nie ma. Osobiście uważam, że Laurel to naprawdę miły facet. Wydaje mi się tylko dość dziwne, że najpierw słyszę jakieś pogłoski, a potem sprawa Johnny’ego zostaje ponownie otwarta.

– Nie wiedziałam, że kiedykolwiek została zamknięta – odpowiada doktor Scarpetta.

Twarde, ostre płatki śniegu siekają Lucy po twarzy. Po chodnikach pokrytych cienką warstwą lodu przemykają nieliczni przechodnie.

Lucy idzie szybko, popijając gorącą kawę z mlekiem z papierowego kubka. Zmierza do Anchor Inn, wprowadziła się tam przed kilkoma dniami pod fałszywym nazwiskiem. Skręca na wąski podjazd prowadzący na niewielki parking, gdzie stoi okryty śniegiem hummer. Otwiera drzwiczki, uruchamia silnik i włącza ogrzewanie. Nim śnieżna pokrywa opadnie z szyb, czuje się, jakby siedziała we wnętrzu igloo.

Dzwoni do jednego ze swoich pilotów, kiedy okryta rękawicą dłoń nagle ściera śnieg z bocznej szyby, a w oknie pojawia się twarz w czarnym kapturze. Lucy przerywa rozmowę i rzuca telefon na fotel obok.

Przez chwilę wpatruje się w Stevie, potem opuszcza szybę, analizując jednocześnie w myślach różne hipotezy. To niedobrze, że ktoś ją śledził i doszedł za nią aż tutaj. To bardzo niedobrze, że nie zorientowała się, iż jest śledzona.

– Co ty wyprawiasz? – pyta Lucy.

– Chciałam ci tylko coś powiedzieć.

Twarz Stevie wykrzywia trudny do określenia grymas. Może jest bliska płaczu, czuje się dotknięta i smutna, a może to tylko zimny, ostry wiatr, od zatoki nadaje jej oczom taki wyraz.

– Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam – oświadcza Stevie. – Jesteś moją bohaterką. Moją nową idolką.

Lucy nie wie, czy Stevie z niej kpi. Może nie.

– Stevie, muszę jechać na lotnisko.

– Jeszcze nie odwołali żadnych lotów, ale reszta tygodnia ma być okropna.

– Dzięki za prognozę – Lucy spogląda w niepokojące, dziwnie rozpalone oczy Stevie. – Posłuchaj, naprawdę bardzo mi przykro. Nie chciałam zranić twoich uczuć.

– Nie zrobiłaś tego – odpowiada Stevie, jakby już o wszystkim zapomniała. – Ani trochę. Nie myślałam, że tak bardzo cię polubię. Chciałam cię znaleźć, żeby ci o tym powiedzieć. Zachowaj sobie to gdzieś w tej swojej bystrej główce i przypomnij w jakiś deszczowy dzień. Po prostu nigdy nie przypuszczałam, że tak mi się spodobaś.

– Ciągle to powtarzasz.

– To intrygujące. Pojawiasz się nagle, taka pewna siebie, niemal arogancka. Twarda i zimna. Ale teraz już wiem, że w środku wcale taka nie jesteś. To zabawne, jak bardzo niektóre rzeczy różnią się od tego, czego się spodziewaliśmy.

Przez otwarte okno hummera wpada śnieg, osiada na siedzeniu i desce rozdzielczej.

– Jak mnie znalazłaś?

– Wróciłam do twojego domu, ale ciebie już nie było. Poszłam za twoimi śladami w śniegu. Zaprowadziły mnie tutaj. Nosisz ósemkę, prawda? To nie było trudne.

– Posłuchaj, przepraszam, że...

– Proszę – przerywa jej Stevie z naciskiem. – Wiem, że jestem tylko jeszcze jednym wpisem w twoim pamiętniku, jak to mówią.

– Wcale tak o tym nie myślałam – kłamie Lucy.

Wie, że tak jest, choć nigdy by tak tego nie określiła. Stevie budzi w niej poczucie winy, podobnie jak ciotka, Johnny, jak wszyscy, których zawiodła.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że to ty jesteś kolejnym wpisem w moim pamiętniku – rzuca Stevie zalotnie, uwodzicielsko, ale Lucy nie chce znowu poddać się temu uczuciu.

Stevie znów jest pewna siebie, pełna sekretów, niezwykle atrakcyjna.

Lucy wrzuca wsteczny, śnieg wpadający przez otwarte okno siecze ją po twarzy.

Stevie sięga do kieszeni płaszcza, wyciąga karteczkę i podaje ją Lucy przez otwarte okno.

– Mój telefon – mówi.

Pierwsze trzy cyfry to 617, numer kierunkowy do Bostonu. Nie mówiła Lucy, gdzie mieszka, a ona o to nie pytała.

– Tylko tyle chciałam ci powiedzieć – dodaje Stevie. – I udanych walentynek.

Przez chwilę patrzę na siebie w milczeniu, silnik pomrukuje jednostajnie, płatki śniegu przywierają do czarnego płaszcza Stevie. Jest piękna, a Lucy znów czuje to, co czuła w barze Lorraine. Myślała, że to już minęło. Teraz czuje to ponownie.

– Nie jestem jak wszystkie inne – zapewnia Stevie.

– Nie, nie jesteś.

– Nie sugeruj się tym numerem – mówi Stevie. – Mieszkam na Florydzie. Po tym, jak wyjechałam z Harvardu, nie chciało mi się go zmieniać. To nie ma znaczenia. Bezpłatne minuty, sama rozumiesz.

– Studiowałaś na Harvardzie?

– Zwykle o tym nie mówię. Niektórych to zniechęca.

– Gdzie na Florydzie?

– W Gainesville – mówi. – Udanych walentynek – powtarza. – Mam nadzieję, że będzie to dla ciebie naprawdę szczególny dzień.

## Rozdział 11

**N**a ekranie w sali 1a wyświetla się kolorowe zdjęcie tułowia mężczyzny.

Jego koszula jest rozpięta, w piersi tkwi wbity głęboko nóż.

– Samobójstwo – rzuca jeden ze studentów.

– Jest jeszcze coś, choć na tym zdjęciu tego nie widać – mówi doktor Scarpetta do szesnaściorga studentów, którzy biorą udział w tych zajęciach na akademii – ofiara ma też wiele innych ran kłutych.

– Zabójstwo – zmienia szybko zdanie tamten student, co wywołuje powszechną wesołość wśród jego kolegów.

Doktor Scarpetta wyświetla następny slajd, ukazujący liczne rany umiejscowione w pobliżu tej ostatniej śmiertelnej.

– Wyglądają na płytkie – komentuje inny student.

– A co z kątem uderzenia? Gdyby dźgał się sam, zadawałby wszystkie ciosy pod kątem.

– Niekoniecznie, ale pojawia się tutaj inne pytanie – mówi Kay z podium przy ekranie. – Co wam mówi jego rozdarta koszula?

Cisza.

– Czy gdybyście chcieli wbić sobie nóż w piersi, zrobilibyście to przez ubranie? – pyta. – A swoją drogą, miał pan rację – zwraca się do studenta,

który mówił o płytkich ranach. – Większość tych obrażeń wskazuje na tablicę – to tylko płytke nacięcia. Nazywamy je śladami wahania.

Studenci robią notatki. Choć różni ich wiek i pochodzenie, wszyscy są inteligentni i żądni wiedzy. Kilku z nich to detektywi, którzy chcą podnieść kwalifikacje i poszerzyć wiedzę związaną z badaniem miejsca zbrodni. Kilku innych to śledczy; zależy im na tym samym. Jeszcze inni to absolwenci college'ow, zbierający materiały do prac magisterskich z psychologii, biologii i mikroskopii. Jest także asystent prokuratora okręgowego, który chciałby wykorzystać zdobytą na zajęciach wiedzę w sądzie.

Doktor Scarpetta pokazuje następny slajd, wstrząsające zdjęcie mężczyzny z otwartą raną brzucha, z której wypływają okrwawione wnętrzności. Kilkoro studentów krzywi się z odrazą, jeden głośno jęczy.

– Kto wie, co to jest seppuku? – pyta Kay.

– Harakiri – odpowiada jej głos spod drzwi.

Doktor Joe Amos, patolog sądowy, wschodzi bez pukania do sali, jakby to były jego własne zajęcia. Jest wysoki i chudy, ma rozwichrzone czarne włosy, długi spiczasty podbródek i ciemne błyszczące oczy. Przypomina wielkiego czarnego ptaka, kruka.

– Nie chciałbym przeszkadzać – mówi, po czym to właśnie robi. Ten facet – ciągnie, wskazując głową na makabryczne zdjęcie na ekranie – wziął wielki myśliwski nóż, wbił go sobie w bok brzucha i przeciągnął ostrze na drugi bok. To się nazywa motywacja.

– Czy to była pańska sprawa, doktorze Amos? – pyta jakaś młoda, ładniutka studentka.

Doktor Amos podchodzi bliżej; ma bardzo poważną i dostojną minę.

– Nie. Należy jednak pamiętać o jednym: zabójstwo możemy odróżnić od samobójstwa po tym, że w przypadku samobójstwa ofiara rozetnie sobie

brzuch poziomo, a potem przesunie ostrze w pionie, tak że rana ma kształt litery L. Tutaj tego nie widać – kończy Amos, spoglądając na zdjęcie.

Doktor Scarpetta stara się utrzymać nerwy na wodzy.

– Coś podobnego trudno byłoby zrobić w przypadku zabójstwa dodaje.

– Ta rana nie ma kształtu L – powtarza ktoś z sali.

– Właśnie – kiwa głową Amos. – Kto głosuje za zabójstwem?

Kilku studentów podnosi ręce.

– Ja też – mówi Amos z przekonaniem.

– Doktorze Amos? Jak długo on umierał?

– Najwyżej kilka minut. Ofiara harakiri bardzo szybko się wykrwawia.

Pani doktor, czy moglibyśmy zamienić kilka słów? Przepraszam za zamieszanie – zwraca się do studentów.

Doktor Scarpetta i Joe wychodzą na korytarz.

– O co chodzi? – pyta Kay.

– Ta piekielna scenka, którą zaplanowaliśmy na dzisiejsze popołudnie – odpowiada. – Chciałbym ją troszkę doprawić.

– Nie mogłeś z tym poczekać do końca zajęć?

– Prawdę mówiąc, pomyślałem, że namówisz do pomocy któregoś ze studentów. Zrobią wszystko, o co ich poprosisz.

Doktor Scarpetta zbywa komplement milczeniem.

– Spytaj, czy któryś z nich nie pomógłby nam dziś po południu przy scenie, ale nie możesz zdradzać szczegółów przy wszystkich.

– A jakie właściwie są te szczegóły?

– Myślałem o Jenny. Może pozwoliłabyś jej opuścić zajęcia o trzeciej. – Mówi o ładnej studentce, która pytała go, czy pokazany na zdjęciu mężczyzna to jego sprawa.

Kay kilkakrotnie już widziała ich razem. Joe jest zaręczony, ale to najwyraźniej nie przeszkadza mu w nawiązywaniu bliskich znajomości z

atrakcyjnymi studentkami, choć akademia zdecydowanie nie pochwala takich praktyk. Jak dotąd nie przyłapano go na rażącym naruszeniu regulaminu, choć doktor Scarpetta właściwie nie miałaby nic przeciwko temu. Pozbyłaby się go z ogromną chęcią.

– Chcemy, żeby grała sprawcę – wyjaśnia cicho Amos, podekscytowany.  
– Wygląda tak niewinnie, tak słodko. Bierzemy po dwóch studentów, mają rozwiązać sprawę zabójstwa, ofiara została zastrzelona w toalecie. Wszystko dzieje się w pokoju hotelowym, Jenny pojawia się tam nagle, załamana i rozhisteryzowana. Ofiara to jej ojciec. Zobaczymy, czy studenci dadzą się nabrać.

Kay milczy.

– Oczywiście na miejscu będzie też kilku gliniarzy. Będą szukać śladów, pewni, że sprawca uciekł. Chcemy się przekonać, czy ktokolwiek okaże się dość sprytny, by sprawdzić, czy ta ślicznotka nie jest właśnie osobą, która przed chwilą zabiła własnego ojca, kiedy ten siedział na klopie. I co? Ano okazuje się, że to właśnie ona. Gliniarze tracą czujność, a ona wyciąga nagle gnata i zaczyna strzelać, a wtedy oni muszą ją zastrzelić. Voila. Klasyczne samobójstwo popełnione rękami policjantów.

– Sam możesz poprosić Jenny po zajęciach – mówi doktor Scarpetta, zastanawiając się, dlaczego ta historia wydaje jej się znajoma.

Joe ma obsesję na punkcie piekielnych scenek, pomysłu Marina, czyli krótkich przedstawień, które mają ukazywać obrazy zbrodni oraz zagrożenia i nieprzyjemności związane z prawdziwą śmiercią. Kay myśli czasem, że Joe powinien rzucić medycynę sądową i sprzedać swą duszę Hollywood. Zakładając, że w ogóle ma duszę. Scenariusz, który jej właśnie streścił, coś jej przypomina.

– Niezłe, co? – chełpi się Joe. – To się mogło wydarzyć naprawdę.

Kay wreszcie sobie przypomina. To wydarzyło się naprawdę.



– Mieliśmy taką sprawę w Wirginii – mówi głośno. – Kiedy byłam tam szefem.

– Naprawdę? – zdumiewa się Joe. – Na tym świecie wydarzyło się już chyba wszystko, co człowiek zdoła wymyślić.

– A tak przy okazji – dodaje Kay. – Zazwyczaj w przypadku seppuku czy harakiri przyczyną śmierci jest zatrzymanie akcji serca spowodowane niewydolnością serca, wywołaną z kolei nagłym spadkiem ciśnienia w jamie brzusznej, to zaś wywołane jest usunięciem wnętrzości. Nie wykrwawienie.

– To była twoja sprawa? Ta na tym zdjęciu? – pyta Amos, wskazując głową na klasę.

– Moja i Marina. Sprzed wielu lat. I jeszcze jedno – dodaje doktor Scarpetta. – To było samobójstwo, nie zabójstwo.

## Rozdział 12

**O**drzutowiec o nazwie Citation X leci na południe z prędkością bliską jednego macha, kiedy Lucy przesyła dane do prywatnej sieci internetowej chronionej tak skutecznie, że nie może się do niej włamać nawet agencja bezpieczeństwa.

Lucy przynajmniej ma nadzieję, że jej infrastruktura informacyjna jest bezpieczna. Ma nadzieję, że żaden haker, łącznie z tymi, którzy pracują dla rządu, nie może monitorować transmisji tajnych danych wygenerowanych przez system zarządzający bazą, zwany w skrócie HIT. Lucy sama stworzyła i uruchomiła HIT. Rząd nic o nim nie wie, jest tego pewna. Wie o nim bardzo niewiele ludzi, tego też jest pewna. HIT jest opatentowany i mogłaby go sprzedać za duże pieniądze, nie potrzebuje jednak pieniędzy. Już przed kilku laty zarobiła prawdziwą fortunę na innych programach, głównie wyszukiwarkach, których sama używa w tej chwili, chcąc znaleźć w cyberprzestrzeni informacje o morderstwach popełnionych w sklepach na terenie południowej Florydy.

Prócz opisów zbrodni, do których doszło w sklepach monopolowych i nocnych, salonach masażu oraz klubach topless, nie znalazła niczego, co mogłoby zweryfikować opowieść Basila Jenrette'a. Natrafiła jednak na wzmiankę o sklepiku z ozdobami bożonarodzeniowymi. Mieścił się on przy skrzyżowaniu drogi Al A i East Las Olas Boulevard w ciągu kiczowatych butików z pamiątkami, kawiarni i lodziarni. Dwa lata temu sklep został sprzedany sieci Beach Bums, specjalizującej się w koszulkach i kostiumach kąpielowych.



Joe nie może uwierzyć, że Kay Scarpetta rozwiązała aż tyle spraw w swojej stosunkowo krótkiej karierze. Lekarze sądowi rzadko rozpoczynają samodzielną pracę przed trzydziestką, i to zakładając, że bezustannie uzupełniają swą wiedzę i poszerzają kompetencje. Doktor Scarpetta prócz sześcioletniego stażu, który musiała odbyć po zakończeniu studiów, miała też na swym koncie trzyletnie studia prawnicze.

Nim skończyła trzydzieści pięć lat, była szefową najważniejszego i najlepszego instytutu medycyny sądowej w Stanach. W odróżnieniu od większości innych szefów nie zajmowała się wyłącznie zarządzaniem.

Przeprowadzała sekcje zwłok, tysiące sekcji.

Opisy większości z nich znajdują się w bazie danych, do której teoretycznie dostęp ma tylko sama doktor Scarpetta. Tu także znajdują się informacje o rządowych grantach, dzięki którym mogła przeprowadzić różne badania dotyczące przemocy – przemocy seksualnej, wywołanej narkotykami, przemocy domowej. W wielu spośród starszych spraw, którymi zajmowała się jako patolog, głównym oficerem śledczym był

Marino, detektyw w miejscowym wydziale zabójstw. W bazie danych znajdują się więc także jego raporty. To sklep ze słodyczami. Fontanna tryskająca szampanem. Źródło nieustających orgazmów.

Joe przegląda sprawę C328-93, zabójstwo i samobójstwo będące pierwowzorem dzisiejszej scenki. Klika na fotografii z miejsca zbrodni i myśli o Jenny. Dziewczyna na fotografiach leży przytulona twarzą do podłogi, w kałuży krwi, pośrodku salonu. Dostała trzy kule, jedną w brzuch, dwie w klatkę piersiową. Joe myśli o tym, jak była ubrana, kiedy zabiła ojca, a potem odegrała komedię przed policją, nim ponownie pociągnęła za spust. Umarła bosą, mając na sobie obcięte nad kolanami dżinsy i bawełnianą koszulkę. Nie włożyła majteczek ani stanika.

Amos klika na fotografii z sekcji zwłok. Nie interesuje go to, jak wyglądała z wielkim nacięciem w kształcie litery Y na tułowiu, lecz jak wyglądała naga na zimnym, stalowym stole. Miała zaledwie piętnaście lat, gdy zginęła z rąk policjantów. Znowu myśli o Jenny.

Podnosi wzrok i uśmiecha się do niej. Jenny siedzi po drugiej stronie biurka, cierpliwie czekając na instrukcje. Joe otwiera szufladę biurka i wyciąga glocka dziewiątkę, sprawdza, czy komora jest pusta, wyjmuje magazynek i przesuwa broń po blacie biurka w stronę dziewczyny.

– Strzelałaś kiedyś z pistoletu? – pyta swą najnowszą pupilkę.

Jenny ma śliczny zadarty nos i wielkie oczy koloru kawy z mlekiem.

Amos wyobraża sobie ją nagą i martwą jak dziewczyna ze zdjęcia.

– Mam z nimi do czynienia od wczesnego dzieciństwa – odpowiada.

– Co pan ogląda, jeśli wolno spytać?

– Poczuję – kłamie bez mrugnięcia okiem Joe.

Woli nie mówić prawdy, lubi to bardziej niż mówienie prawdy. Prawda nie zawsze jest prawdą. Czym jest prawda? Prawdą jest to, co on sam uzna

za prawdę. Wszystko to kwestia interpretacji. Jenny wyciąga szyję, by zobaczyć, co widać na ekranie.

– Niezłe. Ludzie przesyłają panu całe opisy spraw.

– Czasami – odpowiada Joe, klikając na inne zdjęcie. Z kolorowej drukarki za biurkiem wysuwa się powoli zadrukowana kartka. – To, czym się tu zajmujemy, jest ściśle tajne – dodaje po chwili. – Mogę ci zaufać?

– Oczywiście, doktorze Amos. Dobrze wiem, czym są tajne informacje. Gdybym tego nie wiedziała, w ogóle bym tutaj nie przychodziła.

Z drukarki wypada kolorowa fotografia martwej dziewczyny w kałuży krwi. Joe sięga po nią, a potem podaje Jenny.

– To będzie twoje popołudnie – mówi.

– Mam nadzieję, że nie dosłownie – droczy się z nim Jenny.

– A oto twoja broń. – Spogląda na Glocka leżącego na biurku. Gdzie zamierzasz ją ukryć?

Jenny spogląda na fotografię, ani trochę niespieszona, potem pyta:

– A gdzie ona ją ukryła?

– Nie widać tego na zdjęciu – odpowiada Amos. – W torebce, która, swoją drogą, powinna dać komuś do myślenia. Znajduje w toalecie martwego ojca, dzwoni na policję, otwiera gliniarzom drzwi i wciąż trzyma w rękach torebkę. Jest rozhisteryzowana, nie wychodziła w ogóle z domu, więc dlaczego nosi torebkę?

– Chce pan, żebyśmy robiła to samo?

– Schowasz pistolet w torebce. W pewnym momencie sięgniesz po chusteczki, bo ciągle chlipiesz, wyciągniesz pistolet i zaczniesz strzelać.

– Coś jeszcze?

– Potem zginiesz. Postaraj się ładnie wyglądać.

Jenny się uśmiecha.

– Coś jeszcze?

– Jej ubranie. – Patrzy na nią, próbuje przekazać jej to spojrzeniem, chce, by sama zrozumiała, czego chce.

Jenny wie.

– Nie mam takich samych ubrań – odpowiada, drocząc się z nim trochę i udając naiwną.

Z pewnością nie jest naiwna, pieprzy się pewnie od przedszkola.

– Cóż, Jenny, spróbuj znaleźć coś podobnego. Szorty, koszulka, żadnych butów ani skarpetek.

– Wydaje mi się, że ona nie miała na sobie bielizny.

– Pewnie masz rację.

– Wygląda jak zdzira.

– W porządku, więc postaraj się wyglądać jak zdzira – oświadcza Amos. Jenny uważa, że to bardzo zabawne.

– Chyba jesteś zdzirą, prawda? – pyta, patrząc na nią swymi małymi, ciemnymi oczkami. – Jeśli nie, poproszę kogoś innego. W tej scenie potrzebna jest zdzira.

– Nie potrzebujesz nikogo innego.

– Och, doprawdy?

– Doprawdy. – Jenny odwraca się, spogląda na drzwi, jakby w obawie, że ktoś może wejść. On milczy. – Możemy narobić sobie kłopotów.

– Nie narobimy.

– Nie chciałabym, żeby mnie stąd wyrzucili.

– Chcesz zostać śledczą, kiedy dorośniesz?

Dziewczyna kiwa głową i spogląda na niego, bawiąc się od niechcienia górnym guzikiem koszulki polo z logo akademii. Wygląda w niej naprawdę dobrze. Podoba mu się zwłaszcza to, co kryje się pod spodem.

– Już dorosłam – stwierdza w końcu Jenny.

– Jesteś z Teksasu – mówi Joe, spoglądając na kuszące krągłości opięte koszulką i obcisłymi spodniami. – W Teksasie wszystko jest duże, prawda?

– Dlaczego pan tak świntuszy, doktorze Amos? – pyta dziewczyna, przeciągając samogłoski.

Wyobrażają sobie martwą. Wyobrażają sobie w kałuży krwi, śmiertelnie postrzeloną. Jednym z największych kłamstw jest to, że martwe ciała nie mogą być seksowne. Nagość jest nagością, jeśli dana osoba wygląda dobrze i umarła niedawno. To bzdura, że mężczyzna nie pomyśli pożądliwie o pięknej kobiecie, która dopiero co umarła. Gliniarze przypinają na swoich tablicach zdjęcia wyjątkowo pięknych kobiet, ofiar morderstw. Lekarze sądowi – mężczyźni – prowadzący szkolenia dla gliniarzy pokazują im różne zdjęcia, ale celowo wybierają te, które najbardziej im się spodobają. Joe dobrze wie, co robią faceci.

– Jeśli dobrze odegrasz tę scenę morderstwa – mówi do Jenny – ugotuję ci kolację. Jestem smakoszem wina.

– Jesteś też zaręczony.

– Ona jest na konferencji w Chicago. Może zasypie ją śnieg.

Jenny wstaje. Spogląda na zegarek, a potem na niego.

– Kim była twoja poprzednia pupilka? – pyta.

– Ty jesteś wyjątkowa.

## Rozdział 13

**G**odzinę przed przylotem do Fort Lauderdale Lucy wstaje, by wziąć sobie następną kawę i wyjść do toalety. Niebo za małymi, owalnymi oknami odrzutowca zasnute jest burzowymi chmurami.

Siada ponownie na skórzanym fotelu i szuka danych w bazie podatników, w spisie nieruchomości, wszędzie, gdzie mogłaby znaleźć jakiegokolwiek informacje o byłym sklepie z ozdobami choinkowymi. Od połowy lat siedemdziesiątych do początku dziewięćdziesiątych w lokalu tym mieściła się tania restauracja zwana Rum Runner's. Później przez dwa lata sprzedawano tam ciastka i lody. Później, w roku dwutysięcznym lokal wynajęła pani Florrie Anna Quincy, wdowa po bogatym architekcie krajobrazu z West Palm Beach.

Lucy delikatnie kładzie palce na klawiaturze, przeglądając obszerny artykuł, który ukazał się w „The Miami Herald” wkrótce po otwarciu sklepiku. Wynika z niego, że pani Quincy wychowała się w Chicago, gdzie jej ojciec był maklerem towarowym i w każde święta Bożego Narodzenia przebierał się za Świętego Mikołaja, by rozdawać dzieciom prezenty w sklepie Macy.

„Święta były najbardziej magicznym okresem w naszym życiu”, powiedziała pani Quincy. „Mój ojciec uwielbiał drewno i być może dlatego,



że wychował się w Kanadzie, w gęsto zalesionej prowincji Alberta, w naszym domu choinki stały przez cały rok, wielkie świerki w donicach, ozdobione białymi światełkami i małymi figurkami z drewna. Przypuszczam, że właśnie dlatego chciałabym przez cały rok żyć świętami Bożego Narodzenia”.

Jej sklep to zdumiewająca kolekcja ozdób, pozytywek, Świętych Mikołajów, zimowych krajobrazów i maleńkich kolejek jeżdżących po miniaturowych szynach. Trzeba bardzo uważać, poruszając się wąskimi alejkami w jej cudownym, kruchym świecie. Łatwo też zapomnieć, że tuż za drzwiami świeci słońce i szumi ocean, a na wietrze kołyszą się palmy. Pani Quincy mówi, że od otwarcia sklepu w zeszłym miesiącu ruch był całkiem spory, większość klientów przychodzi jednak oglądać, a nie kupować...

Lucy popija kawę i spogląda na bajgiel z kremem leżący na tacy. Jest głodna, ale boi się jeść. Bez ustanku myśli o jedzeniu, ogarnięta obsesją wagi, choć wie, że żadna dieta jej nie pomoże. Może zagłodzić się na śmierć, lecz i tak nie zmieni swojej sylwetki ani samopoczucia. Jej ciało było jej najdoskonalszą, najsprawniejszą bronią, lecz w końcu ją zdradziło.

Rozpoczyna kolejne przeszukiwanie i jednocześnie dzwoni do Marina, korzystając z telefonu wbudowanego w oparcie jej fotela. Marino zgłasza się, lecz odbiór jest kiepski.

– Jestem w samolocie – wyjaśnia Lucy, przeglądając jednocześnie informacje, które pojawiły się na ekranie komputera.

– Kiedy nauczysz się pilotować tę maszynę?

– Pewnie nigdy. Nie mam kiedy tego robić. Ledwie starcza mi czasu na helikoptery.

Nie chce mieć czasu. Im więcej lata, tym bardziej jej się to podoba, a nie chce, by jej się to spodobało. Musi informować FAA o środkach, które

zażywa, chyba że jest to jakieś nieszkodliwe, ogólnie dostępne lekarstwo, a kiedy pojawi się następnym razem u lekarza, będzie musiała wspomnieć o dostineksie. Zaczną się pytania. Biurokraci naruszą jej prywatność i pewnie znajdą jakiś pretekst, by cofnąć jej licencję. Jedyne, co może zrobić, to nie zażywać więcej tego lekarstwa, a raz już próbowała to zrobić. Może też całkiem zrezygnować z latania.

– Ja pozostanę przy harleyach – mówi Marino.

– Właśnie dostałam wiadomość. Niezwiązaną z tą sprawą. Być może z inną.

– Od kogo? – pyta podejrzliwie.

– Od Bentona. Jakiś pacjent sprzedał mu historyjkę o nierozwiązanym morderstwie w Las Olas.

Starannie dobiera słowa. Detektyw nic nie wie o projekcie PREDATOR. Benton nie chce go w to wciągać, boi się, że Marino i tak by tego nie zrozumiał, nie chciałby mu pomóc. Marino uważa, że zbrodniarzy trzeba porządnie sprać, zamknąć ich i uśmiercić w najbardziej okrutny z dostępnych sposobów. Byłby prawdopodobnie ostatnim człowiekiem na ziemi, którego interesowałoby to, czy psychopatyczny morderca jest naprawdę chory psychicznie czy też po prostu zły, albo czy pedofil zdołałby zapanować nad swymi skłonnościami seksualnymi. Zdaniem detektywa testy psychologiczne i badanie struktury oraz funkcjonowania mózgu to stek bzdur.

– Ten pacjent twierdzi podobno, że jakieś dwa i pół roku temu w sklepie z ozdobami choinkowymi zgwałcono i zamordowano kobietę – tłumaczy Lucy, zastanawiając się, kiedy przez nieuwagę wyjawii, że Benton zajmuje się badaniem więźniów.

Marino wie, że MacLean, modelowy szpital psychiatryczny z oddziałem specjalnym, gdzie leczy się sławne i bogate osobistości, nie jest instytucją

związaną z psychiatrią sądową. Zrozumiałby więc od razu, że skoro tam są poddawani badaniom jacyś więźniowie, za jego plecami dzieje się coś naprawdę dziwnego.

– Co takiego? – pyta teraz.

Lucy powtarza mu wszystko, co powiedziała przed chwilą, i dodaje:

– Właścicielką sklepu była Florrie Anna Quincy, biała kobieta, trzydzieści osiem lat, jej mąż miał kilka szkółek w West Palm...

– Masz na myśli dzieci czy drzewa?

– Drzewa. Głównie cytrusy. Sklepek działał tylko przez dwa lata, od dwutysięcznego do dwa tysiące drugiego.

Lucy wpisuje kilka komend, zamieniając pliki danych na pliki tekstowe, które zamierza wysłać Bentonowi.

– Słyszałeś kiedyś o miejscu zwanym Beach Bums?

– Słabo cię słyszę – mówi detektyw.

– Halo, teraz lepiej? Marino?

– Słyszę cię.

– Tak nazywa się sklep, który jest tam teraz. Pani Quincy i jej siedemnastoletnia córka, Helen, zniknęły w lipcu dwa tysiące drugiego roku. Znalazłam artykuł o tym w gazecie. Nic wielkiego, po prostu krótka notka bez szczegółowych informacji.

– Więc może nie wydarzyło się nic niezwykłego – odpowiada Marino.

– Nic nie wskazuje też na to, że obie kobiety są całe i zdrowe. Co więcej, syn pani Quincy próbował w zeszłym roku uzyskać oficjalne potwierdzenie ich śmierci, choć bez powodzenia. Może spróbowałbyś się czegoś dowiedzieć od gliniarzy z Fort Lauderdale, spytać, czy ktoś pamięta zaginięcie pani Quincy i jej córki. Mam nadzieję, że uda mi się jutro wpaść do Beach Bums.

– Gliniarze z Fort Lauderdale nic mi nie powiedzą, jeśli nie przedstawię im jakiegoś dobrego powodu.

– Więc znajdź ten powód – odpowiada Lucy.

Doktor Scarpetta stoi przy kasie biletowej USA-ir, kompletnie zaskoczona i sfrustrowana.

– To niemożliwe – powtarza po raz kolejny, bliska załamania. – Tu jest numer mojej rezerwacji, wydruk potwierdzenia. Proszę. Pierwsza klasa, wylot o szóstej dwadzieścia. Jak ktoś mógłby odwołać tę rezerwację?

– Proszę pani, wszystko jest w komputerze. Pani rezerwacja została odwołana o drugiej piętnaście.

– Dziś? – Kay nadal nie może w to uwierzyć.

– Tak, dziś.

– To niemożliwe, ja z pewnością do państwa nie dzwoniłam.

– Cóż, musiał to zrobić ktoś inny.

– Więc proszę wprowadzić tę rezerwację ponownie. – Doktor Scarpetta sięga po portfel.

– Lista pasażerów jest już zamknięta. Mogę wpisać panią na listę oczekujących, ale będzie pani dopiero siódma w kolejce.

Kay przenosi rezerwację na następny dzień i dzwoni do Rose.

– Obawiam się, że musisz tu po mnie wrócić – mówi.

– O nie, co się stało? Odwołali loty?

– Ktoś skasował moją rezerwację, a samolot jest pełny. Rose, dzwoniłaś tu dzisiaj z potwierdzeniem?

– Oczywiście, w porze lunchu.

– Nie wiem, co się mogło stać – zastanawia się Kay, myśląc o Bentonie i ich wspólnej kolacji walentynkowej. – Cholera! – klnie pod nosem.

## Rozdział 14

**Ż**ółty księżyc jest zniekształcony niczym przejrzałe mango, wisi tuż nad karłowatymi drzewami i krzewami. Nawet w jego bladym świetle Krab widzi sylwetkę zwierzęcia.

Widzi, jak zmierza w jego stronę, bo wie, gdzie patrzeć. Przez kilka minut przyglądał mu się przez noktowizor, który przesuwiał powoli wzdłuż horyzontu niczym czarodziejską różdżkę. Grupa jasnoczerwonych punkcików pojawia się na wyświetlaczu LCD umiejscowionym z tyłu oliwkowozielonej plastikowej rurki, kiedy urządzenie wykrywa różnice w temperaturze ziemi i ciepłokrwistego zwierzęcia.

Jest Krabem, a jego ciało to rzecz; może zostawić je, kiedy zechce, i nikt go nie zobaczy. Nikt nie zobaczy go w środku nocy, z noktowizorem w dłoni, nikt prócz niego nie dojrzy czerwonych plamek przesuwających się po ciemnym wyświetlaczu, śladów ciepła emanującego z żywego ciała.

Prawdopodobnie jest to zwykły szop pracz.

Głupi zwierzak. Krab mówi doń cicho, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na piaszczystej ziemi i obserwując okolicę. Spogląda na czerwoną

plamkę z tyłu cylindrycznego urządzenia, kierując jego wylot na zwierzę. Przeszukuje spojrzeniem okolicę, świadom obecności zrujnowanego, starego domostwa za jego plecami. Czuje się trochę otumaniony, zatyczki w uszach sprawiają, że słyszy własny oddech, ciężki i chrapliwy, jakby nurkował i oddychał przez rurkę. Nie lubi zatyczek do uszu, ale wie, że powinien je nosić.

– Wiesz, co się teraz stanie – mówi cicho do zwierzęcia. – A może nie wiesz.

Patrzy, jak ciemny, gruby kształt pełźnie nisko przy ziemi. Porusza się jak gruby, puszysty kot, może jest kotem. Powoli sunie przez nierówną trawę i turzycę, wynurzając się od czasu do czasu spomiędzy cieni rzucanych przez pnie drzew. Krab nie spuszcza z niego wzroku, obserwując ruch czerwonych plamek na wyświetlaczu. Wiatr wieje w stronę Kraba, więc zwierzę nie wyczuwa jego zapachu, a jest zbyt głupie, by odkryć jego obecność w inny sposób.

Wyłącza noktowizor i układa go na kolanach. Podnosi pokrytego barwami maskującymi mossberga 835 UltiMag, opiera kolbę o ramię i naprowadza lufę na zwierzę.

– Dokąd się wybierasz? – pyta drwiąco.

Zwierzę nie ucieka. Głupie bydlę.

– No już, uciekaj. Zobaczysz, co się będzie działo.

Niczego nieświadome zwierzę kontynuuje powolny marsz, przytulone do ziemi.

Krab czuje, jak jego serce zwalnia na moment, słyszy wyraźnie własny oddech, kiedy naprowadza zielony promień na ofiarę i pociąga za spust, a huk wystrzału rozdziera nagle ciszę nocy. Zwierzę podskakuje nagle, a potem nieruchomieje. Krab wyjmuje zatyczki z uszu i nasłuchuje, nie słyszy jednak nic prócz odległego szumu samochodów jadących po drodze

numer 27 i własnych kroków, kiedy wstaje i porusza ścierpniętymi nogami. Powoli wyjmuje pustą łuskę z komory, wkłada ją do kieszeni i idzie powoli przez trawę. Wciska guzik z boku karabinu i oświetla martwe zwierzę promieniem reflektora.

Widzi kota o gęstym przegowanym futrze i nabrzmiętym brzuchu.

Przewraca go lufą karabinu na grzbiet. To ciężarna kocica; Krab przez moment się zastanawia, czy nie strzelić raz jeszcze. Nie widzi jednak żadnego ruchu, żadnych oznak życia. Zwierzę skradało się prawdopodobnie do opuszczonego domu, szukając pożywienia. Krab zastanawia się nad tym. Jeśli kot wyczuwał jakieś jedzenie w domu, to znaczy, że jego aktualny lokator może być wyczuwalny także dla innych. Nie przestaje o tym myśleć, kiedy chowa się w cień i zarzuca broń na ramię niczym drwal siekiere. Wpatruje się w martwe zwierzę i przypomina sobie drewnianą figurkę drwala w sklepie z ozdobami choinkowymi, tę dużą przy drzwiach.

– Głupie bydlę – mówi, choć nie może go usłyszeć nikt prócz martwego kota.

– Nie, to ty jesteś głupie bydlę – rozbrzmiewa za jego plecami głos Boga.

Krab ogląda się za siebie, zaskoczony. Stoi tam, ubrana na czarno, ciemny, falujący kształt oblany blaskiem księżyca.

– Mówiłam ci, żebyś tego nie robił – mówi.

– Tutaj i tak nikt nie usłyszy – odpowiada Krab i przekłada broń na drugie ramię, upodabniając się jeszcze bardziej do drewnianego drwala, którego wciąż ma przed oczami.

– Nie będę ci tego więcej powtarzać.

– Nie wiedziałem, że tutaj jesteś.

– Wiesz, gdzie jestem, jeśli tego chcę.

– Mam dla ciebie „Pola i Łąki”, dwa numery. I papier, błyszczący papier.

– Mówiłam ci, że potrzebuję sześciu, w tym dwóch numerów „Wędkarstwa Muchowego” i dwóch „Wędkowania”.

– Ukradłem je. Trudno było zdobyć sześć naraz.

– Więc idź tam jeszcze raz. Dlaczego jesteś taki głupi?

Ona jest Bogiem. Ma współczynnik inteligencji 150.

– Zrobisz to, co ci każę – mówi.

Bóg jest kobietą, ona nim jest, nie ma żadnego innego. Stała się Bogiem po tym, gdy on zrobił złą rzecz i został odesłany, odesłany bardzo daleko, do miejsca, gdzie było bardzo zimno i ciągle padał śnieg. Potem wrócił, a w tym czasie ona stała się Bogiem i powiedziała, że on jest jej Ręką. Karzącą Ręką Boga.

Krab patrzy, jak Bóg odchodzi, znika w ciemności nocy. Słyszy pomruk silnika, kiedy oddala się w stronę autostrady. I zastanawia się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie się z nim kochała. Myśli o tym bezustannie.

Odkąd stała się Bogiem, nie chce się z nim kochać. Mówi, że łączy ich święty związek. Kocha się z innymi, ale nie z nim, bo Krab jest jej Ręką.

Śmieje się z niego, mówi, że nie może uprawiać seksu z własną Ręką. To tak jakby kochała się z samą sobą. I śmieje się.

– Byłeś głupi, co? – mówi Krab do martwego zwierzęcia.

Chce się kochać. Chce robić to w tej chwili, kiedy patrzy na martwe zwierzę, trąca je butem i myśli o Bogu, o tym jak wyglądała naga, poznaczona jego dłońmi.

– Wiem, że tego chcesz, Krabie.

– Tak – odpowiada. – Chcę tego.

– Wiem, gdzie chciałbyś położyć ręce. Mam rację, prawda?

– Tak.

– Chcesz położyć je tam, gdzie pozwałam je kłaść innym, prawda?



– Wołałbym, żebyś nie pozwalała robić tego nikomu innemu. Tak, chcę tego.

Każe mu malować czerwone odciski dłoni w miejscach, których chciałby dotykać tylko on sam, w miejscach, których dotykał, gdy zrobił tę złą rzecz i został odesłany, odesłany do zimnego miejsca, w którym padał śnieg, miejsca, w którym wsadzili go do maszyny i przestawili mu cząsteczki.

## Rozdział 15

**N**astępnego ranka, we wtorek, znad odległego morza napływają ciemne chmury, a martwe zwierzę leży zeszywniałe na ziemi, otoczone rojem much.

– Popatrz tylko, co zrobiłaś. Zabiłaś wszystkie swoje dzieci. Głupie bydlę.

Krab trąca kocicę czubkiem buta. Muchy rozlatują się na wszystkie strony. Przygląda się w milczeniu, jak wracają do okrwawionej głowy.

Patrzy na martwe zwierzę i pełzające po nim insekty. Przykuca obok trupa, znów rozganiając na moment wielkie czarne owady, i tym razem czuje jego zapach. Zapach śmierci wypełnia mu nozdrza, mdły smród, który za kilka dni będzie wyczuwalny z odległości kilkudziesięciu metrów, niesiony gorącym wiatrem. Muchy złożą jaja w otworach i ranach, wkrótce padlina będzie roić się od robaków, ale to wcale mu nie przeszkadza. Lubi przyglądać się temu, co robi śmierć.

Idzie w stronę zrujnowanego domu, trzymając karabin w ręku.

Wysłuchuje się w szum samochodów dobiegający od strony szosy numer 27, wie jednak, że nie ma żadnego powodu, dla którego ktoś mógłby tutaj zajrzeć. W końcu taki powód się pojawi, ale to stanie się dopiero za jakiś czas. Wchodzi na gnijący ganek, otwiera drzwi i wstępuje do ciemnej,

pozbawionej powietrza przestrzeni, w której unoszą się kłęby kurzu. Nawet w słoneczny dzień w domu jest ciemno i duszno, a tego ranka panuje wyjątkowa duchota, bo zbliża się burza. Jest ósma rano, a tutaj są niemal całkowite ciemności. Krab zaczyna się pocić.

– Czy to ty? – dobiega go głos z ciemności, z tyłu domu, tam, gdzie jego miejsce.

Pod ścianą stoi prowizoryczny stół ułożony ze sklejki i pustaków, na nim zaś małe akwarium. Krab kieruje strzelbę na akwarium i wciska guzik, a ksenonowy reflektor wydobywa z mroku ciemny kształt tarantuli zamkniętej w szklanym pojemniku. Pająk siedzi nieruchomo na ściółce z piasku i trocin, ułożony niczym czarna ręka obok gąbki z wodą i swego ulubionego kamienia. W rogu akwarium poruszają się małe świerszcze, zaniepokojone jasnym światłem.

– Chodź tutaj, porozmawiaj ze mną! – woła głos z wnętrza domu, władczy, lecz słabszy niż jeszcze poprzedniego dnia.

Krab nie wie, czy się cieszyć, że jeszcze słyszy ten głos, ale chyba się cieszy. Zdejmuje pokrywę z akwarium i mówi do pająka cicho, czule.

Brzuch tarantuli jest łysy, pokryty zaschniętym klejem i bladożółtą krwią. Ogromna fala nienawiści ogarnia nagle Kraba, kiedy przypomina sobie, dlaczego pająk jest łysy i co omal nie przyprawiło go o śmierć.

Włosy tarantuli nie odrosną aż do następnego linienia, być może zresztą w ogóle nie dożyje tej chwili.

– Wiesz, czyja to wina, prawda? – mówi do pająka. – Zrobiłem z tym już coś, prawda?

– Chodź tutaj! – znów woła głos. – Słyszysz mnie?

Pająk się nie porusza. Może umrzeć. To całkiem prawdopodobne.

– Przepraszam, że nie było mnie tak długo. Wiem, że musisz czuć się osamotniony – mówi Krab do pająka. – Nie mogłem zabrać cię ze sobą ze

względu na twój stan. To była bardzo długa podróż.

Sięga do wnętrza akwarium i delikatnie głaszcze pająka. Tarantula prawie się nie porusza.

– Czy to ty? – pyta ponownie zachrypnięty głos.

Próbuje sobie wyobrazić, co będzie, gdy głos w końcu zamilknie, i myśli o martwym zwierzęciu, które leży sztywne na piasku, otoczone rojem much.

– Czy to ty?

Wciąż trzyma wciśnięty guzik reflektora, a snop światła kieruje się tam, gdzie lufa broni oświetla drewnianą podłogę przykrytą warstwą brudu i skorupkami wyschniętych owadzich jaj. Jego buty poruszają się miarowo za ruchomą smugą światła.

– Halo? Kto tam?

## Rozdział 16

**Z**amknięty w laboratorium z bronią i narzędziami, Joe Amos zasuwa zamek skórzanej kurtki Harley Davidson zarzuconej na czterdziestokilogramowy blok żelatyny. Na górze leży mniejsza, dwudziestokilogramowa bryła ozdobiona parą okularów Ray Ban oraz czarną chustką z symbolem czaszki i skrzyżowanych puszczeli.

Joe cofa się o krok, by podziwiać swoje dzieło. Jest zadowolony, ale trochę zmęczony. Poprzedniego wieczoru bawił się do późnej nocy ze swoją nową pupilką. Wypił za dużo wina.

– Śmieszne, prawda? – zwraca się do Jenny.

– Śmieszne, ale obrzydliwe. Lepiej, żeby on tego nie zobaczył. Słyszałam, że lepiej z nim nie zadzierać – odpowiada Jenny.

– To ze mną nie należy zadzierać. Zastanawiam się, czy nie dodać czerwonego barwnika. Będzie wyglądało jak prawdziwa krew.

– Niezłe.

– I odrobinę brązu, żeby przypominało rozkładające się ciało. Może zrobię też coś, żeby to śmierdziało.

– Ty i te twoje piekielne scenki!

– Mój umysł nigdy nie przestaje pracować. Bolą mnie plecy – mówi, wciąż podziwiając swoje dzieło. – Uszkodziłem sobie kręgosłup i pozwę ją

do sądu.

Żelatyna, elastyczny przezroczysty materiał wytwarzany z denaturowanych kości zwierzęcych i kolagenu z tkanki łącznej, nie jest łatwa w obróbce, niełatwo też było przenieść wielkie bryły ze skrzyń z lodem pod wygłuszoną ścianę strzelnicy. Drzwi laboratorium są zamknięte na klucz. Czerwona lampka na zewnątrz świeci się, co oznacza, że strzelnica jest zajęta.

– Taki wystrojony, a przecież nigdzie się nie wybierasz – mówi Joe do bezkształtnej masy.

Żelatyna używana jest także do produkcji szamponów i odżywek, szminek, napojów proteinowych, środków na artretyzm i wielu innych rzeczy, których Joe nie dotknie już do końca życia. Nie pocałuje nawet swojej narzeczonej, jeśli będzie miała na ustach szminkę, już nigdy. Kiedy zrobił to po raz ostatni, gdy ich usta zetknęły się w namiętym pocałunku, wyobraził sobie nagle krowie, świńskie i rybie resztki gotujące się w wielkim garnku. Teraz zawsze czyta skład. Jeśli znajdzie w nim hydrolizowane białko zwierzęce, natychmiast wyrzuca dany produkt do kosza lub odstawia go na półkę.

Odpowiednio spreparowana żelatyna z powodzeniem udaje ludzkie ciało. Jest niemal równie dobra jak świńska tkanka, z której wolałby korzystać Joe. Słyszał o laboratoriach, w których strzela się do świńskich tusz, by lepiej zbadać, w jaki sposób kula przenika ciało w różnych sytuacjach. On sam wolałby strzelać do wieprza niż do kukły z żelatyny. Wolałby ubrać wielką świńską tuszę w ludzkie ubrania i pozwolić studentom strzelać do niej z różnego rodzaju broni, z różnych odległości i pod różnymi kątami. To byłaby naprawdę świetna scenka. Jeszcze lepsze byłoby strzelanie do żywej świni, ale doktor Scarpetta nigdy by na to nie pozwoliła. Nie chce nawet słyszeć o strzelaniu do martwych wieprzy.

– Nie ma sensu się z nią procesować – zauważa Jenny. – Ona też jest prawniczką.

– No i co z tego?

– Cóż, z tego, co mi mówiłeś, wynika, że próbowałeś już wcześniej i nic ci to nie dało. Tak czy inaczej, to Lucy trzyma całą kasę. Słyszałam, że uważa się za nie byle kogo. Nigdy jej nie poznałam. Nikt z nas jej nie poznał.

– Niczego nie straciłaś. Wkrótce ktoś pokaże jej, gdzie jej miejsce.

– Ktoś taki jak ty?

– Może już nad tym pracuję. – Uśmiecha się. – Powiem ci jedno. Nie odejdę stąd bez tego, co mi się należy. Po tym wszystkim, przez co tutaj przeszedłem, jest mi coś winna. – Znów myśli o Kay Scarpencie. – Traktuje mnie jak gówna.

– Może poznam Lucy, nim skończę studia – mówi Jenny w zamyśleniu, spoglądając na Joe i na żelatynową kukłę ubraną jak Marino.

– Oni wszyscy są gówna warci – odpowiada jej Joe. – Pieprzona trójca. Cóż, mam dla nich małą niespodziankę.

– Co takiego?

– Zobaczysz. Może podzielę się tym z tobą.

– Co to jest?

– Powiedzmy, że zamierzam wyciągnąć coś z tego dla siebie. Ona mnie nie docenia, a to wielki błąd. Pamiętaj, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Do obowiązków Joe należy asystowanie doktor Scarpencie w kostnicy okręgu Broward, gdzie Kay traktuje go jak zwykłego wyrobnika, każe mu zszywać ciała po sekcji, liczyć pastylki w butelkach z różnymi środkami i sporządzać spisy przedmiotów należących do zmarłych, jakby Joe był zwykłym asystentem, a nie lekarzem. To ona ustaliła, że Joe jest odpowiedzialny za ważenie, mierzenie, fotografowanie i rozbieranie ciał, a

także przeszukiwanie obrzydliwych resztek na dnie worków ze zwłokami, szczególnie jeśli to odrażająca, rojąca się od robaków papka lub gnijące mięso i kości rozkładających się trupów. Najbardziej upokarzającym zajęciem jest mieszanie dziesięcioprocentowej żelatyny potrzebnej do wytwarzania balistycznych żelatynowych brył, wykorzystywanych przez naukowców i studentów.

– Dlaczego? Podaj mi chociaż jeden dobry powód – spytał doktor Scarpettę, kiedy wyznaczyła mu to zadanie poprzedniego lata.

– To część twojego szkolenia, Joe – odparła z typowym dla siebie spokojem.

– Zamierzam zostać patologiem sądowym, a nie technikiem laboratoryjnym albo kucharzem – narzekał Joe.

– Uważam, że każdy patolog powinien zacząć szkolenie od podstaw – odrzekła. – Powinieneś umieć wykonać każde zadanie i to bez żadnych zahamowań.

– Aha, pewnie jeszcze mi powiesz, że ty też robiłaś bryły z żelatyny, że zajmowałaś się tym od samego początku.

– Robię to do dzisiaj i z chęcią przekażę ci mój ulubiony przepis odparła.  
– Wolę Vyse, ale Kind & Knox, typ 2-5-A też się nadaje. Zawsze zaczynaj od zimnej wody, od siedmiu do dziesięciu stopni Celsjusza, dodawaj żelatynę do wody, a nie na odwrót. Ciągłe mieszaj, ale niezbyt mocno, żeby do środka nie dostały się pęcherzyki powietrza. Dodaj dwa i pół mililitra Foam Eater na dwudziestofuntową bryłę, pamiętaj też, że forma musi być idealnie czysta. Dodaj też pół mililitra olejku cytrynowego, to chroni żelatynę przed grzybem.

– Świetne.

Zapisała mu ten przepis, a także całą listę sprzętu, zawierającą między innymi poziomice, dzbanek z podziałką, mieszadło do farby, strzykawkę do



zastrzyków podskórnych, kwas propionowy, wąż do akwarium, folię aluminiową i dużą łyżkę, po czym zademonstrowała przebieg całego procesu w kuchni laboratorium, jakby to mogło mu wynagrodzić całą tę męczarnię, wybieranie zwierzęcych resztek z sześciokilogramowych beczek, ważenie i obróbkę tego świństwa, przenoszenie lub przeciąganie ciężkich pojemników, wkładanie ich do skrzyń z lodem lub do wielkich lodówek, a potem zbieranie wszystkich studentów o jednej porze w strzelnicy, nim ta cholerna galareta zacznie się rozpadać, bo zawsze zaczynała się rozpadać. Żelatynowe bryły topią się jak galaretka owocowa i nadają się do użytku nie dłużej niż przez dwadzieścia minut po wyjęciu z lodówki, w zależności od temperatury panującej w sali.

Wyciąga teraz z magazynu siatkę ochronną i ustawiają przed żelatynową kukłą ubraną w skórzaną kurtkę, potem zakłada nauszники i okulary ochronne. Skinieniem głowy nakazuje Jenny, by zrobiła to samo.

Bierze do ręki baretę 92 i wkłada do magazynka pociski Speer Gold Dot, które mają aż sześć nacięć na płaszczu, dzięki czemu kula rozszerzy się, rozkwitnie niczym metalowy kwiat nawet po przejściu przez tak grubą warstwę ubrań jak cztery pary dżinsów czy gruba kurtka motocyklowa.

Wyjątkowym elementem tego badania będą obrażenia pozostawione przez pocisk, który przebije najpierw siatkę ochronną i kurtkę, a potem rozerwie klatkę piersiową Pana Galarety, jak Joe nazywa swoje żelatynowe kukły.

Podnosi broń i strzela piętnaście razy, wyobrażając sobie, że Pan Galareta to Marino.

## Rozdział 17

**P**almy kołyszą się gwałtownie za oknami sali konferencyjnej. Będzie padać, myśli doktor Scarpetta. Wygląda na to, że nadchodzi burza, a Marino znów się spóźnia i wciąż nie odbiera telefonu.

– Witam wszystkich – mówi do swego personelu. – Bierzmy się do pracy. Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia, a jest już piętnaście po dziewiątej.

Nienawidzi się spóźniać. Nienawidzi, kiedy spóźnia się z winy kogoś innego, w tym przypadku Marina. Znów Marino. Dezorganizuje jej cały porządek dnia. Dezorganizuje wszystko.

– Mam nadzieję, że wieczorem będę już w samolocie lecącym do Bostonu – mówi Kay. – Zakładając, że moja rezerwacja znów nie zniknie w jakiś magiczny sposób.

– We wszystkich liniach lotniczych mają teraz cholerny bałagan odzywa się Joe. – Nic dziwnego, że bankrutują.

– Poproszono nas, byśmy przyjrzeni się pewnej sprawie z Hollywood.

Policja zakłada, że było to samobójstwo, choć niektóre okoliczności sprawy budzą spore wątpliwości – zaczyna Kay.

– Chciałbym poruszyć najpierw pewną kwestię niezwiązaną z tematem tego spotkania – przerywa jej Vince, specjalista od broni.

– Śmiało. – Kay wyciąga z koperty zdjęcia i rozdaje je wszystkim siedzącym przy stole.

– Ktoś korzystał przed godziną ze strzelnicy. – Vince spogląda znacząco na Amosa. – Nie było tego w harmonogramie.

– Chciałem zrobić rezerwację wczoraj wieczorem, ale zapomniałem – wyjaśnia Joe. – I tak nikt z niej nie korzystał.

– Trzeba najpierw zrobić rezerwację. Tylko w ten sposób możemy zapanować nad...

– Chciałem wypróbować nowy gatunek balistycznej żelatyny, użyłem ciepłej wody zamiast zimnej, żeby sprawdzić, czy ma to jakieś znaczenie przy kalibracji. Różnica wynosiła zaledwie jeden centymetr. To chyba dobre wieści, prawda?

– Taka różnica pojawia się prawdopodobnie zawsze, kiedy mieszasz tę cholerną galaretę – irytuje się Vince.

– Nie wolno nam używać brył, które nie spełniają wymogów. Dlatego cały czas sprawdzam kalibrację i staram się ją udoskonalić. W związku z tym muszę spędzać dużo czasu w laboratorium strzelniczym. To nie zależy ode mnie. – Joe spogląda wymownie na Scarpettę. – Żelatyna balistyczna to jedno z moich zadań. – Spogląda na nią ponownie.

– Mam nadzieję, że pamiętałeś o tym, żeby przed strzelaniem osłonić tylną ścianę korkowymi matami – mówi Vince. – Prosiłem cię o to.

– Zna pan zasady, doktorze Amos – odzywa się doktor Scarpetta.

W obecności kolegów po fachu nie zwraca się doń po imieniu, lecz tytułuje go doktorem, okazując mu więcej szacunku, niż na to zasługuje.

– Musimy wpisywać wszystko do rejestru – dodaje. – Z jakiej broni korzystamy, jakie przeprowadzaliśmy testy, ile oddaliśmy strzałów. Musimy trzymać się zasad.

– Tak jest.

– To może mieć konsekwencje prawne. Większość naszych spraw trafia do sądu – kończy.

– Tak jest.

– W porządku, wracajmy do naszego tematu. – Opowiada im o Johnnym Swifcie.

Mówi, że na początku listopada miał operację nadgarstków, a wkrótce potem przyjechał do Hollywood, do swego brata bliźniaka.

Dzień przed Świętem Dziękczynienia brat Johnny'ego, Laurel, wyszedł na zakupy i wrócił do domu około wpół do piątej. Doktor Swift leżał martwy na sofie w salonie. Zginął od strzału w klatkę piersiową.

– Zdaje się, że pamiętam tę sprawę – wtrąca się Vince. – Mówili o niej w wiadomościach.

– Cóż, ja pamiętam doktora Swifta bardzo dobrze – oświadcza Joe.

– Czasami dzwonił do doktor Self. Kiedyś, gdy byłem w jej programie, zadzwonił do niej i strasznie ją skrytykował. Mówiła wtedy o syndromie Tourette'a, a ja się akurat z nią zgadzam, zwykle to tylko wymówka tych, co się nie umieją zachować. Opowiadał o dysfunkcji neurochemicznej, o anomaliach w funkcjonowaniu mózgu. Wielki ekspert – kończy ironicznym tonem.

Nikogo nie interesują występy Joe w programie doktor Self. Nikogo nie interesują jego występy w żadnym programie.

– Co z łuską i bronią, z której oddano strzał? – pyta Vince Scarpette.

– Jak zapisano w raporcie policji, Laurel Swift znalazł strzelbę leżącą na podłodze, niespełna metr za oparciem sofy. Łuski nie znaleziono.

– To dość dziwne. Zastrzelił się, a potem wyrzucił broń za sofę? znów odzywa się Joe. Nie bardzo rozumiem, jak to się mogło stać.

– Brat twierdzi, że widział broń na podłodze za sofą. Podkreślam: twierdzi. Wrócimy do tego za minutę – mówi Kay.

– A czy na jego ubraniu znaleziono jakieś ślady prochu?

– Szkoda, że nie ma tu z nami Marina, ponieważ to on zajmował się tą sprawą i współpracował ściśle z policją w Hollywood – odpowiada doktor Scarpetta, nie zdradzając w żaden sposób, jakie uczucia budzi w niej teraz detektyw. – Wiem tylko tyle, że ubrania Laurela nie były badane na obecność prochu.

– A jego ręce?

– Tak, znaleziono na nich mikroślady prochu. Ale Laurel twierdzi, że dotykał brata, potrząsał nim, mógł więc poplamić się jego krwią.

Teoretycznie to prawda. Jeszcze kilka szczegółów. Kiedy Johnny Swift umarł, miał nadgarstki w łubkach i zero jeden promila alkoholu we krwi, w kuchni znaleziono też sporo pustych butelek po winie.

– Wiemy na pewno, że pił sam?

– Niczego nie wiemy na pewno.

– Chyba nie było mu łatwo utrzymać ciężką broń, jeśli kilka dni wcześniej miał operację.

– Być może. – Doktor Scarpetta kiwa głową. – A skoro nie można użyć rąk, to co można zrobić?

– Użyć stóp.

– Tak, to jest możliwe. Próbowалам z moim remingtonem. Niezaładowanym – dodaje, uśmiechając się lekko.

Próbowала to zrobić, bo Marino się nie pokazał. Nie zadzwonił. Nie obchodziła go.

– Niestety, nie mam zdjęć z wizji lokalnej – mówi, nie wspominając, że nie ma ich, bo detektyw nie przyszedł na spotkanie. – Ustaliliśmy, że po wystrzale strzelba mogła odskoczyć do tyłu, Swift mógł też szarpnąć nogą i odrzucić broń na bok, tak czy inaczej, mogła wylądować za sofą, nie jest to

więc okoliczność, która wykluczałaby samobójstwo. Nie znaleźliśmy też jednak żadnych otarć na jego palcach u nóg.

– Rana kontaktowa? – pyta Vince.

– Ilość sadzy na koszuli oraz kształt i rozmiary rany mogłyby wskazywać na ranę kontaktową. Problem w tym, że nie mamy wystarczającej ilości danych, ponieważ lekarz badający zwłoki określił odległość, z jakiej oddano strzał, głównie na podstawie opinii radiologa.

– Kto?

– To sprawa doktora Bronsona – mówi Scarpetta, a kilku jej współpracowników kwituje te słowa głośnym jękiem.

– Jezu, ten człowiek jest starszy od papieża. Kiedy wreszcie odejdzie na emeryturę?

– Papież umarł – żartuje Joe.

– Dzięki za informacje, bez ciebie nie miałbym pojęcia o świecie.

– Radiolog uznał, że rana postrzałowa jest, cytuję, odległą raną podsumowuje doktor Scarpetta. – Określił tę odległość na co najmniej dziewięćdziesiąt centymetrów. Wynika z tego, że mamy do czynienia z zabójstwem, bo nie można trzymać lufy strzelby w takiej odległości od własnej klatki piersiowej, prawda?

Kilka kliknięć myszką i na ekranie pojawia się zdjęcie rentgenowskie śmiertelnej rany Johnny’ego Swifta. Śruciny wyglądają niczym chmura białych pęcherzyków przepływających pomiędzy żebrami ofiary.

– Śruciny są rozłożone na dużej przestrzeni – zauważa Kay. – Wypada tu zgodzić się z radiologiem, że wskazuje to na strzał oddany z odległości dziewięćdziesięciu centymetrów lub metra. Myślę jednak, że mamy tu do czynienia z doskonałym przykładem efektu kuli bilardowej.

Wyłącza rzutnik i bierze do ręki kilka pisaków, każdy w innym kolorze.

– Pierwsze śruciny zwolniły po wejściu w ciało, potem jednak uderzyły w nie kolejne, pchając je tym samym do przodu i układając w sposób, który przypomina efekt postrzału z większej odległości – wyjaśnia, rysując czerwone śruciny i uderzające w nie śruciny niebieskie. – W rzeczywistości jednak była to najprawdopodobniej rana kontaktowa.

– Żaden z sąsiadów nie słyszał huku wystrzału?

– Najwyraźniej nie.

– Może wszyscy byli na plaży albo robili zakupy na Święto Dziękczynienia.

– Może.

– Co to była za strzelba i do kogo należała?

– Na podstawie wielkości śrucin możemy tylko stwierdzić, że był to kaliber dwanaście – odpowiada Scarpetta. – Sama strzelba zniknęła, nim policja przybyła na miejsce zbrodni.

## Rozdział 17

**E**v Christian nie śpi, siedzi na materacu czarnym od zakrzepłej krwi. Wokół niej, na brudnej podłodze małego, brudnego pokoju o zapadającym się suficie i mokrych, odpadających tapetach, leżą porozrzucone gazety. Bez okularów nie widzi najlepiej, rozróżnia tylko zamazane kształty na okładkach magazynów pornograficznych. Dostrzega także butelki po napojach i opakowania po jedzeniu z barów szybkiej obsługi.

Między materacem a ścianą leży mała różowa tenisówka, która niegdyś należała zapewne do jakiejś dziewczynki. Ev już setki razy oglądała ten bucik i zastanawiała się, co to może oznaczać, i czy właścicielka tenisówki żyje. Czasami chowa bucik za siebie, kiedy przychodzi on. Boi się, że jej go odbierze. To wszystko, co ma.

Nigdy nie śpi dłużej niż dwie godziny i nie ma pojęcia, ile czasu już minęło. Nie ma takiej rzeczy jak czas. Szare światło wypełnia rozbite okno po drugiej stronie pokoju. Ev nie widzi słońca. Wyczuwa deszcz.

Nie ma pojęcia, co zrobił z Kristin i chłopcami. Nie ma pojęcia, co im zrobił. Pamięta tylko pierwsze godziny, ten straszny, nierealny czas, kiedy



przynosił jej jedzenie i picie i przyglądał jej się z ciemności. Sam był ciemny jak ciemność, ciemny jak duch ciemności.

– Jakie to uczucie? – pytał ją cichym, zimnym głosem. – Jak się czuje ktoś, kto wie, że wkrótce umrze?

W pokoju jest zawsze ciemno. Kiedy on przychodzi, robi się jednak jeszcze ciemniej.

– Nie boję się. Nie możesz osiągnąć mojej duszy.

– Powiedz, że żałujesz.

– Nigdy nie jest za późno na skruchę. Bóg wybaczy ci nawet największy grzech, jeśli się ukorzysz i będziesz żałował.

– Bóg jest kobietą. Ja jestem jej Ręką. Powiedz, że żałujesz.

– Błuźnisz. Powinieneś się wstydzić. Nie zrobiłam niczego, czego miałabym żałować.

– Nauczę się pokory. Powiesz, że żałujesz, tak jak ona to zrobiła.

– Kristin?

Potem odszedł, a Ev słyszała głosy dochodzące z innej części domu.

Nie rozumiała poszczególnych słów, ale rozmawiał z Kristin, to musiała być ona. Rozmawiał z kobietą. Słyszała czyjeś kroki, potem głosy za ścianą, a potem usłyszała Kristin, była pewna, że to właśnie ona. Kiedy myśli o tym teraz, zastanawia się, czy jej się to nie przyśniło.

Słyszy w głowie swój własny głos, lecz to mógł być sen.

– Kristin? Kristin? Odpowiedz mi! Nie waż się jej skrzywdzić!

Potem znów słyszała jakąś rozmowę, więc może nic się nie stało. Teraz jednak nie jest pewna. To wszystko mogło jej się przyśnić. Być może tylko we śnie słyszała czyjeś kroki w korytarzu i trzask zamykanych drzwi. To wszystko mogło się wydarzyć kilka minut temu albo przed kilkoma godzinami. Może słyszała silnik samochodu. Może to był tylko sen, urojenie. Ev siedziała w ciemnościach, z bijącym sercem nasłuchując głosu

Kristin i chłopców, nie usłyszała jednak niczego. Krzyczała, aż rozbolało ją gardło, z trudem łapała oddech.

Dni przychodziły i odchodziły, a jego ciemny kształt pojawiał się z papierowymi kubkami z wodą i czymś do jedzenia. Stał i przyglądał się jej, ona jednak nie widziała jego twarzy. Nigdy jej nie widziała, nawet za pierwszym razem, kiedy wszedł do domu. Nosił czarny kaptur z otworami na oczy, kaptur przypominający długą i szeroką poszewkę na poduszkę, który opadał mu luźno na ramiona. Lubi trącać ją lufą strzelby, jakby była zwierzęciem w zoo, jakby był ciekaw, jak na to zareaguje.

Dotyka lufą jej intymnych części ciała i czeka na jej reakcję.

– Powinieneś się wstydzić – mówi Ev, kiedy jej dotyka. – Możesz skrzywdzić moje ciało, ale nie dosięgniesz mojej duszy. Moja dusza należy do Boga.

– Jej tutaj nie ma. Ja jestem jej ręką. Powiedz, że żałujesz.

– Mój Bóg jest zazdrosnym Bogiem. „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”.

– Nie ma jej tutaj. – Znów dźga ją lufą broni, czasami naciska tak mocno, że na jej ciele zostają czarno-granatowe siniaki. – Powiedz, że żałujesz – powtarza.

Ev siedzi na śmierdzącym, przegniłym materacu. Używano go już wcześniej, używano w straszliwy sposób, jest sztywny i poplamiony, a ona siedzi na nim, w tym cuchnącym, dusznym pokoju, nasłuchuje i próbuje myśleć, nasłuchuje, modli się i wzywa pomocy. Nikt nie odpowiada. Nikt jej nie słyszy. Ev zastanawia się, gdzie jest, gdzie stoi ten okropny dom, skoro nikt nie słyszy jej krzyków?

Nie może uciec, gdyż jest skrępowana całą siecią powyginanych metalowych wieszaków i lin, które przywiązał do drewnianej kratownicy pod sufitem. Czuje się jak jakaś groteskowa marionetka, jest posiniaczona i

pogryziona przez owady, obolała i przerażona. Z trudem może podnieść się na równe nogi. Może zejść z materaca, by załatwić potrzeby fizjologiczne. Kiedy to robi, odczuwa dotkliwy, przejmujący ból, niemal mdleje.

On robi wszystko w ciemnościach. Widzi w ciemnościach. Ev słyszy jego oddech w ciemnościach. Jest czarnym kształtem. Jest szatanem.

– Pomóż mi, Boże – mówi do wybitego okna, do szarego nieba za oknem. – Proszę, Boże, pomóż mi.

## Rozdział 19

**D**oktor Scarpetta słyszy coraz głośniejszy ryk motocykla. Próbuje się skoncentrować, kiedy Marino podjeżdża bliżej, okrąża budynek, zmierzając na parking przed wejściem. Myśli o detektywie i zastanawia się, czy będzie musiała go zwolnić. Nie wie, czy potrafiłaby to zrobić.

Mówi właśnie o tym, że w mieszkaniu Laurela Swifta były dwa aparaty telefoniczne, ale oba zostały odłączone, a kable łączące je z gniazdkami zniknęły. Laurel zostawił swoją komórkę w samochodzie i, jak twierdzi, nie mógł znaleźć komórki brata, nie miał więc jak wezwać pomocy. Spanikowany, uciekł i nie wrócił do domu aż do przyjazdu policji, a wtedy już nie było broni.

– To wszystkie informacje, które uzyskałam od doktora Bronsona oświadcza na koniec. – Rozmawiałam z nim kilka razy i, niestety, nic więcej nie udało mi się od niego wyciągnąć.

– Czy znaleziono potem te kable telefoniczne?

– Nie wiem – przyznaje się, bo Marino jej tego nie powiedział.

– Johnny Swift mógł je usunąć, by mieć pewność, że nikt nie zadzwoni po pomoc, jeśli nie umrze od razu, zakładając oczywiście, że rzeczywiście było to samobójstwo – ponownie odzywa się Joe.

Doktor Scarpetta nie odpowiada, bo nie wie nic na temat kabli, nie wie nic prócz tego, co przekazał jej doktor Bronson we właściwy sobie, nieco chaotyczny sposób.

– Czy z domu zginęło coś jeszcze? Coś prócz kabli, telefonu komórkowego zmarłego i strzelby?

– Będziecie musieli zapytać o to detektywa Marino – mówi Kay.

– Zdaje się, że już tutaj jest. Chyba że ktoś inny ma motocykl, który ryczy głośniejszym niż odrzutowiec.

– To dziwne, że Laurel Swift nie został oskarżony o morderstwo zauważa Joe.

– Nie można oskarżyć kogoś o morderstwo, jeśli nie określono jeszcze ostatecznie, co było przyczyną śmierci – odpowiada doktor Scarpetta. – Ta kwestia nadal jest otwarta, brakuje materiału dowodowego, który wskazywałby jednoznacznie na samobójstwo, morderstwo lub wypadek, choć ta ostatnia możliwość jest zdecydowanie najmniej prawdopodobna. Być może w końcu doktor Bronson uzna sprawę za nierozstrzygniętą.

W korytarzu słychać czyjeś ciężkie kroki.

– A co ze zdrowym rozsądkiem? – pyta Joe.

– Nie określa się przyczyny śmierci w oparciu o zdrowy rozsądek stwierdza Kay, życząc sobie w duchu, by Joe zatrzymał swoje komentarze dla siebie.

Otwierają się drzwi sali konferencyjnej i do środka wchodzi Pete Marino z aktówką w jednej ręce i pudełkiem paczków w drugiej. Jak zwykle jest ubrany w czarne dżinsy, czarne skórzane buty i czarny skórzany

bezrękawnik z logo harleya na plecach. Ignoruje doktor Scarpettę, siada na krześle obok niej i kładzie na stole pudełko z pączkami.

– Dobrze byłoby sprawdzić ubranie brata ofiary na obecność śladów prochu, zbadać dokładnie wszystko, co miał wtedy na sobie – proponuje Joe, odchylając się do tyłu na swoim krześle. Robi tak zawsze, gdy zamierza się wymądrzać, a jeśli w pobliżu jest Marino, wymądrza się bardziej niż zwykle. – Obejrzyć je pod rentgenem, spektrometrem...

Detektyw patrzy na niego tak, jakby chciał go uderzyć.

– Oczywiście, śladowe ilości prochu mogą pochodzić ze źródeł innych niż wybuch pocisku. Materiały hydrauliczne, baterie, smary, farby. Jak na moich ćwiczeniach w laboratorium w zeszłym miesiącu – mówi Joe, wyjmując z pudełka zgnieciony pączek w polewie czekoladowej. – Nie wiesz, co się z nimi stało? – Oblizuje palce i spogląda pytająco na detektywa.

– To musiały być niesamowite ćwiczenia – odpowiada Marino. Ciekawe, dlaczego pomyślałeś, że ja mógłbym mieć z tym coś wspólnego.

– Pytałem, czy nie wiesz, co się stało z ubraniami brata Johnny’ego Swifta – prostuje Joe.

– Naoglądałeś się chyba za dużo kryminałów – stwierdza Marino, patrząc nań spode łba. – Uważasz się za patologa sądowego, prawnika, naukowca, detektywa, gliniarza, kapitana Kirka i zajączka wielkanocnego w jednym.

– A skoro już mowa o kryminalnych historiach, wczorajsza scenka ogromnie się podobała – mówi Joe. – Żałujcie wszyscy, że tego nie widzieliście.

– No dobrze, ale co z tymi ubraniami, Pete? – odzywa się Vince. Wiemy, co miał na sobie, kiedy znalazł brata?

– Z tego co mówi, wynika, że nie miał na sobie nic – odpowiada Marino.  
– Twierdzi, że wszedł kuchennymi drzwiami, położył zakupy na stole, a następnie poszedł prosto do kibla. Tak mówi. Potem wziął prysznic, bo tego wieczoru miał pracować w restauracji, a kiedy zerknął przypadkiem za drzwi, zobaczył strzelbę leżącą na podłodze. Mówi, że był wtedy nagi.

– Moim zdaniem to wszystko nie trzyma się kupy – oświadcza Joe z pełnymi ustami.

– A moim zdaniem Laurel przeszkodził złodziejowi w rabunku – odpowiada mu Marino. – Albo przeszkodził komuś innemu. Może bogaty pan doktor poznał niewłaściwą osobę. Czy ktoś widział moją kurtkę?

Czarną, z czaszką i piszczelami na jednym ramieniu i amerykańską flagą na drugim?

– Gdzie ją zostawiłeś?

– Zdjąłem ją w hangarze, kiedy poprawialiśmy z Lucy antenę. Jak wróciłem, już jej nie było.

– Nie widziałem jej.

– Ani ja.

– Cholera. Sporo mnie kosztowała. A naszywki były robione na zamówienie. Cholera. Jeśli ktoś ją ukradł...

– Tutaj nie ma złodziei – przerywa mu Joe.

– Doprawdy? A co z kradzieżą pomysłów? – Marino gromi go spojrzeniem. – Co przypomina mi o pewnej sprawie. Skoro już rozmawiamy o piekielnych scenkach... – zwraca się do doktor Scarpetty.

– Nie rozmawiamy o nich.

– A ja mimo wszystko chciałbym coś o nich powiedzieć.

– Innym razem.

– Przyniosłem ci kilka ciekawych rzeczy, zostawiłem je na twoim biurku – mówi do niej Marino. – Będiesz miała o czym myśleć podczas wolnego.

Szczególnie że jeśli cię tam zasypie, zobaczymy cię dopiero na wiosnę.

Stara się nie okazywać irytacji, ukryć ją głęboko w sekretnym miejscu, gdzie nikt jej nie zobaczy. Celowo utrudnia Kay prowadzenie spotkania, traktuje ją tak samo jak przed piętnastu laty, kiedy objęła stanowisko głównego lekarza sądowego Wirginii, kobieta w świecie zarezerwowanym dla mężczyzn, kobieta, która zdaniem Marina wywyższała się wobec innych, bo miała tytuł doktora medycyny i skończone studia prawnicze.

– Myślę, że sprawa doktora Swifta to doskonały materiał na piekielną scenkę – odzywa się znowu Joe. – Badania na obecność prochu i analizy rentgenowskie wskazują na dwie różne wersje wydarzeń. Ciekawe, co zrobią z tym studenci. Z pewnością jednak nigdy nie słyszeli o efekcie kuli bilardowej.

– Nie prosiłem o głosy publiczności. – Marino podnosi głos. – Czy ktoś słyszał, żebym pytał publiczność o zdanie?

– Cóż, wiesz, co myślę o twoich pomysłach – zwraca się do niego Joe. – Szczerze mówiąc, bywają niebezpieczne.

– Gównu mnie obchodzi twoja opinia.

– Mamy szczęście, że akademia nie zbankrutowała. Ta historia mogła nas naprawdę sporo kosztować – ciągnie Joe, jakby nigdy nie przyszło mu do głowy, że któregoś dnia detektyw nie wytrzyma i wyrzuci go przez okno. – Naprawdę mieliśmy ogromne szczęście.

Zeszłego lata jedna z piekielnych scenek doprowadziła pewną studentkę do załamania nerwowego. Studentka opuściła akademię, grożąc wykładowcom procesem sądowym, potem jednak wszelki słuch o niej zagaął. Od tej pory doktor Scarpetta i jej współpracownicy boją się dopuścić Marina do zajęć ze studentami, czy to do scenek, czy nawet do zwykłych wykładów.



– Zawsze kiedy wymyślam nową scenkę, mam na uwadze to, co wydarzyło się rok temu – mówi dalej Joe.

– Kiedy wymyślasz nową scenkę? – powtarza Marino. – Masz na myśli wszystkie te pomysły, które mi ukradłeś?

– Zdaje się, że nazywa się to syndromem kwaśnych winogron. Nie muszę kraść niczych pomysłów, szczególnie twoich.

– Och, doprawdy? Myślisz, że nie rozpoznaję własnych spraw? Masz za mały rozumek, żeby samodzielnie wpaść na coś takiego, doktorze Prawie Że Patologu Sądowy.

– Dość – ucina ostro doktor Scarpetta. – Wystarczy na dzisiaj.

– Właśnie wymyśliłem świetną historię o człowieku zastrzelonym z jadącego samochodu – nie daje za wygraną Joe. – Jednak po sekcji okazuje się, że pocisk jest zniekształcony, bo ofiara została zastrzelona przez szybę, a jej ciało porzucone...

– To moja sprawa! – Marino wali pięścią w stół.

## Rozdział 20

**S**eminol jest kierowcą poobijanej białej półciężarówki wyładowanej kolbami kukurydzy, zaparkowanej z dala od dystrybutorów. Krab przygląda mu się już od pewnego czasu.

– Jakiś skurwysyn zabrał mi portfel i komórkę, pewnie wtedy, kiedy brałem ten pierdolony prysznic – mówi mężczyzna przez telefon, odwrócony plecami do stacji benzynowej CITGO i tankujących ciężarówek.

Krab nie okazuje rozbawienia, kiedy słucha opowieści mężczyzny i jego przekleństw, narzekań na to, że znów będzie musiał spać w kabinie ciężarówki, bo nie ma pieniędzy na motel i nie ma telefonu. Nie ma nawet pieniędzy na prysznic, zresztą prysznic i tak kosztuje już pięć dolarów, a to naprawdę sporo, szczególnie że nic nie dają, nawet mydła. Niektórzy kierowcy idą pod prysznic we dwóch i dostają zniżkę. Znikają za ogrodzeniem po zachodniej stronie sklepu CITGO, układają swoje ubrania i buty na ławce za ogrodzeniem, a potem wchodzą do maleńkiego betonowego pomieszczenia oświetlonego pojedynczą żarówką i zaopatrzonego w pojedynczy zardzewiały otwór odpływowy w podłodze.

W betonowej kabinie jest zawsze mokro. Z prysznica cieknie, a kurki piszczą. Kierowcy biorą ze sobą własne mydło, szampon, szczoteczki i

pastę do zębów, zwykle w plastikowych torebkach. Przynoszą własne ręczniki. Krab nigdy się tam nie mył, ale patrzył na ubrania kierowców, zastanawiając się, co tamci mogą mieć w kieszeniach. Pieniądze. Komórki. Czasami narkotyki. Kobiety biorą prysznic w podobnej kabinie po drugiej stronie budynku. Nigdy nie wchodzi po dwie naraz i myją się w nerwowym pośpiechu, zawstydzone swoją nagością i przerażone, że ktoś może do nich wejść, jakiś wielki silny mężczyzna, który może z nimi zrobić, co tylko zechce.

Krab wykręca numer 800, używając zielonej karty, którą trzyma w tylnej kieszeni, prostokątnej karty o długości dwudziestu centymetrów, z dużym otworem z boku, dzięki czemu można ją zawiesić na klamce. Na karcie wydrukowana jest informacja i rysunek przedstawiający owoc cytrusowy w tropikalnej koszuli i ciemnych okularach. Krab wypełnia wolę Boga. Jest Ręką Boga, która wykonuje bożą wolę. Bóg ma współczynnik inteligencji sto pięćdziesiąt.

– Dziękujemy, że zechcieli państwo zadzwonić do Programu Eliminacji Zarazy Cytrusowej – mówi znajomy głos. – Informujemy, że rozmowa może być nagrywana w celu kontroli jakości.

Nagrany głos mówi dalej, że jeśli ktoś chce zgłosić szkody w okręgu Palm Beach, Dade, Broward lub Monroe, powinien wybrać taki a taki numer. Krab patrzy, jak Seminol wchodzi do swojej półciężarówki, a jego czerwona koszula w kratę przywodzi mu na myśl figurkę drwala ze sklepu z ozdobami. Wybiera numer, który podaje mu nagrany głos.

– Wydział rolnictwa – odbiera kobieta.

– Chciałbym rozmawiać z inspektorem odpowiedzialnym za cytrusy – mówi, patrząc na Seminola i myśląc o zapasach z aligatorem.

– W czym mogę panu pomóc?

– Jest pani inspektorem? – pyta i myśli o aligatorze, którego widział przed godziną na brzegu wąskiego kanału ciągnącego się wzdłuż drogi numer 27.

Uznał to za dobry znak. Gad miał co najmniej półtora metra długości, był bardzo ciemny, suchy i nie przejmował się wcale pędzącymi tuż obok ciężarówkami. Krab zatrzymałby się przy nim, gdyby mógł. Obserwowałby aligatora, patrząc, jak leży przyczajony, spokojny, lecz gotów w każdej chwili zaatakować, pochwycić ofiarę i wciągnąć ją na dno kanału, gdzie zginęłaby, zgniła i została zjedzona. Obserwowałby go przez długi czas, ale nie mógł zjechać z autostrady, a poza tym miał zadanie do wykonania.

– Chciał pan coś zgłosić? – pyta kobieta przez telefon.

– Pracuję dla firmy zajmującej się pielęgnacją trawników i wczoraj zauważyłem zarazę cytrusową w ogrodzie w pobliżu miejsca, gdzie kosiłem trawnik.

– Może pan podać mi adres?

Podaje jej adres w okolicy West Lake Park.

– Zechciałby pan podać swoje nazwisko?

– Wolałbym tego nie robić, mógłbym mieć potem kłopoty w pracy.

– W porządku. Chciałabym zadać panu kilka pytań. Czy wszedł pan do ogrodu, w którym zauważył pan zarazę?

– To otwarty ogród, więc wszedłem, bo mają tam wiele ładnych drzew i żywopłot, i mnóstwo trawy, więc pomyślałem, że może będą potrzebowali kogoś do strzyżenia. Potem zauważyłem te podejrzane liście.

Na liściach niektórych drzew zauważyłem niepokojące zmiany, jakby nacięcia.

– Czy obrzeża tych nacięć były blade, jakby wodniste?

– Wydawało mi się, że drzewa zostały niedawno zainfekowane, być może dlatego wasi inspektorzy niczego nie zauważyli. Niepokoi mnie to, co

może się stać z sąsiednimi ogrodami. Tam też rosną drzewa cytrusowe, w odległości mniej niż trzysta metrów od tych zainfekowanych, więc może także są już chore, a w pobliżu są też inne sady i ogrody. Chyba rozumie pani moją troskę.

– Dlaczego uważa pan, że nasi inspektorzy nie zbadali należycie tego ogrodu?

– Nic nie wskazuje na to, że tam byli. Znam się na drzewach, pracuję w ogrodach prawie całe życie. Widziałem okropne rzeczy, całe sady, które trzeba było spalić, ludzi, którzy tracili dorobek życia.

– Zauważył pan jakieś zmiany na owocach?

– Jak już mówiłem, wygląda na to, że zaraza jest we wczesnym stadium, bardzo wczesnym. Widziałem już całe sady zniszczone zarazą i zrozpaczonych właścicieli.

– Czy po wyjściu z ogrodu, w którym pana zdaniem są zarażone drzewa, dokonał pan dezynfekcji? – pyta kobieta, a Krabowi nie podoba się jej ton.

Nie lubi jej. Jest głupia i władcza.

– Oczywiście, że wszystko odkaziłem. Zajmuję się trawnikami od wielu lat. Zawsze spryskuję narzędzia i siebie samego płynem GX1027, zgodnie z przepisami. Wiem, jakie to może mieć konsekwencje. Widziałem ogromne sady, które trzeba było spalić i porzucić. Ludzi pozbawionych majątku.

– Przepraszam...

– To może się naprawdę źle skończyć.

– Przepraszam...

– Ludzie muszą brać zarazę na poważnie – ciągnie Krab.

– Jaki jest numer rejestracyjny pańskiego pojazdu? Zakładam, że ma pan czarno-żółtą nalepkę po lewej stronie przedniej szyby? Muszę znać ten numer.

– Mój numer jest nieistotny – mówi Krab do inspektorki, której wydaje się, że jest taka ważna i wszechwładna. – Pojazd należy do szefa.

Będę miał kłopoty, jeśli się zorientuje, że do państwa dzwoniłem. Jak ludzie dowiedzą się, że ktoś z mojej firmy zgłosił zarazę, i że przez to będą musieli wyciąć wszystkie drzewa cytrusowe w swoich ogrodach, to kto nas potem zatrudni?

– Rozumiem, proszę pana. Ale muszę zapisać pański numer, takie są przepisy. Chciałabym też w razie potrzeby móc się z panem skontaktować.

– Nie – odpowiada Krab. – Wyleją mnie z pracy.

## Rozdział 21

**N**a stacji CITGO robi się tłoczno, ciężarówki parkują za sklepem, przy restauracji Chickee Hut i wzdłuż lasu. Kierowcy śpią w kabinach i prawdopodobnie uprawiają w nich seks.

Kierowcy jedzą w Chickee Hut. W nazwie restauracji jest błąd ortograficzny, ale ci, którzy się tu stołują, i tak niczego nie zauważą, zresztą nawet pewnie nie wiedzą, co znaczy słowo „chickee”. Słowo to pochodzi z języka Seminolów i nawet oni nie wiedzą, jak należy je zapisywać.

Kierowcy ciężarówek żyją od stacji do stacji, zatrzymują się tutaj, by wydać pieniądze w sklepie, nabrać paliwa, kupić piwo, papierosy, hot dogi i składane noże w szklanym opakowaniu. Mogą zagrać w bilard i naprawić swoje samochody w warsztacie mechanicznym lub u wulkanizatora. CITGO zapewnia pełną obsługę w miejscach oddalonych od ludzkich osiedli, tam gdzie ludzie przychodzą i odchodzą, zajmując się swoimi sprawami. Nikt nie niepokoi Kraba. Ludzie nawet na niego nie patrzą, bywa ich tu tak wielu, prawie nikt z nich nie widział go więcej niż raz lub dwa razy, prócz faceta, który pracuje w restauracji Chickee Hut.

Restauracja stoi za ogrodzeniem z łańcucha, na skraju parkingu.

Znaki ustawione przed wejściem głoszą, że akwizytorzy nie mają do niej wstępu i nie wolno wprowadzać do środka psów z wyjątkiem psów

przewodników. Krab nie traci pieniędzy w sali gier ani przy bilardzie, ani przy szafie grającej. Nie pije. Nie pali. Nie chce seksu z kobietami z CITGO.

Są odrażające, noszą krótkie spódniczki i obcisłe bluzki, mają twarze zniszczone tanimi kosmetykami i nadmiarem słońca. Siedzą przy barze albo przy stolikach na świeżym powietrzu. Jedzą żeberka z grilla, klopsy i steki, dużo piją. Jedzenie jest tutaj dobre i należycie przygotowane.

Krab lubi hamburgery kierowcy, które kosztują tylko trzy dziesięćdziesiąt pięć. Grillowany ser kosztuje trzy dolary i dwadzieścia pięć centów.

Tanie, odrażające kobiety. Takim kobietom przytrafiają się złe rzeczy.

Zasługują na to.

Chcą tego.

– Wezmę grillowany ser na wynos – mówi Krab do mężczyzny za barem. – I hamburgera kierowcy na miejscu.

Mężczyzna ma wielki brzuch i poplamiony fartuch. Jest zajęty otwieraniem ociekających wodą butelek piwa, które trzyma w lodzie.

Ten sam barman obsługiwał Kraba już kilka razy, ale wydaje się, że go nie pamięta.

– Chce pan dostać ser w tym samym czasie co hamburgera? – pyta, podając otwarte butelki jakiemuś kierowcy i jego towarzysze. Oboje są już pijani.

– Proszę tylko dopilnować, żeby ser był zapakowany.

– Pytałem, czy mam podać ser i hamburgera jednocześnie. – Barman nie jest zirytowany, raczej obojętny.

– Może być.

– Czego się pan napije? – pyta barman, otwierając kolejne piwo.

– Zwykłej wody.



– A co to znaczy, do diabła, zwykła woda? – pyta pijany kierowca, a jego towarzyszka chichocze głośno i przytula się do jego wytatuowanego ramienia. – Jest jakaś inna woda, niezwykła?

– Tylko zwykłą wodę – mówi Krab do mężczyzny za barem.

– Ja nie lubię zwykłych rzeczy, prawda, kochanie? – bełkocze pijana kobieta, obejmując stołek pulchnymi nogami. Jej równie pulchne piersi ledwie mieszczą się w obcisłej bluzce z szerokim dekoltem. – Dokąd jedziesz? – pyta.

– Na północ – odpowiada kierowca. – Wreszcie.

– Uważaj na siebie – ostrzega go bełkotliwie kobieta. – W tej okolicy kręci się pełno wariatów.

## Rozdział 22

**W**iemy chociaż, gdzie może być? – pyta doktor Scarpetta swoją sekretarkę.

– Nie ma go w biurze i nie odbiera komórki. Kiedy rozmawiałam z nim po spotkaniu i mówiłam mu, że chce się pani z nim widzieć, powiedział, że ma jakąś sprawę do załatwienia i zaraz wróci – przypomina jej Rose. – To było półtorej godziny temu.

– O której powinnyśmy jechać na lotnisko? – Kay patrzy przez okno na targane wiatrem palmy i myśli o zwolnieniu Marina. – Idzie burza, i to porządna. Cóż, nie zamierzam siedzieć tutaj i czekać na niego. Powinnam już jechać.

– Pani lot jest dopiero o wpół do siódmej – odpowiada Rose, wręczając Scarpetcie kilka wiadomości.

– Nie wiem, dlaczego się tym przejmuję. Dlaczego w ogóle z nim rozmawiam? – myśli na głos Kay, przeglądając wiadomości.

Rose patrzy na nią tak, jak tylko ona to potrafi. Stoi przy drzwiach i patrzy na nią z powagą. Siwe włosy ma upięte w kok, szary lniany garnitur, choć niemodny, jest starannie wyprasowany i wciąż wygląda elegancko.

– W jednej chwili chce pani z nim rozmawiać, a w następnej już nie.

O co w tym chodzi? – pyta.

- Chyba powinnam już iść.
- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.
- Nie wiem, co mam z nim zrobić. Ciągle się zastanawiam, czy go zwolnić, ale wolałabym chyba sama odejść, niż to zrobić.
- Mogłaby pani zostać dyrektorem – zauważa Rose. – Zmusiliby doktora Bronsona do przejścia na emeryturę, gdyby się pani zgodziła.

Może powinna pani poważnie się nad tym zastanowić.

Rose wie dobrze, co robi. Wydaje się bardzo szczerą, kiedy proponuje coś, czego w głębi duszy wcale nie chce, a rezultat jest zawsze ten sam.

– Nie, dziękuję – odpowiada doktor Scarpetta stanowczo. – Kiedyś już przez to przechodziłam, a poza tym, o czym sama dobrze wiesz, Marino jest jednym z ich detektywów, więc nie uciekłabym od niego, nawet gdybym zrezygnowała z pracy w akademii i została szefową. Kim jest pani Simister i co to za kościół? – pyta, spoglądając ze zdumieniem na jedną z wiadomości.

- Nie wiem, ale zachowywała się tak, jakby panią znała.
- Nigdy o niej nie słyszałam.
- Zadzwoiła kilka minut temu, mówiła, że chciała z panią porozmawiać o jakiejś zaginionej rodzinie z West Lake Park. Nie zostawiła numeru, mówiła, że zadzwoni później.

– Jaka zaginiona rodzina? Tutaj, w Hollywood?

– Tak mówiła. Niech no sprawdzę... leci pani z Miami, niestety. Najgorsze lotnisko na świecie. Mamy jeszcze trochę czasu, tylko że... Wie pani, jaki tu jest ruch. Może powinniśmy wyjechać już o czwartej.

Oczywiście nigdzie nie pojedziemy, dopóki nie sprawdzę rezerwacji.

- Jesteś pewna, że lecę pierwszą klasą? I że nikt tego nie odwołał?
- Mam wydrukowane potwierdzenie, ale będzie pani musiała to sprawdzić, bo to last minute.

– Nie do wiary! Najpierw nie wiadomo dlaczego odwołują moją rezerwację, a teraz dostałam last minute, bo musiałam ją przenieść?

– Wszystko już załatwione.

– Bez obrazy, Rose, ale to samo mówiłaś w zeszłym miesiącu. A potem się okazało, że nie ma mnie w komputerze i musiałam lecieć klasą turystyczną, do samego Los Angeles. Że nie wspomnę już o tym, co stało się wczoraj.

– Dziś rano już raz potwierdzałam rezerwację. Zrobię to jeszcze raz.

– Myślisz, że to wszystko ma związek z tymi scenkami Marina? Może to jest właśnie przyczyną.

– Przypuszczam, że czuje się przez panią odrzucony, myśli, że pani już mu nie ufa ani go nie szanuje.

– Jak mogę mu ufać po tym, co się stało?

– Wciąż nie jestem pewna, czy to on zawinił. – Rose kręci głową. Robiłam do niej opis, podobnie jak do wszystkich innych i, jak już pani mówiłam, w scenariuszu Marina nie było mowy o strzykawce w kieszeni tego zabitego grubasa.

– On przygotowywał scenkę. On wszystko nadzorował.

– Zarzeka się, że to ktoś inny włożył tę strzykawkę do kieszeni. Może ona. Dla pieniędzy, których na szczęście nie dostała. Muszę przyznać, że trochę rozumiem Marina. Piekielne scenki były jego pomysłem, a teraz to doktor Amos zbiera pochwały od studentów, podczas gdy Marino jest traktowany jak...

– Bo nie jest miły dla studentów. Wiesz, jak odnosi się do nich od tamtego czasu.

– To prawda, a teraz jest jeszcze gorzej. Nowi studenci go nie znają, myślą, że jest gburowatym dinozaurem, starym, stukniętym życiowym

bankrutem. A ja dobrze wiem, jak się czuje ktoś uważany za stukniętego życiowego bankruta albo, co gorsza, ktoś, kto sam się za takiego uważa.

– Nie jesteś stuknięta i nie jesteś życiowym bankrutem, bez przesady.

– Przynajmniej przyznaje pani, że jestem stara – odpowiada Rose, wychodząc z gabinetu. – Spróbuję zadzwonić do niego jeszcze raz.

Joe siedzi za biurkiem w pokoju 112 w motelu Last Stand i sprawdza w komputerze rezerwację doktor Scarpetty, zapisuje numer lotu i inne informacje. Dzwoni do linii lotniczych.

Po pięciu minutach oczekiwania rozmawia wreszcie z pracownikiem linii.

– Chciałbym zmienić rezerwację – mówi.

Podaje niezbędne dane, a potem zmienia klasę na turystyczną, wybierając miejsce jak najdalej z tyłu samolotu, najlepiej w środku, bo doktor Scarpetta nie lubi siedzieć przy oknie ani przy przejściu. Wszystko odbywa się bez najmniejszych problemów, jak wtedy, gdy leciała do Los Angeles. Mógłby znów odwołać rezerwację, ale to będzie zabawniejsze.

– Dziękuję panu, rezerwacja już została zmieniona.

Joe odkłada słuchawkę, uradowany, wyobrażając sobie wszechmocną doktor Scarpettę wciśniętą między dwoje nieznajomych, najlepiej dwóch ogromnych, śmierdzących facetów. Uśmiecha się i podłącza cyfrowy dyktafon do aparatu telefonicznego. Klimatyzator okienny buczy głośno, lecz efekty jego działań są mizerne. Robi mu się nieprzyjemnie gorąco, czuje też smród gnijącego mięsa, które wykorzystał we wczorajszej scenie. Zawiniątko składające się z surowych żeberek wieprzowych, wątróbki wołowej i kurzej skóry leżało ukryte na dole w szafie.

Zaplanował już wcześniej, że scenka odegrana zostanie tuż po specjalnym lunchu na koszt akademii, podczas którego podawano żeberka z grilla i ryż. Kilkoro studentów zwymiotowało, ujrzawszy wyjęte z szafy

mięso, w którym roiło się od paskudnych białych robaków. Zespół A, który chciał jak najszybciej odnaleźć imitację ludzkich szczątków, nie zauważył kawałka paznokcia leżącego w śmierdzącej, gnijącej brei, a jak się później okazało, był to jedyny materiał dowodowy umożliwiający identyfikację zabójcy.

Joe zapala cygaro, sycąc się po raz kolejny sukcesem ostatniej scenki, sukcesem, który smakował tym bardziej, im bardziej wściekał się Marino i im głośniej wykrzykiwał, że Joe znów ukradł mu pomysł. Ten wielki głupi gliniarz nie ma pojęcia, że używany przez Lucy system monitorowania danych sprzężony z PBX akademii daje komuś, kto ma do niego dostęp, możliwość przeglądania praktycznie wszelkich informacji związanych z działalnością akademii.

Lucy była nieostrożna. Nieustraszona superagentka Lucy zostawiła swoje Treo – supernowoczesne urządzenie komunikacyjne, które jest komputerem osobistym, komórką, kamerą, komunikatorem i wszystkim innym w jednym – w helikopterze. Wydarzyło się to niemal rok temu. Joe dopiero zaczynał szkolenie, kiedy uśmiechnęło się do niego szczęście. Był w hangarze z jedną ze swoich studentek, wyjątkowo ładną, pokazywał jej właśnie helikoptery Lucy, kiedy zauważył aparat w bellu 407.

Treo Lucy.

Była zalogowana. Nie musiał znać jej hasła, by dostać się do wszystkich danych. Przetrzymał Treo dość długo, by ściągnąć wszystkie dane, nim odniósł je z powrotem do helikoptera i położył tam, gdzie było wcześniej, pod jednym z siedzeń, gdzie później znalazła je Lucy, zupełnie nieświadoma tego, co się wydarzyło. Nadal nie miała o tym pojęcia.

Joe zna teraz hasła dostępu, dziesiątki haseł, między innymi hasło administratora systemu Lucy, co pozwala mu wchodzić do komputera i systemów telekomunikacyjnych centrali regionalnej dla obszaru

południowej Florydy, do siedziby głównej w Knoxville, do biur w Nowym Jorku i Los Angeles, do danych Bentona Wesleya i jego super tajnego projektu PREDATOR oraz do wszystkich informacji, które Wesley i Kay Scarpetta wymieniają między sobą. Joe może przekierowywać poszczególne pliki i listy elektroniczne, odczytywać zastrzeżone numery wszystkich osób, które kiedykolwiek miały do czynienia z akademią, siać spustoszenie w sieci. Jego szkolenie kończy się za miesiąc i nim odejdzie, a odejdzie z wielkim hukiem, być może uda mu się rozwalić akademię od środka i sprawić, by wszyscy, a w szczególności ten wielki osiłek Marino i apodyktyczna Kay Scarpetta, znienawidzili się nawzajem.

Joe ma także dostęp do linii telefonicznej detektywa, może w każdej chwili niepostrzeżenie aktywować głośnik w jego telefonie, zupełnie jakby miał włączony mikrofon w jego pokoju. Marino wszystko dyktuje, łącznie ze scenariuszami piekielnych scenek, a Rose zapisuje jego pomysły, bo on sam nie zna ortografii, ma okropny styl, prawie w ogóle nie czyta i praktycznie jest analfabetą.

Joe czuje, jak ogarnia go fala euforii, kiedy strąca popiół z cygara do pustej puszkę po coli i loguje się do systemu PBX. Podłącza się do linii telefonicznej detektywa i aktywuje mikrofon, by przekonać się, co porabia ten stary palant.

## Rozdział 23

**K**iedy doktor Scarpetta zgodziła się brać udział w projekcie PREDATOR jako konsultant do spraw medycyny sądowej, nie odnosiła się do niego ze zbytnim entuzjazmem. Ostrzegała Bentona, próbowała namówić go, by zrezygnował z tego pomysłu, tłumaczyła mu wielokrotnie, że badanych nie obchodzi, czy ktoś jest lekarzem, psychologiem czy profesorem Harvardu.

– Skręć ci kark albo rozbiją głowę o ścianę jak każdemu innemu ostrzegała. – Nie jesteś nietykalny, nie będą robić dla ciebie wyjątków.

– Stykam się z tymi ludźmi niemal całe życie – uspokajał ją. – To moja praca, Kay.

– Nigdy nie robiłeś czegoś takiego. Ani w Ivy Leag, ani w tym szpitalu psychiatrycznym, w którym nigdy nie leczono skazanych zbrodniarzy. Benton, ty nie zaglądasz w otchłań, ty zakładasz w niej winę i oświetlenie.

Kay słyszy teraz, jak Rose rozmawia w sąsiednim pokoju.

– Gdzieś ty się podziewał, do diabła? – pyta.

– Więc kiedy cię zabiorę na tę przejażdżkę? – odpowiada głośno Marino.



– Mówiłam ci już, nie wsiądę na tę diabelską maszynę. Wydaje mi się, że coś jest nie tak z twoim telefonem.

– Zawsze zastanawiałem się, jak byś wyglądała w skórzanej kurtce.

– Szukałam cię, ale nie było cię w biurze. Chyba że po prostu nie otwierałeś drzwi...

– Nie było mnie tam przez całe rano.

– Ale twoja linia się świeciła.

– Wcale nie.

– Owszem, kilka minut temu się świeciła.

– Znów mnie sprawdzasz? Jesteś naprawdę słodka, Rose.

Marino mówi coś jeszcze, jednak doktor Scarpetta nie słucha już jego gromkiego głosu, zajęta sprawdzaniem emaila, który dostała od Bentona. To wzór ogłoszenia, które ma się ukazać w „The Boston Globe” i w Internecie.

**POTRZEBUJEMY ZDROWYCH DOROSŁYCH OSÓB DO BADAŃ MRI** Wydział Medyczny Uniwersytetu Harvardzkiego i stowarzyszeni z nim naukowcy prowadzą obecnie badania nad strukturą i funkcjonowaniem mózgu u zdrowych dorosłych osób w centrum obrazowania mózgu w Belmont.

– Ruszaj się, doktor Scarpetta czeka, a ty znów jesteś spóźniony – mówi Rose, łając detektywa w stanowczy, lecz na swój sposób czuły sposób. – I przestań wreszcie znikać bez słowa wyjaśnienia.

Możesz wziąć udział w badaniu, jeśli: – jesteś mężczyzną w wieku od 17 do 45 lat, – możesz w najbliższym czasie umówić się na pięć wizyt w szpitalu MacLean, – nie miałeś poważnych urazów głowy ani nie zażywałeś narkotyków – nigdy nie stwierdzono u ciebie schizofrenii ani choroby dwubiegunowej.

Doktor Scarpetta przesuwa ogłoszenie na koniec, gdzie kryje się dopisek od Bentona.

*Nie masz pojęcia, ilu ludzi uważa się za całkiem normalnych.  
Ten cholerny śnieg mógłby wreszcie przestać sypać.  
Kocham Cię.*

W drzwiach pojawia się wielka sylwetka Marina.

– O co chodzi? – pyta.

– Zamknij drzwi, proszę – mówi Kay, sięgając po telefon.

Detektyw zamyka za sobą drzwi, przysuwa sobie krzesło i siada nieco z boku, żeby nie musiał patrzeć prosto na nią. Ona zna jego sztuczki, nieporadne manipulacje. Marino nie lubi rozmawiać z nią, kiedy siedzi po drugiej stronie jej wielkiego biurka, wolałby, by nic ich nie rozdzielałoby rozmawiali ze sobą jak równy z równym. Doktor Scarpetta wie sporo o psychologii biurowej, wie o niej znacznie więcej niż on.

– Daj mi minutkę – rzuca do Marina.

Ping-ping-ping-ping – pulsuje miarowo sygnał radiowy, który pobudza pole magnetyczne.

W laboratorium MRI badany jest właśnie mózg kolejnego „normalnego” człowieka.

– Jak tam u was z pogodą? – rzuca Kay Scarpetta przez telefon.

Doktor Lane wciska guzik interkomu.

– Wszystko w porządku? – pyta mężczyznę badanego w ramach projektu PREDATOR.

Mężczyzna twierdzi, że jest całkowicie normalny. Prawdopodobnie jednak nie. Nie ma pojęcia, że jego mózg będzie porównywany z mózgiem mordercy.

– Nie wiem – odpowiada zdenerwowany głos.

– Nie jest źle – mówi Benton do Kay. – Nie powinnaś mieć problemów, chyba że znowu coś ci się przydarzy. Ale jutro w nocy ma mocno padać...

Szszłee... szszłszee...

– Cholera, nic nie słyszę – irytuje się Benton.

Jakość połączenia jest fatalna. Czasami komórka w ogóle nie dzwoni, kiedy Benton siedzi w laboratorium. Wesley jest zirytowany, rozproszony, zmęczony. Badanie nie idzie dobrze. Nic nie idzie dzisiaj dobrze.

Doktor Lane jest zniechęcona. Josh tkwi przed monitorem znudzony.

– Nie sądzę, aby coś z tego wyszło – mówi do Bentona zrezygnowana doktor Lane. – Nawet z zatyczkami do uszu.

Dwaj mężczyźni odmówili już tego dnia udziału w badaniu, tłumacząc, że mają klaustrofobię, o czym zapomnieli wspomnieć, gdy przyjmowano ich do projektu. „Normalny” badany w tej chwili narzeka na hałas, mówi, że maszyna buczy jak sto elektrycznych gitar basowych z piekła rodem. Przynajmniej jest kreatywny.

– Zadzwoń przed wylotem – mówi Kay przez telefon. – Ogłoszenie jest w porządku jak każde.

– Dzięki za entuzjazm. Będziemy potrzebowali szerokiego odzewu.

Ofiar jest coraz więcej. Coś dziwnego musi chyba krążyć w powietrzu.

W dodatku mniej więcej co trzeci ochotnik, który twierdzi, że jest normalny, wcale normalny nie jest.

– Sama już nie wiem, co uważać za normalne, a co nie.

Benton zakrywa drugie ucho i chodzi po gabinecie, szukając najlepszego odbioru.

– Obawiam się, że szykują nam jakąś większą sprawę, Kay. Będziemy mieli sporo pracy.

– Jak pan sobie radzi? – pyta doktor Lane przez interkom.

- Nie najlepiej – odpowiada badany.
- Zawsze tak jest, kiedy mamy się spotkać – odpowiada Kay, przekrzykując jakieś okropne buczenie. – Pomogę ci, jeśli tylko będę umiała.
- Zaraz zwariuję – mówi głos normalnego badanego.
- To się nie uda. – Benton patrzy przez pleksyglas na człowieka po drugiej stronie magnesu.  
Mężczyzna porusza głową.
- Susan? – Benton spogląda wymownie na doktor Lane.
- Wiem – wzdycha lekarka. – Będę musiała to poprawić.
- Powodzenia. Moim zdaniem on ma już dość – odpowiada Benton.
- W porządku – mówi doktor Lane do badanego. – Kończymy na dzisiaj. Idę do pana.
- Przykro mi, ale dłużej tego nie zniosę – odpowiada jej umęczony głos mężczyzny.
- Szkoda. Kolejna porażka – mówi Benton do Kay, patrząc, jak doktor Lane wchodzi do pomieszczenia z magnesem i zmierza do badanego. – Straciłem właśnie dwie godziny na tego faceta i nic z tego. Zrezygnował.
- Josh? – zwraca się do podwładnego. – Zamów mu taksówkę.
- Czarna skóra skrzypi lekko, gdy Marino sadowi się wygodniej na krześle. Robi wszystko, by pokazać, jak swobodnie czuje się w tej sytuacji.
- Co to za ogłoszenie? – pyta, gdy doktor Scarpetta kończy rozmowę.
- Kolejny projekt badawczy Bentona.
- Aha. Co to za projekt? – wypytuje, jakby podejrzewał ją o jakiś podstęp.
- Badania neuropsychologiczne. Jak różni ludzie przetwarzają informacje różnego rodzaju, coś w tym stylu.

– Aha, jasne, wszystko rozumiem. Pewnie tak samo tłumaczą dziennikarzom, kiedy chcą, żeby się od nich odwalili. Po co mnie tu wezwałaś?

– Dostałeś moje wiadomości? Od niedzieli zostawiłam ci w sumie cztery.

– Tak, dostałem.

– Byłoby miło, gdybyś też na nie odpowiedział.

– Nie powiedziałaś, że to dziewięć-jeden-jeden.

Posługują się tym kodem od czasów, gdy zamiast komórek używano pagerów, nie zrezygnowali z niego i później, bo komórki nie były bezpieczne. Teraz Lucy ma kodery i Bóg wie jakie urządzenia, które chronią ich prywatność, mogą więc bezpiecznie zostawiać wiadomości głosowe.

– Nie zostawiam żadnych kodów, kiedy do ciebie dzwonię – mówi. Jak miałabym to robić? Powiedzieć „dziewięć-jeden-jeden” zaraz po sygnale?

– Chodzi mi o to, że nie zaznaczyłaś, że to coś pilnego. Czego chciałaś?

– Wystawiłaś mnie do wiatru. Mieliśmy się spotkać i porozmawiać o sprawie Swifta, pamiętasz?

Przygotowała też dla niego kolację, ale o tym już nie wspomina.

– Byłem zajęty.

– Możesz mi powiedzieć, co robiłeś i gdzie?

– Jeździłem na moim nowym motorze.

– Przez dwa dni? Nie zatrzymałeś się ani razu, żeby zatankować albo pójść do toalety? Nie znalazłeś czasu na jeden telefon? – Opada na oparcie swego skórzanego fotela i patrzy detektywowi prosto w oczy. – Jesteś niesubordynowany. Dlatego cię tu wezwałam.

– Dlaczego mam ci opowiadać, co robię?

– Bo kieruję wydziałem medycyny sądowej, choćby dlatego.

– A ja jestem szefem działu dochodzeniowego, który podlega pod wydział szkoleń i operacji specjalnych. Moim przełożonym jest Lucy, nie ty.

– Lucy nie jest twoim szefem.

– Chyba powinnaś z nią o tym porozmawiać.

– Dział dochodzeniowy jest częścią wydziału medycyny sądowej.

Nie jesteś agentem sił specjalnych, Marino. To mój wydział wypłaca ci pensję. Możesz być tego pewien.

Zamierza dobrać mu się do skóry, choć wie, że nie powinna.

Detektyw patrzy na nią w milczeniu, jego wielkie grube palce bębnią miarowo w oparciu krzesła. Zakłada nogę na nogę.

– Twoim zadaniem jest pomagać mi w dochodzeniu – ciągnie Kay. Jesteś osobą, na której najbardziej polegam.

– Powinnaś porozmawiać o tym z Lucy. – Powoli bębni palcami w oparciu i kołysze stopą, patrząc w dal, gdzieś za jej głową. – Ja mam ci mówić o wszystkim, choć ty nie mówisz mi nic – kontynuuje. – Robisz, co tylko zechcesz, i uważasz, że nie musisz mi się z niczego tłumaczyć.

Siedzę sobie tutaj i słucham twoich kłamstw, jakbym był ostatnim głupkiem, który niczego nie rozumie. Mówisz mi tylko to, co chcesz, i rozmawiasz ze mną, tylko kiedy ci to pasuje.

– To nie ja pracuję dla ciebie, Marino, tylko ty dla mnie – nie może powstrzymać się doktor Scarpetta.

– Doprawdy? – Pochyliła się nad biurkiem, jego twarz robi się czerwona. – Spytaj Lucy – mówi. – To miejsce należy do niej. To ona wypłaca nam wszystkim pensje. Spytaj ją.

– O ile dobrze pamiętam, spóźniłeś się na spotkanie dotyczące okoliczności śmierci Swifta. – Kay zmienia ton, starając się zażegnać kłótnię.

– A po co miałem się spieszyć? To ja znam najlepiej tę sprawę.  
– Mieliśmy nadzieję, że zechcesz podzielić się z nami informacjami.  
To dotyczy nas wszystkich.

– Akurat. Wszystko dotyczy wszystkich. Nic już nie należy do mnie.

Wszyscy mogą wykorzystywać moje stare sprawy, moje scenki. Rozpowiadasz wszystkim, co tylko zechcesz, i nie obchodzi cię wcale, jak ja się z tym czuję.

– To nieprawda. Uspokój się. Nie chciałabym, żebyś dostał wylewu.

– Słyszałaś o wczorajszej scenie? Jak myślisz, skąd on to wziął? Musi mieć dostęp do naszego archiwum.

– To niemożliwe. Dokumenty są dobrze strzeżone, a do kopii elektronicznych nikt postronny nie ma dostępu. Co do wczorajszej scenki, przyznam, że jest bardzo podobna...

– Podobna, cholera. Jest dokładnie taka sama.

– Marino, mówili o tym w wiadomościach. Te informacje można ciągle znaleźć w Internecie. Sprawdzalam.

Jego wielka czerwona twarz wpatruje się w nią intensywnie, twarz tak nieprzyjazna, że Kay z trudem ją rozpoznaje.

– Możemy przez chwilę porozmawiać o sprawie Johnny’ego Swifta? – pyta.

– Pytaj, o co chcesz – odpowiada ponurym tonem Marino.

– Nie wiem, czy mamy brać pod uwagę motyw rabunkowy. Tam był rabunek czy nie?

– Z domu nie zginęło nic wartościowego, ale nie wiemy, co sądzić o tej historii z kartą bankomatową.

– Jakiej historii z kartą?

– Tydzień po śmierci Swifta ktoś wyjął z jego konta dwa i pół tysiąca dolarów w gotówce, po pięćset dolarów z pięciu różnych bankomatów na

terenie Hollywood.

– Znaleźliście je?

Marino wzrusza ramionami.

– Tak. Korzystał tylko z bankomatów przy parkingach, pieniądze wybierał w różne dni i o różnych porach. Zanim bank zdążył poinformować Johnny’ego Swifta, który wtedy już nie żył, że coś dziwnego dzieje się z jego kontem, ktoś przestał się już w to bawić.

– Co z kamerami? Może udało się sfilmować tego człowieka?

– Przy żadnym z bankomatów, które wybrał, nie było kamer. Ten ktoś wiedział, co robi, pewnie to nie pierwszy raz.

– Laurel znał PIN do tej karty?

– Johnny nie miał jeszcze sprawnych rąk po operacji, więc Laurel musiał wszystko za niego robić, łącznie z wybieraniem gotówki z bankomatów.

– Ktoś inny mógł znać PIN?

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– Cóż, z punktu widzenia Laurela nie wygląda to najlepiej.

– Nie sądzę, żeby zabił swojego brata bliźniaka dla karty bankomatowej.

– Ludzie zabijają dla znacznie mniejszych rzeczy.

– Myślę, że to był ktoś inny, może ktoś, kogo Johnny niedawno poznał. Może ta osoba właśnie go zabiła i usłyszała, jak Laurel zajeżdża przed dom. Schowała się więc w pośpiechu, co wyjaśniałoby, dlaczego strzelba została na podłodze. Potem, kiedy Laurel wybiegł z domu, morderca chwycił strzelbę i uciekł.

– Ale właściwie dlaczego ta strzelba leżała na podłodze?

– Może facet chciał upozorować samobójstwo, a Laurel mu przeszkodził.

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem z pewnością było to zabójstwo.

– A ty chcesz powiedzieć, że nie?



– Zadaję tylko pytania.

Marino błądzi wzrokiem po gabinecie, po stertach dokumentów i teczek na biurku. Potem patrzy Kay prosto w oczy, a jego harde spojrzenie mogłoby ją wystraszyć, gdyby wcześniej już tak wiele razy nie widziała w jego oczach bólu i niepewności. Może wydaje się obojętny i daleki tylko dlatego, że goli swą łysiejącą głowę, i włożył sobie kolczyk w ucho. Codziennie ćwiczy na siłowni i wydaje się postawniejszy niż kiedykolwiek.

– Byłbym ci wdzięczny, gdybyś przejrzała moje scenki – mówi. Wszystkie, które kiedykolwiek wymyśliłem, są na tej płycie. Chciałbym, żebyś przyjrzała im się dokładnie. W samolocie i tak nie będziesz miała nic lepszego do roboty.

– A może jednak znajdę coś lepszego do roboty? – Kay próbuje się z nim podroczyć, trochę go rozweselić.

Bez powodzenia.

– Rose zebrała wszystkie, poczynając od pierwszej z zeszłego roku, i nagrała na płytę. Jest tutaj, w zamkniętej kopercie... – wskazuje na dokumenty leżące na jej biurku. – Może uda ci się na nie zerknąć. Jest tu też historia o zdeformowanej kuli, dzięki której odkryto, że ktoś strzelał do ofiary przez zamknięte okno. Ten kłamliwy gnojek... Przysięgam, że to moja historia.

– Poszukasz w Internecie informacji o badaniach balistycznych i z pewnością znajdziesz informacje o tym, jak wyglądają pociski po przejściu przez szybę samochodową, jestem tego pewna – mówi doktor Scarpetta. – Obawiam się, że mało jest już rzeczy, które moglibyśmy zachować tylko dla siebie.

– To gówniarz, który jeszcze przed rokiem nie miał pojęcia o świecie.

Nie może naprawdę znać się na tym, o czym pisze. To niemożliwe. Traktujesz mnie tak z powodu tego, co się stało na Trupiej Farmie, przyznaj

uczciwie, zrób dla mnie chociaż tyle.

– Masz rację – odpowiada. – Powinam była ci powiedzieć, że od tamtego czasu nie czytam twoich scenariuszy do scenek. Wszyscy przestaliśmy to robić. Powinam była usiąść i z tobą porozmawiać, ale byłeś taki rozjuszony, że woleliśmy nie wchodzić ci w drogę.

– Może gdyby ktoś zrobił cię tak jak mnie, też byłabyś rozjuszona.

– Joe nie był na Trupiej Farmie ani nawet w Knoxville, kiedy to się stało – przypomina mu Scarpetta. – Wyjaśnij mi więc, proszę, jak mógł wsunąć strzykawkę do kieszeni trupa.

– Ta scenka miała oswoić studentów z widokiem prawdziwego, gnijącego ciała. Mieliśmy się też przekonać, czy potrafią się przemóc i wyjąć z ubrania truposza różne materiały dowodowe. Brudna strzykawka nie była przewidziana w scenariuszu. Podłożył ją tam, żeby mnie zrobić.

– Nie wszyscy na świecie myślą tylko o tym, jak cię zrobić.

– Jeśli mnie nie zrobił, to dlaczego ta dziewczyna nie podała sprawy do sądu? Bo to ściema, właśnie dlatego. Ta igła nie była zakażona AIDS, nigdy nie była używana. Małe niedopatrzenie ze strony dupka.

Doktor Scarpetta wstaje od biurka.

– Znacznie ważniejsze wydaje mi się teraz to, co mam zrobić z tobą – mówi, zamykając aktówkę.

– Ja nie mam żadnych sekretów – mówi Marino, przyglądając jej się uważnie.

– Masz mnóstwo sekretów. Prawie nigdy nie wiem, gdzie jesteś ani co robisz.

Kay ściąga z wieszaka żakiet. Detektyw wciąż ją obserwuje. Przestaje wreszcie bębnić palcami o oparcie krzesła. Skórzana kurtka skrzypi lekko, kiedy Marino podnosi się z krzesła.

– Benton musi się czuć jak wielka figura, pracując z tymi wszystkimi mózgami z Harvardu – mówi, nie po raz pierwszy. – Wszyscy ci naukowcy i ich wielkie sekrety.

Doktor Scarpetta, z ręką na klawiszu, zatrzymuje się w pół kroku i patrzy nań ze zdumieniem. Może ona też popada w paranoję.

– Taaa... To musi być naprawdę ekscytujące. Ale gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, powiedziałbym, że to strata czasu.

Nie, on nie może robić aluzji do PREDATORA.

– Nie wspominając o marnowaniu pieniędzy, które z pewnością można by wydać znacznie lepiej. Po prostu nie mogę pogodzić się z myślą, że traci się tyle kasy i energii na takie kanale.

Nikt postronny nie może wiedzieć o PREDATORZE, nikt prócz zespołu badawczego, dyrektora szpitala i kilku pracowników więziennych. Nawet uczestnicy projektu, „normalni” uczestnicy badań, nie znają jego nazwy ani celu. Marino nie może więc o nim wiedzieć, chyba że włamał się jakoś do jej poczty elektronicznej albo do szafki, w której trzyma dokumenty. Po raz pierwszy przychodzi jej do głowy myśl, że jeśli ktoś w akademii narusza reguły bezpieczeństwa, to właśnie on.

– O czym ty mówisz? – pyta cicho.

– Powinnaś chyba bardziej uważać, kiedy przesyłasz dalej pliki, sprawdzać, czy nie ma przy nich jakichś załączników – odpowiada.

– O jakich plikach mówisz?

– O notatkach, które spisałaś po pierwszym spotkaniu z niejakim Dave'em w sprawie śmierci dziecka, które rzekomo spadło z łóżka.

– Nie przesyłałam ci żadnych notatek.

– Pewnie, że przesyłałaś. W zeszły piątek, ale otworzyłem je dopiero w niedzielę, po spotkaniu z tobą. Notatki dołączone przypadkowo do listu,

który wysłał do ciebie Benton. Do listu, który z pewnością nie był przeznaczony dla moich oczu.

– Nie zrobiłam tego – obstaje przy swoim Kay, coraz bardziej zaniepokojona. – Niczego ci nie wysyłałam.

– Z pewnością nie celowo. To zabawne, jak często kłamstwa wychodzą na jaw przez głupią pomyłkę – mówi Marino, a w tej samej chwili ktoś puka lekko do drzwi.

– Dlatego nie przyjechałeś do mnie w niedzielę? Dlaczego nie przyszedłeś na spotkanie w sprawie Dave’a wczoraj rano?

– Przepraszam – odzywa się Rose zza uchylonych drzwi. – Któreś z was musi się tym chyba zająć.

– Mogłeś coś powiedzieć, dać mi szansę na obronę – wyrzuca mu Kay. – Może nie zawsze o wszystkim ci mówię, ale nie kłamię.

– Przemilczanie prawdy to też kłamstwo.

– Przepraszam – próbuje ponownie Rose.

– PREDATOR – mówi do Kay Marino. – Ciekawe, co możesz mi powiedzieć na ten temat.

– Pani Simister – przerywa im wreszcie Rose. – Chodzi o kobietę z kościoła. Ta pani Simister dzwoniła już wcześniej. Przepraszam, ale to chyba pilne.

Marino nie rusza się z miejsca, jakby chciał dać doktor Scarpeticie do zrozumienia, że nie pracuje dla niej, że może sama odebrać telefon.

– A niech to... – mruczy zirytowana i wraca za biurko. – Przełącz ją do mnie.

## Rozdział 24

**M**arino wkłada ręce do kieszeni dżinsów i opiera się o futrynę, patrząc, jak Kay rozmawia z panią Simister, kimkolwiek jest ta kobieta.

Dawniej lubił godzinami przesiadywać w gabinecie doktor Scarpetty i słuchać jej, pijąc kawę i paląc papierosy. Bez skrupowania pytał ją o to, czego nie rozumiał, cierpliwie czekał, jeśli ktoś im przeszkodził, co zdarzało się bardzo często. Nie denerwował się, kiedy się spóźniała.

Teraz wszystko wygląda inaczej, i jest to tylko jej wina. Nie zamierza na nią czekać. Nie chce, by cokolwiek mu tłumaczyła, i wolałby raczej nic nie wiedzieć, niż zadać jej jakieś pytanie związane z medycyną, nawet gdyby umierał, a kiedyś pytał ją o wszystko, co go ciekawiło. Potem go zdradziła. Upokorzyła go, zrobiła to celowo, a teraz robi to ponownie, choć próbuje zaprzeczać. Zawsze naginała prawdę do swoich potrzeb, krzywdziła innych w imię logiki i nauki, jakby myślała, że jest taki głupi i tego nie dojrzy.

To samo stało się z Doris. Pewnego dnia wróciła do domu zapłakana, a on nie wiedział, czy jest zła czy smutna, wiedział tylko, że jest poruszona, i że jeszcze nie widział jej w takim stanie.

„Co się stało? Będzie musiał wyrwać ci ząb?” – spytał, popijając piwo w swoim ulubionym fotelu i oglądając wiadomości.

Doris usiadła na sofie i załkała.

„Cholera. Co się stało, kochanie?”.

Zakryła twarz i zaczęła szlochać tak, jakby ktoś miał zaraz umrzeć, Marino usiadł więc obok niej i objął ją. Tulił ją przez kilka minut, aż wreszcie zażądał kategorycznie, by powiedziała mu, co się stało, do ciężkiej cholery.

„Dotykał mnie – powiedziała Doris, wciąż płacząc. – Wiedziałam, że nie powinien tego robić, i pytałam go wciąż dlaczego, ale on mówił tylko, żeby się rozluźnić, że jest lekarzem, w głębi duszy wiedziałam, co on robi, ale się bałam. Powinnam była się postawić, powinnam była powiedzieć nie, ale nie wiedziałam po prostu, co robić”. Potem wyjaśniła mu, że dentysta czy też specjalista od leczenia kanałowego czy jak tam ten gnojek kazał się nazywać, powiedział, że Doris ma prawdopodobnie infekcję ogólnoustrojową wywołaną złamaniem korzenia, i że musi sprawdzić jej gruczoły. Takiego właśnie słowa użył według Doris.

Gruczoły.

– Proszę poczekać – mówi doktor Scarpetta do pani Simister. Przełączę panią na głośnik. Tak się składa, że obok mnie siedzi właśnie detektyw.

Spogląda znacząco na Marina, dając mu do zrozumienia, że niepokoi się tym, co właśnie usłyszała, a on stara się nie myśleć więcej o Doris. Często ją wspomina i wydaje się, że im jest starszy, tym lepiej pamięta, co między nimi zaszło i co czuł, kiedy dentysta jej dotykał, co czuł, kiedy odeszła z tym sprzedawcą samochodów, z jakimś cholernym dupkiem. Wszyscy go opuszczają. Wszyscy go zdradzają. Wszyscy chcą tego, co on ma. Wszyscy myślą, że jest zbyt głupi, by przejrzeć ich spiski i manipulacje. Przez

ostatnich kilka tygodni było tego tak wiele, że bał się, iż więcej już nie znieśie.

I teraz to. Ona kłamie, nie chce mu opowiedzieć o badaniach Wesleya. Wyklucza go. Poniża. Robi to, co w danej chwili najlepiej służy jej celom, traktuje go jak śmiecia.

– Niestety, nie mam zbyt wielu informacji – mówi pani Simister, sądząc po głosie bardzo już wiekowa kobieta. – Wciąż mam nadzieję, że nie wydarzyło się nic złego, ale dręczą mnie złe przeczucia. To takie smutne, że policja wcale się tym nie przejmuje.

Marino nie ma pojęcia, kim jest pani Simister ani o czym mówi, ani też dlaczego dzwoni do Narodowej Akademii Medycyny Sądowej. Nie może przestać myśleć o Doris. Żałuje, że nie rozprawił się wtedy inaczej z tym cholernym dentystą czy kim tam on był, że tylko go postraszył.

Powinien był obić mordę temu dupkowi i na dokładkę połamać mu jeszcze kilka palców.

– Proszę wyjaśnić detektywowi Marino, dlaczego uważa pani, że policja nie interesuje się tą sprawą – mówi Kay do telefonu.

– Po raz ostatni widziałam tam jakieś oznaki życia w czwartek wieczorem, a kiedy zrozumiałam, że wszyscy zniknęli bez śladu, zadzwoniłam od razu na dziewięćset jedenaście. Przysłali tam jakiegoś policjanta, a ten wezwał jakąś panią detektyw. Wcale się nie przejęła tym, co jej powiedziałam.

– Mówi pani o policji z Hollywood? – dopytuje się Scarpetta, spoglądając na Marina.

– Tak. To była detektyw Wagner.

Detektyw przewraca oczami. To niewiarygodne. Jakby mało miał ostatnio pecha.

– Mówi pani o Rebie Wagner? – pyta.

– Co takiego? – dopytuje się starczy głos.

Podchodzi bliżej telefonu i powtarza pytanie.

– Wiem tylko, że na jej legitymacji były inicjały R. T, więc mogła to być Reba.

Marino ponownie przewraca oczami i stuka się palcem w głowę, pokazując, że detektyw R. T. Wagner jest głupia jak but.

– Rozejrzała się po podwórku i stwierdziła, że nie widzi żadnych śladów przestępstwa. Uznała, że wyprowadzili się sami, i w takiej sytuacji policja nie może nic zrobić.

– Zna pani tych ludzi? – pyta Marino.

– Mieszkam po drugiej stronie kanału, naprzeciwko nich. I chodzę do ich kościoła. Po prostu czuję, że stało się tam coś złego.

– Rozumiem – wtrąca doktor Scarpetta. – Czego pani od nas oczekuje, pani Simister?

– Żebyście chociaż rzucili okiem na ten dom. Chodzi o to, że wynajmuje go kościół i od czasu ich zniknięcia wszystko tam jest zamknięte. Według umowy wymówienie wynajmu trzeba zgłosić trzy miesiące wcześniej, ale właściciel mówi, że odstąpi od tego, bo ma już nowych chętnych na dom. Kilka pań z kościoła chce się tam wybrać jutro rano i zacząć pakować ich rzeczy. Co się wtedy stanie ze wszystkimi śladami?

– Rozumiem – powtarza doktor Scarpetta. – Powiem pani, co zrobimy. Zadzwonimy do detektyw Wagner. Nie możemy wejść do tego domu bez pozwolenia policji. Nie mamy takich kompetencji, chyba że śledczy sami poproszą nas o pomoc.

– Rozumiem – mówi tym razem pani Simister. – Dziękuję pani bardzo. Proszę, zróbcie coś.

– W porządku, pani Simister. Skontaktujemy się z panią. Potrzebujemy numeru pani telefonu.



– Aha – mruczy Marino, kiedy Kay kończy rozmowę. – Pewnie jakaś stuknięta dewota.

– Może byś zadzwonił do tej detektyw Wagner, wygląda na to, że się znacie – mówi doktor Scarpetta.

– Pracowała kiedyś w drogówce, jeździła na motocyklu. Głupia jak stołowa noga, ale nieźle sobie radziła z maszyną. Nie mogę uwierzyć, że została detektywem.

Wyciąga swoje Treo, choć wcale nie ma ochoty rozmawiać z Reba, i po raz kolejny próbuje przestać myśleć o Doris. Mówi dyżurnemu policjantowi, aby detektyw Wagner jak najszybciej się z nim skontaktowała. Kończy rozmowę i rozgląda się po gabinecie, patrzy wszędzie tylko nie na doktor Scarpettę, myśli o Doris i dentyście, czy jak się tam ten dupek nazywał, i o sprzedawcy samochodów. Myśli o tym, jak dobrze byłoby obić tego draba, obić go do nieprzytomności, a nie upić się, wpaść do jego gabinetu i kazać mu wyjść do poczekalni pełnej pacjentów i wyjaśnić, dlaczego uważał, że należało zbadać cycki jego żony i jaki związek mogą mieć cycki z kanałowym leczeniem zębów.

– Marino?

Nie może zrozumieć, dlaczego ta historia wciąż go dręczy, po tylu latach. Nie rozumie, dlaczego tyle rzeczy nagle znów zaczęło go dręczyć.

Ostatnie tygodnie były prawdziwym piekłem.

– Marino?

Wraca do rzeczywistości, spogląda pytająco na doktor Scarpettę i w tej samej chwili słyszy, że dzwoni jego komórka.

– Tak? – odbiera.

– Mówi detektyw Wagner.

– Oficer śledczy Pete Marino – przedstawia się, jakby jej nie znał.

– Czego pan sobie życzy, detektywie Marino? – Ona także zachowuje się tak, jakby go nie znała.

– Mieliście zgłoszenie o zaginionej rodzinie z okolic West Lake. Podobno wszyscy zniknęli w czwartek w nocy.

– Skąd pan o tym wie?

– Istnieje podejrzenie, że mogło dojść do przestępstwa. Słyszałem też, że pani jednostka nie jest zbyt pomocna.

– Zajęlibyśmy się tym natychmiast, gdybyśmy tylko przypuszczali, że zachodzi taka potrzeba. Skąd ma pan te informacje?

– Od pewnej starszej pani z miejscowego kościoła. Zna pani nazwiska ludzi, którzy rzekomo zniknęli z tego domu?

– Chwileczkę... To dziwne nazwiska, Eva Christian i Crystal albo Christine Christian. Coś takiego. Nie mam pamięci do nazwisk.

– A może Christian Christian?

Doktor Scarpetta i Marino spoglądają na siebie.

– Tak, być może właśnie coś takiego. Nie mam przy sobie notatek.

Jeśli chce pan się tym zająć, proszę bardzo. Mój wydział nie zamierza tracić czasu na sprawy, w których nie ma absolutnie żadnych dowodów...

– Jasne, rozumiem – przerywa jej bezceremonialnie Marino. – Podobno jacyś ludzie z kościoła mają jutro zabrać się do pakowania rzeczy z tego domu, więc jeśli chcemy go wcześniej obejrzeć, musimy się pospieszyć.

– Zniknęli ledwie kilka dni temu, a kościół już chce pakować ich rzeczy? Moim zdaniem, kościół wie, że oni po prostu wynieśli się z miasta i nie wrócą. A co pan o tym myśli?

– Myślę, że powinniśmy się upewnić – odpowiada Marino.

Mężczyzna za ladą, starszy dystyngowany pan, zupełnie nie odpowiada oczekiwaniom Lucy. Spodziewała się ujrzeć tu kogoś, kto wygląda jak emerytowany surfer o ogorzalej skórze pokrytej dziesiątkami tatuaży.

Właśnie taka osoba powinna jej zdaniem pracować w sklepie z artykułami plażowymi.

Odkłada aparat i przegląda duże kolorowe koszule we wzory, wśród których królują rekiny, kwiaty, palmy i inne tropikalne motywy. Przygląda się słomianym kapeluszom, plastikowym kłapkom, okularom przeciwsłonecznym i olejkom do opalania. Nie zamierza kupić żadnej z tych rzeczy, choć bardzo by chciała. Przechadza się po sklepie, czekając, aż dwaj inni klienci wyjdą. Myśli o tym, jak bardzo chciałaby mieć te same problemy co wszyscy dokoła, zastanawiać się nad wyborem stroju kąpielowego i cieszyć z tego, jak atrakcyjnie wygląda w nim jej półnagie ciało.

– Ma pan może olejki z tlenkiem cynku? – pyta jeden z klientów Larry’ego, który siedzi za ladą.

Larry ma gęste siwe włosy i starannie przystrzyżoną brodę, skończył sześćdziesiąt dwa lata, urodził się na Alasce, jeździ dżipem, nigdy nie miał własnego domu, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku został aresztowany za pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego.

Prowadzi sklep Beach Bums od dwóch lat.

– Nikt już tego nie używa – tłumaczy klientowi.

– Owszem, ja używam. Nie niszczy skóry jak te inne emulsje. Jestem chyba uczulony na aloes.

– W tych kremach nie ma aloesu.

– Ma pan szkła Maui Jim’s?

– Za drogie, kochany. Mamy tylko te okulary, które są na wystawie.

Lucy czeka cierpliwie, aż obaj klienci dokonają zakupów i wyjdą.

Potem podchodzi do lady.

– W czym mogę pani pomóc? – pyta Larry, spoglądając na jej ubranie. – Co jest, uciekła pani prosto z „Mission Impossible”?

– Przyjechałam tu na motocyklu.

– Cóż, w takim razie ma pani więcej rozumu niż większość tych facetów.

Proszę tylko wyjrzeć za okno. Wszyscy w koszulkach, bez kasków.

Niektórzy w klapkach.

– Pan pewnie jest Larry.

Spogląda na nią, zaskoczony.

– Była tu pani już kiedyś? Nie pamiętam pani, a mam dobrą pamięć do twarzy.

– Chciałabym porozmawiać o Florrie i Helen Quincy – odpowiada Lucy.

– Ale najpierw musi pan zamknąć sklep.

Harley davidson screaming eagle deuce stoi na samym końcu parkingu. Marino przygląda mu się podejrzliwie, a potem przyspiesza kroku.

– Pieprzony skurwieli. – Podrywa się do biegu.

Wykrzykuje przekleństwa tak głośno, że Link, dozorca, zajęty właśnie pieleniem rabat, odkłada narzędzia i zrywa się na równe nogi.

– Hej, co się panu stało?

– Pierdolona gnida! – ryczy Marino.

W przednim kole jego nowego motocykla nie ma powietrza, chromowana obręcz opiera się o ziemię. Marino pochyla się nad kołem i ogląda oponę. Rozwścieczony szuka gwoźdźcia lub jakiegoś ostrego kawałka metalu, który mógł ją przebić, kiedy detektyw jechał rano do pracy. Kręci kołem i w końcu znajduje otwór, podejrzanie duży, jakby ktoś wbił w gumę nóż albo jakieś inne ostre narzędzie.

Tym narzędziem mógł być równie dobrze skalpel chirurgiczny. Marino rozgląda się dokoła, szukając wzrokiem Joe Amosa.

– Tak, zauważyłem to już wcześniej – mówi Link, podchodząc do niego i wycierając ręce w brudne ogrodniczki.

– Dzięki, że dałeś mi znać – mówi Marino gniewnie, sięgając do sakwy, w której wozi zestaw do łatania opon. Myśli o Joe Amosie i czuje, jak wypełniający go gniew rośnie z każdą chwilą.

– Musiał pan wjechać na jakiś gwóźdź – mówi Link, pochylając się nad kołem. – Nie wygląda to dobrze.

– Widziałeś może, czy ktoś się kręcił koło mojego motoru? Gdzie są te cholerne łatki?

– Byłem tu przez cały dzień i nie widziałem, żeby ktoś podchodził do pańskiego motoru. Piękna maszyna. Ciekawe, jaki ma silnik, pewnie z tysiąc czterysta pojemności, co? Jeździłem kiedyś Springerem, aż jakiś dupek zajechał mi drogę i wylądowałem na jego masce. Zabrałem się do pielienia tych klombów koło dziesiątej. Wtedy już miał pan kapcia.

Marino zastanawia się przez chwilę. Przyjechał do pracy gdzieś między dziewiątą pięćdziesiąt a dziesiątą trzydzieści.

– Przy takiej wielkiej dziurze powietrze natychmiast uszłoby z opony, a przecież kiedy kupowałem pączki, wszystko było jeszcze w porządku, kiedy wjeżdżałem na parking, też nic się nie działo – mówi. – To musiało się stać już po tym, jak tu zaparkowałem.

– Hm, nie podoba mi się to.

Marino rozgląda się dokoła, myśląc o Joe Amosie. Zabije go. Jeśli ten dupek dotykał jego motoru, jest już martwy.

– Nie chce mi się w to wierzyć – mówi Link. – Ktoś musiałby być naprawdę bezczelny, żeby wejść tutaj w biały dzień i zrobić coś takiego.

– Do cholery, gdzie to jest? – mówi Marino, zaglądając do drugiej sakwy. – Masz coś, czym można by to zakleić? Szlag by to trafił! – Grzebie zdenerwowany w worku. – Pewnie i tak nic by z tego nie wyszło, ta cholerna dziura jest za duża!

Będzie musiał zmienić oponę. W hangarze jest kilka zapasowych.

– A co z Joe Amosem? Widziałeś go dzisiaj? Pokazywał gdzieś tutaj swoją wredną mordę?

– Nie.

– Żaden student?

Studenci go nienawidzą. Wszyscy, jak jeden mąż.

– Nie – odpowiada stanowczo Link. – Na pewno bym zauważył, gdyby ktoś wszedł na parking i robił coś przy pańskim motorze albo przy którymś samochodzie.

– Naprawdę nikogo nie widziałeś? – nie daje za wygraną detektyw, a potem zaczyna podejrzewać, że może sam Link miał z tym coś wspólnego.

Prawdopodobnie nikt w akademii nie lubi Marina. Prawdopodobnie pół świata jest zazdrosne o jego podrasowanego harleya. Widzi przecież, jak ludzie na niego patrzą, a nawet jadą za nim na stację benzynową, by lepiej się przyjrzeć maszynie.

– Będzie pan musiał zaprowadzić go do warsztatu przy hangarze mówi Link. – Chyba że chce pan wsadzić go na jedną z tych przyczep, których używa Lucy do swoich wrodów.

Marino myśli o bramach przy bocznym i tylnym wejściu do akademii. Nie wejdzie tamtędy nikt, kto nie zna kodu. Musiał to więc zrobić ktoś z wewnątrz. Znów myśli o Joe Amosie i uświadamia sobie ważną rzecz. Joe był na zebraniu. Siedział już tam i wymądrzał się, kiedy Marino wszedł do sali.

## Rozdział 25

**P**omarańczowy dom z białym dachem został zbudowany w tej samej dekadzie, w której urodziła się Kay Scarpetta, w latach pięćdziesiątych. Wyobraża sobie mieszkających tutaj ludzi i czuje ich brak, kiedy przechadza się po ogródku z tyłu.

Nie może przestać myśleć o człowieku, który przedstawił się jako Krab, o jego zagadkowych uwagach dotyczących Johnny'ego Swifta i Christiana Christiana, jak zapamiętał to Marino. Doktor Scarpetta jest pewna, że w rzeczywistości Krab powiedział Kristin Christian.

Johnny nie żyje. Kristin zaginęła. Kay już nieraz myślała o tym, że w południowej Florydzie jest mnóstwo miejsc, gdzie można ukryć martwe ciało, mnóstwo bagien, kanałów, jezior i rozległych lasów sosnowych.

Ciało rozkłada się szybko w klimacie podzwrotnikowym, żerują na nim owady, zwierzęta ogryzają kości i rozrzucają je na dużym obszarze. Ciało rozkłada się także szybko w wodzie, a sól morską wypłukuje minerały z kości i rozpuszcza je w bardzo krótkim czasie.

Kanał za domem ma kolor zakrzepłej krwi. W brunatnej, stojącej wodzie pływają liście przypominające odłamki rozrzucone przy eksplozji. Zielone i brązowe orzechy kokosowe kołyszą się niczym odcięte głowy. Słońce

wygląda co chwila zza burzowych chmur, powietrze jest ciężkie i wilgotne, podnosi się wiatr.

Detektyw Wagner woli, jak mówi się do niej Reba. Jest atrakcyjna i seksowna na swój ogorzały, nieco przekwitły sposób. Ma jasnoniebieskie oczy i włosy ufarbowane na platynowy blond. Wcale nie robi wrażenia głupiej jak but. Z pewnością jest niedoświadczona, ale się stara.

Doktor Scarpetta zastanawia się, czy powiedzieć jej o anonimowym telefonie dotyczącym Kristin Christian.

– Przebywają tutaj już od jakiegoś czasu, ale nie są zameldowane mówi Reba o dwóch siostrach, mieszkających w opuszczonym domu z dwoma chłopcami, nad którymi sprawują opiekę. – Pochodzą z RPA.

Ci dwaj chłopcy też, więc pewnie dlatego się nimi zaopiekowały. Moim zdaniem wszyscy czworo po prostu się stąd wynieśli.

– A dlaczego właściwie miałyby się stąd wynosić i uciekać, dajmy na to, do Afryki? – pyta doktor Scarpetta, patrząc na wąski, ciemny kanał.

Wilgotne powietrze napiera na nią niczym ciepła, lepka dłoń.

– Przypuszczam, że chciały zaadoptować chłopców, a nie miały na to większych szans.

– Dlaczego?

– Zdaje się, że krewni chłopców z RPA chcą zabrać ich do siebie, czekali tylko, aż przeprowadzą się do większego domu. Poza tym siostrzyczki mają fioła na punkcie religii, co też przemawia przeciwko nim.

Doktor Scarpetta spogląda na budynki po drugiej stronie kanału, na jasnozielone trawniki i małe, błękitne baseny. Nie wie, który dom należy do pani Simister, i zastanawia się, czy Marino jeszcze z nią rozmawia.

– Ile lat mają chłopcy? – pyta.

– Siedem i dwanaście.

Kay spogląda w swój notatnik i przerzuca kilka stron.



– Eva i Kristin Christian. Nie wiem do końca, dlaczego się nimi opiekują. – Zawsze pamięta o tym, by mówić o zaginionych ludziach w czasie teraźniejszym.

– Nie „Eva”, tam nie ma „a” – prostuje Reba.

– Ev czy Eve?

– Ev jak w Evelyn, tylko dwie pierwsze litery. Ani „e”, ani „a”. Po prostu „Ev”.

Kay zapisuje „Ev” w swoim czarnym notesie. Co za imię, myśli.

Patrzy na kanał. Blask słońca nadaje wodzie kolor mocnej herbaty.

Ev i Kristin Christian. Dziwne imiona dwóch religijnych kobiet, które zniknęły jak duchy. Słońce chowa się za chmurę i woda znów ciemnieje.

– Ev i Kristin Christian to ich prawdziwe imiona i nazwisko? – pyta Rebę. – Jesteśmy pewni, że to nie pseudonimy? Przypadkiem nie zmieniły ich kiedyś, żeby nadać im bardziej religijny charakter? – Spogląda na drugi brzeg kanału, na domy, które wyglądają teraz tak, jakby narysowano je kolorową kredą.

Patrzy na postać w ciemnych spodniach i białej koszuli wchodzącą do czyjegoś ogrodu, być może właśnie ogrodu pani Simister.

– O ile nam wiadomo, są to ich prawdziwe imiona – odpowiada Reba, patrząc w tę samą stronę co doktor Scarpetta. – Wszędzie pełno tych inspektorów od zarazy. Polityka. Chodzi tylko o to, żeby ludzie nie hodowali cytrusów w swoich ogródkach i musieli wszystko kupować.

– Wcale nie. Zaraza to ogromne zagrożenie dla drzew cytrusowych.

Jeśli jej nie zwalczymy, już nikt nie będzie miał cytrusów w ogródku.

– To spisek. Słuchałam tego, co mówili w radiu wszyscy ci komentatorzy. Słucha pani czasem doktor Self? Powinna pani posłuchać, co ona ma do powiedzenia na ten temat.

Kay nigdy nie słucha doktor Self, jeśli nie musi. Obserwuje ogród po drugiej stronie kanału. Widzi tam inspektora, który przykuca w wysokiej trawie i sięga do jakiejś torby. Wyciąga z niej coś.

– Ev Christian jest pastorem czy księdzem, czy jak tam ich zwa, w jakimś małym kościele... sprawdzę, jak się nazywa, bo to dość dziwaczna nazwa – mówi Reba, przerzucając kartki notatnika. – O jest.

Prawdziwe Córki Bożej Pieczęci.

– Nigdy nie słyszałam o takim wyznaniu – komentuje ironicznie doktor Scarpetta, zapisując nazwę w swoim notesie. – A Kristin? Czym ona się zajmuje?

Inspektor wstaje i składa coś, co wygląda jak przyrząd do zrywania owoców. Wsuwa go między gałęzie drzewa i zdejmuje grejpfrut, który ląduje w trawie.

– Kristin także pracuje w tym kościele. Jest asystentką, pomaga Ev w odprawianiu nabożeństw. Rodzice dzieciaków zginęli rok temu w wypadku, jechali skuterem, wie pani, taką małą vespą.

– Gdzie?

– W RPA.

– A skąd pochodzi ta informacja? – pyta Scarpetta.

– Od kogoś z ich kościoła.

– Macie więcej informacji o tym wypadku?

– Jak już mówiłam, stało się to w RPA – wyjaśnia Reba. – Próbowaliśmy się dowiedzieć czegoś więcej, ale na razie bez skutku.

Doktor Scarpetta wciąż się zastanawia, czy powinna jej powiedzieć o dziwnym telefonie od Kraba.

– Jak się nazywają ci chłopcy? – pyta.

– David i Tony Luck. Zabawne, kiedy się nad tym zastanowić. Luck, jak szczęście.

- Nie współpracujecie z policją w RPA? Gdzie to się właściwie stało?
- W Kapsztadzie.
- Siostry też stamtąd pochodzą?
- Tak. Po śmierci rodziców zabrały chłopców do siebie. Ich kościół jest o jakieś dwadzieścia minut drogi od Davie Boulevard, tuż obok tego alternatywnego sklepu ze zwierzętami, choć właściwie co to za zwierzęta...
- Kontaktowaliście się z biurem lekarza sądowego w Kapsztadzie?
- Jeszcze nie.
- Mogę wam w tym pomóc.
- Świetnie. A ten sklep to naprawdę dziwactwo, pająki, skorpiony, jadowite żaby, małe szczury do karmienia węży – krzywi się Reba.
- Nigdy nie pozwalam robić ludziom zdjęć w moim sklepie, chyba że komuś z policji. Miałem tu kiedyś włamanie. Dość dawno temu – tłumaczy Larry ze swojego miejsca za ladą.

Za oknem słyhać pomruk samochodów na Al i szum oceanu. Zaczął padać drobny deszcz, zwiastun burzy zmierzającej na południe. Lucy myśli o tym, co przed kilkoma minutami powiedział jej Marino, o domu i jego zaginionych mieszkańcach i o przebitej oponie, o której mówił oczywiście najdłużej. Myśli też o tym, co może robić teraz jej ciotka, i o burzy kierującej się w stronę Miami.

– Oczywiście, że dużo słyszałem o tej sprawie. – Larry wraca do tematu Florrie i Helen Quincy, zakończywszy długą dygresję na temat tego, jak bardzo zmieniła się Floryda i czy nie lepiej w związku z tym wrócić na Alaskę. – Wiadomo, ludzie z czasem coraz bardziej wszystko wyolbrzymiają. Wolałbym jednak, żeby pani niczego nie nagrywała mówi któryś raz z kolei.

– To sprawa policyjna – powtarza swą odpowiedź Lucy. – Poproszono mnie, żebym dyskretnie zajęła się tą sprawą.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie jest pani reporterką czy kimś takim?
- Byłam agentką FBI, ATF Słyszał pan kiedyś o Narodowej Akademii Medycyny Sądowej?
- Mówi pani o tym wielkim centrum szkoleniowym w Everglades?
- Właściwie to nie jest w Everglades. Mamy prywatne laboratoria i ekspertów, współpracujemy z większością jednostek policyjnych na Florydzie. Pomagamy im w razie potrzeby.
- Chyba to sporo kosztuje. A płacą pewnie podatnicy, tacy jak ja.
- Niezupełnie. W zamian dostajemy granty, usługi. Oni nam pomagają, my ich szkolimy. Usługi za usługi.

Sięga do tylnej kieszeni, wyjmując czarny portfel i podaje go Larry'emu. Mężczyzna przegląda jej dokumenty: fałszywy dowód i odznakę detektywa, która warta jest tyle, co mosiądz, z którego ją zrobiono, bo także jest fałszywa.

- Nie ma tu zdjęcia – zauważa w końcu Larry.
  - Bo to nie prawo jazdy.
- Głośno odczytuje jej fikcyjne imię i nazwisko, nazwę jednostki oddziałów specjalnych.
- Zgadza się. – Lucy kiwa głową.
  - Cóż, skoro pani tak mówi. – Oddaje jej portfel.
  - Proszę mi powiedzieć, co pan słyszał. – Lucy ustawia kamerę na ladzie.

Spogląda na zamknięte drzwi, na młodą parę w skąpych kostiumach, która próbuje wejść do środka. Zaglądają do wnętrza przez szybę, a Larry kręci głową. Nie, nie jest otwarte.

- Przez panią tracę klientów – mówi do Lucy, ale nie wydaje się szczególnie zmartwiony. – Kiedy przejmowałem ten lokal, nasłuchiwałem się sporo o zniknięciu Quincy. Podobno przychodziła tu zawsze o siódmej

trzydzieści, żeby przed otwarciem uruchomić wszystkie elektryczne kolejki, zaświecić lampki na choinkach, włączyć muzykę i tak dalej. Tego dnia w ogóle nie otworzyła sklepu. Na drzwiach ciągle wisiał napis „zamknięte”, aż w końcu jej syn się zaniepokoił i zaczął szukać ich obu.

Lucy sięga do kieszeni i wyciąga czarny długopis i mały notes.

– Chciałabym zanotować kilka rzeczy, mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko?

– Proszę nie brać wszystkiego, co mówię, za pewnik. Nie było mnie tutaj, kiedy się to wydarzyło, powtarzam tylko to, co słyszałem.

– Podobno pani Quincy zawsze zamawiała jedzenie na wynos w tej samej restauracji – mówi Lucy. – Pisali coś o tym w gazecie.

– Tak, we Floridian, tej starej restauracji po drugiej stronie mostu zwodzonego. Całkiem przyjemne miejsce, polecam. Ale Quincy nawet nie musiała dzwonić. Zawsze mieli dla niej przygotowane to samo. Tuńczyka.

– Mieli też coś dla jej córki?

– Nie pamiętam.

– Pani Quincy odbierała jedzenie sama?

– Tak, chyba że jej syn był w pobliżu. To dzięki niemu wiem trochę o tym, co się tu stało.

– Chciałabym z nim porozmawiać.

– Nie widziałem go już od roku. Przedtem co jakiś czas zaglądał tutaj, żeby chwilę pogadać. Przez pierwszy rok po ich zniknięciu miał chyba obsesję na punkcie tego miejsca, nie mógł się pogodzić z tym, co zaszło. Mieszka w pięknym domu w Hollywood.

Lucy rozgląda się po sklepie.

– Nie ma tu żadnych ozdób choinkowych – mówi Larry, na wypadek gdyby właśnie tego szukała.

Lucy nie wypytuje go o syna pani Quincy. Sprawdziła już wcześniej, że Fred Anderson Quincy ma dwadzieścia sześć lat. Zna jego adres, wie, że mężczyzna prowadzi własną firmę, jest grafikiem komputerowym, projektuje strony internetowe. Larry mówi tymczasem, że w dniu zaginięcia pani Quincy Fred wielokrotnie do nich dzwonił, aż wreszcie podjechał pod sklep, który wciąż był zamknięty, choć audi jego matki stało zaparkowane na tyłach budynku.

– Czy wiadomo na pewno, że pani Quincy otwierała tego dnia sklep? – pyta Lucy. – Może coś jej się przydarzyło, gdy wysiadała z samochodu?

– Myślę, że wszystko jest możliwe.

– Czy portfel pani Quincy i kluczyki do jej samochodu były w sklepie? Czy zaparzyła kawę, korzystała z telefonu, zrobiła coś, co wskazywałoby na to, że była z nią Helen? Czy na przykład światełka na choinkach były zapalone? Czy grała muzyka? Paliły się światła w sklepie?

– Podobno nie znaleźli ani jej portfela, ani kluczyków samochodowych. Niektórzy mówią też, że wszystko w sklepie było powywracane, ale inni z kolei twierdzą, że nic się tam nie wydarzyło.

Lucy spogląda na drzwi prowadzące na zaplecze. Myśli o tym, co Basil Jenrette powiedział Bentonowi. Nie wierzy, by Basil zgwałcił i zamordował tam kogoś. Trudno też uwierzyć, by ktokolwiek mógł usunąć ciało ze sklepu, przenieść je do samochodu i odjechać niezauważony w biały dzień, w gęsto zaludnionej okolicy. Taki scenariusz nie wyjaśniałby też, co się stało z córką, chyba że Basil ją porwał i zabił gdzie indziej, jak robił to z innymi ofiarami. Przerazająca myśl. Siedemnastoletnia dziewczyna.

– Co stało się ze sklepem po ich zaginięciu? – pyta Lucy. – Ktoś prowadził go dalej?

– Nie. Nie było tu większego zapotrzebowania na artykuły związane z Bożym Narodzeniem. Moim zdaniem ten sklep to było tylko dziwne hobby

pani Quincy. Syn zabrał stąd wszystkie rzeczy miesiąc czy dwa po jej zaginięciu. We wrześniu lokal przejęli właściciele Beach Bums i zatrudnili mnie.

– Chciałabym zajrzeć na zaplecze – mówi Lucy. – Potem dam już panu spokój.

Krab ściąga jeszcze dwie pomarańcze, potem sięga po grejpfruta.

Spogląda na drugi brzeg kanału, na pogrążone w rozmowie kobiety, doktor Scarpettę i detektyw Wagner.

Policjantka energicznie gestykuje, a Scarpetta robi notatki, przyglądając się bacznie wszystkiemu. Krab z ogromną przyjemnością obserwuje to przedstawienie. Głupie! Żadna z nich nie jest tak mądra, jak im się wydaje. On przechytrzy ich wszystkich! Uśmiecha się, wyobrażając sobie zdenerwowanego Pete'a Marino, który musiał się sporo spóźnić z powodu przebitej opony. Mógłby przyjechać tu znacznie wcześniej, gdyby skorzystał z samochodu akademii. Ale to do niego niepodobne.

Nie mógł wytrzymać, musiał natychmiast naprawić koło. Wielki, głupi wsiok. Krab kuca w trawie, składa wysięgnik, rozkręcając aluminiowe segmenty, a potem chowa go do czarnej nylonowej torby. Torba jest ciężka, zarzucają na ramię jak drwal niosący topór, jak drwal ze sklepu z ozdobami choinkowymi.

Niespiesznym krokiem idzie przez ogród w stronę niewielkiego białego domu. Widzi, jak ona kołysze się na fotelu, patrząc przez lornetkę na pomarańczowy dom po drugiej stronie kanału. Obserwuje budynek już od kilku dni. Świetna zabawa. Krab był już trzy razy w pomarańczowym domu, a nikt tego nie zauważył. Chodził tam, by przypomnieć sobie, co się wydarzyło, by przeżyć to jeszcze raz, spokojnie, jak długo tylko zechce. Nikt go nie widział. Potrafi być niewidzialny.

Wchodzi do ogrodu pani Simister i zaczyna badać jedno z jej drzew cytrynowych. Staruszka kieruje lornetkę na niego. Za moment otworzy drzwi, ale nie wyjdzie do ogrodu. Nie widział jeszcze, by kiedykolwiek to zrobiła. Ogrodnik przychodzi i wychodzi, ale ona nigdy nie opuszcza domu ani z nikim nie rozmawia. Zakupy przynosi jej jakiś mężczyzna, zawsze ten sam. Być może to jej krewny, może syn. Wnosi tylko papierowe torby z zakupami i nigdy nie zostaje na dłużej. Nikt się nią nie przejmuje. Powinna być wdzięczna Krabowi. Wkrótce będzie budzić wielkie zainteresowanie. Wielu ludzi o niej usłyszy, kiedy trafi do programu doktor Self.

– Proszę zostawić moje drzewa w spokoju – mówi głośno pani Simister.  
– Byliście tu już dwa razy w tym tygodniu, przestańcie mnie wreszcie nachodzić.

– Przepraszam panią, już prawie skończyłem – mówi Krab uprzejmie, zrywając liść z drzewa cytrynowego i przyglądając mu się uważnie.

– Proszę stąd odejść albo zadzwonię po policję. – Głos pani Simister przechodzi w piskliwy krzyk.

Jest wystraszona. Jest zła, boi się, że straci swoje ukochane drzewa.

I tak się w końcu stanie, ale wtedy nie będzie to już miało znaczenia. Jej drzewa są zarazone. Są stare, mają co najmniej dwadzieścia lat i do niczego się już nie nadają. To było łatwe. Zawsze gdy ogromne pomarańczowe ciężarówki zajeżdżają do jakiegoś ogrodu, by zebrać ścięte drzewa cytrusowe, na ziemi zostają liście. Krab zbiera je, tnie na drobne kawałki, wrzuca do wody i obserwuje, jak bakterie wypływają z nich strumieniem niczym maleńkie bąbelki. Potem napełnia strzykawkę, tę, którą dała mu Bóg.

Krab rozsuwa torbę i wyjmuje z niej puszkę czerwonej farby w sprayu. Maluje czerwony pas wokół pnia drzewa. Drzwi pomazane krwią, niczym znak anioła śmierci, ale tym razem nikt nie zostanie oszczędzony. Krab



słyszysz głos rozbrzmiewający gdzieś w ciemnym zakątku głowy, zamknięty w szczelnym pudle jego umysłu.

*Fałszywy świadek nie uniknie kary.*

*Nie powiem niczego.*

*Kłamcy zostaną ukarani.*

*Niczego nie powiedziałem.*

*Nie powiedziałem.*

*Kara, której kłamca doświadczy z mej ręki,*

*nie będzie miała końca.*

*Nie zrobiłem tego. Nie zrobiłem!*

– Co ty robisz? Zostaw moje drzewa w spokoju, słyszysz!

– Z chęcią wszystko pani wytłumaczę – odpowiada Krab spokojnie, uprzejmie.

Pani Simister kręci głową. Zamyka ze złością zasuwane drzwi i przekręca klucz.

## Rozdział 26

**P**ogoda jest ostatnio niezwykle gorąca i wilgotna, miękka trawa ugina się pod stopami doktor Scarpetty jak gąbka. Kiedy słońce wynurza się zza chmur, ostry blask uderza falą gorąca w jej głowę i ramiona.

Kay spaceruje po ogrodzie, przygląda się różowoczerwonym krzewom hibiskusa i palmom, dostrzega namalowane czerwoną farbą kręgi wokół pni kilku drzew cytrusowych. Patrzy na drugą stronę kanału, gdzie inspektor zamyka właśnie torbę, poganiany okrzykami starej kobiety. Zastanawia się, czy ta staruszka to pani Simister, i domyśla się, że Marino nie dotarł jeszcze do jej domu. Zawsze się spóźnia, nigdy nie robi na czas tego, o co się go prosi, jeśli w ogóle zechce to robić. Kay podchodzi bliżej do betonowej ściany opadającej stromo ku wodzie. Prawdopodobnie nie ma tutaj aligatorów, ale nie ma też poręczy; każde dziecko lub pies mogą wpaść do kanału i utonąć.

Ev i Kristin wzięły pod opiekę dwójkę dzieci, a nie chciało im się postawić parkanu na tyłach ogrodu. Doktor Scarpetta wyobraża sobie, jak wygląda to miejsce po zmroku i jak łatwo jest zapewne zapomnieć, gdzie kończy się posesja, a zaczyna kanał. Płynie on ze wschodu na zachód i za domem jest stosunkowo wąski, później jednak robi się szerszy.

W oddali widać piękne żaglówki i motorówki zacumowane na tyłach domów znacznie bogatszych od tego, w którym mieszkali Ev, Kristin, David i Tony.

Według Reby siostry i chłopców widziano po raz ostatni w czwartek wieczorem, dziesiątego lutego. Rankiem następnego dnia Marino odebrał telefon od człowieka, który nazywał siebie Krabem. W tym czasie dom był już pusty.

– Czy w wiadomościach mówili coś o ich zaginięciu? – pyta Rebę Kay, zastanawiając się, czy anonimowy rozmówca nie poznał imienia Kristin właśnie z tego źródła.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A wy sporządziliście raport i na tym się skończyło.

– Nie jest to wydarzenie, o którym pisze się do gazet. Ludzie znikają tu niemal codziennie. Witamy w południowej Florydzie.

– Proszę mi powiedzieć, co jeszcze wiadomo o tym ostatnim wieczorze, kiedy ich tutaj widziano, w czwartek.

Reba mówi, że Ev wygłosiła naukę w kościele, a Kristin przeczytała kilka fragmentów z Biblii. Kiedy następnego dnia żadna z kobiet nie pojawiła się na porannej modlitwie, jedna z ich znajomych próbowała się do nich dodzwonić, nikt jednak nie odbierał, w końcu więc pojechała do ich domu. Miała klucz i weszła do środka. Wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie, tyle że nikogo nie było, a na włączonej kuchence stała patelnia. Ten szczegół jest istotny, doktor Scarpetta zwróci na niego szczególną uwagę, kiedy wejdzie do domu, nie jest jednak jeszcze na to gotowa, zbliża się do sceny przestępstwa powoli, niczym drapieżnik do ofiary, podchodzi krok po kroku, zostawiając najgorsze na sam koniec.

Lucy pyta, czy magazyn na zapleczu wygląda tak samo jak przed dwoma laty, gdy do sklepu wprowadził się nowy właściciel.

– Niczego tutaj nie zmieniałem – zapewnia Larry.

Lucy wodzi spojrzeniem po wielkich kartonowych pudłach i półkach wypełnionych koszulkami, olejkami do opalania, ręcznikami, okularami i innymi akcesoriami plażowymi.

– Nie warto tam zaglądać, naprawdę nie ma nic ciekawego – mówi Larry. – Czego właściwie pani szuka?

Lucy idzie do łazienki, ciasnego pomieszczenia bez okna, w którym z trudem mieszczą się toaleta i prysznic. Betonowe ściany pokryte są cienką warstwą jasnozielonej farby, na podłodze leżą tanie brązowe płytki. Pod sufitem, podobnie jak w magazynku, wisi pojedyncza goła żarówka.

– Nie odmalowywał pan tego, nie kładł pan nowych płytek? – pyta.

– Wszystko wygląda dokładnie tak, jak w chwili gdy przejeśliśmy ten lokal. Myśli pani, że coś tu się stało?

– Chciałabym tu wrócić i przyprowadzić kogoś ze sobą – odpowiada Lucy.

Pani Simister obserwuje ogród po drugiej stronie kanału.

Kołysze się na tarasie ze szklanymi drzwiami, odpycha się od podłogi obutymi w kaptcie stopami. Szuka wzrokiem jasnowłosej kobiety w ciemnym kostiumie, która chodziła po ogrodzie za jasnopomarańczowym domem. Szuka inspektora, który wdarł się do jej ogrodu, ośmielił się znów dotykać jej drzew, malować pnie czerwoną farbą. Poszedł sobie. Jasnowłosa kobieta też zniknęła.

Najpierw pani Simister myślała, że blondynka w ciemnym kostiumie jest jakąś fanatyczką religijną, jedną z tych, które ciągle przyjeżdżały do tego domu. Potem jednak przyjrzała jej się uważniej przez lornetkę i nie była już tego taka pewna. Blondynka robiła notatki i miała na ramieniu czarną torbę. Pani Simister gotowa już była uznać, że to jakaś prawniczka albo bankowiec, kiedy pojawiła się ta druga, mocno opalona, z białymi włosami,

ubrana w zielone spodnie. Miała broń schowaną w kaburze pod pachą. Może to ta sama, która była tu kilka dni wcześniej. W piątek.

Tamta też była opalona i miała białe włosy. Pani Simister nie jest pewna.

Dwie kobiety rozmawiały przez jakiś czas, a potem przeszły na drugą stronę domu, znikając jej z oczu. Może wróćą. Pani Simister wypatruje inspektora, tego samego, który był tak miły przy pierwszej wizycie, pytał ją o drzewa, kiedy je zasadzono i co dla niej znaczą. Potem wrócił i je pomalował. Wtedy pani Simister po raz pierwszy od wielu lat pomyślała o swojej broni. Kiedy dostała ją od syna, powiedziała, że wcześniej czy później znajdzie ją jakiś zły człowiek i użyje przeciwko niej. Trzyma ją pod łóżkiem, w ukryciu.

Nie zastrzeliłaby inspektora, ale chętnie by go wystraszyła. Wszyscy ci kontrolerzy od cytrusów dostają pieniądze za to, żeby niszczyć drzewa, które ludzie hodowali przez całe życie. Słyszy, jak mówią o tym w radiu. Jej drzewa prawdopodobnie będą następne. Kocha swoje drzewa. Ogrodnik opiekuje się nimi, zrywa owoce i zostawia jej na werandzie. Jake zasadził dla niej te wszystkie drzewa, gdy kupili dom tuż po ślubie. Pani Simister pograża się we wspomnieniach, gdy nagle dzwoni telefon na stoliku przy huśtawce.

– Halo? – odbiera.

– Pani Simister?

– Kto mówi?

– Oficer śledczy Pete Marino. Rozmawialiśmy wcześniej.

– Naprawdę? Kim pan jest?

– Kilka godzin temu dzwoniła pani do Narodowej Akademii Medycyny Sądowej.

– Nigdzie nie dzwoniłam. Pan coś sprzedaje?

– Nie, proszę pani. Chciałbym panią odwiedzić i zamienić kilka słów, jeśli wolno.

– Nie, nie wolno – odpowiada pani Simister i kończy rozmowę.

Opiera dłonie na poręczach huśtawki, zaciska je tak mocno, że bieleją kostki pod luźną, plamiastą skórą na jej starych bezużytecznych palcach. Ludzie ciągle do niej dzwonią, a nawet jej nie znają. Dzwonią automaty, a ona nie rozumie, dlaczego ludzie słuchają nagrań przygotowanych przez akwizytorów dla pieniędzy. Telefon dzwoni ponownie, ale pani Simister go ignoruje, sięga po lornetkę, by spojrzeć na jasnopomarańczowy dom, w którym mieszkają dwie kobiety z dwójką chuliganów.

Przesuwa spojrzeniem po kanale i znów patrzy na posesję po drugiej stronie. Ogród wydaje się nagle bardzo duży i jaskrawozielony. Widzi go wyraźnie, ale blondynka w ciemnym kostiumie i kobieta z bronią zniknęły. Czego one tam szukają? Gdzie te dwie damy, które tam mieszkają?

Gdzie chuligani? Wszystkie dzieci są teraz chuliganami.

Dzwoni dzwonek u drzwi, pani Simister przestaje się kołysać, serce zaczyna jej bić mocniej. Im jest starsza, tym częściej przerażają ją nagłe ruchy i dźwięki i tym bardziej boi się śmierci, a także wszystkiego, co ona oznacza, jeśli cokolwiek oznacza. Mija kilka minut i dzwonek dzwoni jeszcze raz, a ona wciąż siedzi i czeka. Po chwili odzywa się znowu, a potem ktoś puka głośno do drzwi. Wreszcie pani Simister wstaje.

– Chwileczkę, już idę – mruczy zirytowana i zaniepokojona. – Mam nadzieję, że nie będziesz mi próbował czegoś sprzedać.

Wchodzi do salonu, powoli przesuwając stopami po dywanie. Nie może już podnosić nóg tak wysoko jak kiedyś, z trudem chodzi.

– Idę, już idę – mówi zniecierpliwiona, kiedy dzwonek znów dzwoni.

Może to UPS. Czasami syn zamawia dla niej jakieś rzeczy przez Internet. Pani Simister wygląda przez wizjer we frontowych drzwiach.

Człowiek na werandzie z pewnością nie nosi brązowego czy też niebieskiego munduru i nie przywiózł jej paczki ani listu. To znowu on.

– O co chodzi tym razem? – pyta gniewnie, nie odrywając oka od wizjera.

– Pani Simister? Mam dla pani kilka formularzy do wypełnienia.

## Rozdział 27

**B**rama otwiera się na frontowe podwórko, gdzie uwagę doktor Scarpetty przykuwają gęste krzewy hibiskusa tworzące żywopłot, który oddziela posesję od chodnika prowadzącego prosto do kanału.

Nie dostrzega nadłamanych gałęzi czy zerwanych liści, niczego, co świadczyłoby o tym, że ktoś wszedł na teren posiadłości, przedzierając się przez żywopłot. Kay sięga do czarnej nylonowej torby, którą zawsze bierze ze sobą na miejsce przestępstwa, i wyciąga z niej parę białych bawełnianych rękawiczek. Spogląda na samochód stojący na spękany betonowym podjeździe, stare, szare kombi, zaparkowane byle jak, jednym kołem częściowo na trawniku. Doktor Scarpetta wciąga rękawiczki i zastanawia się, dlaczego Ev lub Kristin zaparkowały samochód w ten sposób, zakładając, że to któraś z nich prowadziła.

Zagląda do środka, przygląda się siedzeniom pokrytym szarą winylową tapicerką i transponderowi Sun Pass, firmy obsługującej bramki przy wjazdach na autostrady, przymocowanemu od środka do przedniej szyby. Robi notatki. Powoli zaczyna się w jej głowie układać obraz sytuacji. W



ogrodzie i obok kanału nie widać żadnych podejrzanych śladów, podobnie jak na patio i trawniku przed domem. W aucie nie ma żadnych śmieci ani drobiazgów, nic prócz czarnego parasola na tylnym siedzeniu. A jednak samochód jest zaparkowany krzywo, niestarannie, jakby kierowca robił to w pośpiechu albo w całkowitych ciemnościach. Kay pochyla się niżej, by przyrzeć się uważnie błotu i fragmentom roślin wbitym w bieżnik opony. Spogląda na warstwę kurzu, która nadała podwoziu szary odcień starych kości.

– Wydaje się, że ktoś jeździł tym samochodem po bezdrożach – mówi, prostując się i przechodząc do drugiej opony.

Reba idzie za nią wzdłuż samochodu i patrzy, wyraźnie zaintrygowana.

– Błoto w bieżniku wskazywałoby na to, że ziemia była mokra lub wilgotna, kiedy samochód po niej przejeżdżał – zauważa doktor Scarpetta.

– Czy parking przy kościele jest wybrukowany?

– Tutaj auto wjechało trochę na trawę – mówi Reba, spoglądając na przednie koło.

– To niczego nie wyjaśnia. Błoto widać na wszystkich oponach.

– Przy kościele jest duży brukowany parking. Nie zauważyłam tam nigdzie błota.

– Czy samochód tu stał, gdy kobieta z kościoła przyszła szukać Kristin i Ev?

Reba chodził wokół auta, zainteresowana ubłoconymi oponami.

– Podobno tak. Mogę powiedzieć, że był tu na pewno tamtego popołudnia, gdy tutaj przyjechałam.

– Warto by sprawdzić Sun Pass, przekonać się, gdzie wjeżdżano na autostradę i kiedy. Zaglądaliście do środka?

– Tak, drzwi były otwarte. Nie zauważyłam niczego ciekawego.

– Więc nikt nie sprawdzał dokładnie wnętrza?

– Nie mogę prosić techników kryminalnych, żeby coś badali, kiedy nie ma żadnych dowodów popełnienia przestępstwa.

– Rozumiem.

Reba obserwuje doktor Scarpettę, kiedy ta ponownie zagląda przez okna do wnętrza pojazdu. Szyby pokryte są cienką warstwą kurzu. Kay odsuwa się o krok i powoli obchodzi volvo, przyglądając mu się uważnie.

– Do kogo należy samochód?

– Do kościoła.

– A dom?

– Też.

– Powiedziano mi, że kościół wynajmuje ten dom.

– Nie, z pewnością dom należy do kościoła.

– Czy mówi pani coś nazwisko Simister? – pyta doktor Scarpetta, czując, jak znów ogarniają to dziwne uczucie, jakby coś chwyciło ją za wnętrzności i sięgało do gardła, podobnie jak w chwili, gdy Reba wymieniła w rozmowie z Marinem imię Christian Christian.

– Kto to taki? – marszczy brwi Reba. W tej samej chwili z drugiej strony kanału dobiega przytłumiony huk.

Obie kobiety milkną. Podchodzą do bramy i spoglądają na domy po drugiej stronie kanału. Nie widzą żadnych ludzi.

– Pewnie gaźnik samochodowy – stwierdza w końcu Reba. – Ludzie jeżdżą tutaj starymi gruchotami. Większość mieszkańców i tak nie powinna siadać za kółkiem, to babcie i dziadki stare jak świat i ślepe jak krety.

Scarpetta powtarza nazwisko Simister.

– Nigdy o niej nie słyszałam – kręci głową Reba.

– Mówiła, że rozmawialiście kilka razy, dokładnie trzy, o ile mnie pamięć nie myli.

– Nigdy o niej nie słyszałam i na pewno nigdy z nią nie rozmawiałam. To pewnie ona na mnie naskarzyła, powiedziała, że nie przejmuję się sprawą.

– Przepraszam – rzuca Kay i próbuje dodzwonić się do Marina, odpowiada jej jednak poczta głosowa. Zostawia mu wiadomość, prosi, by jak najszybciej oddzwonił.

– Dajcie mi znać, kiedy dowiecie się, kim jest ta pani Simister – mówi Reba. – To jakaś dziwna historia. Może powinniśmy jednak poszukać w samochodzie odcisków palców.

– Niestety, w samochodzie nie znajdziecie już pewnie odcisków palców dzieci – odpowiada doktor Scarpetta. – Nie po czterech dniach. To samo dotyczy domu. Z pewnością nie znajdziecie śladów tego młodszego chłopca, siedmiolatka.

– Nie rozumiem.

– Odciski palców dzieci, które nie osiągnęły wieku dojrzewania, nie utrzymują się długo. Kilka godzin, najwyżej kilka dni. Nie wiemy do końca, dlaczego tak się dzieje, być może ma to związek z tłuszczami, które ludzie zaczynają wydzielać po osiągnięciu dojrzałości. David ma dwanaście lat? Może uda wam się znaleźć jego odciski. Podkreślam, może.

– Cóż, przyznam, że nigdy dotąd o tym nie słyszałam.

– Proponuję, żeby zabrać tego kombiaka do laboratorium, przeszukać go dokładnie, także na obecność odcisków palców i mikrośladów.

Możemy zrobić to w akademii, jeśli chcecie. Mamy specjalne pomieszczenie do badania samochodów, możemy się tym zająć.

– To chyba dobry pomysł – zgadza się z nią Reba.

– W domu powinniśmy znaleźć odciski palców Ev i Kristin. I DNA, także DNA chłopców, na ich szczoteczkach do zębów, grzebieniach,

butach, ubraniu – kończy Scarpetta, a potem mówi Rebie o anonimowym rozmówcy, który wymienił imię Kristin Christian.

Pani Simister mieszka samotnie w małym białym domku, który lata świetności ma już dawno za sobą.

Pod zadaszoną wiatą nie stoi żaden samochód, co nie znaczy, że gdzieś pojechała, ponieważ pani Simister nie ma już samochodu ani ważnego prawa jazdy. Marino zauważa także, że zasłony w oknach na prawo od wejścia są zasunięte, a na chodniku nie leżą gazety. Pani Simister prenumeruje „The Miami Herald”, co oznacza, że jej wzrok jest jeszcze na tyle dobry, by mogła czytać przez okulary.

Jej telefon był zajęty przez ostatnie pół godziny. Marino wyłącza silnik i schodzi z motocykla. W tej samej chwili ulicą przejeżdża biały chevy blazer z przyciemnionymi oknami. To bardzo spokojna okolica.

Prawdopodobnie mieszka tu wielu starych ludzi, których nie stać już na płacenie podatków. W sercu Marina budzi się gniew, kiedy pomyśli, że ludzie mieszkają przez dwadzieścia czy trzydzieści lat w tym samym miejscu, spłacają wreszcie dom, dorobek całego życia, tylko po to, by się dowiedzieć, że nie stać ich na opłacenie podatków, bo inni, bogaci ludzie chcą mieszkać nad wodą. Zniszczony dom pani Simister wyceniany jest niemal na siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów i prawdopodobnie wkrótce będzie musiała go sprzedać, jeśli wcześniej nie trafi do domu opieki społecznej. Ma tylko trzy tysiące dolarów oszczędności.

Marino wie sporo o Dagmarze Schudrich Simister. Po rozmowie z kimś, kto, jak teraz podejrzewa, podszywał się pod nią, poszukał informacji w HIT. Pani Simister posługuje się imieniem Daggie i ma osiemdziesiąt siedem lat. Jest Żydówką, należy do miejscowej diaspory, choć nie uczęszcza do synagogi już od wielu lat. Nigdy nie była członkinią tego samego kościoła, co jej sąsiedzi z drugiej strony kanału, nie mówiła więc

prawdy podczas ich pierwszej rozmowy telefonicznej, zakładając oczywiście, że była to prawdziwa Daggie Simister, w co Marino nie wierzy.

Urodziła się w Lublinie, w Polsce, i przeżyła Holocaust. Mieszkała w Polsce do trzydziestego roku życia, co tłumaczyłoby dziwny akcent, który usłyszał Marino podczas ich ostatniej rozmowy, kilka minut wcześniej. Kobieta, która rozmawiała z nim przez telefon w gabinecie doktor Scarpetty, nie miała obcego akcentu. Sprawiała wrażenie po prostu starej. Jedyne dziecko pani Simister, jej syn, mieszka w Lauderdale i w ciągu ostatnich dziesięciu lat popełnił trzy wykroczenia drogowe i został dwukrotnie przyłapany najeździe po pijanemu. Co ciekawe, jest budowniczym i deweloperem, a więc jednym z tych, którzy odpowiadają za ogromny wzrost podatków od nieruchomości, przekleństwo ludzi pokroju jego matki.

Pani Simister pozostaje pod opieką aż czterech lekarzy, którzy leczą jej artretyzm, problemy z sercem i nogami oraz wzrok. Nie podróżuje, a przynajmniej nie korzysta z linii lotniczych. Wygląda na to, że większość czasu spędza w domu i interesuje się głównie tym, co dzieje się w okolicy. Ludzie mieszkający w miejscach takich jak to często obserwują bez ustanku swoich sąsiadów. Marino ma nadzieję, że to samo dotyczy także pani Simister. Ma nadzieję, że widziała, co się stało po drugiej stronie kanału, w jasnopomarańczowym domu. Ma też nadzieję, że być może wie, kto zadzwonił do doktor Scarpetty, podszywając się pod nią, jeśli oczywiście tak właśnie było.

Dzwoni do drzwi, gotów pokazać odznakę, co nie jest całkiem uczciwe, bo nie jest już policjantem, nigdy nie służył na Florydzie, i miał obowiązek zwrócić odznakę i broń, kiedy opuszczał swój ostatni posterunek, w Richmond, w Wirginii, gdzie zawsze czuł się obco, gdzie był niedoceniany

i lekceważony. Ponownie dzwoni do drzwi, a potem wykręca numer telefoniczny pani Simister.

Nadal jest zajęty.

– Policja! Jest tam kto? – woła głośno, pukając do drzwi.

## Rozdział 28

**D**oktor Scarpette jest gorąco w grubym, ciemnym kostiumie, ale nie zamierza się tym teraz zajmować. Jeśli zdejmie marynarkę, będzie musiała gdzieś ją powiesić, a nigdy bez potrzeby nie zostawia dodatkowych śladów na miejscu przestępstwa, nawet jeśli tym razem policja nie wierzy, by takie przestępstwo kiedykolwiek się wydarzyło.

Teraz, kiedy jest już w domu, próbuje odgadnąć, która z sióstr cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Okna, podłogi i meble są nieskazitelnie czyste, wszystkie sprzęty ustawione jak przy linijce. Dywan leży idealnie pośrodku, a frędzle na jego krawędziach są równo wyczesane. Kay sprawdza termostat na ścianie i zapisuje w notesie, że klimatyzacja jest włączona, a temperatura w pokoju wynosi dwadzieścia dwa stopnie.

– Czy termostat był przestawiany? – pyta. – Nikt tego nie zmieniał?

– Niczego nie ruszaliśmy, wszystko wygląda dokładnie tak, jak przed tygodniem – mówi Reba, która jest w kuchni wraz z Lex, oficerem śledczym z akademii. – Prócz kuchenki. Kobieta, która przyszła tu w dzień zaginięcia Ev i Kristin, wyłączyła palnik.

Doktor Scarpetta notuje, że w domu nie ma systemu alarmowego.

Reba otwiera lodówkę.

– Można by sprawdzić drzwi szafek – mówi do Lex. – Właściwie można by sprawdzić wszystko, skoro już tu jesteśmy. Nie ma tu za dużo jedzenia dla dwóch dorastających chłopców – zwraca się do doktor Scarpetty. – Właściwie w ogóle mało tu jedzenia. To chyba wegetarianie. – Zamyka drzwi lodówki.

– Pył zniszczy drewno – mówi Lex.

– Zrobisz, jak uważasz.

– Wiadomo, o której godzinie wróciły z kościoła w czwartek wieczorem? Czy w ogóle wróciły do domu? – pyta Kay.

– Nabożeństwo skończyło się o siódmej, Ev i Kristin zostały jeszcze przez chwilę, żeby porozmawiać z ludźmi. Potem przeszły do biura Ev, na spotkanie. To bardzo mały pokój, bo to bardzo mały kościół. Sala, w której odprawiały nabożeństwa, może pomieścić najwyżej jakieś pięćdziesiąt osób.

Reba opuszcza kuchnię i przechodzi do salonu.

– Na spotkanie z kim, i gdzie byli wtedy chłopcy? – pyta Kay, podnosząc ozdobną poduszkę z sofy obitej kwiecistą tkaniną.

– Spotkanie kilku kobiet, sama nie wiem, jak je nazwać. To kobiety, które zajmują się kościołem, przygotowują nabożeństwa i tak dalej.

Chłopców tam nie było, bawili się pewnie gdzieś w pobliżu. Potem wyszli stąd razem z Ev i Kristin około ósmej wieczorem.

– Czy takie spotkania są co czwartek, zawsze po nabożeństwie?

– Chyba tak. Główne nabożeństwo odbywa się w piątek wieczorem, więc spotykają się dzień wcześniej. To ma jakiś związek z Wielkim Piątkiem, kiedy Bóg umarł za nasze grzechy. Nigdy nie mówią o Jezusie, tylko o Bogu, są przekonane, że wszyscy ludzie to grzesznicy i trafią do piekła. To bardzo dziwny kościół, moim zdaniem raczej sekta.



Lex wysypuje na kartkę odrobinę czarnego proszku. Biały blat kredensu jest porysowany i poszczerbiony, ale czysty. Lex zanurza w proszku pędzelek z włókna szklanego i delikatnie przesuwając nim po pustej powierzchni blatu. Czarne plamy znaczą miejsca, gdzie na blacie znajdują się tłuste plamy i inne ukryte ślady.

– Nie znalazłam portfela, notesu ani niczego w tym rodzaju – mówi Reba. – Co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że wszyscy po prostu stąd uciekli.

– Można zostać porwanym i zabrać ze sobą notes – tłumaczy jej doktor Scarpetta. – Ludzie giną wraz z portfelami, kluczami, samochodami, dziećmi. Kilka lat temu rozpracowywałam sprawę porwania i morderstwa, kiedy to ofierze porwania pozwolono spakować walizkę.

– Znam też takie sprawy, kiedy wszystko zostało upozorowane na przestępstwo, a w rzeczywistości ludzie po prostu uciekli. Może ten dziwny telefon, o którym mi mówiłaś, to sprawa jakiegoś dziwaka z tego kościoła.

Doktor Scarpetta przechodzi do kuchni, by przyjrzeć się kuchence.

Na tylnym palniku leży miedziana patelnia z pokrywką, metal jest ciemny i poplamiony.

– To właśnie ten palnik był włączony? – pyta, podnosząc pokrywkę.

Nierdzewna stal wewnątrz patelni jest szara i matowa.

Lex z głośnym trzaskiem oddziera kawałek specjalnej taśmy używanej do zdejmowania odcisków palców.

– Kiedy przyszła tu ta kobieta z kościoła, tylny palnik był nastawiony na minimum, a pusta patelnia rozgrzała się prawie do czerwoności wyjaśnia Reba. – Przynajmniej tak mi powiedziano.

Scarpetta dostrzega odrobinę szarobiałego popiołu na powierzchni patelni.

– Być może coś jednak w niej było. Może olej. Nie jedzenie. Na kredensie nie znaleźliście żadnego jedzenia? – pyta.

– Wszystko wygląda tak, jak w chwili gdy przyszłam tu po raz pierwszy. A kobieta z kościoła mówiła, że nie widziała żadnego jedzenia.

– Drobnny fragment odcisku, ale głównie smugi – wtrąca się Lex, odrywając kolejny fragment taśmy od blatu kredensu. – Nie będę ruszać drzewiczek. Na drewnie i tak niewiele widać, a szkoda niszczyć meble bez powodu.

Doktor Scarpetta otwiera drzwi lodówki. Fala zimnego powietrza chłodzi jej twarz, kiedy Kay przygląda się po kolei wszystkim półkom.

Resztki piersi z indyka świadczą o tym, że co najmniej jeden z mieszkańców nie był wegetarianinem. Widać też sałatę, świeże brokuły, szpinak, seler i marchewkę, mnóstwo marchewki, dziewiętnaście torebek małych, obranych marchewek, które służą za zdrową, niskokaloryczną przekąskę.



Rozsuwane drzwi na werandzie pani Simister są otwarte. Marino czeka na zewnątrz, stoi na trawniku i się rozgląda.

Patrzy na jasnopomarańczowy dom po drugiej stronie kanału i zastanawia się, czy doktor Scarpetta znalazła coś ciekawego. Może już skończyła. Spóźnił się. Przewiezienie motocykla do hangaru i wymiana opony zajęło sporo czasu. Później Marino stracił też sporo czasu na przepytywanie ludzi z obsługi, studentów i pracowników, których samochody stały na parkingu. Miał nadzieję, że być może któryś z nich wie

coś na temat jego przebitej opony. Ale nikt nic nie widział. Przynajmniej tak mówili.

Otwiera drzwi werandy i woła głośno panią Simister.

Nikt nie odpowiada, puka więc w szkło.

– Halo, jest tam kto? – krzyczy. – Pani Simister?

Jeszcze raz próbuje się dodzwonić, ale linia wciąż jest zajęta. Widzi, że doktor Scarpetta próbowała dodzwonić się do niego przed chwilą, kiedy jeszcze jechał motocyklem. Oddzwania.

– Co się tam dzieje? – pyta od razu.

– Reba mówi, że nigdy nie słyszała o pani Simister.

– Ktoś się z nami bawi – odpowiada Marino. – Ta Simister wcale nie należy do tego kościoła. I nie otwiera drzwi. Wchodzę do środka.

Spogląda na pomarańczowy dom po drugiej stronie kanału. Odsuwa drzwi i wchodzi na werandę.

– Pani Simister? – woła ponownie. – Jest tu kto? Policja!

Drugie drzwi także są otwarte, Marino wchodzi do salonu, przystaje, ponownie woła. Gdzieś w głębi domu gra głośno telewizor, detektyw idzie w jego stronę, wciąż wykrzykując nazwisko pani Simister. Trzyma w dłoni gotową do strzału broń. Idzie w głąb korytarza, słyszy śmiech i głos prowadzącego jakiś talkshow.

– Pani Simister? Jest pani tu?

Telewizor znajduje się gdzieś na tyłach domu, prawdopodobnie w sypialni, drzwi pokoju są zamknięte. Marino waha się przez moment i woła jeszcze raz. Puka do drzwi, potem wali w nie mocno, wreszcie wchodzi do środka. Widzi mnóstwo krwi, drobne ciało leżące na łóżku i resztki czegoś, co było niegdyś głową należącą do tego ciała.

## Rozdział 29

**W** szufladzie biurka leżą ołówki, długopisy i markery. Dwa ołówki i jeden długopis są pogryzione, Scarpetta przygląda się śladom zębów na drewnie i plastiku i zastanawia się, który z chłopców ma ten nerwowy nawyk.

Wkłada ołówki, długopisy i markery do oddzielnych plastikowych torebek. Zamyka szufladę i rozgląda się dokoła, myśląc o życiu dwóch osieroconych południowoafrykańskich chłopców. W pokoju nie ma żadnych zabawek, żadnych plakatów na ścianach, niczego, co świadczyłoby o tym, że bracia lubią dziewczyny, samochody, filmy, muzykę albo sport, że mają jakichkolwiek idoli lub po prostu lubią się bawić.

Ich łazienka jest tuż obok. W niewielkim pomieszczeniu, wyłożonym starymi, brzydkimi płytkami w kolorze bladej zieleni, mieszczą się biały sedes, umywalka i wanna. Doktor Scarpetta otwiera drzwi i widzi swe odbicie w lustrzanych drzwiczkach szafki. Przygląda się wąskim metalowym półkom, na których leżą nici dentystyczne, aspiryna i opakowane kostki mydła, podobne do tych, jakie można znaleźć w motelowych łazienkach. Podnosi pomarańczową butelkę z tabletkami,

ujmując w dwa palce jej białą zakrętkę, spogląda na papierową nalepkę i ze zdumieniem odczytuje nazwisko doktor Marilyn Self.

Sławna lekarz psychiatra, doktor Self, przepisała Davidowi ritalin.

Chłopiec ma zażywać dziesięć miligramów trzy razy dziennie, a buteleczka zawierała setkę tabletek w zeszłym miesiącu, dokładnie trzy tygodnie temu. Kay odkręca korek i wysypuje zielone tabletki na dłoń.

Jest ich czterdzieści dziewięć. Po trzech tygodniach brania przepisanej dawki powinno zostać trzydzieści siedem, oblicza. Mieszkańcy domu zniknęli w czwartek w nocy, czyli pięć dni temu, co daje piętnaście tabletek. Piętnaście plus trzydzieści siedem to pięćdziesiąt dwa, mniej więcej się zgadza. Skoro David opuścił dom z własnej woli, to dlaczego zostawił lekarstwa? Dlaczego kuchenka była włączona?

Wsypuje tabletki z powrotem do butelki i wkłada ją do plastikowej torebki. Idzie w głąb korytarza, gdzie znajduje się druga sypialnia, należąca zapewne do obu sióstr. W pokoju stoją dwa łóżka przykryte zielonymi narzutami. Tapety i dywan też są zielone, a meble pokryte lakierem tego samego koloru. Lampy i wentylator pod sufitem są również zielone, okna kryją się za zielonymi zasłonami, które blokują dostęp światła. Lampka przy łóżku jest włączona, jej blask i światło dochodzące z korytarza z trudem rozpraszają mrok zalegający w sypialni.

Nie ma tu żadnego lustra, żadnego obrazu czy innego dzieła sztuki, tylko dwie fotografie w ramkach na komodzie. Na jednej z nich widać zachód słońca nad oceanem i dwóch uśmiechniętych chłopców na plaży.

Obaj mają na sobie kąpielówki i uśmiechają się, obaj są blondynami.

Wyglądają jak bracia, jeden jest starszy. Druga fotografia ukazuje dwie kobiety z laskami na tle ogromnego błękitnego nieba. Za nimi widać odległy kształt wielkiej góry, której szczyt przesłaniają gęste obłoki wypływające spośród skał niczym gęsta para. Jedna kobieta jest niska i

pulchna, ma długie, zaczesane do tyłu włosy, druga, wyższa i szczuplejsza, ma bardzo długie, czarne falujące włosy, które odgarnia właśnie z twarzy, jakby zmagala się z wiatrem.

Scarpetta wyjmuje z torby lupę i przygląda się uważnie obu fotografiom, odsłoniętej skórze chłopców, ich twarzom. Potem patrzy na twarze kobiet i ich odsłoniętą skórę, szukając blizn, tatuaży, fizycznych ułomności, biżuterii. Zatrzymuje wzrok na szczuplejszej brunetce o długich włosach i zauważa, że kobieta ma niezdrową cerę. Może to wina oświetlenia, a może jakiś tani olejek do opalania nadał jej skórze żółtawy odcień, wygląda jednak niemal tak, jakby miała żółtaczkę.

Kay otwiera szafę. W środku znajdują się tanie ubrania i buty oraz kostiumy w rozmiarach osiem i dwanaście. Wyciąga wszystkie jasne ubrania, szukając na nich żółtawych plam, śladów potu i znajduje je pod pachami kilku bluzek w rozmiarze osiem. Ponownie przygląda się zdjęciu kobiety z długimi czarnymi włosami i żółtawą skórą, myśli o surowych warzywach w lodówce, o marchewce i o doktor Marilyn Self.

W sypialni nie ma żadnych książek prócz oprawionej w brązową skórę Biblii leżącej na stoliku nocnym. Biblia jest otwarta, blask lampki podkreśla żółtawobrązowy kolor starego papieru. Kay zakłada okulary do czytania i pochyla się niżej, zapisując w notesie, że Biblia jest otwarta na Księdze Mądrości, a przy wersji dwudziestym piątym rozdziału dwunastego znajdują się trzy małe znaczki x zrobione ołówkiem.

*Więc jak dzieciom nierozumnym zesłałeś im karę na ośmieszenie.*

Dzwoni do Marina, lecz słyszy od razu pocztę głosową. Rozsuwa zasłony i sprawdza, czy ukryte za nimi drzwi i okna są zamknięte, dzwoni ponownie do detektywa i zostawia mu kolejną wiadomość. Zaczęło padać,

krople deszczu uderzają o powierzchnię wody w basenie i w kanale, na niebie piętrzą się ogromne szare chmury. Palmy kołyszą się gwałtownie na wietrze, drżą różowe i czerwone kwiaty hibiskusa na krzewach rosnących za szklanymi drzwiami. Scarpetta dostrzega dwie smugi na szkle. Mają wyraźnie określony kształt, który od razu rozpoznaje. Odszukuje Lex i Rebę w pralni, gdzie sprawdzają, co znajduje się w pralce i suszarce.

– W dużej sypialni leży otwarta Biblia – mówi doktor Scarpetta. Świeci się też lampka przy łóżku.

Reba wydaje się zaskoczona.

– Czy sypialnia wyglądała dokładnie tak samo, kiedy tamta kobieta z kościoła weszła do domu? Czy wyglądała dokładnie tak samo, kiedy ty tu przyszłaś?

– Kiedy byłam w sypialni, wszystko leżało na swoim miejscu. Zasłony były zaciągnięte. Nie widziałam Biblii ani żadnej innej książki, nie pamiętam też, żeby lampka była włączona – odpowiada Reba.

– Jest tam fotografia dwóch kobiet. To Ev i Kristin?

– Tak powiedziała tamta kobieta z kościoła.

– A na drugim zdjęciu Tony i David?

– Tak sędzę.

– Czy któraś z tych dwóch kobiet ma kłopoty z żołądkiem? Może jest chora? Czy wiadomo coś o tym, że któraś z nich jest pod opieką lekarza? I czy wiadomo, która kobieta na fotografii to Ev, a która Kristin?

Reba nie wie, co ma odpowiedzieć. Do tej pory odpowiedzi nie wydawały się ważne. Nikt nie przypuszczał, że mogą pojawić się pytania takie jak te, które zadała jej właśnie doktor Scarpetta.

– Czy ty lub ktoś inny otwierał rozsuwane drzwi w ich sypialni, tej zielonej?

– Nie.

– Nie są zamknięte na klucz, a zauważyłam smugi na zewnętrznej powierzchni szkła. Ślady uszu. Ciekawa jestem, czy były tam, gdy oglądałaś dom w zeszły piątek.

– Ślady uszu?

– Tak, dwa ślady prawego ucha – odpowiada doktor Scarpetta, gdy wreszcie dzwoni jej telefon.



## Rozdział 30

**L**eje jak z cebra, kiedy Kay zatrzymuje się przed domem pani Simister.

Stoją tam już trzy wozy policyjne i karetka.

Doktor Scarpetta wysiada z samochodu i nie sięgając nawet po parasol, kończy rozmowę z biurem okręgowego lekarza sądowego, którego jurysdykcji podlegają wszystkie nagłe, niespodziewane i brutalne zgony, do jakich dochodzi między Palm Beach i Miami. Kay oświadcza, że skoro już tu jest, zbada ciało na miejscu, chciałaby jednak, by jak najszybciej przewieziono je do kostnicy. Sugeruje, by wykonać sekcję zwłok jak najszybciej.

– Nie uważa pani, że to może poczekać do rana? Być może to samobójstwo, podobno ta kobieta cierpiała na depresję – pyta jej rozmówca z biura lekarza sądowego ostrożnie, nie chce bowiem, by doktor Scarpetta pomyślała, że kwestionuje jej opinię.

Nie chce powiedzieć wprost, że jego zdaniem nie jest to pilny przypadek. Starannie dobiera słowa, ale ona dobrze wie, o co mu chodzi.

– Marino mówi, że na miejscu przestępstwa nie ma żadnej broni wyjaśnia, wchodząc na schody werandy i moknąc w strugach deszczu.

– W porządku, nie wiedziałem o tym.

– Nic mi też nie wiadomo, aby ktoś zakładał, że to samobójstwo.

Myśli o strzelającym gaźniku, który słyszała wcześniej z Rebą. Próbuje przypomnieć sobie, kiedy to właściwie było.

– Więc wchodzi tam pani, pani doktor?

– Oczywiście – odpowiada. – Proszę przekazać doktorowi Amosowi, by przyjechał do kostnicy i wszystko przygotował.

Marino czeka już na nią, gdy Kay wchodzi do środka i odgarnia z oczu wilgotne włosy.

– Gdzie jest Wagner? – pyta, nie witając się z nią. – Pewnie zaraz tu przyjdzie. Cholera, że też właśnie taka kretyńka będzie się tym zajmować.

– Kiedy wychodziłam, była jeszcze w tamtym domu. Nie wiem, gdzie teraz jest.

– Pewnie się zgubiła. Ona w ogóle nie ma poczucia kierunku.

Scarpetta mówi mu o Biblii w sypialni Ev i Kristin i wersie zaznaczonym trzema krzyżykami.

– To samo, co powiedział mi ten facet przez telefon! – wykrzykuje Marino. – Jezu Chryste. Co tu się dzieje, do diabła? Cholerna kretyńka – wykrzykuje ponownie, tym razem pod adresem Reby. – Będę musiał jakoś ją stąd spławić i ściągnąć prawdziwego detektywa, żeby wszystkiego nie spieprzyła.

Doktor Scarpetta ma już dość jego złośliwych komentarzy.

– Bądź tak dobry i postaraj się jej pomóc, a swoje uprzedzenia i złośliwości zachowaj dla siebie. Teraz powiedz mi, co już wiemy.

Zagląda ponad jego ramieniem do wnętrza domu. Dwaj medycy wychodzą właśnie z walizkami pełnymi sprzętu, który tutaj nie może do

niczego się już przydać.

– Strzał ze strzelby w usta: oderwało jej praktycznie pół głowy – mówi Marino, schodząc z drogi medykom, którzy niespiesznym krokiem zmierzają do karetki. – Leży na łóżku w sypialni, ubrana, obok stoi włączony telewizor. Nic nie wskazuje na włamanie, rabunek lub napaść na tle seksualnym. W umywalce w łazience znaleźliśmy parę lateksowych rękawiczek. Jedna z nich jest zakrwawiona.

– W której łazience?

– Przy jej sypialni.

– Czy coś jeszcze wskazuje na to, że zabójca mógł zacierać ślady?

– Nie, tylko te rękawiczki. Żadnych zakrwawionych ręczników ani śladów krwi poza sypialnią.

– Chcę je obejrzeć. Wiadomo na pewno, kim ona jest?

– Wiemy, czyj to dom. Daggie Simister. Nie mogę stwierdzić z całkowitą pewnością, że to właśnie ona leży na łóżku.

Doktor Scarpetta sięga do torby po nową parę rękawiczek i wchodzi do holu. Rozgląda się dokoła, myśląc o otwartych drzwiach w sypialni domu po drugiej stronie kanału. Przygląda się wykładanej płytkami podłodze, jasnoniebieskim ścianom, potem wchodzi do niewielkiego salonu. Pokój zastawiony jest meblami, pełno tu starych zdjęć, porcelanowych ptaszków i innych figurek z minionej epoki. Wydaje się, że nic nie zostało tutaj naruszone.

Marino prowadzi ją przez salon, obok kuchni, na drugą stronę domu, gdzie w sypialni z oknami wychodzącymi na kanał leży ciało kobiety.

Jest ubrana w różowy kostiumik i różowe kapcie, leży na plecach.

Usta ma szeroko otwarte, oczy wpatrują się tępo w sufit, zmasakrowana głowa wygląda jak roztrzaskane od góry jajko. Poduszka przesiąknięta jest ciemnoczerwoną krwią, która dopiero zaczyna krzepnąć, leżą na niej

fragmenty mózgu i kości. Kawałki mózgu i kości przykleiły się także do poplamionej krwią poręczy łóżka i ściany.

Doktor Scarpetta wsuwa dłoń pod ciepły jeszcze żakiet ofiary, dotyka jej piersi i brzucha, a potem dłoni. Ciało jest ciepłe, nie nastąpiło jeszcze stężenie pośmiertne. Rozsuwa żakiet i wsuwa termometr chemiczny pod prawą pachę. Czeka na odczyt temperatury, szuka na ciele innych obrażeń prócz rany głowy.

– Kiedy umarła? – pyta Marino.

– Jest ciepła. Ciało nie zaczęło nawet jeszcze tężeć.

Myśli o tym, co uznały z Rebę za strzelający gaźnik, dochodzi do wniosku, że działo się to przed godziną. Podchodzi do termostatu na ścianie. Klimatyzacja jest włączona na dwadzieścia jeden stopni. Kay zapisuje temperaturę i powoli obchodzi pokój, przyglądając się wszystkiemu uważnie. Podłoga sypialni, wyłożona terakotą, jest przykryta niemal w połowie granatowym dywanikiem, sięgającym od łóżka do okna wychodzącego na kanał. Żaluzje są opuszczone. Na nocnym stoliku stoi szklanka płynu, który wygląda jak zwykła woda, obok leżą okulary i powieść Dana Browna, wydanie z wielkim drukiem. Na pierwszy rzut oka nie widać żadnych śladów walki.

– Więc może zginęła tuż przed tym, jak tutaj przyjechałem – mówi Marino. Jest poruszony, choć stara się tego nie okazywać. – Dosłownie minuty przed moim przyjazdem. Spóźniłem się, bo ktoś przebił mi oponę.

– Celowo? – pyta doktor Scarpetta, zastanawiając się, czy to tylko zwykły zbieg okoliczności.

Gdyby przyjechał tu wcześniej, starsza pani być może wciąż by żyła.

Mówi o huku; jak teraz przypuszcza, był to odgłos wystrzału. Z łazienki wychodzi umundurowany policjant, w dłoniach niesie mnóstwo fiolek i buteleczek, które stawia na komodzie.

– Tak, na pewno ktoś zrobił to celowo – odpowiada w końcu detektyw.

– Wiemy już, że zginęła niedawno. O której ją znalazłeś?

– Byłem tutaj jakieś piętnaście minut, nim do ciebie zadzwoniłem.

Chciałem mieć pewność, że dom jest czysty, że zabójca nie kryje się gdzieś w szafie.

– Sąsiedzi niczego nie słyszeli?

Marino wyjaśnia, że w sąsiednich domach nikogo nie ma. Jeden z policjantów już to sprawdził. Poci się obficie, jego twarz jest intensywnie czerwona, szeroko otwarte oczy mają zdezorientowany wyraz.

– Zupełnie nie rozumiem, co się tu dzieje – powtarza. – Czuję się tak, jakby ktoś nas wrobił. Ty i Wagner byliście po drugiej stronie kanału. Ja się spóźniłem, bo wymieniałem oponę.

– W ogrodzie był jakiś inspektor – mówi doktor Scarpetta. – Oglądał drzewa cytrusowe. – Opisuje mu przyrząd do zrywania owoców, który inspektor rozłożył i schował do czarnej torby. – Powinniśmy to jak najszybciej sprawdzić.

Wyciąga termometr spod pachy martwej kobiety i zapisuje wynik – trzydzieści sześć i dwie dziesiąte stopnia. Wchodzi do wykładanej płytkami łazienki i zagląda pod prysznic, potem do sedesu i do kosza na śmieci. Umywalka jest sucha, nie ma na niej najmniejszych plam krwi, żadnych osadów, a to jest co najmniej dziwne. Spogląda na detektywa.

– Rękawiczki były w umywalce? – pyta.

– Zgadza się. Jeśli zabójca zdjął je po zamordowaniu pani Simister i wrzucił do umywalki, powinny tu zostać ślady krwi.

– Chyba że krew na rękawiczkach była już wtedy zaschnięta.

– Nie powinna być – odpowiada Kay, otwierając szafkę wypełnioną popularnymi lekami na różne bóle i kłopoty żołądkowe. – Chyba że zabójca miał je przez dłuższy czas na rękach.

– To nie musiało wcale tak długo trwać.

– Być może. Masz je gdzieś tutaj?

Wychodzą z łazienki; Marino wyjmuje z walizki z materiałami dowodowymi dużą papierową kopertę. Otwierają tak, by doktor Scarpetta mogła zajrzeć do środka, nie dotykając rękawiczek. Jedna jest czysta, druga częściowo przewleczone na drugą stronę i poznaczona plamami zakrzepłej krwi. Rękawiczki nie są wysypane od środka talkiem, a ta czysta wygląda tak, jakby nigdy nie była używana.

– Będziemy też musieli sprawdzić DNA w środku rękawiczek. I odciski palców – mówi Kay.

– Pewnie nie wiedział, że można zostawić odciski w środku lateksowych rękawiczek – zauważa Marino.

– Musiałyby chyba w ogóle nie oglądać telewizji – wtrąca się jeden z policjantów.

– Nie wspominaj nawet o tych bzdurach w telewizji, zatruwają mi tylko życie – odpowiada mu inny policjant, schowany do połowy pod łóżkiem. – No proszę – dodaje nagle.

Wychodzi spod łóżka, trzymając w jednej dłoni latarkę, w drugiej zaś rewolwer z rękojeścią wykładaną drewnem palisandrowym.

– Nienaładowany. Nie na wiele jej się przydał. Wygląda zresztą tak, jakby od ostatniego czyszczenia nikt z niego nie strzelał, jeśli w ogóle ktoś kiedykolwiek z niego strzelał – mówi.

– Tak czy siak, trzeba sprawdzić odciski – odpowiada Marino. Dziwne miejsce na trzymanie broni. Jak głęboko pod łóżkiem?

– Na tyle głęboko, że trzeba było tam wpełznąć tak, jak ja to zrobiłem. Co ma oznaczać ten napis, „Czarna Wdowa”?

– Żartujesz – dziwi się Marino i ogląda bliżej rewolwer. – Też coś, to raczej kiepska broń dla staruszki o pokręconych, artretycznych rękach.

– Ktoś musiał jej to dać, żeby w razie potrzeby miała się czym bronić przed włamywaczami, ale ona pewnie nawet nie próbowała sięgnąć po spluwę.

– Widzieliście gdzieś amunicję?

– Nie.

Policjant wrzuca pistolet do plastikowej torby i kładzie ją na komodzie. Drugi policjant zaczyna przeglądać buteleczki z lekarstwami.

– Accuretic, diurese i enduron – odczytuje nazwy. – Nie mam pojęcia, do czego to służy.

– Inhibitor i diuretyk. Na nadciśnienie wyjaśnia doktor Scarpetta.

– Verapamil, przeterminowany, z lipcową datą ważności.

– Nadciśnienie, dusznica, arytmia.

– Apresoline i loniten. Trudno nawet wymówić te nazwy. Też przeterminowane.

– Też na nadciśnienie.

– Więc może dostała wylewu. Vicodin. To znam. I ultram. Te są całkiem nowe.

– To środki przeciwbólowe. Pewnie na artretyzm.

– I zithromax. To antybiotyk, zgadza się? Grudniowa data ważności.

– Nic poza tym? – pyta doktor Scarpetta.

– Nie.

– Kto poinformował biuro lekarza sądowego, że pani Simister cierpiała na depresję? – pyta Kay ponownie, spoglądając na Marina.

Nikt nie odpowiada.

Wreszcie detektyw mówi:

– Na pewno nie ja.

– A kto zadzwonił do biura lekarza sądowego? – chce wiedzieć Kay.

Dwaj policjanci i Marino spoglądają po sobie.

- Cholera! – klnie pod nosem detektyw.
  - Chwileczkę. – Doktor Scarpetta kiwa głową i dzwoni do biura lekarza sądowego. – Kto powiadomił was o zgonie w wyniku postrzelenia?
  - Policja z Hollywood.
  - Ale kto konkretnie?
  - Detektyw Wagner.
  - Detektyw Wagner? – Kay marszczy brwi. – O której godzinie?
  - Chwileczkę, niech no spojrzę. Druga jedenaście.
- Doktor Scarpetta spogląda ponownie na Marina i pyta:
- Wiesz dokładnie, o której do mnie zadzwoniłeś?
- Ten sprawdza godzinę połączenia w telefonie komórkowym.
- Druga dwadzieścia jeden.
- Kay zerka na zegarek. Jest prawie trzecia trzydzieści. Nie zdąży na swój lot o szóstej trzydzieści.
- Wszystko w porządku? – pyta dyżurny lekarz sądowy przez telefon.
  - Nic cię nie zastanowiło w tym telefonie, rzekomo od detektyw Wagner?
- Rzekomo?
  - Dzwoniła kobieta?
  - Tak.
  - Nie wyczułeś czegoś dziwnego w jej głosie?
  - Nie – odpowiada po krótkim zastanowieniu dyżurny lekarz. Wszystko, co mówiła, brzmiało wiarygodnie.
  - A co z jej akcentem?
  - Co się tam dzieje, Kay?
  - Nic dobrego.
  - W porządku, sprawdzę jeszcze raz. Tak jest, druga jedenaście. Numer zastrzeżony.



– Oczywiście, że zastrzeżony. – Doktor Scarpetta kiwa głową. – Do zobaczenia za godzinę.

Pochyliła się niżej nad łóżkiem i przygląda uważnie dłoniom zmarłej, a potem obraca je delikatnie. Zawsze jest delikatna, choć wie, że jej pacjenci i tak już niczego nie czują. Nie widzi żadnych otarć, zadrapań czy siniaków, które mogłyby świadczyć o tym, że ofiara została skrepowana lub próbowała się bronić. Ogląda ręce przez lupę i dostrzega drobne włoski i drobiny brudu przyklejone do wewnętrznej części obu dłoni.

– Być może wcześniej leżała na podłodze – mówi.

W tej samej chwili do pokoju wchodzi Reba, blada, przemoczona i wyraźnie poruszona.

– Te uliczki to prawdziwy labirynt – mówi.

– Hej – zwraca się do niej Marino. – O której godzinie dzwoniłaś do biura lekarza sądowego?

– W jakiej sprawie?

– W sprawie ceny jajek w Chinach.

– Co? – pyta, zdumiona, wpatrując się w krwawą jatkę na łóżku.

– W sprawie tego zabójstwa – wyjaśnia Marino szorstkim tonem. A jak myślisz, o co mogłem cię spytać? I spraw sobie wreszcie ten cholerny GPS.

– Nie dzwoniłam do biura lekarza sądowego. Po co miałabym to robić, skoro doktor Scarpetta stała obok mnie? – odpowiada, patrząc na Kay.

– Zabezpieczmy jej dłonie i stopy – mówi Kay. – Chcę, żeby owinięto ją w tę narzutę i czystą plastikową płachtę. Trzeba też zabrać pościel z łóżka.

Podchodzi do okna wychodzącego na ogród i kanał. Patrzy na smagane deszczem drzewa cytrusowe i myśli o inspektorze, którego widziała wcześniej. Był na tym podwórku, jest tego pewna, próbuje sobie tylko przypomnieć, o której dokładnie godzinie go tutaj widziała. Wie, że na pewno niedługo przed tym, jak usłyszała wystrzał. Rozgląda się ponownie

po sypialni i zauważa dwie ciemne plamy na dywanie pod oknem wychodzącym na ogród.

Są ledwie widoczne na granatowym tle. Doktor Scarpetta sięga do torby po zestaw do badania krwi, a potem wyciąga z niego odpowiednie środki chemiczne i kroplomierze. Dwie plamki znajdują się w odległości kilkunastu centymetrów od siebie. Obie mają wielkość małej monety i owalny kształt. Kay pobiera próbkę jednej z nich, a potem opuszcza na próbkę kroplę alkoholu izopropylowego, fenoloftaleiny i nadtlenku wodoru. Czerwona substancja przybiera jasnoróżową barwę. Nie znaczy to jeszcze, że dwie plamki to ludzka krew, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że tak właśnie jest.

– Jeśli to jej krew, to skąd się wzięła aż tutaj? – pyta sama siebie Kay.

– Może po prostu chlapnęła aż tutaj – podsuwa Reba.

– Niemożliwe.

– Krople i to nie okrągłe – rozmyśla głośno Marino. – Wygląda na to, że ten, kto krwawił, stał prosto. – Rozgląda się dokoła, szukając innych plam.

– To dziwne, że są tutaj i nigdzie indziej. Gdyby ktoś krwawił, na pewno byłoby więcej śladów – mówi, jakby Reby nie było wcale w pokoju.

– Trudno je dostrzec na takiej ciemnej, nierównej powierzchni – odpowiada doktor Scarpetta. – Ale ja też nie widzę żadnych innych.

– Może powinniśmy tu wrócić z luminolem. – Marino wciąż zachowuje się tak, jakby Reba była powietrzem, a na twarzy policjantki pojawia się gniewny grymas.

– Będziemy potrzebowali próbek włókien z tego dywanu, kiedy pojawią się tu technicy. – Doktor Scarpetta zwraca się do wszystkich.

– Trzeba odkurzyć dywan i sprawdzić mikroślady – dodaje Marino, unikając spojrzenia Reby.

– Będę potrzebowała twojego zeznania, zanim stąd odjedziesz, bo to ty ją pierwszy znalazłeś – mówi do niego Reba. – Nie wiem, dlaczego właściwie wszedłeś do jej domu.

Nie odpowiada jej. Detektyw Wagner nie istnieje.

– Więc może wyjdziemy na chwilę na zewnątrz i powiesz mi, co masz do powiedzenia – kontynuuje Reba. – Mark? – zwraca się do jednego z policjantów. – Może powinienesz sprawdzić, czy na ubraniu śledczego Marino nie ma śladów prochu?

– Spierdalaj – mówi krótko detektyw.

Scarpetta rozpoznaje niski pomruk w jego głosie. Zwykle jest to tylko wstęp do prawdziwego wybuchu.

– To tylko formalność. – Reba nie daje za wygraną. – Wiem, że nie chciałbyś, aby ktoś ciągał cię potem po sądach.

– Reba – odzywa się policjant nazwany przez nią Markiem. – Nie nosimy ze sobą sprzętu do badania mikrośladów. Muszą się tym zająć technicy.

– Gdzie oni się podziewają, do diabła? – pyta Reba, zirytowana i zakłopotana, wciąż niepewna siebie w nowej roli.

– Marino, bądź tak dobry i sprawdź, gdzie są nasi ludzie – próbuje zażegnać konflikt doktor Scarpetta.

– Ciekaw jestem – mówi Marino, podchodząc tak blisko Reby, że ta musi się cofnąć o krok – przy ilu morderstwach pracowałaś jako detektyw, ile zmasakrowanych ciał widziałaś w swojej karierze?

– Muszę to sprawdzić – brnie Reba. – Ciebie i doktor Scarpettę. Możemy zacząć już teraz.

– Odpowiedź brzmi „zero” – ciągnie Marino, jakby w ogóle jej nie słyszał. – Nie miałaś jeszcze do czynienia z żadnym morderstwem. – Zaczyna mówić coraz głośniej. – Gdybyś przeczytała uważnie notatki ze

swojego egzemplarza „Prowadzenia śledztwa dla idiotów”, przekonałabyś się, że badanie ciała zmarłego podlega jurysdykcji lekarza sądowego, a to oznacza, że w tej chwili dowodzi tu doktor Scarpetta, a nie ty.

A ponieważ tak się składa, że prócz wielu innych skomplikowanych tytułów mam też uprawnienia asystenta lekarza sądowego i właśnie pomagam pani doktor w prowadzeniu czynności śledczych, mnie także nie możesz rozkazywać.

Umundurowani policjanci z trudem kryją rozbawienie.

– A wszystko to sprowadza się do jednego – puentuje Marino. W tej chwili dowodzi tutaj doktor Scarpetta i ja, a ty gównie wiesz i nie powinnaś wchodzić nam w drogę.

– Nie możesz mówić do mnie w ten sposób! – wykrzykuje Reba, bliska łez.

– Czy ktoś mógłby sprowadzić tutaj prawdziwego detektywa? – pyta Marino umundurowanych policjantów. – Nie odejdę, dopóki ktoś taki się tutaj nie zjawi.

## Rozdział 31

**B**enton siedzi w swoim pokoju na parterze laboratorium neurobiologii procesów poznawczych, jednym z kilku nielicznych nowoczesnych budynków w kampusie, gdzie znajdują się głównie stuletnie gmachy z cegły oraz sady i stawy. Z okien większości pomieszczeń w MacLean roztaczają się piękne widoki, ze swego gabinetu Benton widzi jednak tylko miejsce parkingowe dla niepełnosprawnych, drogę i pole, na którym często przysiadają gęsi.

Pokój Bentona jest mały, wypełniony książkami i papierami, mieści się pośrodku budynku laboratorium w kształcie litery H. W każdym z czterech skrzydeł budynku znajduje się aparat do wykonywania badań za pomocą rezonansu magnetycznego, a moc połączonego pola magnetycznego tych urządzeń mogłaby ściągnąć pociąg z szyn. Benton jest jedynym psychologiem sądowym, którego gabinet mieści się w laboratorium. Musi być łatwo osiągalny dla wszystkich neurobiologów ze względu na program PREDATOR.

Dzwoni do koordynatora programu.

– Czy dzwonił nasz najnowszy normalny? – Benton patrzy za okno na dwie gęsi spacerujące wzdłuż drogi. – Kenny Jumper?

– Chwileczkę, ktoś dzwoni, może to właśnie on. – Koordynator milknie na moment. – Doktorze Wesley? – odzywa się wreszcie. – Jest na linii.

– Halo? – mówi Benton. – Dzień dobry, Kenny, tu doktor Wesley.

Jak się dzisiaj miewasz?

– Nie najgorzej.

– Mówisz tak, jakbyś był trochę przeziębiony.

– Może to alergja. Głaskałem dzisiaj kota.

– Chciałbym ci zadać kilka pytań, Kenny. – Benton spogląda na listę pytań zadawanych podczas drugiej rozmowy telefonicznej z kandydatem do badań.

– Już mi pan zadawał wszystkie te pytania.

– Dzisiejsze są inne. To rutynowy wywiad, przeprowadzamy go ze wszystkimi uczestnikami badań.

– W porządku.

– Po pierwsze, skąd dzwonicz? – pyta Benton.

– Z automatu. Nie może pan oddzwonić na ten numer. Tylko ja mogę zadzwonić do pana.

– Nie masz telefonu w swoim mieszkaniu?

– Jak już panu mówiłem, mieszkam u przyjaciela, w Waltham, a on nie ma telefonu.

– Rozumiem. Chciałbym teraz potwierdzić kilka rzeczy, o których mówiłeś mi wczoraj, Kenny. Jesteś kawalerem.

– Tak.

– Masz dwadzieścia cztery lata.

– Tak.

– Jesteś biały.

– Tak.

– Kenny, jesteś prawo – czy leworęczny?

– Praworęczny. Nie mam prawa jazdy, jeśli chce pan ode mnie jakichś dokumentów.

– W porządku, to nie jest konieczne.

Zgodnie z prawem od badanych kandydatów do eksperymentu nie wymaga się dowodu tożsamości, nie wolno ich też fotografować ani próbować w jakikolwiek sposób weryfikować prawdziwość podanych przez nich informacji. Benton odznacza kolejne punkty, pyta Kenny'ego o protezy i aparaty dentystyczne, o metalowe implanty, metalowe płytki lub śruby i o to, z czego się utrzymuje. Pyta również, czy mężczyzna jest uczulony na cokolwiek poza kocią sierścią, czy ma problemy z oddychaniem, jakieś choroby przewlekłe, czy kiedykolwiek doznał obrażeń głowy, czy kiedykolwiek chciał skrzywdzić siebie lub innych, czy poddaje się obecnie jakiejś terapii i czy jest pod nadzorem kuratorskim. Zazwyczaj padają odpowiedzi przeczące. Ponad jedna trzecia ochotników, którzy zgłaszają się do badań jako „normalni” kandydaci, normalna bynajmniej nie jest. Na razie jednak wydaje się, że Kenny rzeczywiście nie odbiega od normy.

– Jak często i ile alkoholu piłeś w ciągu ostatniego miesiąca? – pyta niestrudzenie Benton, choć ma już tego serdecznie dość.

Wywiad telefoniczny jest długi i żmudny. Jeśli jednak nie przeprowadzi go sam, i tak straci mnóstwo czasu, weryfikując wszystkie odpowiedzi, nie ufa bowiem informacjom gromadzonym przez asystentów i innych członków personelu. Woli przejść przez tę nudną procedurę, niż przekonać się po wielu bezcennych godzinach badań spędzonych na sprawdzaniu i analizie danych, że dany pacjent nie nadaje się do projektu, jest niezrównoważony lub potencjalnie niebezpieczny.

– Od czasu do czasu wypiję piwo lub dwa – odpowiada Kenny. – Nie piję dużo. Nie palę. Kiedy będę mógł zacząć? W ogłoszeniu napisali, że

dostanę osiemset dolarów i że opłacicie taksówki. Nie mam samochodu, więc będę musiał z tego skorzystać.

– Może wpadłbyś do nas w piątek? O drugiej. Na badanie MRI. Pasuje ci?

– Mówi pan o tej maszynie z magnesem?

– Zgadza się.

– Wolałbym czwartek o piątej. Mogę przyjść wtedy.

– W porządku, niech będzie czwartek o piątej. – Benton zapisuje datę i godzinę.

– I przyślijcie po mnie taksówkę.

Benton obiecuje, że to zrobią, i prosi o adres. Unosi brwi w niemym zdziwieniu, kiedy Kenny wymienia Dom Pogrzebowy Alfa i Omega w Everett, dom pogrzebowy, o którym Benton nigdy nie słyszał, położony w niezbyt przyjemnej okolicy tuż pod Bostonem.

– Dlaczego pod dom pogrzebowy? – pyta, stukając ołówkiem w formularz.

– Bo to blisko miejsca, w którym mieszkam. Jest tam automat.

– Kenny, chciałbym, żebyś zadzwonił do mnie jutro i potwierdził nasze czwartkowe spotkanie, dobrze?

– W porządku. Zadzwonię do pana z tego samego automatu.

Wesley odkłada słuchawkę i sprawdza w książce telefonicznej, czy istnieje takie przedsiębiorstwo jak Dom Pogrzebowy Alfa i Omega w Everett. Istnieje. Dzwoni tam, musi jednak oczekiwać na połączenie.

W tle słychać utwór Hoostabank zatytułowany „Przyczyna”.

Przyczyna czego?, myśli zniecierpliwiony. Śmierci?

– Benton?

Podnosi wzrok i widzi doktor Susan Lane, która stoi w drzwiach gabinetu i trzyma w dłoni raport.



- Cześć – mówi, odkładając słuchawkę.
- Mam wieści o twoim przyjacielu, Basilu Jenretcie – mówi Susan, przyglądając mu się uważnie. – Wyglądasz na zestresowanego.
- A kiedy ja tak nie wyglądam? Analiza jest już gotowa?
- Może powinieneś iść do domu, Benton. Wyglądasz na wyczerpanego.
- Raczej na pochłoniętego pracą. Za późno kładę się spać. Powiedz mi, jak się sprawuje mózg naszego Basila. Nie mogę już się doczekać.
- Susan wręcza mu kopię analizy strukturalnej i funkcjonalnej, mówiąc:
  - Zwiększona aktywność mózdzku w reakcji na bodźce afektywne.
- Szczególnie na twarze, odsłonięte lub zamaskowane, które były przerażające lub kryły w sobie jakiś aspekt negatywny.
  - Tak, to interesująca sprawa. – Benton kiwa głową. – Być może dowiemy się w końcu, jak wybierają swoje ofiary. Grymas, który my uznajemy za wyraz zdumienia lub ciekawości, oni mogą postrzegać jako strach lub gniew. A to ich pobudza do działania.
  - Człowiek zaczyna się bać, kiedy o tym pomyśli.
  - Muszę dokładniej badać tę kwestię, kiedy z nimi rozmawiam. Zaczynając od niego. – Benton otwiera szufladę i wyciąga buteleczkę z aspiryną.
  - Co my tu jeszcze mamy... Podczas testu Stroopa – mówi Susan, spoglądając na raport – zaobserwowano zwiększoną aktywność przednich obręczy w obszarze grzbietowym, czemu towarzyszyła również zwiększona aktywność przedczołowa grzbietowoboczna.
  - Konkrety, Susan, boli mnie głowa. – Wysypuje na dłoń trzy aspiryny i połyka bez popijania wodą.
  - Jak ty to robisz?
  - Lata praktyki.

– No więc... – zaczyna jeszcze raz Susan, wracając do analizy mózgu Basila. – Ogólnie rzecz biorąc, rezultaty wskazują na nietypowe połączenia czołowych struktur limbicznych, co sugeruje anormalne funkcjonowanie mechanizmu powstawania zahamowań spowodowane być może zbyt niską liczbą procesów zachodzących w części czołowej.

– Co ogranicza zdolność kontrolowania własnych odruchów i zachowań.  
– Benton kiwa głową. – To przypadłość, którą często obserwujemy u naszych drogich gości ze szpitala Butler. Często idzie też w parze z dwubiegunową psychozą afektywną.

– Zgadza się, podobnie jak z wieloma innymi zaburzeniami psychicznymi.

– Przepraszam cię na sekundkę – mówi Benton, podnosi słuchawkę i wybiera numer swojego koordynatora. – Możesz sprawdzić przychodzące połączenia i powiedzieć mi, z jakiego numeru dzwonił Kenny Jumper? – pyta.

– Numer zastrzeżony.

– Hmm... – zastanawia się Benton. – Nie wiedziałem, że automaty mogą mieć zastrzeżone numery.

– Przed momentem skończyłem właśnie rozmawiać ze szpitalem Butler – dodaje koordynator. – Podobno Basil nie czuje się najlepiej.

Chciałby się z panem widzieć, jeśli to możliwe.

Dochodzi wpół do szóstej, parking przed biurem lekarza sądowego okręgu Broward jest prawie całkiem pusty. Pracownicy, szczególnie ci odpowiedzialni za sprawy administracyjne, rzadko zostają w kostnicy po godzinach.

Budynek kostnicy mieści się przy Southwest Avenue, w okolicy porośniętej gęsto palmami, dębami i sosnami, pośród których tu i ówdzie przycupnęły przyczepy kempingowe. Podobnie jak większość budynków w

tej okolicy, kostnica ma tylko jeden poziom. Ściany są otynkowane i wyłożone kamieniem. Stoi zwrócona tyłem do brudnego kanału, wylęgarni ogromnych chmar komarów i kryjówki groźnych aligatorów. Z kostnicą sąsiaduje okręgowa jednostka straży pożarnej i pogotowia; sanitariusze pełniący tam dyżur bez ustanku mają przed oczami miejsce, do którego trafiają co bardziej pechowi spośród ich pacjentów.

Deszcz już niemal ustał, wszędzie jednak są kałuże, które muszą omijać doktor Scarpetta i Joe Amos, zmierzając do srebrnego hummera H2. Kay nie przepada za tymi samochodami, musi jednak przyznać, że dobrze się nadają do jazdy w terenie i mogą zabrać mnóstwo sprzętu.

Lucy uwielbia hummery.

– Nie mogę zrozumieć, jak ktoś mógł wejść do niej ze strzelbą w środku dnia. – Joe powtarza tę samą kwestię co najmniej od godziny.

– Pewnie można by jakoś sprawdzić, czy nie miała obciętej lufy.

– Gdyby lufa nie została wygładzona po przycięciu, na przybitce zostałyby zapewne ślady narzędzi – odpowiada Kay.

– Ale brak takich śladów nie oznacza, że lufa nie była obcięta.

– Zgadza się.

– Bo mógł jednak spiłować obciętą lufę. Jeśli to zrobił, nie dowiemy się niczego więcej, dopóki nie znajdziemy broni. Kaliber dwanaście.

Wiemy tylko tyle.

Wiedzą to dzięki pozostałościom naboju, wydobytym przez doktor Scarpettę z wnętrza zmasakrowanej głowy Daggie Simister. Jest to jeden z nielicznych faktów, które udało jej się potwierdzić z całą pewnością. Inne ważne odkrycie wiązało się z określeniem sposobu, w jaki pani Simister została zaatakowana i pozbawiona świadomości. Okazało się, że nawet gdyby nie została zastrzelona, i tak mogłaby umrzeć. Scarpetta jest pewna,

że pani Simister była nieprzytomna, kiedy zabójca włożył jej w usta lufę strzelby i pociągnął za spust. Dojście do tej konkluzji nie było łatwe.

Rozległe obrażenia głowy mogą maskować rany, które zadano wcześniej, przed ostatnim ciosem czy strzałem. Czasem lekarz sądowy musi być także chirurgiem plastycznym; w kostnicy Kay zrobiła, co mogła, by poskładać w jedną całość fragmenty kości i skóry z głowy pani Sinister, a potem zgoliła staruszce włosy. Odkryła wtedy ranę szarpaną z tyłu głowy i pęknięcie czaszki. Miejsce, gdzie zadano cios, odpowiadało krwiałom podtwardówkowym w niższej części mózgu, której strzał ze strzelby praktycznie nie naruszył.

Gdyby się okazało, że plamy na dywanie przy oknie w sypialni pani Simister to jej krew, można by przypuszczać, że ofiara właśnie tam została najpierw zaatakowana, co wyjaśniałoby także obecność niebieskich włókien na jej dłoniach. Została mocno uderzona od tyłu jakimś tępym narzędziem i osunęła się na podłogę. Zabójca podniósł ją wtedy i ułożył na łóżku.

– Strzelbę z obciętą lufą można by bez trudu przenieść w plecaku mówi Joe.

Doktor Scarpetta wyłącza pilotem alarm w hummerze, otwiera drzwiczki i odpowiada ze znużeniem:

– Niekoniecznie.

Joe ją męczy i coraz bardziej irytuje.

– Nawet gdybyś obciął czterdzieści pięć centymetrów lufy i piętnaście kolby, i tak zostaje ci co najmniej czterdzieści pięć centymetrów wyjaśnia.

– Zakładając, że mówimy o strzelbie ładowanej automatycznie.

Myśli o wielkiej, czarnej torbie, którą miał ze sobą inspektor.

– Strzelba ładowana ręcznie byłaby jeszcze dłuższa – dodaje. – Tak czy inaczej, ani jedno, ani drugie nie zmieściłoby się do plecaka, chyba że

bardzo dużego.

– No to do torby na zakupy.

Scarpetta myśli o inspektorze, o długim przyrządzie do zrywania owoców, który złożył i schował do czarnej torby. Widziała już wcześniej inspektorów badających zarazę cytrusową, ale żaden z nich nie używał takiego chwytaka. Zwykle zrywali owoce, których mogli dosięgnąć.

– Założę się, że miał torbę na zakupy – mówi Joe.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Kay, niemal warcząc.

Przez całą sekcję paplał, wymądrzał się i rozprawiał, aż z trudem mogła zebrać myśli. Uważał za konieczne mówić jej o wszystkim, co robi i co zapisuje w protokole przypiętym do podkładki. Uważał, że musi podawać jej wagę każdego organu i głośno dedukować, kiedy pani Simister jadła ostatni posiłek na podstawie stanu częściowo strawionych warzyw i mięsa w jej żołądku. Robił wszystko, by Kay usłyszała chrzęst osadu wapna, kiedy otwierał skalpelem częściowo zamknięte tętnice, po czym oświadczył, że być może kobietę zabiła miazdżycza.

Cha, cha, cha.

Cóż, pani Simister rzeczywiście nie miała przed sobą długiego życia.

Jej serce było w kiepskim stanie. W płucach porobiły się zrosty, prawdopodobnie pozostałość po zapaleniu płuc, a mózg ulegał atrofii, więc prawdopodobnie cierpiała też na alzheimera.

„Skoro człowiek i tak ma zostać zamordowany, może sobie spokojnie chorować”, stwierdził Joe.

– Myślę, że uderzył ją w głowę kolbą – mówi teraz. – No wiesz, w ten sposób. – Uderza w wyimaginowaną głowę wyimaginowaną kolbą strzelby. – Nie miała nawet stu pięćdziesięciu centymetrów wzrostu kontynuuje. – Jeśli więc miał uderzyć ją w głowę kolbą strzelby, która waży jakieś trzy

lub cztery kilo, zakładając, że lufa była obcięta, musiał być dość silny i wyższy od ofiary.

– Wcale nie możemy być tego pewni – odpowiada doktor Scarpetta, wyjeżdżając z parkingu. – Wiele zależy od tego, jak był ustawiony względem ofiary. Wiele zależy od wielu innych czynników. Nie wiemy też wcale, czy rzeczywiście uderzył ją strzelbą. Nie wiemy nawet, czy to był mężczyzna. Uważaj, Joe.

– Na co?

– W tym twoim wielkim zapale odtwarzania okoliczności śmierci różnych ludzi możesz pomieszać teorię z prawdą i zamienić fikcję w fakt.

To nie jest kolejna piekielna scenka. To prawdziwy człowiek, który naprawdę nie żyje.

– A cóż jest złego w kreatywności? – pyta Joe, patrząc prosto przed siebie i zaciskając mocno usta, jak zawsze, gdy się obraża.

– Kreatywność jest dobra – zgadza się z nim Kay. – Powinna podpowiadać, gdzie i czego szukać, ale nie wolno odtwarzać całej sceny przestępstwa w sposób, który można zobaczyć filmach czy w telewizji.

## Rozdział 32

**M**ały domek dla gości kryje się za wykładanym hiszpańskimi płytkami basenem, pośród drzew owocowych i kwitnących krzewów. Nie jest to typowy gabinet do przyjmowania pacjentów ani może nawet najlepsze miejsce do tego, otoczenie jest jednak bardzo nastrojowe i pełne symboli. Kiedy pada deszcz, doktor Self czuje się równie twórcza jak ciepła, wilgotna ziemia.

Często interpretuje pogodę jako wyraz tego, co dzieje się, gdy pacjent przechodzi przez jej drzwi. Tłumione emocje, niektóre z nich gwałtowne jak burza, zostają nagle uwolnione w bezpiecznej atmosferze jej gabinetu. Nagłe zmiany pogody zdarzają się w jej otoczeniu bardzo często, są przeznaczone dla niej, unikatowe. Niosą ze sobą mnóstwo podtekstów i wskazówek.

„Witajcie w mojej burzy. Teraz porozmawiajmy o waszych”.

To niezła kwestia, używa jej często podczas rozmów z pacjentami, a także w swoich programach radiowych i w nowym telewizyjnym show.

Ludzkie emocje to wewnętrzny system pogodowy, tłumaczy swoim pacjentom i niezliczonym słuchaczom. Każdy front burzowy jest czymś wywołany. Nic nie bierze się z niczego. Rozmowy o pogodzie nie są ani prozaiczne, ani jałowe.

– Widzę wyraz twojej twarzy, tę minę – mówi, siedząc wygodnie na skórzanym krześle w swoim przytulnym salonie. – Zrobiłeś ją, kiedy deszcz przestał padać.

– Zapewniam cię, że nie robię żadnych min.

– To ciekawe, że robisz ją, kiedy deszcz przestaje padać. Nie kiedy zaczyna albo kiedy pada najmocniej, tylko kiedy nagle przestaje, jak teraz – upiera się doktor Self.

– Nie robię żadnych min!

– Właśnie przestał padać deszcz, a ty znów zrobiłeś tę minę – powtarza.

– Robisz tę samą minę, kiedy nasze spotkanie się kończy.

– Nie.

– Naprawdę.

– Nie płacę trzystu dolarów za godzinę, żeby słuchać jakichś bzdur o deszczu. Nie robię żadnych min!

– Pete, mówię ci o tym, co widzę.

– Nie robię żadnych min – odpowiada po raz kolejny Pete Marino, który siedzi na fotelu naprzeciwko doktor Self. – To bzdury. Dlaczego miałbym się przejmować burzą? Widziałem w życiu wiele burz. Nie wychowałem się na pustyni.

Doktor Self przygląda się jego twarzy. Jest dość przystojny, na swój chropawy, męski sposób. Wpatruje się w jego szare oczy ukryte za okularami w białych oprawkach. Jego łysiejąca głowa przypomina jej pupę noworodka, bladą i nagą w łagodnym blasku lampy. Jego mięsista, okrągła głowa jest miękką pupką, która czeka na klapsa.

– Myślę, że chodzi tutaj o kwestię zaufania – wyjaśnia detektywowi doktor Self.

Marino rzuca jej gniewne spojrzenie.



– Powiedz mi, dlaczego tak ważne są dla ciebie burze, chwile, w której się kończą. Bo uważam, że są dla ciebie ważne. Robisz tę minę właśnie teraz, kiedy rozmawiamy. Naprawdę. Nadal ją robisz.

Marino dotyka twarzy, jakby to była maska, coś, co do niego nie należy.

– Moja twarz jest normalna. Nic się z nią nie dzieje. Nic. – Stuka palcami w masywną szczękę. Potem w czoło. – Gdybym robił miny, wiedziałbym o tym. Nie robię żadnych min.

Przez kilka minut jadą w milczeniu, zmierzając z powrotem na parking przed komendą policji w Hollywood, gdzie Joe będzie mógł wsiąść do swojej czerwonej corvetty i zniknąć z oczu Kay na resztę dnia.

Nagle pyta:

– Czy mówiłem ci już, że zrobiłem kurs nurkowania z akwalungiem?

– Gratuluję. – Doktor Scarpetta nie udaje nawet, że ją to interesuje.

– Kupuję apartament na Kajmanach. Właściwie kupujemy go razem z moją dziewczyną. Ona zarabia więcej ode mnie. Czy to nie dziwne? pyta retorycznie Joe. – Ja jestem lekarzem, a ona dopiero myśli o tym, żeby zostać prawnikiem, a i tak zarabia więcej ode mnie.

– Nigdy nie zakładałam, że zajął się medycyną sądową dla pieniędzy.

– Nie zajął się nią też po to, żeby być biednym.

– Więc może powinieneś pomyśleć o jakimś innym zawodzie, Joe.

– Nie wydaje mi się, żeby tobie czegoś brakowało. – Odwraca się do niej, kiedy przystają na czerwonym świetle. Kay czuje na sobie jego spojrzenie. – Miło chyba mieć siostrzenicę bogatą jak Bill Gates – dodaje. I chłopaka z jakiejś bogatej rodziny z Nowej Anglii.

– Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? – pyta doktor Scarpetta, mając przed oczami Marina. Myśli o jego piekielnych scenkach.

– Że łatwo nie przejmować się pieniędzmi, kiedy ma się ich pod dostatkiem. I że być może nie wszystkie zarobiłaś sama.

– Po pierwsze, moje finanse nie powinny cię w ogóle interesować, a po drugie, jeśli będziesz pracował tyle lat co ja i będziesz dość inteligentny, poradzisz sobie równie dobrze.

– To zależy, co masz na myśli, mówiąc o „radzeniu sobie”.

Kay wspomina, jakie wrażenie zrobiło na niej podanie Joe. Kiedy ubiegał się o staż w akademii, uznała, że to najbardziej obiecujący uczeń, jakiego kiedykolwiek miała. Nie rozumie, jak mogła się aż tak bardzo pomylić.

– Nikt z twojego otoczenia nie ma chyba z tym kłopotów – mówi Joe Amos coraz bardziej zjadliwym tonem. – Nawet Marino zarabia więcej ode mnie.

– Skąd możesz wiedzieć, ile on zarabia?

Komenda policji jest już blisko, po drugiej stronie skrzyżowania.

Trzypiętrowy budynek graniczy z polem golfowym, czasem zdarza się więc, że zabłąkane piłki przelatują przez płot i uderzają w policyjne wozy. Doktor Scarpetta dostrzega corvette Joe w odległym zakątku parkingu, z dala od miejsca, gdzie cokolwiek mogłoby jej wyrządzić jakąś szkodę.

– Każdy wie – mówi Joe. – To normalka.

– Nie.

– W takim małym środowisku nie da się utrzymać niczego w tajemnicy.

– Akademia nie jest taka znowu mała i wiele rzeczy powinno być utrzymanych w ścisłej tajemnicy. Choćby zarobki.

– Powinienem zarabiać więcej. Marino nie jest lekarzem. Z trudem skończył szkołę, a teraz zarabia więcej ode mnie. Lucy bawi się tylko w tajną agentkę, rozbija się ferrari, helikopterami, odrzutowcami i motocyklami. Chciałbym wiedzieć, skąd właściwie ma taką kasę, do cholery. Wielkie bógwico, superwoman, a tak naprawdę to sama arogancja i tupet. Nic dziwnego, że studenci tak jej nie lubią.

Kay zatrzymuje się za corvetta i odwraca się do niego, poważniejsza niż kiedykolwiek w jego obecności.

– Joe? – mówi. – Został ci jeszcze miesiąc. Spróbujmy go jakoś wytrzymać.

Zdaniem doktor Self przyczyną większości trudności życiowych Pete'a Marino jest mina, którą właśnie widzi na jego twarzy.

To właśnie ten szczególny negatywny wyraz twarzy, który odróżnia się od każdej innej miny, pogarsza sytuację detektywa, choć ta i tak wcale nie jest najlepsza. Lepiej byłoby dla niego, gdyby nie próbował ukrywać przed światem swoich lęków, antypatii, poczucia opuszczenia, kompleksów seksualnych i innych tłumionych negatywnych emocji. Ona wie, co oznacza napięcie widoczne na jego twarzy i w oczach, inni zaś tego nie wiedzą, nie świadomie. Nieświadomie jednak coś dostrzegają i na to reagują.

Marino często spotyka się z niemiłym traktowaniem, obelgami, nieuczciwością, odrzuceniem i zdradą. Zdarza mu się brać udział w bójkach. Twierdzi, że w ciągu swej trudnej i niebezpiecznej kariery zabił kilka osób. Zapewne każdy, kto decyduje się go zaatakować, zostaje ukarany niewspółmiernie do winy, ale Marino tak tego nie postrzega.

Jego zdaniem ludzie czepiają się go bez powodu. Większość problemów wynika z uprzedzeń w stosunku do jego osoby, bo wychował się w biednym New Jersey. Nie rozumie, dlaczego przez całe życie ludzie się go czepiają, powtarza często.

Ostatnie tygodnie były gorsze niż zwykle. To popołudnie jest jeszcze gorsze.

– Porozmawiajmy jeszcze przez tych kilka minut, które nam pozostały, o New Jersey. – Doktor Self celowo przypomina mu, że sesja wkrótce się skończy. – W zeszłym tygodniu wspominałeś New Jersey kilkakrotnie. Dlaczego uważasz, że to ciągle ma znaczenie?

– Gdybyś się wychowała w New Jersey, wiedziałabyś dlaczego – odpowiada detektyw, a na jego twarzy znów pojawia się dobrze jej znana mina.

– To nie jest odpowiedź, Pete.

– Mój ojciec był pijakiem. Mieszkałem po niewłaściwej stronie ulicy.

Ludzie wciąż patrzą na mnie jak na kogoś z New Jersey i od tego wszystko się zaczyna.

– Może wcale nie chodzi o to, jak oni patrzą na ciebie, tylko jak ty patrzysz na nich – powtarza doktor Self. – Może to ty wszystko zaczynasz.

Na stoliku przy jej skórzanym fotelu włącza się automatyczna sekretarka, co znów przywołuje na twarz Marina znajomy grymas, tym razem jeszcze wyraźniejszy niż dotychczas. Nie lubi, gdy jakieś telefony przerywają im sesję, nawet jeśli doktor Self ich nie odbiera. Nie rozumie, dlaczego lekarka wciąż używa tak przestarzałych urządzeń, czemu nie korzysta z poczty głosowej, która jest cicha, nie klika, gdy ktoś zostawia wiadomość, nikomu nie przeszkadza i nikogo nie irytuje. Często jej o tym przypomina. Doktor Self zerka dyskretnie na zegarek, duży złoty zegarek z rzymskimi cyframi, które widzi nawet bez okularów do czytania.

Za dwanaście minut sesja się skończy. Pete Marino ma problem z zakończeniami, z finiszem, ze wszystkim, co dobiegło końca, wyczerpało się, umarło. Nie przypadkiem doktor Self umawia się z nim późnym popołudniem, zwykle koło piątej, kiedy zaczyna się robić ciemno lub gdy cichną popołudniowe burze. Marino to intrygujący przypadek. Nie przyjmowałaby go, gdyby taki nie był. Wcześniej czy później namówi go, by wystąpił w jej programie radiowym lub nowym show w telewizji.

Wyglądałby naprawdę imponująco przed kamerą, o niebo lepiej niż nieatrakcyjny i głupawy doktor Amos.

Nie miała jeszcze policjanta. Kiedy wykladała gościnnie w Narodowej Akademii Medycyny Sądowej i pewnego wieczoru, podczas kolacji na swoją cześć, usiadła właśnie obok niego, pomyślała, że byłby fascynującym gościem jej programu, najlepiej częstym gościem. Z pewnością potrzebował terapii. Za dużo pił. Widziała to sama, wypił przy niej cztery burbony. Palił. Czuła to w jego oddechu. Był uzależniony od jedzenia, zjadł trzy desery. Kiedy go poznała, emanował wręcz nienawiścią do samego siebie i pragnieniem samozniszczenia.

– Mogę ci pomóc – powiedziała mu tamtego wieczoru.

– W czym? – Zareagował, jakby zaczepiła go nagle pod stołem.

– Pomogę ci zapanować nad twoimi burzami, Pete. Twoimi wewnętrznymi burzami. Opowiedz mi o swoich burzach. Powiem ci to samo, co mówiłam tym wszystkim wspaniałym studentom. Możesz panować nad swoją pogodą. Możesz ją kontrolować. Możesz mieć burze lub blask słońca. Możesz się kulić i chować lub wyjść na otwartą przestrzeń.

– W mojej pracy trzeba raczej unikać wychodzenia na otwartą przestrzeń – odrzekł.

– Nie chcę, żebyś umarł, Pete. Jesteś dużym, inteligentnym, przystojnym mężczyzną. Chcę, żebyś jeszcze trochę pożył.

– Nawet mnie nie znasz.

– Znam cię lepiej, niż ci się wydaje.

Zaczął się z nią spotykać. Po miesiącu ograniczył picie i palenie i schudł pięć kilogramów.

– Nie robię teraz żadnej miny. Nie wiem, o czym mówisz – upiera się Marino, dotykając czubkami palców swojej twarzy niczym ślepiec.

– Owszem, robisz. Gdy tylko przestało padać, na twojej twarzy pojawił się ten sam stary grymas. Wszystko, co czujesz, pokazuje się na twojej

twarży, Pete – oświadcza z naciskiem. – Zastanawiam się, czy ta mina też nie ma jakiegoś związku z New Jersey. Co o tym myślisz?

– Myślę, że to bzdury. Przyszedłem do ciebie, bo nie mogłem rzucić palenia i trochę za dużo jadłem i piłem. Nie przyszedłem tu z powodu jakiejś głupiej miny. Nikt nie skarżył się nigdy na moje miny. Moja żona, Doris, była na mnie zła, bo byłem gruby, za dużo piłem i paliłem. Nigdy się nie skarżyła na moje miny. Nie odeszła ode mnie z powodu min. Nie zrobiła tego żadna z moich kobiet.

– A co z doktor Scarpettą?

Marino nieruchomieje i chowa się w sobie, jak zawsze, gdy pojawia się ten temat. Nie przypadkiem doktor Self zwlekała niemal do końca sesji, by w końcu poruszyć sprawę doktor Scarpetty.

– Powinienem być teraz w kostnicy – mówi Marino.

– Miejmy nadzieję, że nie trafisz tam prędko – odpowiada mu lekko.

– Nie mam dzisiaj poczucia humoru. Zacząłem pracować nad pewną sprawą i zostałem od niej odsunięty. Tak właśnie wygląda moje życie ostatnimi czasy.

– Czy to doktor Scarpettą odsunęła cię od tej sprawy?

– Nie miała okazji. Nie chciałem wywoływać konfliktu interesów, nie wziąłem więc udziału w sekcji zwłok, na wypadek gdyby ktoś chciał mnie o coś oskarżyć.

– Oskarżyć o co?

– Ludzie zawsze mnie o coś oskarżają.

– W przyszłym tygodniu porozmawiamy o paranoi. To wszystko wiąże się z tą twoją miną, naprawdę. Myślisz, że doktor Scarpettą nigdy jej nie zauważyła? Założę się, że dostrzegła ją już nieraz. Powinieneś ją o to zapytać.

– To jest jakiś pierdolony bełkot.

– Pamiętasz, co mówiliśmy o przekleństwach? Pamiętasz naszą umowę? Przekleństwa to uzewnętrznianie emocji. Chcę, żebyś opowiadał mi o swoich uczuciach, a nie uzewnętrzniał je.

– Ale ja czuję, że to pierdolony bełkot.

Doktor Self uśmiecha się do niego, jakby był niegrzecznym chłopcem, któremu trzeba dać klapsa.

– Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać o moich minach, o minach, których nie robię.

– A może spytałbyś o to doktor Scarpettę?

– Czuję, jak na usta ciśnie mi się odpowiedź: nie ma, kurwa, mowy.

– Porozmawiaj o tym ze mną, nie uzewnętrzniaj tego.

Lubi używać tego zwrotu, myśli o reklamie swoich programów radiowych, w której zawsze pojawiają się słowa „Porozmawiajmy o tym z doktor Self”.

– Co się właściwie dzisiaj wydarzyło? – zwraca się do Marina.

– Żartujesz sobie ze mnie? Wszedłem do mieszkania pewnej starszej kobiety, której ktoś odstrzelił głowę. I wiesz, kto prowadzi tę sprawę?

– Myślałam, że ty, Pete.

– Ja nie mogę – wyjaśnia zniecierpliwiony. – Dawniej mógłbym. Kiedyś już ci o tym mówiłem. Mogę być asystentem lekarza sądowego i mu pomagać. Ale nie mogę prowadzić całej sprawy, chyba że ten, komu ona podlega, sam mi ją odda, a Reba z pewnością tego nie zrobi. Nie ma pojęcia o tej robocie, ale leci na mnie.

– O ile pamiętam, to ty na nią leciałeś, dopóki nie zaczęła się ciebie czepiać i próbowała cię upokorzyć, przynajmniej tak o tym mówiłeś.

– Nie powinna być detektywem i tyle! – wykrzykuje Marino, a jego twarz robi się czerwona.

– Opowiedz mi o tym.

- Nie mogę rozmawiać o mojej pracy. Nawet z tobą.
- Nie pytam o szczegóły spraw, nad którymi pracujesz, choć możesz opowiedzieć mi wszystko, co zechcesz. Nic, o czym tu rozmawiamy, nie wychodzi poza ten pokój.
- Chyba że jesteś akurat w radiu albo prowadzisz ten nowy program w telewizji.
- Nie jesteśmy w radiu ani w telewizji. – Doktor Self się ponownie uśmiecha. – Gdybyś chciał wystąpić w którymś z tych programów, mogę ci to załatwić. Byłbyś znacznie ciekawszym gościem niż doktor Amos.
- Pieprzony gwiazdor. Dupek.
- Pete! – ostrzega go, uprzejmie, oczywiście. – Dobrze wiem, że go nie lubisz, że też masz względem niego jakieś paranoiczne podejrzania.
- Ale teraz, w tym pokoju, nie ma żadnej kamery ani żadnego mikrofonu, jesteśmy tylko my dwoje.
- Marino rozgląda się dokoła, jakby jej nie dowierzał, a potem mówi:
  - Nie podobało mi się to, że rozmawiała z nim przy mnie.
  - Zakładam, że on to Benton. Ona to Kay Scarpetta.
  - Najpierw każe mi przyjść na spotkanie, a potem rozmawia z nim przez telefon, choć ja siedzę tuż obok.
  - Czuleś pewnie to samo, co w chwili, gdy klika moja automatyczna sekretarka, prawda?
  - Mogła do niego zadzwonić, kiedy mnie tam nie było. Zrobiła to celowo.
  - To dla niej bardzo typowe, prawda? – zauważa doktor Self. – Rozmawia ze swoim kochankiem w twojej obecności, choć dobrze wie, co wtedy czujesz, wie o twojej zazdrości.
  - Zazdrości? A o co miałbym, kurwa, być zazdrosny? O tego bogatego chłoptasia, który grzebie w głowach zbrojeńcom i mordercom?



– Wiesz, że to nieprawda. Benton jest psychologiem sądowym, współpracuje z naukowcami z Harvardu i pochodzi z szacownej rodziny.

Brzmi to naprawdę imponująco.

Nie poznała Bentona. Bardzo by chciała. Byłaby zachwycona, gdyby zgodził się wystąpić w jej programie.

– Ten facet jest skończony. Ludzie, którzy są już skończeni, mogą tylko uczyć.

– Wydaje mi się, że on zajmuje się nie tylko uczeniem.

– Nic już z niego nie będzie.

– Coś mi się wydaje, że większość ludzi, których znasz, jest już skończona. Łącznie z Kay Scarpettą. O niej też tak mówiłeś.

– Mówię, co widzę.

– Ciekawe, czy czasami myślisz też tak o sobie.

– O sobie? Chyba żartujesz. Wyciskam na ławeczce dwa razy więcej, niż ważę, a ostatnio ćwiczyłem nawet na bieżni. Pierwszy raz od dwudziestu lat.

– Za chwilę będziemy musieli kończyć – przypomina mu ponownie.

– Porozmawiajmy o tym, dlaczego jesteś zły na doktor Scarpettę. Chodzi o zaufanie, prawda?

– Tak, o zaufanie. O to, że traktuje mnie jak gówno i okłamuje.

– Uważasz, że nie ufa ci z powodu tego, co wydarzyło się zeszłego lata w Knoxville, tam, gdzie badają zmarłych. Jak to się nazywa? Dom trupów czy jakoś tak?

– Trupia Farma.

– O właśnie.

To byłby naprawdę intrygujący temat dyskusji w jednym z jej programów: Trupia Farma to nie film grozy. Czym jest śmierć? Porozmawiaj o tym z doktor Self.

Ma już w głowie zwiastun programu.

Marino spogląda na zegarek, ostentacyjnie podnosi rękę, by sprawdzić, która godzina, jakby wcale nie martwił go fakt, że spotkanie dobiega końca, jakby właściwie nie mógł się już tego doczekać.

Doktor Self nie daje się nabrać.

– Lęk – mówi, rozpoczynając podsumowanie. – Egzystencjalny lęk przed brakiem znaczenia, przed całkowitą samotnością. Kiedy kończy się dzień, kiedy kończy się burza. Kiedy kończy się cokolwiek. To przerażające, jak różne rzeczy się kończą, prawda? Kończą się pieniądze. Kończy się zdrowie. Kończy się młodość. Kończy się miłość. Może skończy się twoja znajomość z doktor Scarpettą? Może w końcu cię odrzuci?

– Jedyne, czego się boję, to koniec pracy, a ta będzie zawsze, bo ludzie to gnoje i będą się zabijać jeszcze długo po tym, jak mi wyrosną anielskie skrzydełka. Nie przyjdę tu więcej i nie będę słuchał tych bzdur. Ciągłe gadasz o Scarpetcie. To chyba oczywiste, że ona nie jest moim problemem.

– Musimy już skończyć. – Doktor Self wstaje i uśmiecha się do niego.

– Przestałem zażywać to lekarstwo, które mi zapisałaś. Kilka tygodni temu, zapomniałem ci o tym powiedzieć. – On także wstaje, a jego ogromna postać wypełnia pół pokoju. – I tak nie działało, więc po co zawracać sobie głowę.

Kiedy Marino wstaje, zawsze czuje się nieco zaskoczona jego gabarytami. Opalone dłonie detektywa przywodzą jej na myśl rękawice do baseballu lub bochenki chleba. Bez trudu mogłaby sobie wyobrazić, jak ten mężczyzna zgniata nimi czyjaś czaszkę, skręca kark lub kruszy kości niczym chipsy ziemniaczane.

– Porozmawiamy o effexorze w przyszłym tygodniu. Widzimy się...

– Zagląda do notesu z terminami wizyt. – W przyszły wtorek o piątej.

Marino patrzy na otwarte drzwi pokoju, na stolik, dwa krzesła i kwiaty w doniczkach, niektóre sięgające sufitu. Za drzwiami nie czekają żadni pacjenci. O tej porze nie ma już innych pacjentów.

– Tak... – kiwa głową. – Dobrze, że się pospieszyliśmy i skończyliśmy o czasie. Nie chciałbym, żeby ktoś przeze mnie musiał dłużej czekać.

– Wolisz mi zapłacić przy następnym spotkaniu?

Doktor Self przypomina mu w ten sposób, że jest jej winien trzysta dolarów.

– Tak, tak. Zapomniałem książeczki czekowej – odpowiada.

Oczywiście, że zapomniał. Nie chce być jej dłużnikiem. Wróci tutaj.

## Rozdział 33

**B**enton parkuje porsche na miejscu przeznaczonym dla gości, przed wysokim metalowym płotem, wygiętym u góry niczym fala i zwieńczonym drutem kolczastym. Na tle zimnego, zachmurzonego nieba rysują się wyraźnie wieżyczki strażnicze, po jednej w każdym rogu. Na parkingu stoją nieoznaczone białe furgonetki ze stalowymi przegrodami, pozbawione okien i wewnętrznych zamków, ruchome cele, którymi przewozi się więźniów takich jak Basil.

Szpital stanowy Butler to siedmiopiętrowy budynek o oknach pokrytych gęstą metalową siatką, położony pośród lasów i stawów, niecałą godzinę jazdy od Bostonu. Butler to miejsce, do którego trafiają przestępcy uznani za niepoczytalnych. Uważany jest za modelową jednostkę tego typu, gdzie bloki nazywane są chatami, a w każdej chacie mieszkają pacjenci dobrani ze względu na właściwe środki bezpieczeństwa i opiekę medyczną. Chata D stoi niedaleko budynku administracji, a przebywa w niej obecnie około stu groźnych przestępców.

Oddzieleni od pozostałych pacjentów, spędzają większość dnia w pojedynczych celach. Każda z nich wyposażona jest w prysznic, z którego można korzystać tylko przez dziesięć minut dziennie. Wodę w toaletach można spuszczać dwa razy na godzinę. Oddziałem D opiekuje się cała

grupa psychiatrów, odwiedzają go także regularnie lekarze i prawnicy różnych specjalizacji. Butler ma być placówką humanitarną i konstruktywną, miejscem, gdzie przestępcy z odchyleniami psychicznymi wracają do normy. Dla Bentona jest to tylko atrakcyjne więzienie o wzmocnionej ochronie dla tych, których już nigdy nie da się naprawić. Nie ma złudzeń. Ludzie tacy jak Basil nie mają prawdziwego życia i nigdy go nie mieli. Niszczą tylko życie innych i zawsze to będą robić, jeśli tylko los da im szansę.

Wesley przechodzi przez pomalowany na beżowo hol, zbliża się do kuloodpornej szyby i wita się przez interkom.

– Jak leci, George?

– Nie lepiej niż kiedy pytał pan ostatnio.

– Przykro mi to słyszeć – mówi Benton, gdy głośny metaliczny szcęk oznajmia mu, że może przejść przez pierwsze drzwi służby powietrznej. – To znaczy, że nie udało ci się jeszcze wybrać do lekarza?

Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem w chwili, gdy stawia swoją aktówkę na małym metalowym stoliku. George ma sześćdziesiąt kilka lat i nigdy nie czuje się dobrze. Nienawidzi swojej pracy. Nienawidzi swojej żony. Nienawidzi pogody. Nienawidzi polityków i gdy tylko może, zdejmuje fotografię gubernatora ze ściany w holu. Przez ostatni rok zmagał się z ogromnym zmęczeniem, problemami żołądkowymi i różnego rodzaju bólami. Nienawidzi także lekarzy.

– Nie zażywam lekarstw, więc po co miałbym do niego iść? Te konowały potrafią tylko zapisywać człowiekowi coraz to nowe tabletki – mówi George. Przeszukuje teczkę Bentona i oddaje mu ją. – Pański kumpel jest tam, gdzie zawsze. Dobrej zabawy.

Znów rozlega się metaliczny trzask, Benton przechodzi przez kolejne stalowe drzwi, za którymi czeka na niego strażnik w brązowo-niebieskim

mundurze, Geoff. Geoff prowadzi go przez wypolerowany korytarz, przez kolejną służbę, do pilnie strzeżonego oddziału, gdzie prawnicy i lekarze spotykają się z więźniami w małych, pozbawionych okien pokojach.

– Basil mówi, że nie dostaje swojej poczty – mówi Benton.

– Basil mówi wiele rzeczy – odpowiada Geoff bez uśmiechu. – Tylko to umie: gadać.

Otwiera szare stalowe drzwi i przytrzymuje je.

– Dziękuję. – Benton kiwa głową.

– Będę czekał na zewnątrz. – Geoff obrzuca swego podopiecznego zimnym spojrzeniem i zamyka za sobą drzwi.

Basil siedzi nieruchomo przy małym drewnianym stoliku. Nie ma kajdanek, ubrany jest w swój zwykły więzienny strój, czyli niebieskie spodnie, białą koszulkę, skarpety i klapki. Ma podkrążone oczy i nieobecny wzrok, śmierdzi.

– Jak się czujesz, Basil? – pyta Benton, siadając naprzeciwko.

– Miałem zły dzień.

– Słyszałem. Powiedz mi coś o tym.

– Jestem niespokojny.

– Jak sypiasz?

– Ostatniej nocy prawie w ogóle nie spałem. Myślałem o naszej rozmowie.

– Wydajesz się niespokojny – stwierdza Benton.

– Nie mogę usiedzieć spokojnie. To przez to, co panu powiedziałem. Potrzebuję czegoś, doktorze. Potrzebuję ativanu albo czegoś takiego. Oglądał pan już zdjęcia?

– Jakie zdjęcia?

– Mojego mózgu. Musiał pan je oglądać. Wiem, że jest pan ciekawy. Wszyscy tam są ciekawi, prawda? – mówi z nerwowym uśmiechem.

– Czy dlatego właśnie chciałeś się ze mną zobaczyć?

– W dużej mierze. I chcę wreszcie przeczytać swoją pocztę. Nie dają mi jej, a ja nie mogę jeść ani spać, jestem zdenerwowany i zestresowany. I może jeszcze trochę ativanu. Mam nadzieję, że myślał pan o tym.

– O czym?

– O tej zamordowanej kobiecie, o której panu opowiadałem.

– Kobiecie ze sklepu z ozdobami choinkowymi?

– Dziesięć-cztery.

– Tak, dużo myślałem o tym, co mi powiedziałaś, Basil – odpowiada Benton, jakby rzeczywiście uwierzył w historię Basila.

Nigdy nie daje po sobie poznać, że jego zdaniem pacjent kłamie.

W tym wypadku jednak wcale nie jest pewien, czy Basil nie mówi mu prawdy.

– Wróćmy do tamtego lipcowego dnia sprzed dwóch lat – zaczyna Benton.

Marina wkurza to, że doktor Self zamknęła za nim drzwi i natychmiast zasunęła zasuwę, jakby chciała się od niego odgradzić.

Czuje się dotknięty jej postępkami i wszystkim, co może to oznaczać. Zawsze tak jest. W ogóle jej nie obchodzi. Jest tylko jednym z jej pacjentów. Cieszy się, że zszedł jej już z oczu i że nie będzie musiała przebywać w jego towarzystwie przez cały tydzień, a potem będzie to tylko pięćdziesiąt minut, równe pięćdziesiąt minut, nawet jeśli przestał brać lekarstwa.

Te tabletki do niczego się nie nadają. Nie mógł po nich uprawiać seksu. Po co komu środek antydepresyjny, po którym nie można się kochać? Chcesz wpaść w depresję – weź środek antydepresyjny, który pozbawi cię seksu.

Stoi przed zamkniętymi drzwiami na jej werandzie, wpatruje się nieco oszołomiony w dwa krzesła obite jasnozieloną tkaniną i stertę czasopism na szklanym stoliku. Przeczytał już je wszystkie, wszystkie co do jednego, bo zawsze przychodzi za wcześnie. To także go denerwuje. Wolałby się spóźnić, wchodzić do jej gabinetu swobodnym krokiem, jakby miał lepsze rzeczy do roboty niż gadanie z psychiatrą, ale jeśli się spóźnia, traci swoje minuty, a nie może sobie na to pozwolić, kiedy każda minuta się liczy, każda kosztuje.

Każda kosztuje sześć dolarów, dokładnie rzecz biorąc. Pięćdziesiąt minut i ani chwili dłużej, ani sekundy dłużej. Doktor Self nigdy nie przedłuża spotkań, z żadnego powodu. Mógłby zagrozić, że się zabije, a ona spojrzałaby na zegarek i powiedziała: „Musimy kończyć”. Może opowiadać jej o jakimś zabójstwie, być w środku opowieści, dojść do miejsca, w którym sprawca pociąga za spust, a ona i tak przerwie mu nagle: „Musimy kończyć”.

– Nie jesteś ciekawa? – zapytał ją kiedyś. – Jak możesz przerywać w takim momencie, kiedy wszystko ma się rozstrzygnąć?

– Opowiesz mi resztę następnym razem, Pete. – Zawsze się uśmiecha.

– A może nie opowiem. Masz szczęście, że w ogóle chciałem ci coś powiedzieć. Wielu ludzi sporo by zapłaciło, żeby usłyszeć tę historię do końca.

– Następnym razem.

– Nie ma mowy. Nie będzie następnego razu.

Ona nigdy nie wdaje się w rozmowę, kiedy mają kończyć. Bez względu na to, co robi Marino, by wykraść jeszcze minutę lub dwie, doktor Self wstaje, otwiera drzwi i czeka, aż wyjdzie, by zasunąć za nim zasuwę.

Nie ma szans na negocjacje, kiedy kończy się sesja. Za co on właściwie płaci tych sześć dolarów za minutę? Żeby słuchać obelg pod własnym



adresem? Nie wie, dlaczego do niej wraca.

Wpatruje się w mały, nerkowaty basen obwiedziony kolorowymi hiszpańskimi płytkami. Patrzy na obwieszone owocami drzewka cytrynowe i pomarańczowe, na czerwone koła namalowane na trawie wokół ich pni.

Tysiąc dwieście dolarów miesięcznie. Dlaczego to robi? Mógłby sobie za to kupić dodge'a z silnikiem V10 Viper. Mógłby kupić mnóstwo rzeczy za tysiąc dwieście dolarów miesięcznie.

Słyszy jej głos za zamkniętymi drzwiami. Rozmawia przez telefon.

Marino udaje, że przegląda czasopisma, nasłuchując.

– Przepraszam, kto mówi? – dopytuje się doktor Self.

Ma donośny głos, radiowy, emanujący siłą i pewnością siebie. Jej głos naprawdę go porusza, dociera do niego. Doktor Self dobrze też wygląda, naprawdę dobrze, tak dobrze, że trudno mu siedzieć naprzeciwko i wyobrazić sobie, że na jego miejscu siedzą także inni mężczyźni i widzą to samo co on. Jej ciemne włosy i delikatne rysy, jej jasne oczy i idealnie białe zęby. Nie podoba mu się, że zaczęła prowadzić własny program w telewizji, nie chce, by inni mężczyźni widzieli, jak wygląda, jaka jest seksowna.

– Kim pan jest i skąd pan ma ten numer? – pyta doktor Self za zamkniętymi drzwiami. – Nie, nie ma jej, zresztą zwykle nie odbiera sama takich telefonów. Kto mówi?

Marino wyęcza słuch, robi się niespokojny, czuje, jak po plecach spływają mu kropelki potu. Wieczór jest parny, woda kapie z liści i zbiera się na trawie. Doktor Self chyba nie jest w najlepszym nastroju, prawdopodobnie rozmawia z kimś, kogo nie zna.

– Rozumiem, że zależy panu na dyskrecji, ale pan musi też zrozumieć, że nie będę mogła zweryfikować tego, co pan mówi, jeśli się pan nie przedstawi. Takie sprawy wymagają znajomości danych personalnych pacjenta, inaczej doktor Self na pewno się tym nie zajmie... Cóż, to tylko

pseudonim, nie prawdziwe nazwisko. Aha, nazwisko, rozumiem. W porządku.

Marino uświadamia sobie, że doktor Self udaje kogoś innego, gdyż nie zna swojego rozmówcy i nie czuje się z tym dobrze.

– Dobrze, w porządku – mówi osoba, za którą podaje się doktor Self. – Może pan to zrobić. Oczywiście, może pan porozmawiać z producentem. Przyznam, że brzmi to interesująco, ale będzie pan musiał porozmawiać z producentem. Proponuję zrobić to jak najszybciej, bo czwartkowy program będzie dotyczył właśnie tego tematu. Nie, nie program radiowy. Mówię o moim nowym show telewizyjnym – mówi tym samym donośnym głosem, który z łatwością przenika przez drewniane drzwi i wypływa na werandę.

Przez telefon rozmawia znacznie głośniej niż podczas sesji. To dobrze. Marino nie chciałby, żeby jakiś pacjent siedział na werandzie, tak jak teraz on, i słyszał wszystko, co mówi doktor Self podczas tych kosztownych pięćdziesięciu minut. Nie mówi tak głośno, kiedy są razem za tymi zamkniętymi drzwiami. Oczywiście nigdy się nie zdarza, by ktoś czekał na werandzie, kiedy odbywają sesję, Marino jest zawsze ostatnim pacjentem, tym bardziej więc mogłaby potraktować go ulgowo i dorzucić czasem kilka dodatkowych minut. Nie kazałaby nikomu czekać, bo nie ma już nikogo. Pewnego razu powie coś tak poruszającego i ważnego, że ona da mu jeszcze kilka minut. Być może zrobi to po raz pierwszy w życiu i to właśnie podczas spotkania z nim. Będzie chciała to zrobić.

Lecz wtedy on być może nie będzie miał tych kilku dodatkowych minut. Wyobraża sobie, jak mówi: „Muszę iść”.

„Proszę, dokończ. Naprawdę chciałabym wiedzieć, jak się to skończyło”.

„Nie mogę. Muszę jechać”. Wstanie ze swego krzesła. „Następnym razem. Obiecuję, że opowiem ci resztę, kiedy... chwileczkę... gdzieś w

przyszłym tygodniu. Przypomnij mi o tym, dobrze?”.

Marino uświadamia sobie nagle, że doktor Self skończyła już rozmowę. Przemyka po werandzie cicho jak cień i wychodzi przez szklane drzwi. Zamyka je za sobą bezszelestnie i idzie ścieżką wzdłuż basenu, przez ogród pełen drzew owocowych o pniach obwiedzionych czerwoną farbą, a potem obok małego, białego domku, w którym mieszka doktor Self, choć nie powinna. Każdy może podejść do jej drzwi. Każdy może przejść prosto do jej gabinetu za ocienionym palmami basenem. To nie jest bezpieczne. Miliony ludzi słuchają jej każdego tygodnia, a ona mieszka tu bez żadnej ochrony. Powinien wrócić, zapukać do jej drzwi i o tym powiedzieć.

Jego podrasowany motor Screaming Eagle Deuce stoi zaparkowany na ulicy. Marino obchodzi maszynę dokoła, sprawdzając, czy nikt jej nie uszkodził, kiedy on był na spotkaniu z doktor Self. Myśli o przebitej oponie. Myśli, że chciałby dopaść tego, kto to zrobił. Cienka warstwa kurzu pokrywa płomień namalowane na niebieskim lakierze i chromie. Marino znów się irytuje. Czyścił motocykl tego ranka, wypolerował każdy skrawek, a potem ktoś przebił mu oponę, teraz znów ten kurz.

Doktor Self powinna mieć zadaszony parking. Powinna mieć garaż. Jej biały mercedes kabrio stoi na podjeździe, gdzie nie mieści się już żaden inny samochód, więc pacjenci muszą parkować na ulicy. To nie jest bezpieczne.

Odblokowuje przedni widelec i zapłon, przekłada nogę nad skórzanym siedzeniem, myśląc o tym, jak bardzo podoba mu się takie życie, o ileż lepsze jest od życia biednego gliniarza, życia, którym musiał się dotąd zadowalać. Akademia daje mu służbowego hummera H2, z silnikiem turbo diesel V8 o mocy 250 KM, napędem na cztery koła, zewnętrznym bagażnikiem, wciągarką i specjalnym zestawem na wyprawy w teren. Kupił

deuce'a i stuningował go tak, jak to sobie wymarzył, stać go też na psychiatrę. Aż trudno to sobie wyobrazić.

Uruchamia silnik i spogląda na atrakcyjny biały domek, w którym mieszka doktor Self, choć nie powinna w nim mieszkać. Przytrzymuje sprzęgło i zwiększa nieco obroty, wsłuchując się w basowy pomruk silnika. W dali widać zygzaki błyskawic i ciemną armię chmur wycofujących się nad morze.

## Rozdział 34

**B**asil znów się uśmiecha.

– Nie udało mi się znaleźć żadnych informacji o morderstwie oświadcza Benton – ale dwa i pół roku temu jakaś kobieta i jej córka zniknęły ze sklepu z ozdobami choinkowymi.

– A nie mówiłem? – rzuca Basil z uśmiechem.

– Nie mówiłeś nic o zaginięciu ani o córce.

– Nie dają mi poczty.

– Pracuję nad tym, Basil.

– Już tydzień temu mówiłeś, że nad tym popracujesz. Chcę przeczytać pocztę. Chcę dostać ją dzisiaj. Przestali mi ją dawać zaraz po tej sprzeczce.

– Kiedy zezłościłeś się na Geoffa i nazwałeś go wujkiem Remusem.

– I dlatego właśnie nie dostaję poczty. Myślę, że on mi pluje do jedzenia. Chcę dostać wszystkie listy, które przyszły do mnie w ciągu ostatniego miesiąca. Potem mogą mnie przenieść do innej celi.

– Nie mogę tego zrobić, Basil. To dla twojego dobra.

– Chyba nie chcesz usłyszeć tego, co mam ci do powiedzenia stwierdza więzień.

– Obiecuję, że dostaniesz swoją pocztę jeszcze dzisiaj.

– Wolałbym dostać ją już pod koniec naszej pogawędki o sklepie z ozdobami choinkowymi. Ten twój projekt naukowy zaczyna mnie już nudzić.

– Jedyne sklepy z ozdobami choinkowymi, jakie udało mi się znaleźć, jest w Las Olas, przy plaży – mówi Benton. – Jego właścicielka, Florrie Quincy, i jej siedemnastoletnia córka, Helen, zniknęły bez śladu. Czy to ci coś mówi, Basil?

– Nie mam pamięci do nazwisk.

– A pamiętasz, jak wyglądał ten sklep? Opisz mi go.

– Choinki ze świecidełkami, miniaturowe kolejki i pełno różnych ozdób – odpowiada Basil, już bez uśmiechu. – Już ci o tym mówiłem.

Chcę wiedzieć, co znalazłeś w moim mózgu. Widziałeś ich zdjęcia? Wskazuje na swoją głowę. – Powinieneś był zobaczyć wszystko, co chcesz wiedzieć. Teraz marnujesz tylko mój czas. Chcę dostać moją pocztę, do cholery!

– Obiecałem ci to, prawda?

– Na zapleczu był kufer, wiesz, taka wielka drewniana skrzynia. Kazałem jej go otworzyć, w środku były te drogie niemieckie ozdoby w drewnianych pudełkach. Wiesz, różne figurki, Hansel i Gretel, Snoopy, Czerwony Kapturek i takie tam. Trzymała je pod kluczem, bo były cholernie drogie, a ja powiedziałem jej wtedy: „I po co tyle zachodu?

Przecież ktoś może ukraść całą skrzynię. Myślisz, że to go zniechęci?”.

– Milknie nagle i wpatruje się tępo w ścianę.

– O czym jeszcze rozmawialiście, zanim ją zabiłeś?

– Powiedziałem jej: „Już po tobie, suko”.

– W którym momencie rozmawiałeś z nią o tej skrzyni na zapleczu?  
– Nie rozmawiałem.  
– Mówiłeś przed chwilą...  
– Nigdy nie powiedziałem, że z nią o tym rozmawiałem – odpowiada Basil, zniecierpliwiony. – Chcę dostać jakieś prochy. Musicie mi coś dać.

Nie mogę spać. Nie mogę usiedzieć w spokoju. W jednej chwili czuję się tak, jakbym mógł przelecieć cały świat, a potem mam doła i nie chce mi się nawet wstawać z łóżka. Chcę moją pocztę.

– Ile razy dziennie się masturbujesz? – pyta Benton.  
– Sześć albo siedem. Może dziesięć.  
– Więcej niż zwykle.  
– Wczoraj porozmawialiśmy przez chwilę, a potem nic już nie robiłem przez cały dzień. Wstawałem z łóżka tylko, żeby się wysikać, prawie nic nie jadłem, nie brałem prysznic. Wiem, gdzie ona jest – dodaje nagle. – Załatw mi pocztę.

– Pani Quincy?  
– Pomyśl tylko, siedzę tu dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Basil opada na oparcie krzesła. – Co mam do stracenia? Jaką mam motywację, żeby zrobić coś pożytecznego? Przysługi, odrobinę lepsze traktowanie, może trochę współpracy. Chcę moją cholerną pocztę.

Benton wstaje i otwiera drzwi. Mówi Geoffowi, by sprawdził, co się dzieje z pocztą Basila. Strażnik krzywi się lekko, co oznacza zapewne, że dobrze wie, gdzie jest poczta Jenrette'a, ale nie ma ochoty zrobić nic, co mogłoby uprzyjemnić życie więźniowi. Więc to zapewne prawda. Basil rzeczywiście nie dostaje żadnych listów.

– Musisz to zrobić – mówi Benton, spoglądając Geoffowi w oczy. To ważne.

Geoff kiwa głową i odchodzi. Doktor Wesley zamyka drzwi i ponownie siada przy stole.

Piętnaście minut później Benton i Basil kończą rozmowę, bezładną masę dezinformacji i zawitych gier. Benton jest zirytowany. Nie okazuje tego, ale czuje ulgę, gdy w drzwiach staje wreszcie Geoff.

– Twoja poczta czeka na łóżku – mówi strażnik od drzwi, spoglądając zimno na Basila.

– Mam nadzieję, że nie ukradłeś moich czasopism wędkarskich.

– Nikogo nie interesują twoje gówniane czasopisma. Pan wybaczy, doktorze Wesley – mityguje się Geoff, a potem ponownie zwraca się do więźnia: – Cztery leżą na twoim łóżku.

Basil zarzuca wyimaginowaną wędkę.

– Ta, która uciekła – mówi – zawsze jest największa. Tato zabierał mnie na ryby, kiedy byłem małym chłopcem. Jeśli akurat nie bił mamy.

– Mówię ci – zaczyna ostrzegawczym tonem Geoff – mówię ci to przy doktorze Wesleyu. Jeszcze raz ze mną zadrzesz, Jenrette, a poczta i magazyny wędkarskie nie będą twoim jedynym problemem.

– Właśnie o to chodzi. – Basil zwraca się do Bentona. – Tak właśnie mnie tutaj traktują.



## Rozdział 35

**D**oktor Scarpetta otwiera walizkę ze sprzętem do badań, którą przyniosła z hummera. Wyjmuje fiolki z nadboranem sodu, węglanem sodu i luminolem, miesza te substancje z destylowaną wodą, potrząsa pojemnikiem, po czym przelewa jego zawartość do czarnej butelki z rozpylaczem.

– Nie tak sobie wyobrażałaś ten weekend – zauważa Lucy, mocując aparat fotograficzny na statywie.

– Nie ma to jak wieczorne spotkanie z rodziną – odpowiada jej ciotka. – Przynajmniej pobędziemy trochę ze sobą.

Obie są ubrane w jednorazowe białe fartuchy, mają ochraniacze na butach, na głowach maski i czepki. Drzwi magazynu są szczelnie zamknięte. Dochodzi ósma wieczorem, sklep Beach Bums znów jest zamknięty, choć zwykle o tej porze zaglądają tu jeszcze klienci.

– Daj mi jeszcze minutkę – mówi Lucy, przykręcając do aparatu wężyk spustowy. – Pamiętasz czasy, kiedy musiałaś używać skarpety?

Należy pamiętać o tym, by butelka ze spryskiwaczem nie była widoczna na fotografii, a w tym celu trzeba przykryć ją czymś czarnym.

Jeśli pod ręką nie ma nic innego, można z powodzeniem użyć czarnej skarpety.

– Dobrze mieć większy budżet, prawda? – dodaje Lucy, zwalniając migawkę. – Nie robiłyśmy czegoś takiego już od bardzo dawna. Problemy finansowe to nic miłego.

Robi zdjęcie ściany z półkami i betonowej podłogi.

– Czy ja wiem? – zastanawia się doktor Scarpetta. – Zawsze jakoś sobie radziłyśmy. W pewnym sensie było to nawet lepsze, bo adwokaci obrony nie mieli całej tej listy pytań: „Czy używała pani światła alternatywnego? Czy używała pani superkleju? Czy przeprowadziła pani laserowe badania trajektorii? Czy używała pani ampulek ze sterylną wodą?

Co? Używała pani wody destylowanej z plastikowej butelki? A gdzie ją pani kupiła? W 7-Eleven? Kupiła pani środek do gromadzenia materiałów dowodowych w supermarkecie?”.

Lucy robi następne zdjęcie.

– „Badała pani DNA drzew, ptaków i wiewiórek z najbliższej okolicy?” – mówi dalej jej ciotka, naciągając czarną gumową rękawicę na bawełnianą rękawiczkę, którą już miała na dłoni. – „A zebrała pani mikroślady z całej dzielnicy?”.

– Masz chyba kiepski humor.

– Mam chyba dość twojego zachowania i tych ciągłych uników.

Dzwonisz do mnie tylko przy takich okazjach.

– Jesteś najlepsza.

– I tylko tym jestem dla ciebie? Członkiem twojego personelu?

– Nie mogę uwierzyć, że w ogóle zadałaś mi takie pytanie. Mogę już zgasić światło?

– Tak.

Lucy pociąga za żyłkę, aby wyłączyć żarówkę pod sufitem, i pokój pogrąża się w całkowitej ciemności. Doktor Scarpetta zaczyna od spryskania luminolem kontrolnej próbki krwi, pojedynczej zaschniętej

kropki na kartce papieru. Kropla świeci przez chwilę zielonkawoniebieskim światłem, potem znika. Kay zaczyna spryskiwać szerokimi pasami podłogę, a pozostawione przez spray kropelki świecą intensywnie, jakby cała podłoga płonęła zielonkawoniebieskim ogniem.

– Dobry Boże! – wzdycha Lucy, zwalniając ponownie migawkę. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

Szmaragdowy blask rozpala się i blednie w rytm ruchów doktor Scarpetty oraz strumienia płynu opadającego na beton. Gdy w końcu zabieg dobiega końca, blask znika, a Lucy zapala światło. Obie kobiety wpatrują się w betonową podłogę.

– Nie widzę tutaj nic prócz brudu – mówi sfrustrowana Lucy.

– Zamiećmy ją, zanim jeszcze bardziej ją zdepczemy.

– Cholera! – złości się Lucy. – Szkoda, że nie spróbowałyśmy najpierw źródła światła alternatywnego.

– Możemy to zrobić później.

Lucy czystym pędzlem zgarnia brud z podłogi do plastikowego woreczka, a potem przestawia aparat i statyw. Robi kolejne zdjęcia, tym razem drewnianych półek, wyłącza światło, lecz teraz luminol reaguje inaczej. Na ścianach pojawiają się plamy światła, rozbłyskują na moment niczym iskry, migawka trzaska raz za razem. Doktor Scarpetta spryskuje ściany szerokimi pasami, a błękit rozpala się i gaśnie znacznie szybciej niż w przypadku krwi i większości innych substancji reagujących na luminol.

– Wybielacz – mówi Lucy, ponieważ wybielacz reaguje na luminol w charakterystyczny, podobny do tego, co właśnie zaobserwowały, sposób.

– Coś o innym widmie, ale z pewnością substancja podobna do wybielacza – odpowiada jej ciotka. – To może być każdy środek czyszczący, który zawiera wybielacz. Clorox, Drano, Fantastic, The Works, Babo Cleanser. Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy znalazły tutaj któryś z nich.

– Gotowa.

– Śmiało.

Włącza się światło i obie kobiety mrużą oczy oślepienie blaskiem żarówki.

– Basil powiedział Bentonowi, że wyczyścił magazyn wybielaczem myśli na głos Lucy. – Ale luminoł nie będzie reagował na wybielacz po ponad dwóch latach, prawda?

– Może gdyby wsiąkł w drewno. Mówię „może”, bo nie wiem, czy tak by było, nie słyszałam, żeby ktoś kiedykolwiek robił takie próby – snuje domysły doktor Scarpetta, sięgając do torby po lupę z latarką.

– Przygląda się uważnie półce ze sklejki, na której piętrzą się zestawy do nurkowania i koszulki. – Jeśli przyjrzy się uważnie – mówi – zauważysz tu i ówdzie jaśniejsze plamy. Prawdopodobnie ślady kropel.

Lucy podchodzi do niej i bierze lupę.

– Tak, chyba coś widzę.

Dziś wchodził i wychodził kilka razy, nie zajmował się nią jednak, przyniósł jej tylko raz kanapkę z grillowanym serem i wodę. Nie mieszka tutaj. Nigdy nie spędza tu nocy, chyba że zachowuje się całkowicie bezgłośnie.

Jest późno, choć nie wie, jak późno, księżyc schował się za chmurami po drugiej stronie rozbitego okna. Słyszy, jak on chodzi po domu.

Serce bije jej mocniej, kiedy kroki zmierzają w tę stronę. Chowa mały różowy bucik za siebie; wie, że go jej odbierze, jeśli tylko zauważy, że ten przedmiot może mieć dla niej jakieś znaczenie. Wreszcie staje przed nią, ciemny kształt z długim palcem światła. Ma ze sobą pajaka. Pajak zajmuje całą jego dłoń. To największy pajak, jakiego kiedykolwiek widziała.

Nasłuchuje głosu Kristin i chłopców, gdy światło dotyka jej otartych, spuchniętych kostek i nadgarstków, a potem przesuwa się na brudny

materac i jasnozielone sukno okrywające jej nogi. Podciąga kolana pod brodę, próbując się zasłonić, kiedy światło dotyka intymnych części jej ciała. Odsuwa się do tyłu, czując na sobie jego spojrzenie. Nie widzi jego twarzy. Nie ma pojęcia, jak wygląda. Zawsze ubrany jest na czarno.

W ciągu dnia zakrywa twarz czarnym kapturem i nosi czarne ubrania, wyłącznie czarne, nocą nie widzi go w ogóle, tylko ciemny kształt. Zabrał jej okulary.

To była pierwsza rzecz, jaką zrobił, kiedy wszedł do ich domu.

„Daj mi swoje okulary”, powiedział. „Już”.

Stała jak sparaliżowana w kuchni. Przewrzenie i niedowierzanie odebrały jej zdolność jakiegokolwiek reakcji. Nie mogła myśleć, czuła się tak, jakby nagle uszła z niej cała krew, oliwa na patelni zaczęła dymić, chłopcy zaczęli krzyczeć, a on skierował na nich lufę strzelby. Potem wycelował w Kristin. Miał na sobie kaptur i czarne ubranie, gdy Tony otworzył mu drzwi. Natychmiast znalazł się w środku, a wtedy wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

„Oddaj mi okulary”.

„Daj mu je”, powiedziała Kristin. „Proszę, nie rób nam krzywdy.

Weź, co tylko chcesz”.

„Zamknij się albo zabiję was wszystkich”.

Kazał chłopcom położyć się twarzą do podłogi w salonie, a potem uderzył ich w tył głowy, uderzył mocno kolbą strzelby, żeby nie próbowali uciekać. Pogasił wszystkie światła i kazał Kristin i Ev przeciągnąć bezwładne ciała przez hol, a potem przez szklane drzwi sypialni. Krew kapłała i rozmazywała się na podłodze. Ev ciągle myśli o tym, że ktoś powinien był zobaczyć tę krew. Do tej pory ktoś musiał ją zobaczyć, ktoś na pewno próbował się dowiedzieć, co się z nimi stało, a wtedy na pewno zobaczył krew. Gdzie jest policja?

Chłopcy leżeli nieruchomo na trawie przy basenie, związał ich kablem telefonicznym i zakneblował ścierkami, choć nie ruszali się ani nie wydawali żadnych dźwięków. Potem zmusił Kristin i Ev, by przeszły po ciemku do samochodu.

Ev prowadziła.

Kristin siedziała na przednim siedzeniu, on siedział z tyłu, z lufą wymierzoną w jej głowę.

Zimnym, cichym głosem mówił, dokąd ma jechać.

„Zabieram was do pewnego miejsca, potem wrócę po nich”.

„Proszę do kogoś zadzwonić”, błagała Kristin. „Oni muszą pójść do szpitala. Proszę ich nie zostawiać, oni umrą. To dzieci”.

„Powiedziałem, że po nich wrócę”.

„Potrzebują pomocy. To tylko mali chłopcy. Sieroty. Ich rodzice nie żyją”.

„To dobrze. Nikt nie będzie po nich płakał”.

Jego głos jest zimny, płaski i niehumaniczny, głos pozbawiony uczuć i osobowości.

Pamięta, że widziała drogowskazy na Naples. Jechali na zachód, w stronę Everglades.

„Nie mogę prowadzić bez okularów”, powiedziała. Serce waliło jej tak mocno, jakby miało połamać żebra. Nie mogła złapać oddechu.

Kiedy zjechała z pobocza, dał jej okulary, a potem zabrał je ponownie, gdy dojechali do tego ciemnego, piekielnego miejsca, w którym przebywa do tej pory.



Doktor Scarpetta spryskuje luminolem betonowe ściany łazienki, a wtedy pokazują się na nich plamy światła, większe, nieregularne i małe, owalne ślady kropel, które przy włączonej lampie są zupełnie niewidoczne.

– Ktoś to wszystko czyścił – mówi Lucy w ciemnościach.

– Przeszanę już, nie chcę zniszczyć krwi, jeśli tu jest. Masz to wszystko na filmie?

– Tak jest. – Lucy włącza światło.

Kay wyjmuje zestaw do badania krwi i pobiera próbki z miejsc, które wskazał luminol, wciska bawełniany wacik w beton, gdzie wciąż mogą się kryć drobiny krwi. Potem zakrapia do próbki odpowiednie środki, a wacik robi się różowy, potwierdzając, że świetliste plamy na ścianach to ślady krwi, być może ludzkiej. Wszystko rozstrzygnie się w laboratorium.

Doktor Scarpetta nie zdziwiłaby się, gdyby badania wykazały, że to stara krew, sprzed dwóch i pół roku. Luminol reaguje na hemoglobinę zawartą w czerwonych ciałkach, a im starsza krew, tym bardziej się utlenia i tym mocniejsza jest reakcja. Pobiera kolejne próbki, wkłada je do pudełek, które podpisuje i zakleja taśmą.

Pracują już godzinę w grubych kombinezonach i jest im gorąco. Słyszą Larry'ego po drugiej stronie drzwi, słyszą, jak chodzi po swoim sklepie. Kilka razy dzwoni jego telefon.

Wracają do magazynu, Lucy otwiera twardy czarny futerał i wyjmuje z niego lampę MiniCrime, przenośny model z bocznymi wlotami i elastycznym wysięgnikiem, który wygląda jak lśniący stalowy wąż.

Włącza urządzenie do kontaktu, nastawiając długość fali na 455 nanometrów. Obie kobiety zakładają pomarańczowe okulary, które poprawiają kontrast i chronią oczy.

Światło jest wyłączone, Scarpetta trzyma lampę za uchwyt i powoli przesuwa niebieskim światłem po ścianach, półkach i podłodze. Krew i

inne substancje, reagujące na luminol niekoniecznie muszą reagować na światło alternatywne, a miejsca, które wcześniej płonęły szmaragdowym blaskiem, teraz są ciemne. Na podłodze pojawia się jednak kilka małych plam, połyskujących czerwienią. Włączają żarówkę, Lucy ponownie przestawia aparat i zakłada na obiektyw pomarańczowy filtr.

Światło gaśnie, Lucy robi zdjęcia czerwonych plam. Kiedy żarówka ponownie się zapala, plamy są niemal niewidoczne. Wyglądają jak brudne przebarwienia na brudnej szarej podłodze, lecz kiedy doktor Scarpetta przygląda im się przez lupę, dostrzega lekki ślad czerwieni. Nie wie, co to za substancja, nie rozpuszcza się jednak w sterylnej wodzie, a Kay nie chce używać rozpuszczalnika, by nie zniszczyć śladów – Musimy pobrać próbkę – mówi, przyglądając się betonowej powierzchni.

– Zaraz wracam.

Lucy otwiera drzwi i przywołuje Larry'ego. Sprzedawca znów siedzi za ladą i rozmawia przez telefon, a kiedy podnosi na nią wzrok i widzi ją w sterylnym kombinezonie, jest wyraźnie zaskoczony.

– Czyżby ktoś teleportował mnie właśnie na stację Mir? – pyta.

– Masz tu jakieś narzędzia? Wolałabym nie wychodzić teraz do samochodu.

– Na zapleczu jest skrzynka. Na półce pod ścianą. – Pokazuje palcem. – Mała czerwona skrzynka z narzędziami.

– Będę musiała uszkodzić ci trochę podłogę. Ale tylko troszeczkę.

Larry chce coś powiedzieć, zmienia jednak zdanie, wzrusza ramionami i zamyka drzwi. Lucy wyjmuje ze skrzynki młotek i śrubokręt, kilkoma uderzeniami odłupuje drobne próbki czerwonych plamek i wkłada je do torebek.

Wreszcie obie zdejmują ubrania ochronne i wrzucają je do kosza. Potem pakują sprzęt i wychodzą.



– Dlaczego to robisz? – Ev zadaje to samo pytanie za każdym razem, gdy on do niej przychodzi, wypowiada je chrapliwym głosem, kiedy oprawca świeci jej prosto w oczy. – Proszę, nie świeć na mnie.

– Jesteś najbrzydszą grubą świnia, jaką kiedykolwiek widziałem mówi tamten. – Nic dziwnego, że nikt cię nie lubi.

– Słowa nie mogą mnie skrzywdzić. Ty nie możesz mnie skrzywdzić.

Należę do Boga.

– Spójrz tylko na siebie. Kto by cię chciał? Jesteś mi wdzięczna, że się tobą zajmuję, prawda?

– Gdzie oni są?

– Powiedz, że żałujesz. Wiesz, co zrobiłaś. Grzesznicy muszą być ukarani.

– Co z nimi zrobiłeś? – zadaje to samo pytanie co zawsze. – Wypuść mnie. Bóg ci przebaczy.

– Powiedz, że żałujesz. – Trąca jej kostkę czubkiem buta, ból jest straszliwy.

– Dobry Boże, wybaczu mi – modli się głośno Ev. – Chyba nie chcesz iść do piekła, prawda? – mówi do niego, do tego szatana. – Jeszcze nie jest za późno.

## Rozdział 36

**J**est bardzo ciemno, księżyc majaczy za chmurami niczym niewyraźny kształt na zdjęciu rentgenowskim. Drobne owady roją się w blasku reflektorów. Ruch na Al A nigdy nie ustaje, noc wypełniona jest hałasem.

– Co cię gryzie? – pyta doktor Scarpetta Lucy, która prowadzi samochód. – Nie widziałyśmy się od miesiący. Porozmawiaj ze mną.

– Mogłam zadzwonić po Lex. Nie chciałam cię w to wciągać.

– A ja mogłam ci powiedzieć, żebyś poszukała kogoś innego. Nie musiałam ci dzisiaj pomagać.

Obie nie są w najlepszym nastroju.

– A jednak jesteśmy tu obie – odzywa się po chwili milczenia Lucy. Może uznałam, że to dobra okazja, żebyśmy się jednak spotkały. Mogłam zadzwonić do Lex – powtarza, wpatrując się w drogę przed samochodem.

– Nie wiem, czy mówisz teraz poważnie, czy sobie ze mnie żartujesz.

– Nie żartuję sobie – odpowiada Lucy bez uśmiechu. – Żałuję kilku rzeczy.

– Powinnaś.

– Nie musisz tak szybko przytakiwać. Może nie zawsze wiesz, jak wygląda moje życie.

– Problem w tym, że chciałabym wiedzieć. Tylko że ty mi nie pozwalasz.

– Ciociu Kay, zapewniam cię, że wcale nie chciałabyś tego wiedzieć.

Nie przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że być może wyświadczam ci przysługę? Że może powinnaś akceptować mnie taką, jaką mnie znasz, i nie dbać o resztę?

– A jaka jest reszta?

– Nie jestem taka jak ty.

– W najważniejszych sprawach jesteś, Lucy. Obie jesteśmy inteligentnymi, przyzwoitymi, ciężko pracującymi ludzkimi istotami. Próbujemy zmieniać świat na lepszy. Podejmujemy ryzyko. Jesteśmy uczciwe. Staramy się, naprawdę się staramy.

– Nie jestem taka uczciwa i przyzwoita, jak myślisz. Tylko ranie ludzi. Jestem w tym dobra, coraz lepsza. I za każdym razem, kiedy to robię, coraz mniej mnie to obchodzi. Może zamieniam się w Basila Jenrette'a. Może Benton powinien włączyć mnie do swoich badań. Założę się, że mój mózg wygląda jak mózg Basila, jak mózgi wszystkich innych psychopatów.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje – mówi cicho doktor Scarpetta.

– Myślę, że to krew. – Lucy swoim zwyczajem zmienia nagle temat. Myślę, że Basil mówi prawdę. Że zabił ją na zapleczu sklepu. Coś mi mówi, że to krew, te ślady, które tam znalazłyśmy.

– Poczekajmy, zobaczymy, co wykażą badania.

– Zaświeciła się cała podłoga. To było naprawdę dziwne.

– Dlaczego Basil o tym opowiada? Dlaczego teraz? Dlaczego przyznał się Bentonowi? – zastanawia się głośno Kay. – To mnie niepokoi. Właściwie martwi.

- W przypadku takich ludzi powód jest zwykle ten sam. Manipulacja.
- I to właśnie mnie martwi.
- Więc mówi mu o tym, żeby osiągnąć coś, co sobie zaplanował, żeby sobie ulżyć. A czy mógłby sam coś takiego wymyślić?
- Mógł słyszeć o zaginionych ludziach ze sklepu. Pisali o tym w gazetach, zresztą on był gliniarzem w Miami. Może słyszał o tym od swoich kumpli – odpowiada doktor Scarpetta.
- Im dłużej o tym rozmawiają, tym bardziej jest przekonana, że Basil rzeczywiście miał coś wspólnego z zaginięciem Florrie i Helen Quincy.
- Nie wyobraża sobie jednak, jak mógł zgwałcić i zamordować Florrie na zapleczu sklepu. Jak mógł wynieść stamtąd martwe zakrwawione ciało, albo dwa ciała, zakładając, że zabił także Helen.
- Wiem – mówi Lucy. – Ja też nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić. A jeśli je zabił, dlaczego po prostu ich tam nie zostawił? Chyba że chciał, by uznano je za zaginione, a sprawa pozostała nierozstrzygnięta.
- Tak, ale to wskazywałoby na motyw. – Doktor Scarpetta kiwa głową. – A Basil jest wielokrotnym mordercą, zabijał na tle seksualnym.
- Zapomniałam spytać. – Lucy znów zmienia temat. – Zakładam, że wiozę cię do domu.
- O tej porze tak.
- Co zrobisz z Bostonem?
- Muszę zbadać dokładnie dom pani Simister, a nie mogę zrobić tego teraz. Teraz pewnie sprawę przejęła Reba.
- Zakładam, że zgodziła się nas wpuścić.
- Tylko jeśli będzie wtedy z nami. Zrobimy to rano. Zastanawiam się, czy nie zrezygnować w ogóle z wyjazdu do Bostonu, ale to byłoby nie fair względem Bentona. Względem nas obojga – mówi, nie kryjąc

rozczarowania i irytacji. – Zawsze to samo. Nagle ja mam jakąś pilną sprawę. Nagle on ma pilną sprawę. Umiemy tylko pracować.

– A jaką on ma sprawę?

– Martwa kobieta znaleziona w okolicy Walden Pond, naga. Miała dziwne, fałszywe tatuaże w różnych miejscach ciała. Jak podejrzewam, wykonane zostały już po jej śmierci. Czerwone odciski dłoni.

Lucy zaciska mocniej ręce na kierownicy.

– Jak to, fałszywe tatuaże?

– Namalowane. Na głowie miała kaptur, w odbycie znaleziono łuskę, ciało było zbezczeszczone. Nie wiem jeszcze zbyt wiele, ale pewnie się dowiem.

– Wiedzą, kim była ta kobieta?

– Wiedzą bardzo mało.

– Coś podobnego wydarzyło się w tej okolicy? Podobne zabójstwa?

Z czerwonymi odciskami dłoni?

– Możesz bez końca zmieniać temat rozmowy, Lucy, ale to ci nie pomoże. Nie jesteś sobą. Przytyłaś, a już to samo oznacza, że dzieje się coś niedobrego, bardzo niedobrego. Nie znaczy to wcale, że wyglądasz źle, ani trochę, ale dobrze cię znam. Jesteś zmęczona i nie wyglądasz zdrowo.

Nic nie mówiłam do tej pory, ale wiem, że dzieje się z tobą coś niedobrego. Widzę to już od jakiegoś czasu. Powiesz mi, o co chodzi?

– Chcę wiedzieć jak najwięcej o tej sprawie z czerwonymi odciskami dłoni.

– Powiedziałam ci wszystko, co wiem. Dlaczego cię to interesuje? Doktor Scarpetta wpatruje się w napiętą twarz siostrzenicy. – Co się z tobą dzieje?

Lucy patrzy przed siebie w milczeniu, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią, dobierała właściwe słowa. Jest w tym dobra, bardzo bystra i

szybka, potrafi podać informacje tak, że jej wersja wydaje się bardziej wiarygodna niż prawda i rzadko się zdarza, by ktoś próbował cokolwiek kwestionować. Na szczęście ona sama nie wierzy w swoje dezinformacje i manipulacje, ani na moment nie zapomina o faktach i nie wpada we własne pułapki. Lucy zawsze ma racjonalny powód dla swoich poczynań i czasami jest to całkiem dobry powód.

– Musisz być głodna – mówi po chwili doktor Scarpetta, cicho i łagodnie jak wtedy, gdy Lucy była nieznośnym dzieckiem, które w rzeczywistości ogromnie cierpiało.

– Zawsze mnie karmisz, kiedy nie wiesz, co ze mną zrobić – odpowiada Lucy zrezygnowanym tonem.

– Kiedyś to działało. Gdy byłaś małą dziewczynką, gotowa byłaś zrobić wszystko w zamian za moją pizzę.

Lucy milczy, jej twarz wydaje się ponura, zacięta i obca.

– Lucy? Uśmiechniesz się do mnie i spojrzysz na mnie choć raz?

– Robiłam głupie rzeczy. Szukałam znajomości na jedną noc. Raniłam ludzi. Choćby ostatniej nocy, w Ptown. Nie chcę zbliżyć się do nikogo. Chcę być sama. Ale nie mogę sobie z tym poradzić. Tym razem mogłam zrobić coś naprawdę głupiego. Bo nie byłam uważna. Bo może gównu mnie to obchodzi.

– Nawet nie wiedziałam, że byłaś w Ptown. – W głosie doktor Scarpetty nie słychać ani trochę krytyki.

Orientacja seksualna Lucy nie ma dla niej żadnego znaczenia.

– Dawniej byłaś ostrożna – mówi Kay. – Ostrożniejsza niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

– Ciociu Kay, jestem chora.

## Rozdział 37

Czarny pająk pełźnie po jego dłoni, przesuwa się ku niej, jest już zaledwie o kilka centymetrów od jej twarzy. Nigdy nie przysuwał pająka tak blisko. Położył na materacu nożyczki i oświetlił je na moment.

– Powiedz, że żałujesz, że jest ci przykro – mówi.

– To wszystko twoja wina.

– Zejdź ze ścieżki zła, nim nie jest za późno – odpowiada Ev.

Nożyczki są w zasięgu jej ręki.

Może specjalnie ją kusi. Ev ledwie je widzi, nawet w świetle latarki.

Nasłuchuje głosów Kristin i chłopców, wpatrzona jednocześnie w rozmytą, czarną sylwetkę pająka.

– Nic by się nie wydarzyło. Sama ściągnęłaś to na siebie. Teraz nadszedł czas kary.

– To można jeszcze odwrócić – zapewnia go Ev.

– Nadszedł czas kary. Powiedz, że żałujesz.

Serce wali jej jak młot, czuje, że za moment zwymiotuje ze strachu.

Nie będzie przeproszać. Nie popełniła żadnego grzechu. Jeśli powie, że czegoś żałuje, on ją zabije. Przeczuwa to.

– Powiedz, że żałujesz!

Nie chce tego powiedzieć.

Każe jej mówić, że żałuje, lecz ona tego nie robi. Opowiada mu o swym Bogu, powtarza te żalosne bzdury o swoim słabym Bogu. Gdyby jej Bóg był taki potężny, nie leżałaby teraz na materacu.

– Możemy udawać, że to się nigdy nie wydarzyło – mówi zachrypniętym stanowczym głosem.

Wyczuwa jej strach. Każe jej powiedzieć, że żałuje. Choć bez przerwy prawi mu kazania, jest przerażona. Drży na widok pająka, odsuwa się od niego.

– Bóg ci wybaczy. Wybaczy ci, jeśli będziesz żałował za grzechy i nas wypuścisz. Nie zawiadomię policji.

– Nie, nie zrobisz tego. Nikomu o niczym nie powiesz. Ludzie, którzy mówią, zostają ukarani, ukarani tak, że nie potrafisz sobie nawet tego wyobrazić. On może przebić palec do kości, przez paznokiec – mówi o pająku.

Pająk niemal dotyka jej twarzy. Ona odchyła głowę do tyłu, dyszy ciężko.

– Niektóre tarantule kęsają wiele razy. Nie przestają, dopóki nie oderwiesz ich od siebie. Jeśli ugryzą cię w tętnicę, umrzesz. Mogą strzelać włosami w oczy i oślepić cię. To bardzo boli. Powiedz, że żałujesz.

Krab kazał jej to powiedzieć, powiedzieć, że żałuje, widzi zamykające się drzwi, stare drewno z łuszczącą się farbą, materac na brudnej, starej podłodze. Potem zgrzyt łopaty wbijanej w ziemię, bo powiedział jej, żeby niczego nie mówiła, po tym jak zrobił tę złą rzecz, i powiedział, że ludzie, którzy mówią, zostają ukarani przez Boga, ukarani w straszliwy sposób, aż zrozumieją swój błąd.

– Proś o przebaczenie. Bóg ci wybaczy.

– Powiedz, że żałujesz!



Świeci prosto w jej oczy, a ona zaciska mocno powieki i odwraca twarz od światła, bezskutecznie.

Nie płacze.

Kiedy zrobił złą rzecz, płakała. Powiedział jej, że będzie płakała, nawet jeśli nigdy dotąd nie płakała. I wreszcie zaczęła. Krab nie miał wyjścia, musiał się przyznać, bo to była prawda, zrobił złą rzecz, lecz matka Kraba nie wierzyła w ani jedno słowo, mówiła, że Krab tego nie zrobił, nie mógł tego zrobić, że jest chory i ma urojenia.

Było zimno i padał śnieg. Nie wiedział, że naprawdę może gdzieś być taka pogoda, widział ją w telewizji i na filmach, ale nie znał z własnego doświadczenia. Pamięta stare ceglane budynki, widział je przez okno samochodu, kiedy go tam wieźli, pamięta małą poczekalnię, gdzie siedział z mamą, zanim przyszedł do nich lekarz, jasno oświetlone pomieszczenie, gdzie na krześle siedział jakiś mężczyzna, poruszał ustami i spoglądał w górę, rozmawiając z kimś, kogo tam nie było.

Matka weszła do środka i rozmawiała z lekarzem, zostawiła go samego w poczekalni. Powiedziała lekarzowi o złej rzeczy, o której mówił jej Krab, powiedziała, że to nieprawda, i że Krab jest bardzo chory, że to sprawa poufna, i zależy jej tylko na zdrowiu Kraba, żeby nie opowiadał takich rzeczy i nie szargał dobrego imienia rodziny.

Nie wierzyła, że zrobił złą rzecz.

Wyjaśniła Krabowi, co zamierza powiedzieć lekarzowi.

„Nie czujesz się dobrze – mówiła. Nic na to nie poradzisz. Wyobrażasz sobie różne rzeczy, kłamiesz i łatwo ulegasz wpływom. Będę się modliła za ciebie. Ty też lepiej módl się za siebie, proś Boga o wybaczenie, powiedz, że bardzo żałujesz, bo skrzywdziłeś ludzi, którzy zawsze byli dla ciebie dobrzy. Wiem, że jesteś chory, ale powinieneś się wstydzić”.

– Położę go na tobie – mówi Krab, przysuwając do niej dłoń. – Jeśli zrobisz mu krzywdę, tak jak ona... – szturcha ją w czoło lufą strzelby poznasz prawdziwe znaczenie słowa kara.

– Powinieneś się wstydzić.

– Mówiłem ci już, żebyś tego nie mówiła.

Dźga ją mocniej, lufa strzelby uderza w kość, kobieta krzyczy. Krab oświetla jej brzydką, napuchniętą, pokrytą plamami twarz. Krwawi.

Krew spływa strumieniem po jej twarzy. Kiedy ta druga zrzuciła pająka na podłogę, pękł mu brzuch i wylała się z niego żółta krew. Krab musiał go z powrotem skleić.

– Powiedz, że żałujesz. Ona powiedziała. Wiesz, ile razy to powiedziała?

Wyobraża sobie, co czuje, kiedy włochate nogi przesuwają się po jej nagim ramieniu, wyobraża sobie, jak pająk chodzi po jej skórze, zatrzymuje się i delikatnie ją szczypie. Ev siedzi pod ścianą i drży na całym ciele, zerkając na nożyczki, które leżą tuż obok niej na materacu.

– Przez całą drogę do Bostonu. To była długa podróż, z tyłu było zimno, a ona była naga i związana. Nie miała tam żadnych foteli, tylko zimną metalową podłogę. Było zimno. Dałem im tam chyba sporo do myślenia.

Przypomina sobie stare ceglane budynki, kryte szarą dachówką. Pamięta, jak matka przywiozła go tam po tym, gdy zrobił złą rzecz, i jak wiele lat później sam tam powrócił i mieszkał w tych ceglanych budynkach, ale nie wytrzymał długo. Właśnie ze względu na tę złą rzecz nie wytrzymał długo.

– Co zrobiłeś z chłopcami? – Ev stara się przemawiać z mocą, jakby nie czuła strachu. – Wypuść ich.

Dotyka lufą intymnych części jej ciała, ona drży i odsuwa się, a Krab śmieje się głośno, mówi jej, że jest brzydka, gruba i głupia, mówi, że nikt by jej nie chciał, mówi to samo co wtedy, gdy zrobił złą rzecz.

– Nic dziwnego – kontynuuje, patrząc na jej obwisłe piersi, jej grube, zwiotczone ciało. – Masz szczęście, że ci to robię. Nikt inny by cię nie chciał. Jesteś zbyt odrażająca i głupia.

– Nie powiem nikomu. Tylko mnie wypuść. Gdzie Kristin i chłopcy?

– Wróciłem po nich, biedne sierotki. Tak jak mówiłem. Oddałem nawet wasz samochód. Jestem człowiekiem czystego serca, nie takim grzesznikiem jak wy. Nie martw się. Przywiozłem ich tutaj, tak jak mówiłem.

– Nie słyszę ich.

– Powiedz, że żałujesz.

– Ich też odwiozłeś do Bostonu?

– Nie.

– Tak naprawdę wcale nie zabrałeś Kristin...

– Dałem im do myślenia. Na pewno zrobiło to na nim wrażenie.

Mam nadzieję, że wie. Wkrótce się dowie, tak czy inaczej. Zostało już mało czasu.

– Kto? Możesz ze mną rozmawiać. Nie nienawidzę cię. – Tym razem kobieta przemawia głosem pełnym współczucia.

Krab wie, co ona próbuje zrobić. Myśli, że się zaprzyjaźnią. Że jeśli będzie z nim często rozmawiać i udawać, że się go nie boi, a nawet go lubi, zaprzyjaźnią się, a wtedy on jej nie ukarze.

– To się nie uda – zapowiada jej. – One wszystkie próbowały, ale się nie udało. To była naprawdę przesyłka specjalna. Byłby pod wrażeniem, gdyby wiedział. Dzięki mnie mają trochę pracy. Nie zostało już dużo czasu. Lepiej wykorzystaj go jak najlepiej. Powiedz, że żałujesz!

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiada tym samym fałszywym tonem.

Pająk porusza się na jej ramieniu. Krab wyciąga ku niemu rękę, a pająk wpełza na nią z powrotem. Rusza do wyjścia, zostawiając nożyczki na materacu.

– Obetnij te swoje obrzydliwe włosy – mówi. – Obetnij je wszystkie.

Jeśli nie zrobisz tego, zanim tu wrócę, pożałujesz. Nie przecinaj sznurów.

Stąd nie ma gdzie uciec.

## Rozdział 38

**Z**a oknem gabinetu Bentona sypie gęsty śnieg jaśniejący w blasku księżyca. Benton siedzi przed swoim komputerem i przegląda zdjęcia, aż znajdzie te, na których mu zależy.

Musiał przejrzeć sto dziewięćdziesiąt siedem przerażających, upiornych fotografii, by znaleźć te, które budzą w nim jakiś dziwny niepokój.

Czuje, że oprócz rzeczy oczywistych stało się i wciąż dzieje coś niedobrego. Ta sprawa go porusza, niepokoi, co na tym etapie jego kariery, przy tak ogromnym doświadczeniu, jest czymś niewyobrażalnym. Zapomniał ponumerować kolejnych zdjęć i teraz musiał spędzić ponad pół godziny, by znaleźć te dwie fotografie, numer 62 i 74. Jest pod wrażeniem pracy detektywa Thrusha z policji stanowej Massachusetts.

W śledztwie dotyczącym morderstwa, szczególnie takiego jak to, zawsze trzeba się ogromnie starać.

Czas zawsze działa na niekorzyść prowadzących sprawę. Miejsce zbrodni zostaje zniszczone lub zanieczyszczone i w żaden sposób nie da się go już przywrócić do pierwotnego stanu. Ciało zmienia się po śmierci, szczególnie po sekcji. Dlatego policyjni detektywi robili wszystko, co w ich mocy, wykonali mnóstwo zdjęć i nakręcili naprawdę sporo materiału

filmowego. Benton jest niemal przytłoczony tą masą obrazów, przegląda je, odkąd wrócił do biura po rozmowie z Basilem Jenrette'em.

Wydawało mu się, że w ciągu dwudziestu lat współpracy z FBI widział już wszystko. Wydawało mu się także, że jako psycholog sądowy miał już do czynienia ze wszystkimi możliwymi odchyleniami. Nigdy jednak nie widział czegoś takiego jak to.

Fotografie 62 i 74 nie są tak poruszające jak pozostałe, nie pokazują bowiem zmasakrowanej głowy kobiety. Nie pokazują jej straszliwej grozy. Przypomina mu łyżkę, pustą skorupę na łodydze szyi. Jej nierówno przycięte włosy tworzą czarną skorupę sklejoną krwią, kawałkami mózgu i tkanki. Fotografie 62 i 74 to zbliżenia jej ciała od szyi do kolan.

Wywołują w nim uczucie, którego nie potrafi opisać, uczucie, którego doświadcza, gdy coś przypomina mu o jakiejś niepokojącej sprawie, a mimo to nie pamięta, co to za rzecz. Te obrazy chcą mu powiedzieć coś, co już wie, a jednak nie potrafi tego sobie uświadomić. Ale co? Co to jest?

Na zdjęciu 62 widać ciało leżące na plecach na stole chirurgicznym.

Na zdjęciu 74 zwłoki ułożono na brzuchu. Benton ogląda na przemian te dwa obrazy, przygląda się nagiemu korpusowi kobiety, próbuje przeniknąć znaczenie jasnoczerwonych odcisków dłoni i otarcia między łopatkami, a także pasa startej do krwi skóry o wymiarach piętnaście na dwadzieścia centymetrów, w którym tkwią „drobiny brudu i drewniane drzazgi”, jak stwierdzono w raporcie.

Zastanawiał się, czy to możliwe, że czerwone odciski zostały namalowane przed śmiercią kobiety i nie mają nic wspólnego z morderstwem. Może z jakiegoś powodu zdecydowała się na taką ozdobę, nim spotkała zabójcę. Benton musi rozważyć taką możliwość, choć sam w nią nie wierzy. Znacznie bardziej prawdopodobne wydaje się, że to właśnie morderca zamienił jej ciało w dzieło sztuki – poniżające i przywodzące na

myśl akt przemocy seksualnej. Dłonie chwytające ją za piersi i rozsuwające jej nogi to symbole, które umieścił na jej ciele, gdy została jego więźniem, gdy była obezwładniona lub martwa. Benton nie wie, kiedy się to stało. Nie umie tego określić. Żałuje, że nie ma tu doktor Scarpetty, że to nie ona badała miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, i nie ona przeprowadzała sekcję. Żałuje, że jej tu nie ma. Jak zwykle coś jej wypadło.

Przeogląda kolejne fotografie i raporty. Kobieta miała prawdopodobnie trzydzieści kilka do czterdziestu lat, a raport z jej autopsji zawiera te same informacje, które przekazał Bentonowi doktor Lonsdale w kostnicy: znaleziono ją niedługo po śmierci, na drodze prowadzącej przez Walden Woods, niedaleko Walden Pond, w bogatym miasteczku Lincoln. Na jej ciele nie stwierdzono obecności nasienia. Benton podejrzewa, że człowiek, który ją zabił i zostawił zwłoki w lesie, oddaje się sadystycznym fantazjom seksualnym, fantazjom uprzedmiotawiającym ofiarę.

Była dla niego nikim. Nie istotą ludzką, lecz symbolem, zabawką, z którą robił, co mu się żywnie podobało, a podobało mu się ją poniżyć i terroryzować, karać, zadawać jej ból, zmuszać, by stanęła twarzą w twarz z własną upokarzającą i brutalną śmiercią, poczuła w ustach smak lufy strzelby i widziała, jak pociągał za spust. Może ją znał, a może była dlań zupełnie obca. Mógł ją śledzić, a potem porwać. Policja stanowa Massachusetts twierdzi, że w Nowej Anglii nie zgłoszono zaginięcia nikogo, kto pasowałby do jej opisu. Nigdzie nie zgłoszono takiego zaginięcia.



Za basenem jest wał nadmorski, dość duży, by mogła przy nim cumować łódź o długości osiemnastu metrów, choć doktor Scarpetta nie ma takiej łodzi i nigdy nie chciała jej mieć.

Obserwuje łodzie, szczególnie nocą, kiedy światła na sterze i rufie przesuwiają się nad wodą niczym samolot, w ciszy przerywanej tylko buczeniem silników. Jeśli w kajutach pali się światło, obserwuje ludzi, poruszających się lub siedzących i podnoszących szklanki, roześmianych lub poważnych. Patrzy na nich i nie chce być taka jak oni, nie chce być jedną z nich ani z nimi.

Nigdy nie była taka jak oni. Nigdy nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Kiedy dorastała, młoda i samotna, nie była jak oni i nie mogła być z nimi, i to był ich wybór. Teraz jest to jej wybór. Wie, czego chce, patrzy z boku na życia innych, które są nieistotne, przygnębiające, puste i przerażające.

Zawsze się bała, że coś strasznego przydarzy się jej siostrzenicy. To naturalne, że obawia się o ludzi, których kocha, lecz w wypadku Lucy te obawy były zawsze silniejsze. Scarpetta zawsze się bała, że Lucy umrze gwałtowną śmiercią. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że siostrzenica może zachorować, że biologia obróci się przeciwko niej, nie dlatego, że biologia kieruje się jakimikolwiek uczuciami, lecz właśnie dlatego, że się nimi nie kieruje.

– Zaczęłam dostrzegać u siebie dziwne objawy – mówi Lucy w ciemności, gdy siedzą na tekowych krzesłach pomiędzy dwoma drewnianymi słupami.

Jest tam też stół, na nim zaś drinki, ser i krakersy. Nawet nie tknęły sera i krakersów. Piją już drugą kolejkę.

- Czasami żałuję, że nie palę – wyznaje Lucy, sięgając po swoją tequilę.
- Dziwne marzenie.



– Wcale nie wydawało ci się dziwne, kiedy paliłaś przez tyle lat. Nadal masz na to ochotę.

– To, na co mam ochotę, nie ma najmniejszego znaczenia.

– Powtarzasz to, jakbyś nie ulegała tym samym uczuciom, co inni ludzie – odpowiada Lucy. – Oczywiście, że to ma znaczenie. Wszystko, czego chcesz, ma znaczenie. Szczególnie jeśli nie możesz tego mieć.

– Chcesz jej? – pyta doktor Scarpetta.

– Jakiej jej?

– Tej, z którą byłaś ostatnio – przypomina jej. – Twojej ostatniej zdobyczy. W Ptown.

– Nie traktuję ich jak zdobyczy. Uważam je za krótką ucieczkę od rzeczywistości. Jak skręty. To właśnie wydaje się chyba najsmutniejsze.

Że wszystko jest bez znaczenia. Chociaż tym razem może coś znaczyć.

Coś, czego nie rozumiem. Mogłam się w coś wpakować. Byłam naprawdę ślepa i głupia.

Opowiada ciotce o Stevie, o jej tatuażach, czerwonych odciskach dłoni. Trudno jej o tym mówić, ale stara się zachować beznamiętny ton, jakby mówiła o czynach kogoś innego, jakby przedstawiała nową sprawę.

Doktor Scarpetta milczy. Podnosi swoją szklankę i próbuje myśleć o tym, co właśnie powiedziała jej Lucy.

– Może to nic nie znaczy – kontynuuje Lucy. – Zbieg okoliczności.

Wielu ludzi bawi się w dziwne tatuaże, maluje sobie na ciele jakieś dziwne rzeczy.

– Zaczynają mnie już męczyć te zbiegi okoliczności. Ostatnio jest ich coraz więcej – oświadcza jej ciotka.

– Dobra ta tequilla. Zapaliłabym teraz skręta.

– Próbujesz mnie zszokować?

– Trawa wcale nie jest taka zła, jak myślisz.

- Więc teraz jesteś lekarzem.
- Naprawdę. Nie żartuję.
- Dlaczego tak bardzo siebie nienawidzisz, Lucy?
- Wiesz co, ciociu Kay? – Siostrzenica odwraca się do niej, jej twarz, ledwie widoczna w nikłym blasku lamp świecących wzdłuż nabrzeża, wydaje się gniewna i zacięta. – Naprawdę nie masz pojęcia, co robię ani co robiłam. Więc nie udawaj, że mnie tak dobrze znasz.
- To brzmi jak akt oskarżenia. Większość rzeczy, które mi dzisiaj powiedziałaś, brzmi jak akt oskarżenia. Jeśli w jakikolwiek sposób cię zawiodłam, to jest mi bardzo przykro. Bardziej niż sobie wyobrażasz.
- Nie jestem tobą.
- Oczywiście, że nie jesteś. I wciąż to powtarzasz.
- Nie szukam stałego związku, kogoś, kto będzie dla mnie coś znaczył, bez kogo nie mogłabym żyć. Nie chcę znaleźć swojego Bentona.
- Chcę spotykać ludzi, o których mogę zapomnieć. Takich na jedną noc.
- Chcesz wiedzieć, ilu ich już miałam? Bo ja nie.
- Przez ostatni rok nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego. Właśnie dlatego?
- Tak jest łatwiej.
- Boisz się, że będę cię osądzać?
- Może powinnaś.
- Nie martwi mnie to, z kim sypiasz. Martwi mnie cała reszta. Nie spotykasz się z nikim w akademii, nie masz żadnych kontaktów ze studentami, praktycznie nigdy tam nie bywasz, a kiedy już jesteś, to zamęczasz się na siłowni albo siedzisz w helikopterze, albo zajmujesz się testowaniem czegoś tam, jakiejś maszyny, najlepiej niebezpiecznej.
- Może tylko w towarzystwie maszyn czuję się dobrze.

– Jeśli ty zapomnisz o świecie, świat zapomni o tobie. Pamiętaj o tym, Lucy.

– Ciekawe, dlaczego najpierw zapomniało o mnie moje ciało.

– A co z twoim sercem i duszą? Zacznijmy może od tego.

– Jedno i drugie jest lodowato zimne. O zdrowiu nie ma co gadać.

– Ja wcale nie czuję tego zimna. A twoje zdrowie jest dla mnie ważniejsze niż moje własne.

– Myślę, że ona zrobiła to celowo, wiedziała, że będę w barze, planowała coś.

Wraca do tej kobiety, tej z odciskami dłoni podobnymi do odcisków ze sprawy Bentona.

– Musisz powiedzieć Bentonowi o Stevie. Jak ona ma na nazwisko? Co o niej wiesz? – pyta Kay.

– Wiem bardzo mało. Jestem pewna, że to tylko zbieg okoliczności, ale trzeba przyznać, że dość dziwny. Pojawiła się w tym samym czasie, kiedy ta kobieta została zamordowana i porzucona. W tym samym regionie.

Doktor Scarpetta milczy.

– Może ludzie uprawiają tam jakiś dziwny kult – kontynuuje Lucy. Może dlatego malują sobie na ciele czerwone odciski dłoni. Nie osądzaj mnie. Nie chcę słyszeć, jaka jestem głupia i lekkomyślna.

Kay patrzy na nią i milczy.

Lucy wyciera oczy.

– Nie osądzam cię. Próbuję zrozumieć, dlaczego odwróciłaś się od wszystkiego, co było dla ciebie ważne. Akademia jest twoja. To twoje marzenie. Nienawidziłaś państwowych organów ścigania, szczególnie FBI, więc stworzyłaś własną organizację, własne siły. Teraz twój koń błąka się po parkurze bez jeźdźca. Gdzie jesteś? My wszyscy, wszyscy ludzie, których zebrałaś po to, by pracowali dla wspólnej sprawy, czujemy się

porzuceni. Większość studentów z zeszłego roku nigdy cię nie poznała, ba, nie znają cię nawet niektórzy pracownicy naukowcy, nie widzieli cię nigdy na oczy.

Lucy patrzy na łódź ze zwiniętymi żaglami, która sunie przez noc.

Ponownie wyciera oczy.

– Mam guza – mówi cicho. – W mózgu.

## Rozdział 39

**B**enton powiększa kolejną fotografię, tym razem wykonaną w miejscu, gdzie znaleziono ciało.

Zdjęcie przywodzi na myśl odrażającą, brutalną pornografię. Ofiara leży na plecach, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, biodra ma owinięte zakrwawionymi spodniami, ułożonymi niczym pieluszka, głowę zaś zakrywają lekko zakrwawione, poplamione fekaliami majtki, w których ktoś wyciął otwory na oczy. Benton odchyła się na oparcie krzesła, zamyślony. Jest pewien, że ten, kto ułożył ciało ofiary w taki sposób, nie zrobił tego tylko po to, by kogoś zaszokować. To byłoby zbyt proste.

Kryje się za tym coś jeszcze.

Ta sprawa coś mu przypomina.

Zastanawia się nad spodniami ułożonymi niczym pieluszka. Są odwrócone na drugą stronę, co może mieć kilka przyczyn. Być może wcześniej zdjęła je pod przymusem, a następnie włożyła z powrotem. Zabójca mógł je z niej zdjąć, kiedy była już martwa. Spodnie są ze lnu. Mało kto w Nowej Anglii nosi o tej porze roku lniane spodnie. Na

fotografii ukazującej spodnie ułożone na stole operacyjnym widać układ plam krwi, znaczący układ. Spodnie poplamione są od kolan w górę, poniżej widać tylko kilka drobnych smug, nic więcej. Benton wyobraża sobie ofiarę klęczącą przed mordercą, na sekundy przed śmiercią. Dzwoni do Kay Scarpetty, ale ona nie odbiera.

Upokorzenie. Panowanie. Całkowite poniżenie, pozbawienie ofiary własnej woli, sprawienie, by czuła się bezsilna jak dziecko. Ubrana w kaptur jak ktoś, kto zostanie stracony. Ubrana w kaptur jak jeńiec wojenny, który jest poddawany torturom, terroryzowany. Zabójca prawdopodobnie odtwarza wydarzenia ze swojego życia. Prawdopodobnie z dzieciństwa.

Wykorzystywanie seksualne. Sadyzm. Często właśnie do tego wszystko się sprowadza. Czyń innym to, co uczyniono tobie. Benton próbuje ponownie dodzwonić się do doktor Scarpetty, lecz ona nadal nie odbiera.

Wraca myślami do Basila. On także układał niektóre spośród swoich ofiar w specjalnych pozach, opierał je o różne rzeczy, w jednym przypadku o ścianę w damskiej toalecie. Benton przywołuje w pamięci sceny i zdjęcia z sekcji zwłok jednej z ofiar Basila i widzi zakrwawioną, pozbawioną oczu twarz zmarłej. Może tu tkwi podobieństwo. Otwory na oczy w majtkach przywodzą na myśl pozbawione oczu ofiary Jenrette'a.

Być może jednak chodzi o kaptur. Chyba jednak o to. Założyć komuś kaptur to tyle, co całkowicie kogoś obezwładnić, zniszczyć wszelkie szanse na walkę czy ucieczkę, dręczyć, terroryzować, karać. Żadna z ofiar Basila nie miała kaptura, przynajmniej żadna z odnalezionych do tej pory, tak naprawdę jednak nikt nie wie, co dzieje się podczas sadystycznego zabójstwa. Ofiara nie może już tego opowiedzieć.

Benton martwi się, że być może spędza za dużo czasu w głowie Basila.

Ponownie dzwoni do doktor Scarpetty.

– To ja – mówi, gdy Kay wreszcie odbiera.

– Właśnie miałam do ciebie zadzwonić – odpowiada zimnym, lekko drżącym głosem.

– Jesteś czymś zdenerwowana?

– Mów pierwszy – odpowiada tym samym, nieswoim głosem.

– Płakałaś? – Nie rozumie, dlaczego Kay tak się zachowuje. – Chciałem porozmawiać z tobą o tej sprawie.

Ona jedna może sprawić, że Benton czuje się tak, jak w tej chwili.

Wystraszony.

– Miałem nadzieję, że będziemy mogli o tym porozmawiać. Właśnie się temu przyglądam.

– Cieszę się, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać. – Z naciskiem wymawia to „o czymś”.

– O co chodzi, Kay?

– O Lucy – odpowiada. – Właśnie o nią. Wiedziałaś o tym od roku.

Jak mogłeś mi to zrobić?

– Powiedziała ci. – Benton przygryza wargę.

– Badali ją w twoim szpitalu, a ty nic mi nie powiedziałeś! Wiesz co?

Ona jest moją siostrzenicą, nie twoją. Nie masz prawa...

– Kazała mi obiecać.

– Nie miała prawa.

– Oczywiście, że miała, Kay. Nikt nie mógł z tobą o tym rozmawiać bez jej zgody. Nawet jej lekarze.

– Ale powiedziała ci.

– Nie bez powodu...

– To poważna sprawa i musimy o niej poważnie porozmawiać. Nie wiem, czy mogę ci jeszcze ufać.

Benton wzdycha ciężko, czuje się tak, jakby ktoś wypełnił mu żołądek kamieniami. Rzadko się kłóca. Ale jeśli już to się zdarza, jest okropnie.

– Zaraz się rozłączę – mówi Kay. – Musimy o tym porozmawiać powtarza.

Rozłącza się bez pożegnania, a Benton siedzi przez chwilę w bezruchu, niezdolny do żadnej reakcji. Wpatruje się tępo w ekran komputera, wreszcie zaczyna bezmyślnie klikać myszką, przeglądać raporty, relację sporządzoną przez Thrusha, próbując nie myśleć o tym, co wydarzyło się przed momentem.

Na śniegu zostały ślady świadczące o tym, że sprawca ciągnął ciało po ziemi, od parkingu aż do miejsca, w którym znaleziono ofiarę. Zabójca nosił buty o rozmiarze dziewięć, może dziesięć, na podeszwie z grubym bieżnikiem.

Kay nie powinna mieć do niego żalu. Nie miał wyboru. Lucy wymogła na nim obietnicę milczenia, powiedziała, że nigdy mu nie wybaczy, jeśli powie komukolwiek, szczególnie jej ciotce, szczególnie Pete’owi Marino.

Na śniegu nie ma śladów krwi, co oznacza, że ciało było w coś zawinięte. Policja znalazła w odcisniętych na śniegu brzdach włókna, mikroślady.

Kay przenosi na niego swój żal i agresję, atakuje go, bo nie może zaatakować Lucy. Nie może zaatakować guza Lucy. Nie może złościć się na kogoś, kto jest chory.

Na ciele ofiary znaleziono mikroślady, włókna i mikroskopijne drobiny pod paznokciami, w krwi, we włosach i na skórze. Wstępne badania laboratoryjne wykazały, że większość tych śladów to włókna pochodzące z dywanu i bawełny oraz minerały, fragmenty owadów i pyłków obecnych w glebie nazwanej przez lekarza sądowego „brudem”.

Nagle dzwoni telefon. Benton spogląda na numer rozmówcy, a kiedy okazuje się, że numer jest zastrzeżony, jest pewien, że to doktor Scarpetta. Podnosi szybko słuchawkę.



– Halo? – mówi.

– Dzień dobry, centrala szpitala MacLean.

Benton waha się przez moment, rozczarowany i zawiedziony. Kay mogła zadzwonić jeszcze raz. Nie pamięta, kiedy ostatnio odłożyła słuchawkę bez pożegnania.

– Chciałabym rozmawiać z doktorem Wesleyem – mówi telefonistka ze szpitalnej centrali.

Wciąż czuje się dziwnie, kiedy ludzie zwracają się do niego w ten sposób. Ma tytuł doktora od wielu lat, odkąd jeszcze pracował w FBI, nigdy jednak nie wymagał, by ludzie tak się do niego zwracali.

– Przy telefonie – mówi.

Lucy siedzi na łóżku w pokoju gościnnym ciotki. Światła są zgaszone. Wypiła za dużo, by prowadzić. Spogląda na numer na wyświetlaczu swojego Treo, numer zaczynający się od cyfr 617. Jest trochę zamroczone, trochę pijana.

Myśli o Stevie, o tym jak wyszła z jej domku zawstydzona i rozżalona. Myśli o tym, jak Stevie szła za nią do hummera i znów była tą uwodzicielską, tajemniczą i pewną siebie kobietą, którą Lucy poznała u Lorraine, a kiedy myśli o tym pierwszym spotkaniu, czuje to samo, co wtedy. Nie chce niczego czuć, a jednak czuje, i to budzi jej niepokój.

Stevie budzi w niej niepokój. Ona może coś wiedzieć. Była w Nowej Anglii w tym samym czasie, gdy ta nieszczęsna kobieta została zamordowana i porzucona w lesie. Obie miały czerwone odciski dłoni na ciele.

Stevie twierdzi, że to nie ona je namalowała, że zrobił to ktoś inny.

Kto?

Lucy wybiera połączenie, trochę oszołomiona, trochę przestraszona.

Powinna była najpierw sprawdzić numer, który tamta jej dała, sprawdzić, do kogo należy, czy rzeczywiście jest to numer Stevie.

– Halo?

– Stevie? – Więc to jednak jej numer. – Pamiętasz mnie?

– Jak mogłabym cię zapomnieć? Nikt by o tobie nie zapomniał.

Jej głos brzmi kojąco i uwodzicielsko, Lucy czuje to samo, co u Lorraine. Przypomina sobie, dlaczego właściwie dzwoni.

Odciski dłoni. Kto jej to zrobił? Gdzie?

– Byłam pewna, że jeszcze cię usłyszę – mówi Stevie czułym tonem.

– No i usłyszałaś – odpowiada Lucy.

– Dlaczego mówisz tak cicho?

– Nie jestem u siebie w domu.

– Chyba nie powinnam pytać, co to znaczy. Ale robię mnóstwo rzeczy, których nie powinnam. Z kim jesteś?

– Z nikim – odpowiada Lucy. – A ty? Jesteś jeszcze w Ptown?

– Wyjechałam stamtąd zaraz po tobie. Jestem już w domu.

– W Gainesville?

– A gdzie ty jesteś?

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak masz na nazwisko.

– W którym domu jesteś, jeśli nie w swoim? Bo zakładam, że mieszkasz w domu.

– Wybierasz się czasem na południe?

– Mogę przyjechać wszędzie, gdzie zechcesz. Na południe od czego?

Jesteś w Bostonie?

– Jestem na Florydzie – odpowiada Lucy. – Chciałabym się z tobą zobaczyć. Musimy porozmawiać. Może podasz mi jednak swoje nazwisko, nie wydawałybyśmy się już sobie takie obce.

– O czym chcesz ze mną rozmawiać?

Stevie nie zdradzi Lucy swojego nazwiska. Nie ma sensu prosić ją o to ponownie. Nie powie Lucy nic, przynajmniej nie przez telefon.

– Spotkajmy się – proponuje Lucy.

– To na pewno lepszy pomysł.

Prosi, by Stevie spotkała się z nią następnego dnia o dziesiątej rano w South Beach.

– Słyszałaś o miejscu zwanym Deuce? – pyta Lucy.

– To słynne miejsce – odpowiada Stevie uwodzicielsko. – Znam je bardzo dobrze.

## Rozdział 40

**O**krągły, mosiężny czubek pocisku lśni na ekranie niczym księżyc.

Tom, specjalista od broni, siedzi w laboratorium policji stanowej Massachusetts, otoczony komputerami i mikroskopami, zadowolony, że Zintegrowana Narodowa Sieć Informacji Balistycznej, zwana NIBIN, odpowiedziała wreszcie na jego pytanie.

Patrzy na dwa powiększone obrazy drobnych żłobkowań przeniesionych z metalowych części strzelby na mosiężne czubki dwóch pocisków.

Dwa obrazy są na siebie nałożone, dwie połówki łączą się ze sobą na środku, mikroskopijne podpisy, jak nazywa je Tom, idealnie do siebie pasują.

– Oczywiście oficjalnie nazywam to tylko dużym podobieństwem, dopóki nie uzyskam potwierdzenia – tłumaczy przez telefon doktorowi Wesleyowi, legendarnemu Bentonowi Wesleyowi.

To niesamowite, myśli Tom podekscytowany.

– Co oznacza, że śledczy z okręgu Broward musi przysłać mi swoje materiały dowodowe. Na szczęście nie będzie z tym żadnego problemu

kontynuuje Tom. – Jestem przekonany, choć oczywiście to tylko wstępna konkluzja, że moja diagnoza się potwierdzi i że oba pociski zostały wystrzelone z tej samej broni.

Czeka na reakcję; czuje się podekscytowany i naładowany, jakby wypił właśnie dwie szklanki whisky. Taka informacja może znaczyć dla śledczego tyle co dla innych wiadomość o wygranej na loterii.

– Co pan wie o tej sprawie z Hollywood? – pyta doktor Wesley bez cienia wdzięczności.

– Wiem tyle, że została rozwiązana – odpowiada urażony Tom.

– Chyba nie całkiem rozumiem. – Wesley mówi tym samym nieuprzejmym tonem.

Jest arogancki i wyniosły, nie okazuje nawet cienia wdzięczności, to jasne. Tom nigdy go nie spotkał, nigdy z nim nie rozmawiał i nie miał pojęcia, czego oczekiwać. Słyszał jednak całkiem sporo o jego karierze w FBI, a wszyscy wiedzą, że ci z FBI lubią się panoszyć, wykorzystują lokalnych śledczych, traktując ich jednocześnie jak ludzi gorszej kategorii, a potem przypisują sobie ich sukcesy. Wesley to arogancki dupek.

To jasne. Nic dziwnego, że Thrush kazał mu rozmawiać bezpośrednio z legendarnym doktorem Bentonem Wesleyem. Thrush nie chce się z nim zadawać, nie chce zadawać się z nikim, kto kiedykolwiek miał coś do czynienia z FBI.

– Dwa lata temu – mówi Tom, rezygnując z przyjaznego tonu.

Mówi teraz jak ktoś ogromnie nudny i tępy. Żona uświadomiła mu, że zawsze mówi w ten sposób, kiedy jego ego zostaje zranione, kiedy czuje się skrzywdzony. Ma prawo tak reagować, ale nie chce wyjść na nudziarza i tępaka, na kogoś, kto zachowuje się tak, jakby właśnie dostał deską w głowę, jak ujmuje to jego żona.

– W Hollywood dokonano napadu na sklep nocny – wyjaśnia, starając się nie mówić jak nudziarz i tępak. – Wszedł tam facet z gumową maską na twarzy i strzelbą w ręce. Zabił chłopaka, który zmiatał właśnie podłogę, a wtedy kierownik sklepu strzelił mu w głowę z pistoletu, który trzymał pod ladą.

– I sprawdzili pocisk z tej strzelby w NIBIN?

– Tak, żeby sprawdzić, czy ten zamaskowany facet nie był powiązany z innymi, nierozwiązanymi sprawami.

– Nie rozumiem – powtarza doktor Wesley ze zniecierpliwieniem. Co się stało z bronią po śmierci tego faceta w masce? Powinna zarekwirować ją policja. A teraz użyto jej ponownie w morderstwie w Massachusetts?

– Zadałem śledczemu z okręgu Broward to samo pytanie – odpowiada Tom, starając się nie mówić jak nudziarz i tępak. – Oświadczył, że po zbadaniu broni oddał ją policji z Hollywood.

– Cóż, mogę pana zapewnić, że teraz jej tutaj nie ma – mówi doktor Wesley, jakby Tom był idiotą.

Tom przygryza skórkę przy paznokciu, gryzie ją do krwi. To stary nawyk, którego nie może się pozbyć, i który ogromnie denerwuje jego żonę.

– Dzięki – rzuca doktor Wesley, odkładając słuchawkę i lekceważąc odkrycie Toma.

Ten powraca spojrzeniem do mikroskopu. Znajduje się tam ów nieszczęsny pocisk, czerwona, plastikowa łuska kaliber dwanaście, z mosiężnym czubkiem, na którym widać nietypowe zarysowanie pozostawione przez iglicę. Tom potraktował tę sprawę priorytetowo. Siedział za biurkiem przez cały dzień i wieczór, oglądał pocisk w świetle bocznym i dookólnym, przy ułożeniu na trzecią i na szóstą godzinę, zapisywał każde zdjęcie jako oddzielny plik, równie skrupulatnie badał

ślady, rysy pozostawione przez iglicę, by w końcu przesłać wszystkie te dane do NIBIN.

Potem musiał czekać kilka godzin na wyniki, podczas gdy rodzina wybrała się bez niego do kina. Potem Thrush poszedł na kolację i poprosił go, żeby zadzwonił bezpośrednio do doktora Wesleya, ale zapomniał mu dać numer, więc Tom musiał zadzwonić najpierw do szpitala MacLean i przejść przez całą procedurę rejestracji, jakby był pacjentem.

Uważa, że należy mu się odrobina uznania i wdzięczności. Doktor Wesley mógł chociaż powiedzieć: „dziękuję bardzo” albo „dobra robota”, albo „aż trudno uwierzyć, że tak szybko zdobył pan te wyniki”. Czy on w ogóle ma pojęcie, jak trudno sprawdzić dane w NIBIN? Większość śledczych nawet nie próbuje tego robić.

Wpatruje się w pocisk. Nigdy nie badał pocisku, który wyjęto z odbytu ofiary morderstwa.

Spogląda na zegarek i dzwoni na domowy numer Thrusha.

– Powiedz mi jedno – zaczyna, gdy detektyw odbiera telefon. – Dlaczego kazałeś mi rozmawiać z tym pieprzonym doktorem z FBI? Mógłby choć podziękować.

– Mówisz o Bentonie?

– Nie. O Bondzie. Jamesie Bondzie.

– To miły facet. Nie wiem, o co ci chodzi, pamiętam tylko, że nie cierpisz federalnych i jesteś do nich uprzedzony. I wiesz, co jeszcze, Tom? – ciągnie Thrush nieco bełkotliwym głosem, jakby był podпиты. Pozwól, że coś ci wyjaśnię. NIBIN należy do federalnych, więc ty też.

Jak myślisz, skąd wziął się ten piękny sprzęt, na którym pracujesz? Kto cię wyszkolił, żebyś mógł tam siedzieć i robić codziennie to, co robisz?

Wiesz kto? Federalni.

– Nie chce mi się tego słuchać – mówi Tom, przytrzymując słuchawkę brodą, zamykając wszystkie pliki i przygotowując się do wyjścia, do powrotu do pustego domu, podczas gdy rodzina bawi się bez niego w kinie.

– Poza tym Benton dawno już odszedł z biura i teraz nie ma z federalnymi nic wspólnego.

– Cóż, powinien okazać trochę wdzięczności. To wszystko. Po raz pierwszy udało nam się znaleźć w NIBIN dwa pasujące do siebie pociski ze strzelby.

– Wdzięczności? Żartujesz sobie? Za co ma być ci wdzięczny? Że łuska, którą znaleziono w dupie jakiejś zabitej kobitki, pasuje do strzelby jakiegoś zabitego bandziora, która powinna być w magazynie policji w Hollywood? – mówi Thrush głośno, wulgarnie, jak zawsze, gdy sobie popije. – Wiesz, co ci powiem? On to pierdoli. Założę się, że tak jak ja marzy teraz tylko o tym, żeby się porządnie uchlać.



## Rozdział 41

**W** zrujnowanym domu jest gorąco, ciężkie powietrze stoi w miejscu. Przesycone zapachem stęchlizny wewnątrz śmierdzi jak zepsute jedzenie, jak latryna.

Krab porusza się pewnie, przechodzi z pokoju do pokoju, wyczuwając dotykiem i węchem, gdzie właśnie jest, w nocy także. Widzi w ciemnościach równie dobrze jak za dnia. Widzi, co kryje się za zasłoną mroku, widzi czerwone obrzęki na twarzy i szyi kobiety, widzi pot lśniący na jej brudnej, białej skórze, widzi strach w jej oczach, widzi jej obcięte włosy na materacu i podłodze, lecz ona nie widzi jego.

Idzie w jej stronę, w stronę śmierdzącego poplamionego materaca, na którym siedzi kobieta, oparta o ścianę. Jej wyprostowane nogi okryte są zielonym sukniem. Obcięte krótko włosy sterczą prosto na jej głowie, jakby włożyła właśnie palec do gniazdka lub zobaczyła ducha. Była na tyle rozsądna, by zostawić nożyczki na materacu. Podnosi je i czubkiem buta poprawia zieloną zasłonę, słyszy jej ciężki oddech, czuje na sobie jej spojrzenie.

Zabrał piękną zieloną szatę, która leżała na sofie. Właśnie przyniosła ją wtedy z samochodu, z kościoła, gdzie miała ją na sobie kilka godzin wcześniej. Zabrał szatę, bo mu się podobała. Teraz jest brudna i

pognieciona, przypomina mu zabitego, nieruchomego smoka. Pochwycił tego smoka, jednak smok go rozczarował; to, co się z nim stało, budzi złość i agresję Kraba. Smok go zawiódł. Zdradził. Kiedy lśniący zielony smok płynął swobodnie nad ziemią, ludzie go słuchali, nie mogli oderwać od niego oczu, patrzyli nań z zazdrością. Pragnął go i niemal kochał. Teraz wolałby go w ogóle nie oglądać.

Podchodzi bliżej i kopie kobietę w owinięte drutem kostki. Ledwie się porusza. Jakiś czas temu była żywsza, ale pająk najwyraźniej ją zmęczył. Nie prawi mu tych bzdurnych kazań. Nie mówi nic. Sikała od czasu, gdy był tutaj ostatnio niecałą godzinę temu. Ostry zapach amoniaku gryzie go w nozdrza.

– Dlaczego jesteś taka obrzydliwa? – mówi Krab, patrząc na nią.

– Czy chłopcy śpią? Nie słyszę ich. – Kobieta chyba majaczy.

– Przestań o nich gadać.

– Wiem, że nie chcesz ich skrzywdzić. Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem.

– Nic ci to nie pomoże – mówi. – Więc zamknij się. Gównu wiesz. Jesteś głupia i brzydka. Jesteś obrzydliwa. Nikt by ci nie uwierzył. Powiedz, że żałujesz. Że to wszystko twoja wina.

Kopie ją ponownie w kostki, tym razem mocniej, kobieta krzyczy z bólu.

– Co za historia. Spójrz tylko na siebie. No i kto jest teraz śliczniutki? Nauczę cię pokory. Powiedz, że żałujesz.

Kopie ją jeszcze mocniej, kobieta krzyczy, jej oczy wypełniają się łzami, lśnią niczym szkło.

– Teraz już nie jesteś taka ważna, co? Myślisz, że jesteś lepsza, mądrzejsza od innych? Spójrz tylko na siebie. Znajdę jakiś inny, lepszy sposób, by cię ukarać. Włóż buty.

Kobieta patrzy nań, zdezorientowana.

– Wychodzimy na zewnątrz. Nic innego do ciebie nie dociera. Powiedz, że żałujesz!

Jej szkliste, szeroko otwarte oczy wpatrują się w niego.

– Chcesz, żebym znowu dał ci rurkę? Powiedz, że żałujesz!

Dźga ją lufą strzelby.

– Powiesz mi jeszcze, jak bardzo tego chcesz, bo to oczywiste. Możesz mi podziękować, bo jesteś taka brzydka, że nikt inny by cię nie dotknął. Spotkał cię zaszczyt, prawda? – mówi niższym głosem, bo wie, że wtedy budzi jeszcze większy strach.

Trącają ponownie i dotyka lufą jej piersi.

– Głupia i brzydka. Wkładaj buty. Nie zostawiasz mi wyboru.

Kobieta nie odpowiada. Krab kopie ją w kostki, kopie mocno, a po jej zakrwawionej twarzy płyną łzy. Prawdopodobnie ma złamany nos.

Złamała nos Krabowi, uderzyła go tak mocno, że krew leciała mu godzinami, wiedział, że nos jest złamany. Czuje teraz zgrubienie u nasady nosa. Uderzyła go, kiedy zrobił tę złą rzecz, kiedy walczyła z nim na początku, w pokoju za drzwiami z łuszczącą się farbą. Potem matka zabrała go do tego miasta, w którym budynki są stare i pada śnieg. Nigdy wcześniej nie widział śniegu, nigdy nie było mu tak zimno. Zabrała go tam, bo kłamał.

– Boli, co? – mówi. – Boli jak cholera, kiedy druty wrzynają ci się w kostki, a ktoś cię kopie. Taka właśnie kara czeka cię za nieposłuszeństwo. Za kłamstwa. Chwileczkę, gdzie jest ta rurka?

Kopie ją ponownie, a kobieta jęczy. Jej nogi drżą pod zieloną tkaniną, pod martwym zielonym smokiem ułożonym na kolanach.

– Nie słyszę chłopców – mówi coraz słabszym głosem, jakby uciekało z niej życie.

– Powiedz, że żałujesz.

– Przebaczam ci – odpowiada, patrząc nań lśnącymi, szeroko otwartymi oczyma.

Podnosi strzelbę i mierzy prosto w jej głowę. Kobieta patrzy spokojnie na lufę, jakby już się nie bała, jakby już jej to nie obchodziło.

– Możesz powtarzać to przebaczam, ile tylko chcesz, ale Bóg jest po mojej stronie – syczy ze złością Krab. – Zaslługujesz na Jego karę. Dlatego tu jesteś. Rozumiesz? To twoja wina. Sama to na siebie ściągnęłaś.

Rób, co ci każe! Powiedz, że żałujesz!

Jego wielkie buty prawie nie skrzypią, kiedy idzie po starej drewnianej podłodze, zatrzymuje się w drzwiach i ogląda za siebie. Zabity zielony smok się porusza, a przez rozbite okno wpływa ciepłe powietrze.

Okno pokoju wychodzi na zachód, blask popołudniowego słońca sący się do środka, dotyka lśniącego zielonego smoka, który błyszczy i skrzy się niczym szmaragdowy płomień. Ale się nie porusza. Teraz jest już niczym. Jest martwy i brzydki i to ona jest temu winna.

Dźga lufą jej blade ciało, jej tłuste obwisłe ciało, pokryte śladami po ukąszeniach owadów i krostami. Czuje jej smród już w korytarzu. Martwy zielony smok porusza się wtedy, gdy ona się porusza, Krab irytuje się, kiedy myśli o schwytaniu smoka i sprawdzeniu, co jest pod spodem.

Ona była pod spodem. Został oszukany. To jej wina. Chciała, żeby tak się stało. Oszukała go. To jej wina.

– Powiedz, że żałujesz.

– Przebaczam ci. – Jej szkliste oczy znów patrzą na niego.

– Chyba wiesz, co się teraz stanie – odpowiada.

Jej usta poruszają się lekko, lecz nie wypływa z nich żaden dźwięk.

– Chyba jednak nie wiesz.

Przygląda się jej obrzydliwemu, staremu ciału leżącemu na brudnym materacu, czując w piersiach chłód, lodowaty i obojętny jak śmierć. Jeśli

kiedykolwiek żyły w nim jakieś uczucia, teraz są martwe jak smok.

– Chyba naprawdę nie wiesz.

Głośny trzask pocisku wprowadzanego do lufy strzelby wypełnia wnętrze pokoju.

– Uciekaj – mówi.

– Przebaczam ci – mówi ona bezgłośnie, patrząc nań szeroko otwartymi, załamionymi oczami.

Krab wychodzi na korytarz, zaskoczony trzaskiem zamykanych drzwi.

– Jesteś tu? – woła.

Opuszcza broń i rusza w stronę wyjścia, coraz bardziej zdenerwowany. Nie spodziewał się jej, jeszcze nie teraz.

– Mówiłam ci, żebyś tego nie robił – wita go głos Boga, choć jeszcze jej nie widzi. – Możesz robić tylko to, co ci każę.

Materializuje się w ciemności, jej czarna postać sunie w jego stronę.

Jest piękna i potężna, Krab kocha ją i nie mógłby bez niej żyć.

– Co ty wyprawiasz? – pyta go.

– Ona ciągle nie żałuje. Nie chce tego powiedzieć – próbuje wyjaśnić.

– Teraz nie ma na to czasu. Pamiętałeś, żeby przynieść farbę, zanim cię tam poniosło?

– Nie ma jej tutaj. Jest w samochodzie. Tam, gdzie używałem jej ostatnio.

– Przynieś ją. Najpierw się przygotuj. Zawsze najpierw się przygotuj. Tracisz nad sobą panowanie, a potem co? Wiesz, co robić. Nie rozczaruj mnie.

Bóg podchodzi bliżej niego.

– Mamy już bardzo mało czasu – mówi Krab.

– Beze mnie jesteś niczym – przypomina mu Bóg. – Nie zawieźdź mnie.

## Rozdział 42

**D**oktor Self siedzi przy biurku, wpatrzona w basen i coraz bardziej zdenerwowana. W każdą środę powinna być w radiu przed dziesiątą rano, by przygotować się do programu.

– Niestety, nie mogę tego potwierdzić – mówi do telefonu. Gdyby się tak nie spieszyła, ta rozmowa prawdopodobnie sprawiałaby jej dużą przyjemność, i to z wielu powodów.

– Bez wątpienia to właśnie pani przepisała Davidowi Luckowi ritalin – odpowiada doktor Kay Scarpetta.

Doktor Self mimowolnie myśli o Marinie i o wszystkim, co jej opowiadał o swojej przełożonej. Doktor Self nie jest jednak onieśmielona.

W tej chwili ma przewagę nad tą kobietą, którą spotkała tylko raz i o której słyszy co tydzień.

– Dziesięć miligramów trzy razy dziennie – płynie ze słuchawki silny głos doktor Scarpetty.

Wydaje się zmęczona, może przygnębiona. Doktor Self potrafiłaby jej pomóc. Powiedziała jej to, kiedy poznały się w czerwcu w akademii, podczas kolacji wydanej na cześć doktor Self.

– Kobiety sukcesu, profesjonalistki o silnej motywacji, takie jak my, powinny pamiętać o tym, by nie zaniedbywać swoich emocji – powiedziała

doktor Scarpetcie, kiedy natknęły się na siebie w damskiej toalecie.

– Dziękuję pani za wykłady. Wiem, że studenci bardzo je lubią – odparła tamta, a doktor Self natychmiast ją przejrzała.

Kobiety takie jak doktor Scarpetta są mistrzyniami w unikaniu osobistej analizy i czegokolwiek, co może odsłonić ich wewnętrzną wrażliwość.

– Jestem pewna, że słuchacze czerpią z tych wykładów inspirację kontynuowała doktor Scarpetta, myjąc ręce, szorując je tak dokładnie, jakby szykowała się do operacji. – Wszyscy doceniają to, że znalazła pani w swym napiętym planie odrobinę czasu na spotkanie z naszymi studentami.

– Wydaje mi się, że wcale pani tak nie myśli – odrzekła doktor Self szczerze. – Ogromna większość moich kolegów po fachu patrzy z góry na tych, którzy wychodzą ze swą praktyką za zamknięte drzwi gabinetów, na szeroką arenę radia i telewizji. W rzeczywistości powodem takiego podejścia jest zazwyczaj zazdrość. Myślę, że połowa ludzi, którzy mnie krytykują, sprzedałaby duszę, byle tylko znaleźć się w telewizji lub radiu.

– Pewnie ma pani rację – uznała doktor Scarpetta, osuszając ręce.

Ta uwaga mogła zostać zinterpretowana na kilka sposobów: doktor Self ma rację, większość jej kolegów po fachu patrzy na nią z góry lub też: połowa ludzi, którzy ją krytykują, jest zazdrosna; albo prawdą jest, że podejrzewa, iż połowa ludzi, którzy ją krytykują, jest zazdrosna, co może oznaczać, że wcale zazdrosna nie jest. Choć wiele już razy odtwarzała w pamięci tę rozmowę i analizowała tę konkretną uwagę, do tej pory nie wie, co właściwie miała na myśli doktor Scarpetta, i czy czasem nie próbowała jej subtelnie i inteligentnie obrazić.

– Wydaje mi się, że czymś się pani martwi – mówi teraz do niej przez telefon.

– Owszem. Chcę wiedzieć, co się stało z pani pacjentem, Davidem.

– Doktor Scarpetta uchyla się przed osobistą uwagą swej rozmówczyni. Buteleczka została napełniona setką tabletek ponad trzy tygodnie temu.

– Nie mogę tego potwierdzić.

– Nie potrzebuję pani potwierdzenia. Zabrałam opakowanie z lekarstwem z jego domu. Wiem, że przepisała pani chłopcu ritalin, i wiem dokładnie, gdzie i kiedy buteleczka została napełniona: w aptecce w centrum handlowym obok kościoła Ev i Kristin.

Doktor Self nie potwierdza tego, ale to prawda.

– Pani chyba wie najlepiej, co znaczy konieczność zachowania dyskrecji – mówi głośno.

– Mam nadzieję, że zrozumie pani, jak bardzo martwimy się o Davida, jego brata i dwie kobiety, które z nimi mieszkają.

– Czy ktoś brał pod uwagę możliwość, że chłopcy po prostu tęsknią do swojego domu w Afryce? Nie mówię, że tak jest – dodaje. – Wysuwam tylko taką hipotezę.

– Ich rodzice zginęli w zeszłym roku w Kapsztadzie – odpowiada doktor Scarpetta. – Rozmawiałam z lekarzem sądowym, który...

– Tak, tak – przerywa jej doktor Self – to okropna tragedia.

– Czy obaj chłopcy byli pani pacjentami?

– Wyobraża pani sobie, jaki to dla nich musiał być uraz? O ile dobrze zrozumiałam z różnych komentarzy, które docierały do mnie poza sesjami, byli w tej rodzinie zastępczej tylko tymczasowo. Zakładano, że w odpowiednim czasie wrócą do Kapsztadu i zamieszkają u krewnych, którzy musieli przeprowadzić się do większego domu, by zapewnić chłopcom odpowiednie warunki.

Nie powinna chyba zdradzać więcej szczegółów, lecz ta rozmowa zbyt ją bawi, by miała ją już zakończyć.

– Jak trafili do pani? – pyta doktor Scarpetta.



– Skontaktowała się ze mną Ev Christian. Znała mnie, oczywiście, dzięki jednemu z moich programów.

– To chyba zdarza się dość często. Ludzie ich słuchają, a potem chcą zostać pani pacjentami.

– Rzeczywiście, często tak bywa.

– Co oznacza, że większości pani odmawia.

– Nie mam wyboru.

– Co więc skłoniło panią, by przyjąć Davida i, być może, jego brata?

Doktor Self dostrzega dwóch ludzi przy swoim basenie. Dwóch mężczyzn w białych koszulach, czarnych baseballowych czapkach i ciemnych okularach. Mężczyźni przyglądają się jej drzewom i namalowanym na pniach czerwonym pasom.

– Zdaje się, że mam tu jakichś intruzów – mówi zirytowana.

– Słucham?

– To ci cholerni inspektorzy. Jutro robię program na ten właśnie temat w moim nowym show w telewizji. Teraz naprawdę dam im popalić.

No proszę, po prostu weszli sobie do mojego ogrodu. Muszę iść.

– To bardzo ważne, doktor Self. Nie dzwoniłabym do pani bez powodu...

– Okropnie się spieszę, a teraz jeszcze to. Ci idioci wrócili, pewnie żeby zabić moje piękne drzewa. Zobaczymy. Nie pozwolę, żeby weszła tu ta banda matołów ze swoimi maszynami! Zobaczymy – powtarza groźnym tonem. – Jeśli chce pani uzyskać ode mnie więcej informacji, będzie pani potrzebowała nakazu sądowego lub pozwolenia pacjenta.

– Trudno uzyskać pozwolenie od kogoś, kto zniknął bez śladu.

Doktor Self odkłada słuchawkę i wychodzi prosto w jasny, gorący poranek, zmierzając stanowczym krokiem ku mężczyznom w białych koszulach zaopatrzonych w to samo logo, które znajduje się na ich czapkach. Z tyłu koszuli widnieje czarny napis Departament Rolnictwa

Stanu Floryda. Jeden inspektor trzyma w dłoni notebook i coś z nim robi, podczas gdy drugi rozmawia przez telefon.

– Przepraszam – zaczyna doktor Self agresywnym tonem. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, jesteśmy inspektorami drzew cytrusowych z Departamentu Rolnictwa – odpowiada mężczyzna z notesem.

– Widzę, kim panowie są – mówi doktor Self bez uśmiechu.

Obaj noszą plakietki identyfikacyjne ze zdjęciami, ale doktor Self nie ma okularów i nie może odczytać nazwisk.

– Dzwoniliśmy do drzwi i pomyśleliśmy, że nikogo nie ma w domu.

– Więc po prostu weszli panowie na mój teren?

– Wolno nam wchodzić do otwartych ogrodów i, jak już powiedziałem, myśleliśmy, że nikogo nie ma w domu. Dzwoniliśmy kilka razy.

– W moim biurze nie słyhać dzwonka u drzwi – mówi doktor Self z pretensją, jakby to była ich wina.

– Przepraszamy. Musimy jednak obejrzeć pani drzewa, a nie wiedzieliśmy, że nasi inspektorzy już tutaj byli...

– Już tutaj byliście. Więc przyznajecie, że nachodzicie mnie nie po raz pierwszy.

– Nie my osobiście. Nie mówię, że to my sprawdzaliśmy pani drzewa, tylko że ktoś zrobił to przed nami. Choć nie zostało to nigdzie zanotowane – mówi do doktor Self inspektor z notebookiem.

– Przepraszam, czy to pani namalowała te pasy?

Doktor Self spogląda ze zdumieniem na pasy wokół pni drzew.

– Dlaczego miałabym to robić? Zakładałam, że to wy je namalowaliście.

– Nie, proszę pani, już były. Chce pani powiedzieć, że wcześniej ich pani nie zauważyła?

– Oczywiście, że je zauważyłam.

- Kiedy, jeśli można zapytać?
- Kilka dni temu, nie pamiętam dokładnie.
- Te pasy oznaczają, że pani drzewa są zainfekowane zarazą cytrusową i trzeba je usunąć. Że są zarażone od lat.
- Od lat?
- Powinny być usunięte dawno temu – wyjaśnia drugi inspektor.
- O czym panowie mówią?
- Przestaliśmy malować czerwone pasy kilka lat temu. Teraz używamy pomarańczowej taśmy. Ktoś oznaczył pani drzewa jako zarażone i wygląda na to, że później nikt się nimi nie zajął. Nie rozumiem tego, ale rzeczywiście na pani drzewach widać oznaki zarazy.
- Choć nie jest to stara zaraza. Ja też tego nie rozumiem – dodaje drugi mężczyzna.
- Szanowna pani, czy nie otrzymała pani zawiadomienia, zielonego listu z wiadomością, że znaleziono na pani drzewach ślady zarazy, i z numerem telefonu kontaktowego? Nikt nie pokazał pani raportu z oględzin?
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odpowiada doktor Self, myśląc o anonimowym telefonie, który odebrała poprzedniego dnia po wyjściu Marina. – I naprawdę zauważyliście, że moje drzewa są zarażone?
- Podchodzi do drzewa grejpfrutowego. Jest obwieszane owocami i jej zdaniem wygląda na całkiem zdrowe. Pochyla się nad jedną z gałęzi, ponieważ inspektor wskazuje kilka liści z bladymi, ledwie widocznymi zmianami.
- Widzi pani te plamy? – pyta. – Oznaczają, że niedawno doszło do zarażenia. Może zaledwie kilka tygodni temu. Ale to naprawdę bardzo dziwne...
- Ja też tego nie rozumiem – mówi drugi inspektor. – Jeśli wierzyć tym czerwonym pasom, zaraza dawno już powinna być widoczna, owoce

powinny opadać z drzew, powinny też być widoczne pierścienie, które powiedziałyby nam, kiedy doszło do zakażenia. Wie pani, w ciągu roku jest cztery lub pięć nawrotów choroby, jeśli więc policzymy pierścienie...

– Nic mnie nie obchodzą jakieś pierścienie i plamy na liściach! Co właściwie chcecie mi powiedzieć? – wykrzykuje zirytowana doktor Self.

– Rozmyślały tylko na głos. Jeśli te pasy rzeczywiście zostały namalowane kilka lat temu... Nie wiem, co o tym myśleć... – wyjaśnia pierwszy.

– Ja też jestem w kropce – dodaje ten drugi.

– Usiłujecie być zabawni? – wrzeszczy na nich doktor Self. – Bo mnie wcale to nie śmieszy. – Patrzy na blade, wachlarzowate plamy na liściach i wciąż wraca myślami do wczorajszego telefonu. – Dlaczego przyszliście tu dzisiaj?

– Cóż, to też jest dość dziwne – odpowiada inspektor z notebookiem. – Nic nam nie wiadomo o tym, żeby ktoś już sprawdzał pani drzewa, poddał je kwarantannie i przeznaczył do wycięcia. Nie rozumiem. Wszystko powinno być odnotowane w komputerze. Plamy na pani liściach są bardzo nietypowe. Widzi pani?

Podnosi zarażony liść i pokazuje jej dziwny, wachlarzowaty kształt.

– Zwykle tak nie wyglądają. Musimy sprowadzić tu patologa.

– Ale dlaczego przyszliście do mnie właśnie dziś? – pyta ponownie.

– Ktoś poinformował nas telefonicznie, że pani drzewa mogą być zarażone, ale...

– Kto?

– Ktoś, kto pracował w pani ogrodzie.

– To jakiś obłąd. Mam ogrodnika. Nigdy nie wspominał, żeby z moimi drzewami działo się coś złego. To, co mówicie, w ogóle nie ma sensu.

Nic dziwnego, że ludzie są na was wściekli. Sami nie wiecie, co robicie, wchodzicie bez pozwolenia na cudzy teren i nie potraficie nawet ustalić między sobą, które drzewa są chore, a które zdrowe.

– Proszę pani, wiem, jak pani się czuje. Ale zaraza to poważna sprawa. Jeśli jej teraz nie opanujemy, zginą wszystkie drzewa cytrusowe...

– Chcę wiedzieć, kto do was dzwonił.

– Nie wiemy, proszę pani. Wyjaśnimy to i przepraszamy jeszcze raz za wszelkie niedogodności. Chcielibyśmy jeszcze porozmawiać z panią o tej sprawie. Kiedy możemy tu wrócić? Będzie pani w domu po południu? Musimy sprowadzić tutaj patologa.

– Możecie powiedzieć swojemu cholernemu patologowi, swoim przełożonym i komu tam jeszcze, że jeszcze nieraz usłyszą, co o nich myślę.

Wiecie, kim jestem?

– Nie, proszę pani.

– Więc włączcie dziś w południe radio. Program „Porozmawiaj o tym z doktor Self”.

– Bez żartów. To pani? – pyta ze zdumieniem jeden z inspektorów, ten z notebookiem. – Zawsze słucham pani programów.

– Mam też nowy show w telewizji. ABC, jutro o pierwszej trzydzieści. Co czwartek – dodaje doktor Self, spoglądając już nieco łaskawszym okiem na obu mężczyzn.

Zgrzytanie i szelesty za oknem brzmią jak odgłosy kopania. Ev oddycha płytko, gwałtownie, z rękami uniesionymi wysoko nad głową. Od czasu do czasu wstrzymuje oddech i nasłuchuje.

Wydaje jej się, że słyszała te same dźwięki kilka dni temu. Nie pamięta kiedy dokładnie. Słucha zgrzytu łopaty wbijanej w ziemię za domem. Zmienia pozycję na materacu, kostki i nadgarstki bolą ją tak, jakby ktoś

walił w nie kijem, pieką ją ramiona. Jest jej gorąco, chce jej się pić. Z trudem zbiera myśli, prawdopodobnie ma gorączkę. Całe jej ciało pokryte jest ranami, które palą żywym ogniem, w niektóre wdało się zapewne zakażenie. Nie może opuścić rąk; żeby to zrobić, musi wstać.

Umrze. Jeśli on nie zabije jej wcześniej i tak umrze. W domu panuje cisza, a Ev wie już, że została sama.

Nie wie, co się stało z jej siostrą i chłopcami, ale nie ma ich tutaj.

Teraz wie to już na pewno.

– Wody – próbuje wołać.

Słowa wzbierają w jej gardle i znikają w powietrzu niczym bańki mydlane. Mówi bańkami. Wypływają z jej ust i bezgłośnie znikają w dusznym powietrzu.

– Proszę, och, proszę – powtarza, a gdy jej słowa trafiają w próżnię, zaczyna płakać.

Łzy kapią na zniszczoną zieloną szatę na jej kolanach. Szłocha, jakby coś się wydarzyło, coś ostatecznego, jakby ziścił się los, którego nigdy nawet sobie nie wyobrażała. Wpatruje się w ciemne plamy, ślady jej łez na zniszczonej zielonej szacie, wspaniałej szacie, którą nosiła kiedyś podczas nabożeństw. Pod szatą leży różowa tenisówka, czuje ją na udzie, musi jednak trzymać ramiona w górze, nie może wziąć bucika do ręki ani lepiej ukryć, co jeszcze pogłębia jej smutek.

Nasłuchuje odgłosów kopania za oknem, a do jej nozdrzy dociera smród.

Im dłużej trwa kopanie, tym większy smród wypełnia jej pokój straszliwy, drażniący, wstrętny odór czegoś martwego.

Zabierz mnie do domu, modli się do Boga. Proszę, zabierz mnie do domu. Pomóż mi.

Udaje jej się podnieść na kolana i uklęknąć. Odgłosy kopania cichną na moment, potem znów je słyszy, potem znów cichną. Ev kołysze się, omal

nie upada, zmusza się jednak do powstania, walczy z własną słabością, pada i próbuje ponownie, popłakując cicho, wreszcie staje na nogach, ogarnięta straszliwym bólem, który odbiera jej na moment wzrok. Bierze głęboki oddech, a ciemność ustępuje sprzed jej oczu.

Pomóż mi, modli się.

Krępujące ją sznury zrobione są z cienkiego białego nylonu. Jeden z nich został przywiązany do drucianego wieszaka oplecionego wokół jej czerwonych, spuchniętych nadgarstków. Kiedy Ev stoi, sznur jest luźny. Kiedy siada, musi trzymać ręce nad głową. Nie może już leżeć. Jakby mało mu było jej cierpień, skrócił jej sznur, zmusił, by jak najdłużej stała, oparta o drewnianą ścianę, a gdy brakuje jej już sił, by trzymała ręce uniesione nad głową. Jakby mało mu było jej cierpień, kazał jej obciąć włosy, a potem skrócił sznur.

Ev patrzy na krokiew i przerzucone nad nią sznury, jeden przywiązany do wieszaka oplatającego jej nadgarstki, drugi do wieszaka wokół jej kostek.

Pomóż mi, Boże, proszę.

Odgłos kopania ustaje, a straszliwy smród wypełnia pokój całkowicie, gryzie ją w oczy. Ev wie już, co to za fetor.

Tamtych już nie ma. Została tylko ona.

Patrzy na sznur przywiązany do wieszaka na jej przegubach. Kiedy stoi, sznur jest wystarczająco luźny, by mogła opleść go wokół szyi. Czuje smród i już wie, co to jest. Modli się, a potem oplata sznur wokół szyi i pozwala, by ugięły się pod nią kolana, by jej udręczone ciało osunęło się w nicość.

## Rozdział 43

**P**owietrze jest gęste i ciężkie jak woda, uderza z wielką siłą, lecz vrod nie chwieje się ani nie ociąga, gdy Lucy zaciska uda na skórzanym siedzeniu i przyspiesza do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Trzyma nisko głowę i łokcie przy ciele, gdy testuje na torze swój najnowszy nabytek.

Poranek jest słoneczny i niezwykle gorący, na niebie nie widać najmniejszego śladu niedawnych burz. Zmniejsza obroty, zadowolona, że harley z wielkimi krzywkami, tłokami i tylną zębatką potrafi w razie potrzeby pożerać przestrzeń, nie chce jednak zbyt ryzykować. Już przy prędkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę nie widzi dobrze uciekającej spod kół nawierzchni, a to może być groźne. Tor jest idealnie gładki, jednak na drodze nietrudno o jakieś nierówności lub kamienie, które przy takich prędkościach mogą się okazać śmiertelnie niebezpieczne.

– Jak sobie radzi? – rozbrzmiewa w słuchawkach jej kasku głos Marina.

– Jak trzeba – odpowiada, zmniejszając prędkość do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, i naciska lekko na kierownicę, omijając slalomem pomarańczowe pachołki.

– Ale cichutki. Prawie w ogóle go tu nie słychać – mówi Marino z wieży kontrolnej.



Bo ma być cichutki, myśli Lucy. Vrod to harley, który jeździ cicho, motocykl wyścigowy, który wygląda jak zwykły, drogowy i nie ściąga na siebie uwagi. Lucy rozsiada się wygodniej, zmniejsza prędkość do dziewięćdziesiątki i kciukiem wciska guzik, który uruchamia funkcję podobną do funkcji tempomatu stosowanego w samochodach. Odchyła się do tyłu i sięga po pistolet glock schowany w kaburze na udzie.

– Nikogo w zasięgu strzału – mówi Marino.

– Przyjęłam.

– W porządku. Daj im popalić.

Marino obserwuje z wieży kontrolnej, jak Lucy wchodzi w ostry zakręt po północnej stronie półtorakilometrowego toru.

Omiata spojrzeniem wysoki nasyp, błękitne niebo, zieloną, trawiastą strzelnicę, ciągnącą się za nią drogę, wreszcie hangar i pas startowy odległe o jakieś osiemset metrów. Upewnia się, że w okolicy nie ma żadnego samolotu ani nikogo z członków personelu. Kiedy tor jest zajęty, nikomu nie wolno przebywać w promieniu półtora kilometra. Nawet ruch lotniczy zostaje wstrzymany.

Przygląda się Lucy i ogarniają go mieszane uczucia. Imponują mu jej umiejętności i odwaga. Kochają i żywi do niej urazę, czasami myśli, że wolałby jej w ogóle nie znać. W pewnym sensie przypomina mu swoją ciotkę, sprawia, że Marino czuje się nieodpowiedni dla kobiet, które bardzo mu się podobają, lecz do których nie ma odwagi się zbliżyć. Patrzy, jak Lucy pędzi wokół toru, manewrując swym nowym motocyklem z taką wprawą, jakby była to część jej ciała, i myśli o Kay Scarpetcie, która jest właśnie w drodze na lotnisko, w drodze do Bostonu.

– Za pięć sekund – rzuca do mikrofonu.

Czarna sylwetka Lucy mknie na smukłym, lśniącym motocyklu z niezwykłą lekkością, niemal bezgłośnie. Marino widzi, jak jej prawa ręka

podnosi broń, łokieć przywiera mocno do boku, by pęd powietrza nie wyrwał pistoletu z dłoni. Patrzy, jak cyfrowy zegar na konsoli odlicza sekundy, a gdy dochodzi do pięciu, wciska guzik Strefy Drugiej. Po wschodniej stronie toru podnoszą się nagle małe tarcze, które padają niemal natychmiast z głośnym hukiem, gdy uderzają w nie pociski z glocka. Lucy nie chybia. Gdy się na nią patrzy, wydaje się to dziecinnie łatwe.

– Następny cel na zakręcie bazowym. – Marino słyszy jej głos w słuchawkach.

– Z wiatrem?

– Zgadza się.

Jego buty stukają głośno o podłogę, gdy idzie podekscytowany do jej pokoju. Słyszy swoje podniecenie w odgłosie własnych kroków, w ręce trzyma strzelbę. Niesie też pudełko po butach, w którym trzyma pistolet natryskowy, czerwoną farbę i szablon.

Jest przygotowany.

– Teraz powiesz, że żałujesz – mówi do otwartych drzwi na końcu korytarza. – Teraz dostaniesz, na co zasługujesz – dodaje, maszerując szybko w jej stronę.

Wchodzi w smród, gęsty niczym ściana. Powietrze w pokoju się nie porusza, odór śmierci nie ma gdzie uciec. Krab staje jak wryty, jest zszokowany.

To nie mogło się stać.

Jak Bóg mógł na to pozwolić!

Słyszy Boga w holu, widzi, jak podpływa do niego i kręci głową.

– Przygotowałem się! – krzyczy.

Bóg patrzy na nią, na tę, która się powiesiła i uniknęła kary, patrzy i kręci głową. To wina Kraba, jest głupi, nie przewidział tego, powinien był dopilnować, aby coś takiego się nie zdarzyło.

Nie powiedziała, że żałuje, a przecież wszystkie to w końcu mówią, kiedy wkłada im lufę do ust; bełkocą niewyraźnie, próbując wykrztusić:

„Żałuję. Proszę. Żałuję”.

Bóg znika z holu, zostawia go samego z jego błędem i różową dziecięcą tenisówką na poplamionym materacu, a Krab zaczyna drżeć, wstrząsany wściekłością tak wielką, że sam nie wie, co z nią zrobić.

Krzyczy jak zwierzę, podchodząc po brudnej podłodze, lepkiej od jej kału i moczu, i z całych sił kopie martwe, odrażające, nagie ciało, które podskakuje przy każdym kopnięciu. Kołysze się na sznurze obwiązany wokół szyi, spuchnięty język wystaje z ust, jakby z niego szydziła, twarz ma sino-czerwoną, jakby na niego wrzeszczała. Spoczywa na kolanach, z głową przechyloną do przodu, jakby się modliła, splecione razem ręce są uniesione nad głową, jakby cieszyła się ze zwycięstwa.

Tak! Tak! Kołysze się na sznurze, zwycięska i uradowana.

– Zamknij się! – wrzeszczy Krab.

Kopie ją swymi wielkimi butami, kopie bez ustanku, aż omdlewają mu nogi.

Potem wali ją kolbą strzelby, wali z całych sił, aż omdlewają mu ręce.

## Rozdział 44

**M**arino czeka, by uruchomić serię tarcz w kształcie ludzkich sylwetek, które wyskoczą zza krzaków, płotu i drzewa na zakręcie bazowym, albo Zakręcie Truposza, jak nazywa go Lucy.

Sprawdza, jak zachowuje się pomarańczowy rękaw lotniskowy; wiatr nadal wieje ze wschodu, z prędkością około pięciu węzłów. Obserwuje zza szyby, jak Lucy chowa do kabury glocka i sięga do wielkiej skórzanej sakwy, podczas gdy motocykl sunie po zakręcie z jednostajną prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, by za moment wyjść na prostą.

Jednym płynnym ruchem Lucy wyjmuje karabin Baretta Cx4 Storm, kaliber dziewięć.

– Za pięć sekund – mówi Marino.

Pokryty matowym czarnym polimerem storm, wykorzystujący ten sam mechanizm, którego używa się w karabinach uzi, jest prawdziwą miłością Lucy. Waży mniej niż trzy kilogramy, ma świetnie wyprofilowaną kolbę, dzięki czemu dobrze leży w dłoni, można w nim zmieniać kierunek wyrzucania łusek na prawo lub lewo. To naprawdę fantastyczna broń, a kiedy Marino uruchamia tarcze w Strefie Trzeciej, Lucy zaczyna kanonadę, a wylatujące za nią łuski lśnią jasno w blasku słońca.

Zabija wszystko na Zakręcie Truposza, zabija więcej niż raz. Marino naliczył aż piętnaście wystrzałów. Wszystkie tarcze leżą na ziemi, a Lucy ma jeszcze jeden strzał.

Marino myśli o kobiecie o imieniu Stevie. Myśli o tym, że Lucy ma się z nią spotkać jeszcze tego wieczora w Deuce. Numer telefonu zaczynający się od 617, który Stevie podała Lucy, należy do pewnego faceta z Concord w Massachusetts, niejakiego Douga. Doug wyjaśnił, że kilka dni temu był w barze w Ptown i zgubił komórkę. Mówił, że nie zablokował jeszcze numeru, bo jakaś kobieta znalazła telefon, zadzwoniła na jeden z numerów w jego książce i rozmawiała z jego przyjacielem, który dał jej potem numer Douga. Zadzwoniła, powiedziała, że znalazła aparat, i obiecała, że go odeśle.

Do tej pory tego nie zrobiła.

To raczej śliska sprawa, myśli Marino. Jeśli znajdziesz lub ukradniesz telefon komórkowy i obiecasz, że odeślesz go właścicielowi, może się zdarzyć, że właściciel nie zablokuje numeru, a wtedy masz szansę dzwonić na jego koszt, dopóki tamten ktoś nie zmądrzeje. Marino nie rozumie jednak, dlaczego Stevie, kimkolwiek jest, zadawałaby sobie tyle trudu. Jeśli nie chciała mieć numeru w sieci takiej jak Verizon czy Sprint, to dlaczego nie kupiła sobie po prostu telefonu na kartę?

Kimkolwiek jest ta Stevie, nie podoba się detektywowi. Lucy zbyt często żyje ostatnio na krawędzi. Zmieniła się. Stała się nieuważna i lekkomyślna, czasami Marino się zastanawia, czy nie próbuje zrobić sobie krzywdy.

– Z tyłu wyjechał właśnie drugi samochód – mówi do niej przez radio. – Już po tobie.

– Przeładowałam.

– Niemożliwe. – Nie wierzy jej.

Jakimś cudem zdołała wyrzucić pusty magazynek i załadować nowy, i to tak, że Marino niczego nie zauważył.

Lucy zatrzymuje motocykl pod wieżą kontrolną. Marino odkłada słuchawki na konsolę i schodzi po drewnianych schodach na ziemię, podczas gdy Lucy zdejmuje kask i rękawicę, a potem rozsuwa kurtkę.

– Jak ty to zrobiłaś? – pyta.

– Oszukiwałam.

– Wiedziałem.

Mruży oczy i zastanawia się, gdzie zostawił okulary przeciwsłoneczne. Ostatnio stale gubi różne rzeczy.

– Miałam tu dodatkowy magazynek – mówi Lucy, klepiąc się po kieszeni.

– Aha. W rzeczywistej walce pewnie byś go nie miała. Więc masz rację, oszukiwałaś.

– To wygrani ustalają reguły.

– A co myślisz o zrodach, może byśmy przerobili je wszystkie na zrody? – pyta, choć wie, co Lucy o tym myśli, łudzi się nadzieją, że może jednak zmieniła zdanie.

Nie ma sensu powiększać objętości silnika aż o trzynaście procent, z 1150 cm do 1318 cm, i zwiększać i tak już wyśrubowaną moc ze stu dwudziestu do stu siedemdziesięciu koni mechanicznych, by motocykl przyspieszał od zera do dwustu kilometrów na godzinę w 9,4 sekundy.

Im lżejszy motocykl, tym lepsze jego osiągi, wiązałoby się to jednak z wymianą skórzanej kanapy i tylnego błotnika na elementy wykonane z włókna szklanego oraz z usunięciem sakw, a tego nie mogą zrobić. Ma nadzieję, że Lucy nie chce zmasakrować ich nowej floty motorowej.

Ma nadzieję, że choć raz wystarczy jej to, co jest.

– To niepraktyczne i niepotrzebne – odpowiada Lucy, wprawiając Marino w zdumienie. – Silnik zroda wytrzyma tylko piętnaście tysięcy kilometrów, więc wyobraź sobie tylko, jakie byśmy mieli kłopoty z serwisowaniem. Poza tym, jeśli zmienimy ich wygląd, będą wzbudzać zainteresowanie. Nie wspominając już o tym, że zaczną strasznie hałasować.

– A to co – burczy gniewnie Marino, kiedy dzwoni jego telefon komórkowy. – Tak? – rzuca do słuchawki.

Słucha przez chwilę, potem kończy rozmowę, mruczy pod nosem jakieś przekleństwo, by w końcu zwrócić się do Lucy:

– Będą teraz badać to kombi. Możesz zacząć beze mnie w domu tej Simister?

– Nie martw się. Poproszę Lex, żeby mi pomogła.

Lucy sięga po krótkofalówkę przypiętą do pasa i włącza nadawanie.

– Zero-zero-jeden do stajni.

– Co mogę dla ciebie zrobić, zero-zero-jeden?

– Przygotuj mojego konia. Zabieram go w teren.

– Trzeba mu coś dołożyć pod siodło?

– Nie, jest wystarczająco dobry.

– Miło mi to słyszeć. Zaraz tam będę.

– Pojedziemy do South Beach około dziewiątej – mówi Lucy do Marina.

– Tam się spotkamy.

– Może powinniśmy jednak pojechać razem? – proponuje detektyw, przyglądając jej się i próbując odczytać jej myśli.

Nigdy mu się to nie udaje, nie z Lucy. Gdyby była jeszcze trochę bardziej tajemnicza i skomplikowana, niż jest, potrzebowałby tłumacza.

– Mogłaby nas zobaczyć w tym samym samochodzie, nie możemy ryzykować – odpowiada Lucy, ściągając kurtkę i narzekając, że rękawy są

sztywne jak chińskie kajdanki.

– Może to jakaś sekta – zastanawia się głośno Marino. – Czarownice, które na tych swoich zjazdach malują sobie czerwone dłonie. Gdzieś w tamtej okolicy jest Salem, a tam przecież trafiają w końcu wszystkie czarownice.

– Czarownice spotykają się na sabatach, a nie na zjazdach. – Lucy trąca go w ramię.

– Może ta kobieta jest jedną z nich – mówi Marino. – Może twoja nowa przyjaciółka to wiedźma, która kradnie komórki.

– Może po prostu pojedę i ją zapytam – odpowiada Lucy.

– Powinnaś bardziej uważać przy zawieraniu znajomości. To twoja jedyna wada, nie umiesz oceniać ludzi, z którymi się zadajesz. Wolałbym, żebyś była ostrożniejsza.

– Mamy chyba ten sam problem. Twoje sądy na temat innych ludzi są równie trafne jak moje. Ciocia Kay mówi, że Reba jest całkiem miłą, i że w domu pani Simister zachowałeś się wobec niej jak cham.

– Nie powinna tak mówić. W ogóle nie powinna się tym interesować.

– Powiedziała nie tylko to. Mówiła też, że Reba jest bystra. Niedoświadczona, ale bystra. Wcale nie głupia jak noga stołowa czy jak tam o niej mówiłeś.

– Gówny prawda.

– Zdaje się, że chodziłeś z nią przez jakiś czas, zgadza się? – pyta Lucy.

– Kto ci to powiedział? – wybucha Marino.

– Ty, właśnie teraz.



## Rozdział 45

**L**ucy ma wielkiego gruczolaka. Na jej przysadce mózgowej pojawił się guz.

Normalna przysadka ma wielkość ziarnka grochu. Przesyła sygnały do tarczycy, nadnerczy i jajników, kierując procesem wytwarzania hormonów, które wpływają w znaczący sposób na metabolizm, ciśnienie krwi, rozmnażanie i inne żywotne funkcje organizmu. Guz Lucy ma około dwunastu milimetrów średnicy. Jest łagodny, ale nie chce sam zniknąć. Objawy to bóle głowy i nadprodukcja prolaktyny, która wywołuje objawy podobne do ciąży. Na razie Lucy zażywa środki mające obniżyć poziom prolaktyny i zmniejszyć rozmiary guza. Jak dotąd rezultaty nie są zadowalające. Lucy nienawidzi lekarstw i nie zawsze pamięta, by je zażywać. Być może w końcu będzie musiała poddać się operacji.

Doktor Scarpetta parkuje przy lotnisku w Fort Lauderdale, na którym Lucy trzyma swój odrzutowiec. Wysiada i wchodzi do hangaru, gdzie czeka już na nią pilot. Wciąż myśli o Bentonie i zastanawia się, czy kiedykolwiek mu wybaczy. Czuje ogromny żal i złość, od której aż trzęsą jej się ręce.

– W Bostonie pada śnieg – mówi Bruce, główny pilot. – Powinniśmy być na miejscu za jakieś dwie i pół godziny. Wiatr nam sprzyja.

– Wiem, że nie chciała pani nic jeść, ale jest dobry sernik – dodaje drugi pilot. – Ma pani jakiś większy bagaż?

– Nie – odpowiada doktor Scarpetta.

Piloci Lucy nie noszą mundurów. To specjalnie wyszkoleni agenci: nie palą, nie piją i nie zażywają narkotyków, są bardzo sprawni i znają różne sztuki walki. Po chwili odrzutowiec odrywa się od pasa startowego, zostawiając pod sobą Citation X, który wygląda z góry jak wielki biały ptak z wystającym brzuchem. Ten widok przypomina jej Lucy, to co się z nią stało.

Kay rozsiada się wygodnie na dużym, skórzanym fotelu, a gdy piloci zajmują się swoimi sprawami, dzwoni do Bentona.

– Będę koło pierwszej, pierwszej piętnaście – zawiadamia go.

– Proszę, spróbuj zrozumieć, Kay. Wiem, co czujesz.

– Porozmawiamy o tym na miejscu.

– Nigdy nie zostawiamy spraw w takim stanie – mówi Benton.

To ich stara zasada, niepisany układ. Nigdy nie pozwól, by dzień skończył się gniewem, nigdy nie wsiadaj do samochodu lub samolotu ani nie wychodź z domu, kiedy jesteś zły. Oboje dobrze wiedzą, jak szybko i niespodziewanie może spaść na człowieka tragedia.

– Bezpiecznego lotu – żegna ją Benton. – Kocham cię.

Lex i Reba chodzą wokół domu, jakby czegoś szukały. Przestają szukać, kiedy przed dom Daggie Simister zajeżdża Lucy.

Gasi silnik vroda, zdejmuje czarny kask i rozpina czarną, skórzaną kurtkę.

– Wyglądasz jak Lord Vader – oświadcza Lex radośnie.

Lucy nie zna równie pogodnej osoby. Lex to prawdziwy skarb, akademia nie mogła więc pozwolić jej odejść po zakończeniu studiów. Jest bystra i uważna i wie, kiedy usunąć się w cień.

– Czego tu szukamy? – pyta Lucy, omiatając spojrzeniem ogród.

– Przyglądamy się drzewom owocowym – wyjaśnia Lex. – Nie chcę się bawić w detektywa, ale kiedy byliśmy w domu, z którego zniknęli tamci ludzie... – wskazuje na jasnopomarańczowy budynek po drugiej stronie kanału – doktor Scarpetta mówiła coś o inspektorze, który oglądał drzewa w tej okolicy. Stąd tego nie widać, ale na niektórych drzewach w tamtym ogrodzie też są takie czerwone pasy.

Ponownie wskazuje na dom po drugiej stronie kanału.

– Jasne, zaraza bardzo szybko się roznosi. Jeśli te drzewa są zainfekowane, to w całej okolicy musi być ich sporo. Jestem Reba Wagner – zwraca się do Lucy druga kobieta. – Pewnie słyszałaś coś o mnie od Pete’a Marino.

Lucy patrzy jej w oczy.

– A co takiego mógł mi powiedzieć o tobie Pete Marino?

– Że jestem upośledzona umysłowo.

– Połamałby sobie język na takich trudnych słowach. Powiedziałyby raczej, że jesteś kretynką.

– No właśnie.

– Chodźmy do środka – mówi Lucy, zmierzając do drzwi.

– Sprawdźmy, co przeoczyłaś za pierwszym razem – zwraca się do Reby – bo jako osoba upośledzona umysłowo na pewno coś przeoczyłaś.

– Ona żartuje – mówi Lex do Reby, podnosząc walizkę ze sprzętem, którą zostawiła przy wejściu. – Zanim przejdziemy do zwykłego badania, chciałabym sprawdzić, czy nikt nie wchodził do domu, odkąd byliście tam ostatnio.

– Dom został zabezpieczony, dopilnowałam tego osobiście. Wszystkie okna i drzwi.

– Jakiś system alarmowy?

– Aż trudno uwierzyć, ilu ludzi w tej okolicy nie ma żadnego alarmu.

Lucy dostrzega naklejki firmy H&W Alarm Company na oknach i komentuje:

– Chyba jednak nie czuła się bezpiecznie. Pewnie nie mogła sobie pozwolić na prawdziwy system, więc próbowała chociaż odstraszyć złych ludzi.

– Problem w tym, że źli ludzie znają tę sztuczkę – odpowiada Reba.

– Naklejki i znaczki w rabatkach. Przeciętny włamywacz spojrzałby tylko raz na ten dom i wiedziałby od razu, że prawdopodobnie nie ma tu żadnego systemu alarmowego. Że osoba, która w nim mieszka, nie może sobie na to pozwolić albo jest za stara, żeby się tym przejmować.

– Wielu starych ludzi się tym nie przejmuje, to prawda. – Lucy kiwa głową. – Prócz tego często zapominają swoje kody. Mówię poważnie.

Reba otwiera drzwi, zza których wypływa stęchłe, nieprzyjemne powietrze, jakby z wnętrza domu dawno już uciekło wszelkie życie. Sięga za załom ściany i włącza światło.

– Ktoś już coś tutaj robił? – pyta Lex, patrząc na terakotową podłogę.

– Nie, tylko w sypialni.

– W porządku, postójmy tu przez chwilę i zastanówmy się – mówi Lucy. – Wiemy dwie rzeczy. Zabójca dostał się do domu bez wyważania drzwi. Po tym, jak ją zabił, musiał jakoś wyjść. Też przez drzwi? – pyta Rebę.

– Tak myślę. We wszystkich oknach są żaluzje, zresztą po co miałyby się trudzić wychodzeniem przez okno.

– Powinnyśmy więc zacząć od sprawdzenia podłogi tutaj, przy wejściu, potem będziemy się kierować do sypialni, gdzie zabił – decyduje Lucy. – Potem zrobimy to samo przy wszystkich pozostałych drzwiach.

– Mamy więc te drzwi, drzwi kuchenne, rozsuwane między sypialnią i werandą i rozsuwane od werandy – wylicza Reba. – Zarówno drzwi z ogrodu na werandę, jak i te między werandą i sypialnią były otwarte, kiedy przyszedł tu Pete Marino, przynajmniej tak twierdził.

Wchodzi do holu, Lucy i Lex za nią. Zamykają drzwi.

– Wiemy coś więcej o tym inspektorze, którego doktor Scarpetta i ty, Rebo, zauważyliście, w czasie gdy zginęła ta kobieta? – pyta Lucy. Gdy jest w pracy, nigdy nie mówi o ciotce inaczej niż doktor Scarpetta.

– Dowiedziałam się kilku rzeczy. Po pierwsze, inspektorzy zawsze chodzą parami. Ten mężczyzna był sam.

– Skąd wiesz, czy jego partner nie pracował gdzieś dalej? Może pracował w ogrodzie przed domem?

– Może tak, może nie. Wiemy tylko tyle, że widzieliśmy jedną osobę.

W dodatku nic nie wiadomo o tym, by jakikolwiek inspektor miał tu dzisiaj przyjść. Co więcej, używał specjalnego przyrządu do zrywania owoców, wiesz, to taka długa żerdź z chwytakiem. Powiedziano nam, że inspektorzy już tego nie noszą.

– A jakie to ma znaczenie?

– Ten człowiek rozłożył wysięgnik i schował go w dużej czarnej torbie.

– Ciekawe, co jeszcze było w tej torbie – rozmyśla głośno Lex.

– Na przykład strzelba – podpowiada Reba.

– Musimy być otwarte na różne interpretacje – wtrąca Lucy.

– Moim zdaniem, ten ktoś sobie z nas zakpił – mówi Reba. – Stoję na widoku po drugiej stronie rzeki. Policjantka. Jestem z doktor Scarpetta, wiadomo, że czegoś szukamy, badamy sprawę, a on przygląda nam się spokojnie i udaje, że sprawdza drzewa.

– To możliwe, ale nie pewne – odpowiada Lucy. – Musimy być otwarte na różne interpretacje – powtarza.

Lex przykuca i otwiera swoją walizkę. Zamykają wszystkie żaluzje w mieszkaniu, wkładają ubrania ochronne, potem Lucy ustawia statyw i mocuje aparat, podczas gdy Lex miesza luminol i wlewa go do czarnej butelki ze spryskiwaczem. Fotografują całą podłogę przy frontowych drzwiach, potem gaszą światło i już za pierwszym razem trafiają w dziesiątkę.

– A niech mnie... – mruczy Reba w ciemności.

Na podłodze rysują się wyraźnie świetliste, niebieskozielone ślady butów.

– Musiał mieć mnóstwo krwi na butach, skoro zostawił taki wyraźny ślad po przejściu przez cały dom – mówi Reba.

– Tak, tylko że coś tu nie pasuje – odpowiada Lucy. – Te ślady zmierzają w złym kierunku. Wchodzą do środka, a nie wychodzą.

## Rozdział 46

**W**ygląda posępnie, lecz naprawdę fantastycznie w długim, czarnym zamszowym płaszczu. Jego rude włosy wysuwają się nieśmiało spod czapki baseballowej Red Sox. Zawsze gdy doktor Scarpetta spotyka Bentona po dłuższym rozstaniu, odkrywa na nowo, jaki jest przystojny i elegancki w dobrym stylu. Nie chce się na niego gniewać. Nie może tego znieść.

– Jak zawsze miło nam się z panią leciało. Proszę dać znać, kiedy dokładnie będzie pani wracała – żegna się z nią pilot, Bruce, ściskając serdecznie jej dłoń. – Gdyby pani czegoś potrzebowała, wystarczy zadzwonić. Ma pani wszystkie moje numery, prawda?

– Dzięki, Bruce – odpowiada doktor Scarpetta.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – zwraca się Bruce do Bentona. – Wiatr trochę pokrzyżował nam szyki.

Benton nie jest ani trochę uprzejmy. Nie odpowiada. Patrzy w milczeniu, jak Bruce idzie do samolotu.

– Niech no zgadnę – zwraca się do Kay. – Kolejny atleta, który postanowił pobawić się w policjantów i złodziei. To jedyna rzecz, jakiej nie lubię w lataniu jej odrzutowcem. Ci umięśnieni, bezmózdzcy piloci.

– Czuję się z nimi bardzo bezpieczna.

– Ja nie.

Doktor Scarpetta zapina wełniany płaszcz. Razem schodzą z płyty lotniska.

– Mam nadzieję, że nie próbował cię zagadywać, nie przeszkadzał ci.

Wygląda mi na takiego typu – warczy Benton.

– Mnie też miło cię znów widzieć, Bentonie – odpowiada Kay, wyprzedzając go o krok.

– Coś mi się zdaje, że wcale ci nie jest miło.

Przyspiesza kroku, by otworzyć przed nią szklane drzwi; wiatr, który wpada do środka, jest zimny i niesie ze sobą płatki śniegu. Niebo zakrywają ciężkie, szare chmury, jest tak ciemno, że na parkingu świecą się latarnie.

– Sprowadza tych facetów, samych przystojniaków, którzy nie wychodzą z siłowni, a im się wydaje, że są bohaterami – ciągnie Benton.

– Tak, wiem już, co o nich myślisz. Chcesz rozpocząć kłótnię, zanim ja to zrobię?

– To ważne, żebyś widziała pewne rzeczy, a nie zakładała, że wszyscy po prostu są dla ciebie mili. Martwi mnie, że nie odbierasz wyraźnych sygnałów.

– To absurdalne – odpowiada Kay głosem, w którym pobrzmiwiają nutki gniewu. – Wydaje mi się raczej, że odbieram zbyt wiele sygnałów.

Choć rzeczywiście, w zeszłym roku umknęło mi kilka bardzo ważnych.

Chcesz kłótni, to ją masz.

Idą przez zaśnieżony parking, białe płatki przylepiają się do ich twarzy i ubrań, wszystkie dźwięki są przytłumione. Zwykle trzymają się za ręce. Doktor Scarpetta zastanawia się, jak on mógł zrobić to, co zrobił.

Łzawią jej oczy. Może to wiatr.

– Martwi mnie ta sprawa – oświadcza nagle Benton, otwierając swoje porsche, tym razem jest to duży suv z napędem na cztery koła.



Benton lubi samochody. On i Lucy lubią siłę. Różni ich to, że Benton wie, że jest silny. Lucy tego nie czuje.

– Co masz na myśli? – pyta Kay, przypuszczając, że wciąż mówi o sygnałach, których ona rzekomo nie odbiera.

– Mówię o zabójstwie tej kobiety. NIBIN znalazł pocisk odpowiadający temu, który miała w odbyciu. Pochodził z broni użytej podczas morderstwa w Hollywood dwa lata temu. Napad na nocny sklep. Facet był w masce, zabił chłopaka w sklepie, a wtedy kierownik zabił jego. Coś ci to przypomina?

Mówiąc, spogląda na nią od czasu do czasu. Wyjeżdżają właśnie z parkingu.

– Słyszałam o tym – odpowiada Kay. – Siedemnastolatek, uzbrojony tylko w mop. Ktoś wie, jak to się stało, że ta broń wciąż jest w użyciu? pyta, nie okazując narastającej urazy.

– Jeszcze nie.

– Ostatnio dużo ludzi ginie od strzałów – stwierdza chłodnym, rzeczowym tonem.

Skoro on chce tak pogrywać, to i ona nie zostanie dłużna.

– Ciekawe, co się za tym wszystkim kryje – dodaje obojętnym głosem. – Strzelba użyta w sprawie Johnny’ego Swifta znikła. Teraz znów ktoś zabija ze strzelby Daggie Simister.

Musi mu opowiedzieć o Daggie Simister. Benton nie zna jeszcze tej sprawy.

– Strzelba, która powinna zostać zniszczona lub leżeć w policyjnym magazynie, znów zabija – kontynuuje. – Potem mamy Biblię w domu tych zaginionych.

– Jaką Biblię i jakich zaginionych?

Musi mu to wyjaśnić, powiedzieć o anonimowym telefonie od człowieka nazywającego siebie Krabem. Musi opowiedzieć Bentonowi o starej Biblii, którą znalazła w domu zaginionych kobiet, o tym, że Biblia była otwarta na Księdze Mądrości, że ktoś zaznaczył w niej ten sam wers, który Krab wyrecytował Pete'owi Marino przez telefon.

*Więc jak dzieciom nierozumnym zesłałeś im karę na ośmieszenie.*

– Zaznaczone krzyżykami, ołówkiem – mówi. – Biblia została wydana w tysiąc siedemset pięćdziesiątym szóstym roku.

– To niezwykle, że miały aż tak stary egzemplarz.

– W domu nie było żadnych innych starych księzek. Tak twierdzi detektyw Wagner. Nie znasz jej. Ludzie, którzy pracowali z tymi kobietami w kościele, mówili, że nie widzieli wcześniej u nich w domu tej Biblii.

– Sprawdziłaś odciski i DNA?

– Żadnych odcisków. Żadnego DNA.

– Jakież hipotezy dotyczące ich zniknięcia? – pyta, jakby spotkał się z nią tylko po to, by porozmawiać o pracy.

– Nic dobrego – odpowiada Kay, coraz bardziej urażona i rozżalona.

Przecież on nie wie prawie nic o tym, jak wyglądało ostatnio jej życie.

– Jakież dowody przestępstwa?

– Mamy jeszcze dużo pracy w laboratorium. Znalazłam odciski uszu na przesuwanych drzwiach do ogrodu w sypialni. Ktoś przykładał ucho do szkła.

– Może któryś z chłopaków.

– Na pewno nie – odpowiada Kay, coraz bardziej rozżłoszczona. Mamy ich DNA z ubrań, szczoteczek do zębów i buteleczki z lekarstwem.

– Prawdę mówiąc, nie uważam odcisków uszu za dobry materiał dowodowy. Już kilka razy skazano ludzi niesłusznie właśnie na podstawie

odcisków uszu.

– To tylko narzędzie, podobnie jak wykrywacz kłamstw. – Doktor Scarpetta niemal warczy.

– Nie kłóć się z tobą, Kay.

– Zbieramy DNA z odcisków uszu tak samo, jak zbieramy je z odcisków palców – wyjaśnia. – Sprawdziliśmy je już, nie należy do nikogo, kto mieszkał w tym domu. Nie znaleźliśmy nic w bazie danych FBI, CODIS. Poprosiłam naszych przyjaciół w DNAPrint Genomics w Sarasocie, żeby odczytali płęć i rasę. Niestety, to potrwa kilka dni. Wcale nie obchodzi mnie dopasowywanie odcisku ucha do ucha jakiegoś człowieka.

Benton milczy.

– Masz w domu coś do jedzenia? I potrzebuję drinka. I chcę, żebyśmy porozmawiali o czymś poza pracą. Nie po to przyleciałam tu w śnieżycy, żeby gadać wyłącznie o pracy.

– Jeszcze nie ma śnieżycy – odpowiada Benton ponuro. – Ale będzie.

Kay patrzy w milczeniu za okno.

– Mam mnóstwo jedzenia. I wszystko, czego tylko chciałabyś się napić – mówi cicho Benton.

Mówi coś jeszcze. Nie jest pewna, czy dobrze go usłyszała. Wydaje jej się, że to niemożliwe.

– Słucham? Co ty powiedziałaś? – pyta zdumiona.

– Jeśli chcesz odejść, wolałbym, żebyś powiedziała mi to teraz.

– Jeśli chcę odejść? – Patrzy nań z niedowierzaniem. – Wystarczy tylko tyle? Jedna poważna kłótnia to dostateczny powód do rozmowy o rozstaniu?

– Daję ci tylko taką możliwość.

– Nie musisz mi niczego dawać.

– Nie chodziło mi o to, że potrzebujesz mojego pozwolenia. Po prostu nie wiem, jak to ma dalej funkcjonować, jeśli ty mi już nie ufasz.

– Może masz rację. – Kay z trudem powstrzymuje łzy, odwraca od niego twarz i patrzy na śnieg.

– Więc chcesz powiedzieć, że już mi nie ufasz.

– A gdybyś ty zrobił mi coś takiego?

– Na pewno czułbym się dotknięty – przyznaje Benton. – Ale próbowałbym zrozumieć. Lucy ma prawo do zachowania prywatności. Wiem o tym guzie tylko dlatego, że powiedziała mi, że ma jakieś problemy, i spytała, czy mógłbym załatwić jej prześwietlenie w MacLean, zachowując to w absolutnej tajemnicy. Nie chciała oficjalnie umawiać się na prześwietlenie w jakimś innym szpitalu. Wiesz, jaka ona jest. Szczególnie ostatnio.

– Kiedyś wiedziałam, jaka ona jest.

– Kay. – Spogląda na nią. – Lucy nie chciała, aby ktokolwiek obcy miał dostęp do wyników jej badań. Nic już nie jest tajne, szczególnie od czasów tej ustawy, Patriot Act.

– Cóż, nie będę się z tym spierać.

– Musimy zakładać, że historia twoich chorób, konta bankowe, miejsca, gdzie robisz zakupy, wszystkie informacje dotyczącego twojego prywatnego życia mogą być sprawdzane przez federalnych, w imię walki z terroryzmem, oczywiście. Jej kontrowersyjna kariera w FBI i ATF ma tutaj szczególne znaczenie. Lucy uważa, że mogą dowiedzieć się o niej wszystkiego, czego tylko zechcą, że dobierze się do niej skarbówka, wciągną ją na listę ludzi, którzy nie mogą latać samolotami, oskarżą o szpiegostwo, oczernią w mediach i Bóg wie co jeszcze.

– A co z tobą i twoją kontrowersyjną karierą w FBI?

Benton wzrusza ramionami.

– Niewiele mogą mi zrobić – mówi. – Zresztą dla nich byłaby to tylko strata czasu. Znacznie bardziej martwi mnie, że ktoś biega po okolicy ze strzelbą, która powinna leżeć w policyjnym depozycie.

– Co Lucy robi z receptami, skoro tak bardzo zależy jej na tym, żeby nie zostawiać po sobie żadnych śladów?

– Powinno jej zależeć. To nie są jej urojenia czy jakieś wydumane lęki. Federalni mają dostęp prawie do wszystkiego i często to wykorzystują, nawet jeśli potrzebują do tego nakazu sądowego. Jak myślisz, co się dzieje, kiedy FBI domaga się nakazu od sędziego wyznaczonego przez obecną administrację? Od sędziego, który obawia się konsekwencji, jakie może mieć jego odmowa? Czy muszę ci mówić, jak to się skończy?

– W Ameryce żyło się kiedyś całkiem przyjemnie.

– Zrobiliśmy dla Lucy wszystko, co można u nas zrobić.

Opowiada jej o szpitalu MacLean, zapewnia, że Lucy nie mogła trafić w lepsze miejsce, że MacLean ma kontakty z najlepszymi lekarzami i naukowcami w kraju i na świecie. Jego zapewnienia wcale nie pocieszają jednak Kay.

Są już w Cambridge, mijają piękne stare rezydencje przy Brattle Street.

– Nie musiała w ogóle korzystać z oficjalnych procedur, dotyczy to także lekarstw. Nigdzie nie ma śladu po jej leczeniu, chyba że ktoś popełnił błąd lub był niedyskretny – kontynuuje Benton.

– Nic nie jest doskonałe. Lucy nie może przez resztę życia żyć w strachu, że ludzie się dowiedzą, że ma guz mózgu i zażywa jakieś leki, które mogą mieć skutki uboczne. Albo że miała operację, jeśli do tego dojdzie.

Trudno jej o tym mówić. Nieważne, że statystycznie rzecz biorąc, operacje guzów na przysadce prawie zawsze się udają; zawsze istnieje też prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak.

– To nie tak – mówi Benton. – Gdyby tak było, pewnie bym ci powiedział, bez względu na wszystkie obietnice.

– Jest moją siostrzenicą. Wychowywałam ją jak własną córkę. Nie masz prawa decydować, co jest poważnym zagrożeniem dla jej życia, a co nie.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że guz na przysadce to dość często spotykana przypadłość. Badania wykazują, że około dwudziestu procent populacji ma takie guzy.

– Zależy, kto przeprowadza te badania. Dziesięć procent. Dwadzieścia procent. Nic mnie nie obchodzą statystyki.

– Jestem pewien, że widziałaś już całkiem sporo tych gruczolaków, kiedy robiłaś sekcje. Ludzie nawet nie wiedzą, że je mają. Zwykle nie trafiają do kostnicy właśnie z ich powodu.

– Lucy wie, że ma guz. A te statystyki odnoszą się do ludzi, którzy mieli mikrogruczolaki, niewywołujące żadnych objawów. Na ostatnim prześwietleniu guz Lucy miał co najmniej dwanaście milimetrów średnicy. Wywołuje bardzo wyraźne i nieprzyjemne objawy. Lucy musi brać lekarstwa, żeby obniżyć poziom prolaktyny, może będzie musiała zażywać je do końca życia, jeśli guz nie zostanie usunięty. Dobrze wiesz, ile zagrożeń się z tym wiąże, przy czym nieudana operacja wcale nie jest największym z nich.

Benton zakręca na podjazd przed swoim domem, otwiera pilotem drzwi wolno stojącego garażu, który w minionym wieku pełnił funkcję powozowni. Oboje milczą, kiedy parkuje suva obok swojego drugiego porsche i zamyka drzwi. Idą do bocznego wejścia do domu, wiktoriańskiego budynku z czerwonej cegły, położonego tuż obok Harvard Square.

– Kto jest lekarzem Lucy? – pyta Scarpetta, wchodząc do kuchni.

– W tej chwili nikt.

Wpatruje się w Bentona z niedowierzaniem, kiedy ten ściąga płaszcz i układa go starannie na krześle.

– Nie ma lekarza? Chyba nie mówisz poważnie. Co wyście tu z nią robili, do diabła? – Wyszarpuje ręce z rękawów płaszcza i rzuca go na krzesło, zirytowana.

Benton otwiera barek i wyciąga butelkę szkockiej whisky i dwie szklaneczki. Napełnia je lodem.

– Wyjaśnienie jest proste, choć wcale nie poprawi ci humoru – mówi.

– Jej lekarz nie żyje.

Magazyn materiałów dowodowych akademii to hangar z trzyczęściowymi wrotami, które otwierają się na drogę prowadzącą do drugiego hangaru, gdzie Lucy trzyma helikoptery, motocykle, opancerzone samochody, łodzie motorowe i balon na gorące powietrze.

Reba wie, że Lucy ma helikoptery i motocykle. Wszyscy o tym wiedzą. Reba nie jest jednak pewna, czy ma wierzyć w to, co Marino mówił jej o pozostałej zawartości hangaru. Podejrzewa, że chciał sobie z niej zażartować, że wyszłaby na idiotkę, gdyby powtórzyła innym to, co jej wyjawiał. Okłamywał ją wiele razy. Mówił, że ją lubi. Gdy się z nią kochał, mówił, że nigdy nie było mu tak dobrze jak z nią. Mówił, że choćby nie wiadomo co, zawsze będą przyjaciółmi. Wszystko było kłamstwem.

Poznała go kilka miesięcy wcześniej, kiedy pracowała jeszcze w jednostce motocyklowej. Marino pokazał się kiedyś pod jej komendą na softailu, którym jeździł, zanim kupił deuce'a. Reba zaparkowała właśnie przy tylnym wejściu do budynku, przy Road King, kiedy usłyszała jego motocykl. Chwilę później stał już obok niej.

– Zamieniłbym się z tobą – powiedział, zsiadając z motocykla niczym kowboj z konia.

Poprawił spodnie i podszedł do niej, przyglądając się uważnie jej maszynie, podczas gdy Reba wyjmowała jakieś drobiazgi z sakwy.

– Na pewno – odparła.

– Ile razy go już upuściłaś?

– Ani razu.

– Hm... Są tylko dwa rodzaje motocyklistów. Ci, którzy już upuścili swoją maszynę, i ci, którzy to dopiero zrobią.

– Jest jeszcze trzeci rodzaj – odpowiedziała, zadowolona, że widzi ją w mundurze i wysokich skórzanych butach, w których wyglądała naprawdę atrakcyjnie. – Ci, którzy upuścili swój motocykl i kłamią, że tego nie zrobili.

– Cóż, ja do nich nie należę.

– Słyszałam co innego – odrzekła, drocząc się z nim, flirtując. – Podobno zapomniałeś kiedyś rozłożyć nóżki, kiedy chciałeś zatankować.

Bzdury.

– Słyszałam też, że robiłeś kiedyś wieczorny objazd po barach i zapomniałeś odblokować kierownicę, zanim pojechałeś do następnego.

– To największa głupota, jaką kiedykolwiek słyszałem.

– A co z tą historią, kiedy zgasiłeś silnik zamiast wrzucić kierunkowskaz?

Roześmiał się i spytał, czy nie pojechałaby z nim do Miami na lunch.

Potem jeździli ze sobą jeszcze wiele razy, pędzili autostradą jak wiatr, odwiedzali różne miejsca w bliższej i dalszej okolicy, jedli romantyczne kolacje.

Wszystko układało się dobrze aż do zeszłego miesiąca, kiedy to Reba otrzymała awans i została detektywem. Wtedy Marino zaczął unikać seksu. Zrobił się dziwny. Reba martwiła się, że ma to coś wspólnego z jej awansem, że teraz go nie pociąga. W przeszłości już się zdarzało, że



mężczyźni się nią nudzili, dlaczego nie miałyby tak być i tym razem? Ich związek rozpadł się na dobre, kiedy jedli kolację w Hooters – swoją drogą nie był to jej ulubiony lokal – a rozmowa zeszała jakimś trafem na temat doktor Scarpetty.

– Połowa facetów z policji za nią szaleje – powiedziała Reba.

– Mhm... – mruknął Marino, a jego twarz się zmieniła.

Nagle stał się zupełnie innym człowiekiem.

– Nic o tym nie wiem – mruknął i nie był to już ten Marino, którego tak bardzo lubiła.

– Znasz Bobby’ego? – spytała, choć teraz wolałaby się raczej ugryźć w język.

Marino nasypał sobie cukru i zamieszał kawę. Nie widziała, by robił to kiedykolwiek wcześniej. Mówił, że nie używa już cukru.

– To było pierwsze morderstwo, nad którym pracowaliśmy razem mówiła dalej. – Była tam też doktor Scarpetta, i kiedy przygotowywała ciało do transportu, Bobby szepnął do mnie: „Boże, dałbym się poćwiartować, byle tylko dostać się w jej ręce”, a ja powiedziałam: „W porządku, kiedy umrzesz, dopilnuję, żeby zajrzała ci do czaszki i sprawdziła, czy jest tam jakiś mózg”.

Marino popijał swoją słodką kawę, przyglądając się jednocześnie kelnerce z wielkimi cycami, która pochylała się właśnie, by zabrać jego miskę po sałatce.

– Bobby mówił o doktor Scarpetcie – dodała Reba, nie wiedząc, czy Marino ją zrozumiał. Czekwała, aż się roześmieje, zrobi cokolwiek, widziała jednak tylko jego zaciętą, zimną twarz i wzrok błędzący po cyckach i tyłkach przechodzących obok kelnerki.

– Wtedy spotkałam ją po raz pierwszy – ciągnęła nerwowo Reba myślałam wtedy, że może ty i ona kręcicie ze sobą. Na szczęście później

okazało się, że nie miałam racji.

– Powinnaś przy wszystkich sprawach współpracować z Bobbym odezwał się w końcu Marino, wygłaszając komentarz, który nie miał nic wspólnego z tym, co właśnie powiedziała. – Dopóki nie nabierzesz wprawy, nie powinnaś prowadzić sama żadnych spraw. Właściwie powinnaś w ogóle wynieść się z tego wydziału. Chyba nie wiesz, w co się wpakowałaś, kiedy przyjęłaś odznakę detektywa. To wcale nie wygląda tak, jak w telewizji.

Reba rozgląda się dokoła, czując się obca i niepotrzebna. Jest późne popołudnie. Technicy dochodzeniowi pracują już od kilku godzin, szare kombi stoi na hydraulicznym podnośniku, badane dokładnie wewnątrz i od zewnątrz. Udało im się znaleźć coś na dywaniku kierowcy. Może krew.

Technicy zbierają materiał z opon, za pomocą małych pędzelków wygrzebują ziemię z bieżnika, zgarniają ją na białe kartki, które potem zwijają i zabezpieczają żółtą taśmą. Przed momentem jedna ze specjalistek, ładna młoda kobieta, powiedziała Rebie, że nie używają pojemników z metalu, bo kiedy sprawdzają potem ślady w SEM...

– W czym? – zdziwiła się Reba.

– Skanujący mikroskop elektronowy z rentgenowskim systemem energii dyspersyjnej.

– Aha – mruknęła niepewnie Reba, a młoda ładna specjalistka tłumaczyła jej dalej, że jeśli wkłada się materiały dowodowe do metalowej puszki, a potem badanie wykaże obecność żelaza lub aluminium, to skąd wiadomo, czy nie są to właśnie mikroskopijne cząsteczki z pojemnika.

To było celne spostrzeżenie, które nigdy nie przyszłoby Rebie do głowy. Większość rzeczy, jakie teraz właśnie tu robią, nigdy nie przyszłaby jej do głowy. Czuje się niedoświadczona i głupia. Stoi z boku i myśli o tym, jak Marino powiedział jej, że nie powinna pracować sama, o tym jak wyglądała jego twarz, kiedy to mówił, jak brzmiał jego głos. Spogląda na samochód

holowniczy, na hydrauliczne podnośniki i stoły ze sprzętem fotograficznym, na źródło światła alternatywnego, pędzle i substancje luminescencyjne, odkurzacze do zbierania mikrośladów, ubrania ochronne, superkleje i zestawy do badania miejsca przestępstwa, wyglądające jak wielkie czarne walizki. Po drugiej stronie hangaru jest nawet tor i manekiny do crashtestów. Reba znów słyszy głos Marina, słyszy go tak dokładnie, jakby detektyw stał obok niej.

„To wcale nie wygląda tak, jak w telewizji”.

Nie miał prawa tego powiedzieć.

„Powinnaś w ogóle wynieść się z tego wydziału”.

Nagle rzeczywiście słyszy za sobą jego głos i odwraca się wystraszona.

Marino idzie do badanego samochodu, mija Rebę, trzymając w dłoni kubek z kawą.

– Coś nowego? – pyta ładną specjalistkę, która okleja właśnie taśmą złożoną kartkę papieru.

Patrzy na kombi, zachowując się tak, jakby Reba była tylko cieniem na ścianie, odległym wspomnieniem, niczym.

– Może krew w środku – odpowiada ładna specjalistka. – Coś, co reaguje z luminolem.

– Wychodzę po kawę i od razu coś mi umyka. Co ze śladami?

– Jeszcze nie sprawdzaliśmy. Zaraz się do tego zabieramy.

Ładna specjalistka ma długie włosy, lśniące i brązowe, przywodzące Rebie na myśl barwę kasztanów. Ma piękną, idealną skórę. Reba wiele by dała, by mieć taką cerę, by zatrzeć wszystkie te lata w słońcu Florydy. Teraz nie ma już sensu się tym przejmować, a ponieważ pomarszczona skóra wygląda jeszcze gorzej, kiedy jest blada, Reba nadal się opala. Patrzy na gładką skórę młodej specjalistki, na jej młode ciało i chce jej się płakać.



W salonie są mahoniowe drzwi, marmurowy kominek i podłoga wyłożona jodłą. Benton przykuca przed kominkiem, zapala zapałkę i przykładają do suchej podpałki.

– Johnny Swift skończył medycynę na Harvardzie, zrobił staż w Mass General, potem miał stypendium w szpitalu MacLean – mówi, podnosząc się na nogi. – Kilka lat temu zaczął praktykę w Stanford, ale otworzył też gabinet w Miami. Skierowaliśmy Lucy do Johnny’ego, bo znaleźliśmy go z MacLeana, wiedzieliśmy, że jest naprawdę dobry, i że chętnie ją przyjmie. Był jej neurologiem, myślę też, że się zaprzyjaźnili.

– Powinna była mi o tym powiedzieć. – Doktor Scarpetta wciąż nie może tego zrozumieć. – Prowadzimy śledztwo w jego sprawie, a ona nawet o tym nie wspomni? – powtarza z niedowierzaniem. – Być może ktoś go zamordował, a ona nic mi nie mówi?

– Do tej pory zakładano, że prawdopodobnie popełnił samobójstwo, Kay. Nie mówię, że nie został zamordowany, ale kiedy był w Harvardzie, zaczął mieć kłopoty ze sobą, potem był też pacjentem w MacLeanie, stwierdzono u niego chorobę dwubiegunową, którą leczono litem. Jak już mówiłem, dobrze go tutaj znaleźliśmy.

– Nie musisz mnie zapewniać, że był wykwalifikowanym profesjonalistą, a nie tylko losowo wybranym, przypadkowym neurologiem.

– Był więcej niż dobrze wykwalifikowanym profesjonalistą i z pewnością nie wybraliśmy go przez przypadek.

– Badamy przyczyny jego śmierci, niewyjaśnionej śmierci – Kay wciąż wraca do tego samego – a Lucy nie potrafi być na tyle uczciwa, by powiedzieć mi prawdę. Jak, do diabła, może być obiektywna w tej sprawie?

Benton popija whisky i wpatruje się w płomienie liżące drewno w kominku.

– Nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie. Jego śmierć nie ma z nią nic wspólnego, Kay.

– A ja wcale nie byłabym tego taka pewna.

## Rozdział 47

**R**eba zerka na Marina, patrzącego na ładną specjalistkę, która przygląda się bardzo uważnie drzwiom kierowcy, szukając odcisków palców.

Stoi bardzo blisko specjalistki, kiedy ta wyjmuje z wnętrza samochodu arkusze zakrzepłego superkleju i wrzuca je do pomarańczowego kosza na szczególnie szkodliwe odpadki. Stoją tuż obok siebie, ramię przy ramieniu, oglądają przód samochodu, potem tył, z jednej i z drugiej strony, mówią do siebie coś, czego Reba nie słyszy. Ładna specjalistka śmieje się z czegoś, co on mówi, a Reba czuje się okropnie.

– Nie widzę niczego na szybach – stwierdza w końcu detektyw, prostując się.

– Ja też.

Marino przykuca i ponownie ogląda wewnętrzną stronę drzwi, tym razem tych za siedzeniem kierowcy. Robi to bardzo długo, jakby coś przykuło jego uwagę.

– Chodź tutaj – zwraca się do ładnej specjalistki, jakby Reby wcale tam nie było.

Stoją tak blisko siebie, że nie można by włożyć między nich kartki papieru.

– Bingo – mówi Marino. – Coś jest na tej metalowej części przy zamku.

– Tylko fragment. – Ładna specjalistka pochyla się niżej. – Widać kilka linii.

Nie znajdują żadnych innych odcisków palców ani nawet ich fragmentów czy smug, a Marino zastanawia się głośno, czy wnętrze samochodu zostało dokładnie wyczyszczone.

Nie usuwa się na bok, kiedy Reba próbuje podejść bliżej. To jej sprawa, nie jego. Ma prawo wiedzieć, o czym mówią. To jej śledztwo. Bez względu na to, co o niej mówi lub myśli, ona jest detektywem i to jej sprawa.

– Przepraszam – mówi z pewnością siebie, której wcale nie czuje. Może zechciałbyś mnie tu wpuścić? – Potem zwraca się do ładnej specjalistki: – Znaleźliście coś na dywanikach?

– Są czyste, znaleźliśmy tylko trochę brudu, który zwykle zostaje po odkurzeniu albo powierzchniowym czyszczeniu. Może też odrobinę krwi, ale będziemy musieli to jeszcze potwierdzić.

– Więc może ktoś używał tego samochodu, a potem odstawił go pod dom – mówi śmiało Reba, a na twarzy Marina pojawia się ten sam zacięty, zimny grymas, który po raz pierwszy zobaczyła w Hooters. – Choć po zniknięciu tych czworga nie zarejestrowano tego auta w żadnym punkcie poboru opłat.

– O czym ty mówisz? – Marino wreszcie na nią patrzy.

– Sprawdziliśmy w SunPass, chociaż to jeszcze nic nie znaczy. – Ona też ma swoje informacje. – Jest wiele dróg, na których nie pobiera się opłat. Może jechali właśnie tamtędy.

– To bardzo duże „może” – stwierdza Marino, nie patrząc na nią.

– I cóż w tym złego?

– Ciekawe, jak poradziłabyś sobie z tym w sądzie – mówi, wciąż omijając ją wzrokiem. – Ile dałoby ci to „może”. Wystarczy, że powiesz to raz, a obrońca zje cię na śniadanie.

– Nie widzę też nic złego w „a jeśli” – nie daje się wystraszyć Reba. A jeśli ktoś, a może nawet więcej niż jedna osoba, porwał tych czworo, wywiózł ich tym autem, a potem wrócił i zostawił je na podjeździe? To byłoby całkiem sprytne, prawda? Gdyby ktoś zobaczył to auto odjeżdżające spod domu, nie podejrzewałby nawet, że dzieje się coś niedobrego. Nikt nie nabrałby też podejrzeń, gdyby widział, jak kombi wraca pod dom.

Zresztą i tak jestem pewna, że nikt niczego nie widział, bo było ciemno.

– Chcę, żeby natychmiast zbadano ten ślad i przepuszczono odcisk przez ASID, Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej. Marino próbuje odzyskać dominację, zachowując się jeszcze bardziej autorytarnie niż zwykle.

– Jasne – odpowiada ładna specjalistka z ironią. – Zaraz tu wrócę z moją magiczną skrzynką.

– Ciekawa jestem, czy to prawda – zwraca się do niej Reba – że Lucy trzyma w tamtym hangarze opancerzone hummery, motorówki i balon na gorące powietrze?

Ładna specjalistka śmieje się głośno, ściąga rękawiczki i wrzuca je do kosza.

– A kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Taki jeden dupek.

O siódmej wieczorem tego dnia wszystkie światła w domu Daggie Simister są pogaszone, również lampka na werandzie.

Lucy trzyma wężyk spustowy, gotowa.

– Już – rzuca, a Lex zaczyna spryskiwać werandę luminolem.

Nie mogły zrobić tego wcześniej, musiały poczekać, aż zapadnie zmrok. Ślady butów rozbłyskują na chwilę i gasną, tym razem mocniej.

Lucy robi zdjęcia, nagle jednak przestaje.

– Co się stało? – pyta Lex.



– Mam dziwne przeczucie – mówi Lucy. – Daj mi na chwilę tę butelkę.

Lex podaje jej butelkę.

– Jakie substancje prócz krwi reagują na luminol? – pyta Lucy.

– Wybielacz.

– Co jeszcze?

– Miedź.

Lucy zaczyna spryskiwać szerokim łukiem trawę w ogrodzie, a wszędzie, gdzie spadają krople luminolu, pojawia się niebieskozielony blask, który faluje przez chwilę niczym jakiś niesamowity fluoryzujący ocean.

Lucy nigdy nie widziała czegoś podobnego.

– Środek grzybobójczy, to jedyne wyjaśnienie – mówi. – Substancja zawierająca miedź, spryskują tym drzewa cytrusowe, żeby chronić je przed zarazą. Oczywiście nie jest to środek niezawodny, wystarczy tylko spojrzeć na te wszystkie zarażone drzewa z czerwonymi obwódkami.

– Ktoś przeszedł przez jej ogród i wszedł do domu – odpowiada Lex.

– Ktoś taki jak inspektor badający cytrusy.

– Musimy się dowiedzieć, kto to był – stwierdza z mocą Lucy.

## Rozdział 48

**M**arino nienawidzi modnych restauracji w South Beach i nigdy nie parkuje swojego harleya przy mniejszych motocyklach, głównie japońskich ścigaczach, których zawsze pełno wzdłuż chodników o tej porze. Marino jedzie powoli i głośno wzdłuż Ocean Drive, ciesząc się w duchu, że ryk jego silnika denerwuje wszystkich tych eleganckich gości, popijających martini i wino w kawiarnianych ogródkach.

Zatrzymuje się kilkanaście centymetrów przed tylnym zderzakiem czerwonego lamborghini, wciska sprzęgło i zwiększa obroty, przypominając wszystkim o swojej obecności. Lamborghini przesuwa się odrobinę do przodu, a Marino przesuwa się za nim, niemal dotykając tylnego zderzaka, potem znów zwiększa obroty przy wciśniętym sprzęgle, a lamborghini przesuwa się do przodu, później historia się powtarza. Harley ryczy jak mechaniczny lew, a z okna lamborghini wysuwa się nagie ramię i dłoń o pomalowanych na czerwono paznokciach, która pokazuje mu wyprostowany środkowy palec.

Marino uśmiecha się do siebie i znów dodaje gazu, potem wjeżdża między samochody, zatrzymuje się obok lamborghini i zagląda do środka, gdzie za kierownicą siedzi kobieta o oliwkowej skórze. Ma jakieś dwadzieścia lat, jest ubrana w dżinsową kamizelkę, szorty i nic poza tym.

Jej towarzyszka nie wydaje się zbyt urodziwa, ale nadrabia to śmiałym strojem; piersi ma owinięte czarnym elastycznym bandażem, a maleńkie szorty ledwie zakrywają to, co powinny.

– Jak ty sprzątasz z takimi paznokciami? – pyta Marino, przekrzykując ryk silnika i rozcapierzając palce jak kot, by dać jej do zrozumienia, o co pyta.

Ładna dziewczyna za kierownicą wpatruje się w światła, modląc się zapewne w duchu, by jak najszybciej zapaliło się zielone i by mogła wreszcie uwolnić się od tego wieśniaka w czarnej skórze.

– Odwal się od mojego samochodu, skurwysynu – mówi z silnym hiszpańskim akcentem.

– Hejże, damie nie wypada używać takich słów – odpowiada Marino. – Właśnie zraniłaś moje uczucia.

– Pierdol się.

– A może postawię wam drinka, dziewczyny? Potem pójdziemy potańczyć, co?

– Zostaw nas w spokoju, gnojku – mówi dziewczyna za kierownicą.

– Dzwonię policja! – grozi dziewczyna z bandażem na piersiach.

Marino salutuje im do swojego czarnego kasku i rusza spod świateł jak rakietka, gdy tylko zapala się zielone. Jest już za rogiem ulicy, a lamborghini wrzuca dopiero drugi bieg. Staje przy parkometrze przed zakładem tatuaży Lou i Scooter City, wyłącza silnik i schodzi z motocykla. Blokuję przedni widelec i przechodzi przez ulicę do najstarszego baru w South Beach, jedyne, do którego zagląda w tej okolicy, Mac's Club Deuce, zwanego przez stałych bywalców po prostu Deuce, czego nie należy mylić z harleyem deuce. Wieczór dwóch Deuce, tak Marino określa okazje, gdy wybiera się swoim deuce do baru Deuce, ciemnej dziury z czarnobiałą

podłogą w szachownicę, stołem bilardowym i neonem przedstawiającym gołą dziewczynę nad barem.

Rosie zaczyna mu nalewać budweisera z beczki. Marino nie musi jej mówić, czego chce.

– Spodziewasz się towarzystwa? – Rosie przesuwa w jego stronę wysoką szklankę ze spienionym piwem.

– Nie znasz jej. Dzisiaj nie znasz nikogo – dodaje z naciskiem.

– Jasne. – Nalewa wódkę dla jakiegoś starszego faceta, który siedzi na stołku obok niego. – Nie znam tutaj nikogo, a już na pewno was dwojga. Świetnie. Może nie chcę was znać.

– Nie łam mi serca – wzdycha Marino. – A może dorzuciłabyś trochę cytryny? – Przesuwa szklankę z powrotem w jej stronę.

– No, no, ależ mamy dzisiaj zachcianki. – Wrzuca kilka plasterków.

– O to ci chodziło?

– To jest naprawdę dobre.

– Nie pytałam, czy jest dobre, tylko czy o to ci chodziło.

Jak zwykle miejscowi ich ignorują. Miejscowi siedzą na stołkach po drugiej stronie baru i wpatrują się szklistymi oczami w wielki telewizor i mecz koszykówki, za którym i tak nie nadążają. Marino nie zna ich imion, ale oni nie potrzebują imion. Jest tam ten tusty facet z kozią bródką, naprawdę gruba kobieta, która zawsze narzeka, i jej chłopak, trzy razy mniejszy od niej, wyglądający jak fretka z żółtymi zębami. Marino się zastanawia, jak oni się pieprzą, i wyobraża sobie małego kowboja podskakującego jak ryba na wierzgającym byku. Wszyscy palą. Podczas wieczorów dwóch deuce Marino wypala zwykle kilka papierosów i nie myśli wtedy o doktor Self. Wszystko, co dzieje się w barze, pozostaje za jego drzwiami.

Niesie szklanke piwa z cytryną do stołu bilardowego i po drodze bierze jeden z kijów ustawionych w rogu. Uderza w kule i przechadza się powoli dokoła stołu, z papierosem wiszącym niedbale w kąciku ust. Spogląda spod przymrużonych powiek na fretkowatego faceta, który wstaje od stołu i idzie ze swoim piwem do męskiej toalety. Zawsze to robi, jakby się bał, że ktoś podwędzi mu piwo. Marino ma na oku wszystko i wszystkich.

Do baru wchodzi wychudły mężczyzna, zapewne bezdomny, ze zmierzwioną brodą i kucykiem, ubrany w czarne, niedopasowane ubranie, brudną czapkę Miami Dolphins i dziwaczne okulary o różowych szklach. Mężczyzna wkłada do tylnej kieszeni workowatych spodni myjkę i siada na krześle przy drzwiach. Na zewnątrz jakiś dzieciak potrząsa parkometrem, który zjadł mu właśnie pieniądze.

Marino wbija dwie bile do bocznych kieszeni, ani na moment nie wyjmując dymiącego papierosa z ust.

– Tak jest. Wbij je wszystkie do dziury! – woła Rosie, nalewając mu drugie piwo. – Gdzieś ty się właściwie podziewał?

Rosie jest na swój sposób sexy, a choć drobna i niepozorna, ma w sobie coś, co sprawia, że żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie odważy się z nią zdrzeć. Marino widział kiedyś, jak butelką od piwa złamała rękę facetowi, który ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilo, bo ten ciągle łapał ją za tyłek.

– Przestań wszystkim usługiwać i chodź tu do mnie – mówi detektyw, uderzając w ósmą bilę.

Bila toczy się na środek stołu i nieruchomieje.

– Spieprzyłem to – mruczy do siebie Marino, opierając kij o stół i przechodząc do szafy grającej. Tymczasem Rosie otwiera dwie butelki millera i stawia przed grubą kobietą i Fretką.

Rosie jest zawsze w ruchu jak wycieraczka na przedniej szybie. Wyciera dłonie o spodnie, a Marino wybiera kilka swoich ulubionych przebojów z lat siedemdziesiątych.

– Na co się gapisz? – pyta bezdomnego mężczyznę siedzącego przy drzwiach.

– Może byśmy zagrali?

– Jestem zajęty – odpowiada detektyw, nie odwracając się do niego i wybierając piosenki w szafie grającej.

– Nie zagrasz, dopóki nie kupisz czegoś do picia – mówi Rosie do bezdomnego. – I nie chcę, żebyś mi się tu kręcił. Ile razy mam ci to powtarzać?

– Myślałem, że może on zechce ze mną zagrać. – Bezdomny wyciąga myjkę i zaczyna ją nerwowo wykręcać.

– Powiem ci to samo co ostatnio, kiedy tu przyszedłeś, nic nie kupiłeś i poszedłeś do kibla – mówi Rosie, opierając ręce na biodrach. Chcesz zostać, to płać, jak nie, to wynocha.

Bezdomny powoli podnosi się ze swojego krzesła i wykręcając myjkę, patrzy na Marina. Oczy ma zmęczone i przygnębione, kryje się w nich jednak coś intrygującego.

– Myślałem, że może chciałbyś ze mną zagrać – mówi do detektywa.

– Wynocha! – wrzeszczy na niego Rosie.

– Ja się tym zajmę – uspokajają Marino, podchodząc do bezdomnego. – Chodź, wyprowadzę cię, kolego, zanim będzie za późno. Wiesz, jaka ona jest.

Mężczyzna się nie opiera. Nie śmierdzi wcale tak bardzo, jak się spodziewał Marino, i posłusznie wychodzi za nim na chodnik przed barem, gdzie kretyński dzieciak nadal potrząsa parkometrem.

– Hej, to nie jabłonka – mówi do niego detektyw.

– Spierdalaj.

Marino podchodzi i staje przed nim, wielki jak góra. Przestraszony dzieciak otwiera szeroko oczy.

– Co ty powiedziałeś? – pyta Marino, przystawiając dłoń do ucha i pochylając się nad chłopakiem. – Czy ja się czasem nie przesłyszałem?

– Wrzuciłem tu trzy ćwierćdolarówki.

– Cóż, to prawdziwy pech. Radzę ci teraz wsiąść do tego gównianego auta i spieszyć stąd, zanim aresztuję cię za niszczenie mienia publicznego – mówi detektyw, choć w rzeczywistości nie może już nikogo aresztować.

Bezdomny mężczyzna z baru idzie powoli chodnikiem, oglądając się za siebie, jakby się spodziewał, że Marino pójdzie za nim. Mówi coś, kiedy dzieciak uruchamia swojego mustanga i odjeżdża spod baru.

– Mówiłeś do mnie? – pyta Marino bezdomnego, ruszając w jego stronę.

– On zawsze tak robi – mówi bezdomny cicho. – Ten sam gówniarz.

Wrzuca pięciocentówki do parkometrów, a potem trzęsie nimi, aż się zepsują.

– Czego chcesz?

– Johnny przyszedł tutaj tuż przed tym, jak to się stało.

– O kim ty mówisz?

– Wiesz o kim. On się nie zabił sam. Wiem, kto to zrobił.

Marina ogarnia to samo dziwne uczucie, którego doświadczył, gdy wszedł do domu pani Simister. Dostrzega w oddali Lucy zmierzającą niespiesznym krokiem do baru. Tym razem zrezygnowała ze swoich ulubionych czarnych, luźnych ubrań.

– Grałem z nim w bilard tuż przed tym, jak to się zdarzyło. Miał łubki na rękach, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Grał naprawdę całkiem nieźle.

Marino przygląda się dyskretnie Lucy. Musi przyznać, że dziś pasuje do tego miejsca. Wygląda jak jedna z wielu lesbijek, które kręcą się w tej

okolicy, nieco chłopięca, lecz atrakcyjna i seksowna, w drogich dżinsach, wytartych i pełnych dziur. Pod kurteczką z miękkiej czarnej skóry ma białą koszulkę, która opina jej piersi, a jemu zawsze podobały się jej piersi, nawet jeśli nie powinien ich zauważać.

– Widziałem go tylko jeden raz, kiedy przyprowadził tutaj tę dziewczynę – mówi bezdomny. Odwrócony plecami do baru rozgląda się dokoła niepewnie, jakby coś go niepokoiło. – Myślę, że powinienes ją znaleźć. Tylko tyle mam ci do powiedzenia.

– Co to za dziewczyna i dlaczego miałyby mnie to obchodzić? – pyta Marino, wciąż obserwując Lucy i sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nikogo podejrzanego.

– Ładna – mówi mężczyzna. – Taka, na którą lecą w tej okolicy faceci i babki, seksowna. Ale nikt jej tu nie chciał.

– Wydaje mi się, że ciebie też nikt tu nie chce. Przed chwilą właśnie cię stąd wywalili.

Lucy wchodzi do Deuce, nawet na nich nie spoglądając, jakby Marino i bezdomny w ogóle nie istnieli.

– Tamtego wieczoru nie wywalili mnie tylko dlatego, że Johnny kupił mi drinka. Graliśmy w bilard, a ta dziewczyna siedziała przy szafie grającej i rozglądała się dokoła, jakby nigdy w życiu nie była w takiej dziurze. Kilka razy wychodziła do damskiej toalety, a potem śmierdziało tam trawą.

– Zaglądasz do damskiej toalety?

– Słyszałem, jak mówiły o tym kobiety przy barze. Ta dziewczyna nie robiła dobrego wrażenia.

– Nie wiesz czasem, jak się nazywała?

– Nie mam pojęcia.

Marino zapala papierosa.



– Dlaczego myślisz, że ona może mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Johnny’ego?

– Nie podobała mi się. Nikomu się nie podobała. Tyle wiem.

– Jesteś pewny?

– Tak jest.

– Nie mów o tym nikomu, jasne?

– Po co miałbym to robić?

– Tak czy inaczej, trzymaj gębę na kłódkę. A teraz powiedz mi, skąd u diabła wiedziałeś, że będę tu dzisiaj, i dlaczego pomyślałeś, że możesz porozmawiać o tym ze mną.

– Masz naprawdę piękny motocykl. – Mężczyzna patrzy na drugą stronę ulicy. – Trudno go nie zauważyć. Wielu ludzi stąd wie, że kiedyś byłeś detektywem w wydziale zabójstw, a teraz prowadzisz prywatne śledztwa dla jakiegoś obozu policyjnego czy czegoś w tym stylu na północ stąd. Często tu bywasz. Widziałem cię z innymi harleyowcami, obserwowałem cię od tygodni, miałem nadzieję, że uda mi się z tobą pogadać. Kręciłem się tu po okolicy, robiłem, co mogłem. Nie jest to może najlepszy moment w moim życiu, ale mam nadzieję, że będzie lepiej.

Marino wyciąga portfel i daje bezdomnemu banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Jeśli dowiesz się czegoś więcej o tej dziewczynie, którą tu widziałeś, daj mi znać. Na pewno nie pożałujesz – mówi. – Gdzie mogę cię znaleźć?

– Sam nie wiem. Bywam tu i tam, staram się, jak mogę.

Marino daje mu numer swojej komórki.

– Chcesz jeszcze jedno? – pyta Rosie, kiedy detektyw wraca do baru.

– Bezalkoholowe. Pamiętasz może, jak gdzieś przed Świętem Dziękczynienia przyszedł tutaj przystojny lekarz, blondyn, z dziewczyną?

Grał w bilard z tym facetem, którego przed chwilą wywaliłaś.

Rosie wyciera bar i zastanawia się, wreszcie kręci głową.

– Przychodzi tutaj mnóstwo ludzi. To było dawno temu. Kiedy dokładnie przed świętem?

Marino zerka na drzwi. Dochodzi dziesiąta.

– Być może dzień przed.

– Nie, nic nie pamiętam. Wiem, że trudno w to uwierzyć – mówi Rosie – ale ja też mam swoje życie, nie siedzę tu każdego wieczoru. Wyjechałam na święto. Byłam u mojego syna, w Atlancie.

– Podobno zjawiła się tu dziewczyna, ładna, ale przemądrzała, była tu z lekarzem, o którym ci mówiłem. Następnej nocy ten lekarz umarł.

– Nie mam pojęcia.

– Może przyszli tu wtedy, kiedy ty akurat wyjechałaś z miasta?

Rosie nadal wyciera bar.

– Nie chcę mieć tutaj żadnych problemów.

Lucy siedzi przy oknie, obok szafy grającej, Marino przy innym stoliku, po drugiej stronie baru. W uchu ma słuchawkę podłączoną do odbiornika, który wygląda jak telefon komórkowy. Pije piwo bezalkoholowe i pali papierosa.

Stali bywalcy, którzy siedzą po drugiej stronie baru, nie zwracają na nich uwagi. Nigdy nie zwracają uwagi. Zawsze, gdy Lucy tu przychodzi, ci sami nieudacznicy siedzą na tych samych stołkach, piją jasne piwo i palą mentolowe papierosy. Jedyna osoba z ich zakłętego kręgu, z którą rozmawiają w barze, to Rosie, która powiedziała kiedyś Lucy, że ta gruba kobieta i jej mały chłopak mieszkali kiedyś w pięknym domu w Miami, mieli wszystko, czego tylko zapragnęli, aż pewnego dnia facet trafił do więzienia, bo sprzedał trefny towar gliniarzowi po tajniaku. Teraz ona musi go utrzymywać z tego, co zarabia jako kasjerka w banku. Gruby facet z kocią bródką to kucharz z restauracji, do której Lucy nigdy nie pójdzie.

Przychodzi tu każdego wieczoru, upija się i jakimś cudem dojeżdża potem do domu.

Lucy i Marino nie zwracają na siebie uwagi. Choć było tak już wiele razy, podczas różnych operacji, Lucy zawsze czuje się wtedy skrępowana i zirytowana. Nie lubi, gdy ktoś ją szpieguje, nawet jeśli to jej pomysł, i choć wie, że Marino musi tu z nią być, wolałaby zostać sama.

Sprawdza bezprzewodowy mikrofon przyczepiony od wewnątrz do jej skórzanej kurtki. Pochyliła się, jakby chciała zasnurować but, aby nikt w barze nie widział, że coś mówi.

– Na razie nic – szepcze.

Jest dziesiąta trzy.

Czeka. Popija bezalkoholowe piwo, zwrócona plecami do detektywa, i czeka.

Spogląda na zegarek. Jest dziesięć po ósmej.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi dwóch mężczyzn.

Mijają kolejne dwie minuty. Lucy mówi do Marina:

– Coś jest nie tak. Wyjdę się rozejrzeć. Ty zostań tutaj.

Lucy idzie przez dzielnicę Art Deco, wzdłuż Ocean Drive, wypatrując Stevie w tłumie.

Im później się robi, tym bardziej pijani i krzykliwi stają się ludzie w South Beach, a ulice są szczelnie wypełnione samochodami, których właściciele bezskutecznie szukają miejsca do zaparkowania. Wypatrywanie Stevie nie ma sensu. Nie przyszła. Prawdopodobnie jest teraz tysiąc kilometrów stąd. Ale Lucy nadal jej szuka.

Myśli o tym, co Stevie wtedy powiedziała, zastanawia się, jak mogła uwierzyć, że tamta szła po jej śladach w śniegu i trafiła w ten sposób do hummera zaparkowanego przy Anchor Inn. Choć ślady butów były widoczne tuż przy domku, potem zmieszałyby się z wieloma innymi na

chodniku. Lucy nie była jedyną osobą, która wyszła wtedy na ulice Ptown. Myśli o telefonie komórkowym, faktycznie należącym do mężczyzny o imieniu Doug, o czerwonych odciskach dłoni i Johnnym. Robi jej się niedobrze na myśl, jak bardzo była nieostrożna, krótkowzroczna i niefrasobliwa.

Stevie prawdopodobnie wcale nie zamierzała przyjść dziś do Deuce, bawiła się z nią tylko, tak samo jak tamtej nocy u Lorraine. Stevie niczego nie robi po raz pierwszy. Wszystko jest częścią gry, jakiejś chorej gry, w której jest prawdziwą mistrzynią.

– Widzisz ją gdzieś? – rozbrzmiewa w jej uchu głos Marina.

– Już wracam – odpowiada. – Nie ruszaj się stamtąd.

Przechodzi przez Jedenastą, potem idzie na północ, wzdłuż budynków sądu. Jej uwagę przykuwa na moment biały chevy blazer z przyciemnianymi szybami. Idzie szybko, niespokojnie, jakby nagle opuściła ją odwaga, myśli bez ustanku o pistolecie, który ukryła w kaburze na nodze.

## Rozdział 49

Nad Cambridge szaleje kolejna śnieżycą, zza zasłony śniegu nie widać nawet domów po drugiej stronie ulicy. Benton przygląda się, jak biały puch okrywa świat grubą powłoką...

– Zrobię ci kawę, jeśli masz ochotę – proponuje doktor Scarpetta, wchodząc do salonu.

– Dziękuję, wypilem już dość – odpowiada, zwrócony do niej plecami.

– Ja też.

Słyszy, jak Kay siada przy kominku i stawia obok siebie kubek z kawą. Czuje na sobie jej wzrok i odwraca się, patrzy na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Ma mokre włosy, narzuciła na siebie jedwabny szlafrok, pod którym jest zupełnie naga. Delikatna tkanina otula jej ciało i odsłania głęboki rowek między piersiami, gdy siedzi bokiem koło paleniska, pochylona, obejmując rękami kolana. Jej skóra wciąż jest zadziwiająco gładka i jędrna. Blask ognia rozjaśnia krótkie blond włosy i przystojną twarz, ogień i promienie słońca kochają jej włosy i twarz tak samo jak on. Kocha ją, kocha bez reszty, lecz w tej chwili nie wie, co ma powiedzieć. Nie wie, jak to naprawić.

Poprzedniego wieczoru powiedziała, że od niego odchodzi. Spakowałaby swoją walizkę, gdyby ją miała, ale nigdy nie przywozi ze

sobą walizki. Ma tutaj wszystko, czego potrzebuje. To jest także jej dom, a Benton przez cały ranek nasłuchiwał zgrzytu wysuwanych szuflad i trzasku zamykanych drzwi, dźwięków, które oznaczałyby, że wychodzi, by już nigdy nie wrócić.

– Nie możesz dziś nigdzie jechać – mówi do niej. – Obawiam się, że chwilowo tu utknęłaś.

Czarne kikuty drzew wyglądają jak ślady ołówka na białej kartce, na ulicy nie ma żadnego samochodu.

– Wiem, co czujesz i czego chcesz – ciągnie Benton – ale dzisiaj nigdzie nie pojedziesz. Nikt nie odjedzie. Niektórych ulic w Cambridge nie odśnieżają tak szybko. To jest właśnie jedna z tych ulic.

– Masz samochód z napędem na cztery koła – przypomina mu, spoglądając na swoje dłonie.

– Dzisiaj ma spaść ponad pół metra śniegu. Nawet gdyby udało mi się dojechać na lotnisko, twój samolot i tak nie poleci. Nie dzisiaj.

– Powinieneś coś zjeść.

– Nie jestem głodny.

– Może omlet z serem? Naprawdę powinieneś coś zjeść. Od razu lepiej się poczujesz.

Przygląda mu się ze swego miejsca na kominku, z brodą opartą na dłoniach. Szlafrok otula szczelnie jej ciało, a Benton pożąda jej równie mocno, jak zawsze. Pożądał jej od chwili, gdy spotkał ją po raz pierwszy, piętnaście lat temu. Oboje byli wtedy szefami. On kierował Wydziałem Profilowania Osobowości w FBI, ona była głównym lekarzem sądowym Wirginii. Pracowali wtedy nad szczególnie ohydłą zbrodnią; pamięta, jak Kay weszła do sali konferencyjnej. Wciąż ma przed oczami jej obraz z tamtego dnia; pamięta, że była ubrana w długi, biały fartuch narzucony na

perłowszary prążkowany kostium, w rękach trzymała plik dokumentów. Zaintrygowały go jej dłonie, silne i zręczne, a jednocześnie eleganckie.

Nagle sobie uświadamia, że gapi się na nią.

– Z kim rozmawiałaś przed chwilą? – pyta. – Słyszałem, że rozmawiałaś z kimś przez telefon.

Myśli, że zadzwoniła do swojego prawnika. Albo do Lucy. Zadzwoniła do kogoś, aby powiedzieć, że od niego odchodzi, i że tym razem nie jest to żart.

– Telefonowałam do doktor Self – mówi. – Nie odebrała, zostawiłam jej wiadomość.

Benton jest zdumiony i okazuje to.

– Jestem pewna, że ją pamiętasz – ciągnie Kay. – A może słuchasz jej audycji radiowych – dodaje cierpko.

– Przestań.

– Miliony ludzi to robią.

– Dlaczego do niej dzwoniłaś? – pyta.

Kay opowiada mu o Davidzie Lucku i jego lekarstwie. Mówi, że doktor Self nie była ani trochę skłonna do pomocy, kiedy zadzwoniła do niej pierwszym razem.

– Nic dziwnego. To wariatka, egocentryczka, zakochana bez reszty w sobie samej.

– Cóż, właściwie miała rację. Nie powinnam żądać od niej takich informacji. Na razie nie stwierdzono oficjalnie, że ktokolwiek zaginął. Na tym etapie doktor Self nie musi udzielać informacji lekarzowi sądowemu, poza tym ja nie nazwałabym jej wariatką.

– Więc może psychiczną dziwką? Słuchałaś jej ostatnio?

– Więc jednak jej słuchasz.

– Następnym razem zaprosicie do akademii prawdziwego naukowca, a nie jakiegoś osła z radia.

– To nie był mój pomysł i dałam wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że jestem temu przeciwna. Ale to Lucy płaci za wszystko i ona podejmuje decyzje.

– To absurdalne. Lucy nie znosi takich ludzi jak doktor Self.

– Zdaje się, że to Joe zaproponował, by zaprosić ją na gościnne wykłady, to było dla niego bardzo ważne, pierwszy ważny projekt podczas jego stypendium. Ściągnięcie znanej osoby na specjalną serię wykładów. Przy okazji udało mu się dostać do jej programu, wystąpił już kilka razy. Nawet rozmawiali na antenie o akademii, co niezbyt mi się podobało.

– Idiota. Oboje warci siebie.

– Lucy nie zwróciła na to uwagi. Oczywiście nie była na żadnym z tych wykładów. Nie interesowało jej to, co robił Joe. Wydaje się, że wiele spraw już jej nie interesuje. Co my teraz zrobimy?

Nie mówi już o Lucy.

– Nie wiem.

– Jesteś psychologiem, powinieneś wiedzieć. Codziennie masz do czynienia z depresją i różnego rodzaju zaburzeniami.

– Jestem dziś przygnębiony – mówi Benton. – Masz rację. Przypuszczam, że gdybym był twoim psychologiem, tłumaczyłbym ci, że wyładowujesz swój gniew i ból na mnie, bo nie możesz wyładować go na Lucy.

Nie można złościć się na kogoś, kto ma guz mózgu.

Doktor Scarpetta otwiera kominek i wrzuca do ognia kilka drewna, wznecając cały obłok iskier.

– Denerwowała mnie niemal przez całe życie – wyznaje. – Nikt inny nie wystawia na próbę mojej cierpliwości tak często, jak ona.



– Lucy jest jedynaczką wychowaną przez matkę z zaburzeniami osobowościowymi – wyjaśnia Benton. – Przez hiperseksualnego narcyza.

Twoją siostrę. W dodatku Lucy jest ogromnie utalentowana. Nie myśli jak inni ludzie. Jest lesbijką. To wszystko składa się na osobę zamkniętą w sobie, pełną rezerwy.

– Chciałeś raczej powiedzieć: niezwykle samolubną.

– Urazy zadawane naszej psychice mogą uczynić z nas egoistów. Bała się, że jeśli dowiesz się o guzie, będziesz ją traktować inaczej, a to właśnie jest jeden z jej ukrytych lęków.

Doktor Scarpetta wpatruje się w okno za jego plecami, jakby zahipnotyzowana przez wirujące płatki śniegu. Śnieżna pokrywa ma już ze dwadzieścia centymetrów grubości, samochody zaparkowane przy chodnikach zaczynają przypominać zaspę, nawet dzieci z okolicznych domów nie wychodzą na ulicę.

– Bogu dzięki, że pojechałem przedtem do sklepu – komentuje Benton.

– Skoro już o tym mowa, sprawdzę, co możemy zjeść na lunch. Powinniśmy zrobić sobie dobry lunch. Powinniśmy się postarać, żeby to był miły dzień.

– Oglądałaś kiedyś pomalowane ciało? – pyta Benton.

– Swoje czy czyjeś?

Benton uśmiecha się lekko.

– Z pewnością nie twoje. Twoje ciało nie jest ani trochę martwe. Mówię o tej sprawie. O czerwonych odciskach dłoni na jej ciele. Zastanawiam się, czy zrobiono je, kiedy jeszcze żyła, czy już po śmierci. Szkoda, że nie można tego jakoś określić.

Kay patrzy na niego przez dłuższą chwilę, ciszę przerywa jedynie trzask ognia w kominku.

– Jeśli zrobił to, kiedy jeszcze żyła, mamy tu do czynienia z nowym rodzajem zbrodni. To musiało być przerażające i upokarzające – mówi Benton. – Skrępowana i zdana na łaskę i niełaskę...

– Wiemy, że była skrępowana?

– Na jej nadgarstkach i kostkach są ślady. Czerwone plamy, które zdaniem lekarza mogą być otarciami od sznurów.

– Mogą być?

– W odróżnieniu od obrażeń pośmiertnych – wyjaśnia Benton. Szczególnie że ciało leżało na mrozie. Przynajmniej ona tak twierdzi.

– Ona?

– Nasza szefowa.

– Jasne, ta gwiazda bostońskiego biura koronera, które sama w dużej mierze zniszczyła. – Doktor Scarpetta kiwa głową. – Szkoda.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś przejrzała jej raport. Mam go na płycie.

Chciałbym, żebyś mi powiedziała, co myślisz o tych tatuażach, o wszystkim. Naprawdę wiele bym dał za to, żeby się dowiedzieć, czy namalował te dłonie, kiedy ofiara jeszcze była żywa, czy kiedy już ją zabił. Szkoda, że nie można zajrzeć do jej mózgu i odtworzyć tego, co się wówczas wydarzyło.

Doktor Scarpetta traktuje tę uwagę całkiem poważnie.

– Nie sądzę, żebyś naprawdę chciał oglądać ten koszmar. Nawet ty.

Zakładając, że byłoby to możliwe.

– Basil chciałby, żebym to zobaczył.

– Tak, twój drogi Basil – mówi Kay z przekąsem. Nie podoba jej się ta ciągła obecność wielokrotnego mordercy w życiu Bentona.

– A gdybyś ty miała taką możliwość, nie chciałabyś tego zobaczyć? pyta Benton. – Nie chciałabyś obejrzeć ostatnich chwil ofiary morderstwa?

– Nawet gdyby rzeczywiście było to możliwe – odpowiada spokojnie Kay – te ostatnie obrazy mogłyby być bardzo mylące. Przypuszczam, że mózg potrafi w ogromnym stopniu przekształcać informacje tak, by zredukować do minimum ból i cierpienie.

– Tak, niektórzy ludzie potrafią niemal całkowicie odciąć się od rzeczywistości – zgadza się Benton, kiedy nagle dzwoni komórka doktor Scarpetty.

To Marino.

– Zadzwoń na wewnętrzny dwieście czterdzieści trzy – mówi. – Natychmiast.

## Rozdział 50

**W**ewnętrzny 243 to laboratorium daktyloskopijne. To także ulubione forum pracowników naukowych akademii, miejsce, w którym się zbierają i rozmawiają o dowodach wymagających różnego rodzaju analiz.

Odciski palców to już nie tylko rysunek linii papilarnych. Mogą ujawnić DNA człowieka, który je zostawił. Mogą zawierać ślady lekarstw lub materiałów będących na dłoniach tej osoby, na przykład atramentu lub farby, co z kolei wymaga dodatkowych analiz przeprowadzanych za pomocą takich skomplikowanych urządzeń jak chromatograf gazowy lub spektrofotometr. Dawniej każdy dowód traktowany był osobno, pojawiał się na scenie jako solista. Teraz, dzięki możliwościom oferowanym przez nowoczesne instrumenty i procesy badawcze, solista zamienia się w kwartet lub nawet całą orkiestrę. Pozostaje tylko pytanie, od czego zacząć. Badanie na obecność danej substancji może zniszczyć inne. Naukowcy zbierają się więc na naradę, zwykle w laboratorium Matthew. Ustalają, co należy zrobić i kto pierwszy zabierze się do pracy.

Kiedy Matthew dostał lateksowe rękawice z domu Daggie Simister, miał do wyboru co najmniej kilka możliwości, a żadna z nich nie była oczywista. Mógł założyć bawełniane rękawiczki, a na nie przewrócone na drugą stronę rękawiczki lateksowe. Wypełniając własnymi dłońmi rękawiczki z miejsca zbrodni, ułatwiłby sobie znacznie wyszukiwanie i fotografowanie odcisków palców. W ten sposób jednak mógłby pozbawić się możliwości zbadania śladów za pomocą superkleju lub alternatywnego źródła światła i proszków luminescencyjnych czy też za pomocą środków takich jak ninhydryna lub diazafluoren. Jedno badanie wyklucza drugie, a gdy już dojdzie do zatarcia śladów, nie można ich w żaden sposób odtworzyć.

Jest wpół do dziewiątej, małe laboratorium wygląda teraz jak minisala konferencyjna. Matthew, Marino, Joe Amos i troje naukowców stoi wokół dużego przezroczystego plastikowego pojemnika wypełnionego klejem. Znajdują się w nim przewrócone na drugą stronę lateksowe rękawice; jedna z nich, ta zakrwawiona, wisi na klamerkach. Wycięto w niej kilka drobnych otworów. Pozostałe obszary lateksu, wewnątrz i na zewnątrz, zostały przebadane na obecność DNA tak, by nie zniszczyć żadnych innych śladów. Potem Matthew musiał się zdecydować na otwarcie drzwi pierwszych, drzwi drugich, drzwi trzecich, jak lubi nazywać naradę wymagającą zarówno instynktu, doświadczenia i szczęścia, jak i naukowej wiedzy. Postanowił umieścić rękawiczki w pojemniku z superklejem i ciepłą wodą.

W rezultacie udało mu się otrzymać jeden wyraźny odcisk, linie papilarne lewego kciuka widoczne wyraźnie w twardym, białawym kleju.

Podniósł go ostrożnie i sfotografował.

– Jest tu już cała banda – mówi teraz do doktor Scarpetty. – Kto chce zacząć? – zwraca się do kolegów zgromadzonych wokół stołu. Randy?

Randy, specjalista od badań DNA, to nieco dziwaczny starszy facet z wielkim nosem i leniwym okiem. Matthew nigdy za nim nie przepadał, a

gdy tylko Randy zaczyna mówić, przypomina sobie, co jest tego powodem.

– Otóż, otrzymałem trzy potencjalne źródła DNA – zaczyna Randy w typowy dla siebie pedantyczny sposób. – Dwie rękawiczki i dwa odciski uszu.

– To cztery – wtrąca doktor Scarpetta.

– Tak jest, proszę pana, miałem na myśli cztery. – Randy zwraca się „proszę pana” do każdego, bez względu na płeć rozmówcy. – Miałem oczywiście nadzieję, że uda mi się znaleźć DNA po zewnętrznej stronie rękawiczki, głównie ze śladów krwi, a także być może z wnętrza obu rękawiczek. Mam już DNA z odcisków uszu – przypomina wszystkim które udało mi się zebrać bezinwazyjnie poprzez wyeliminowanie indywidualnych różnic lub potencjalnie charakterystycznych cech, takich jak dolne rozszerzenie grobelki. Jak wiecie, przepuściliśmy ten profil przez CODIS i nie dostaliśmy żadnych wyników, przed chwilą jednak dowiedzieliśmy się, że DNA z odcisków ucha pasuje do DNA znalezionego we wnętrzu jednej z rękawiczek.

– Tylko jednej? – pyta doktor Scarpetta przez telefon.

– Tej zakrwawionej. Na drugiej niczego nie znalazłem. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek ją zakładał.

– To dziwne – mówi zaskoczona.

– Oczywiście Matthew mi pomagał, bo nie znam się szczególnie na anatomii ucha, a różnego typu odciski to raczej jego działka niż moja dodaje Randy, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. – Jak już powiedziałem, otrzymaliśmy DNA z odcisków uszu, szczególnie z obszaru helisy i płątka. Z pewnością odciski należą do tej samej osoby, która nosiła rękawiczki, można więc zaryzykować przypuszczenie, że ten, kto przyciskał ucho do szklanych drzwi domu, w którym mieszkała zaginiona rodzina, i zabójca Daggie Simister to jedna i ta sama osoba.

– Ile razy musiałeś ostrzyć ten swój cholerny ołówek, kiedy robiłeś to wszystko? – pyta szeptem Marino.

– O co ci chodzi?

– Może zechciałbyś nam oszczędzić trochę tych fascynujących szczegółów – szepcze cicho Marino, by Scarpetta go nie słyszała. – Założę się, że liczysz płytki chodnikowe i nastawiasz timer, kiedy się pieprzysz.

– Randy, mów dalej, proszę – odzywa się Kay. – Nie znaleźliście niczego w CODISie? Szkoda.

Randy ciągnie dalej swą skomplikowaną, zawiłą opowieść, potwierdzając jeszcze raz, że poszukiwania w bazie danych zawierającej zbadane kody DNA, zwanej także CODIS, nie dały rezultatu. Ten, kto zostawił ślady na szybie, nie trafił jeszcze do archiwum DNA, co może oznaczać, że osoba ta jeszcze nigdy nie była aresztowana.

– Nie znaleźliśmy też odpowiednika DNA z krwi znalezionej w sklepie przy plaży w Las Olas. Ale niektóre z tych próbek to wcale nie jest krew – mówi Randy do czarnego telefonu stojącego na biurku. – Nie wiem co to. Coś, co reaguje na luminol podobnie jak krew. Lucy zastanawiała się, czy to nie miedź. Uważa, że to może być środek grzybobójczy, którego używa się do ochrony przed zarazą.

– Skąd takie przypuszczenie? – pyta Joe, kolejny pracownik naukowy, którego Matthew nie znosi.

– W domu pani Simister było bardzo dużo miedzi, wewnątrz i na zewnątrz.

– Które próbki ze sklepu w Las Olas zawierały ludzką krew? – pyta doktor Scarpetta.

– Z łazienki. Próbkę z podłogi magazynu to nie krew. Może być miedź. Podobnie jak ślady z szarego kombi. Z dywanika po stronie kierowcy. To także nie jest krew.

- Phil? Jesteś tam?
- Tak jest – odzywa się Phil, specjalista od mikrośladów.
- Przykro mi – szefowa zwraca się do nich takim tonem, jakby rzeczywiście sprawiało jej to przykrość – ale będziecie teraz musieli pracować na pełnych obrotach.
  - Myślałem, że już tak pracujemy – wtrąca Joe, który po prostu nie umie milczeć przez kilka minut z rzędu.
  - Chcę, żebyście jak najszybciej zbadali wszystkie biologiczne próbki, które jeszcze nie zostały zbadane – doktor Scarpetta mówi teraz stanowczo.
- Łącznie z wszelkimi potencjalnymi źródłami DNA z domu w Hollywood, tego, z którego zniknęli dwaj chłopcy i dwie kobiety.
  - Wrzucajcie wszystko do bazy CODIS. Będziemy traktowali tych czworo tak, jakby już nie żyli.
  - Naukowcy, Joe i Marino patrzą po sobie zdumieni. Nigdy jeszcze nie słyszeli, by doktor Scarpetta powiedziała coś takiego.
    - To bardzo optymistyczne podejście – zauważa Joe.
    - Phil, chciałabym, żebyś przepuścił ślady z dywaników samochodowych i z domu pani Simister, wszystkie ślady, przez SEMEDS – kontynuuje ich szefowa. – Przekonajmy się, czy to rzeczywiście miedź zawarta w środku grzybobójczym.
      - Pewnie pełno go tu wszędzie.
      - Nie, niekoniecznie – odpowiada doktor Scarpetta. – Nie wszyscy go używają. Nie wszyscy mają drzewa cytrusowe. I jak dotąd jest to wspólny mianownik wszystkich spraw, nad którymi pracujemy.
        - A co ze sklepem przy plaży? Nie sądzę, żeby rosły tam gdzieś drzewa cytrusowe.
        - Masz rację. Dobre spostrzeżenie.
        - Więc założmy może, że niektóre z tych śladów zawierają miedź...



- To będzie miało duże znaczenie – oświadcza głos doktor Scarpetty.
- Musimy się spytać dlaczego. Kto zostawił te ślady w sklepie. Kto zostawił je w samochodzie. Teraz musimy też sprawdzić, czy nie ma ich w domu zaginionej rodziny. Jakież ciekawe wyniki z badań czerwonej, podobnej do krwi substancji, którą znalazłyśmy na podłodze sklepu i przyniosłyśmy z kawałkami betonu?
  - Prawdopodobnie barwnik na bazie alkoholu, rodzaj henny, z pewnością nie farba stosowana do ścian – odpowiada Phil.
  - A może coś, co można by stosować do zmywalnych tatuaży, do malowania ciała?
  - Tak, z pewnością, jeśli jednak rzeczywiście był to barwnik na bazie alkoholu, nie wykrylibyśmy tego. Etanol czy izopropanol już dawno by wyparował.
  - Ciekawe więc, że wciąż tam jest. Dobrze byłoby, żeby ktoś poinformował Lucy, o czym tu mówimy. Gdzie ona się podziewa?
  - Nie wiem – odpowiada Marino.
  - Potrzebujemy DNA Florrie Quincy i jej córki, Helen – mówi głos doktor Scarpetty. – Musimy sprawdzić, czy to ich krew była w sklepie przy plaży.
  - W łazience jest krew jednej osoby – włącza się ponownie Randy. Z pewnością nie są to próbki dwóch różnych ludzi, a gdyby nawet były, to z pewnością moglibyśmy określić, czy te dwie osoby są ze sobą spokrewnione.
  - Zajmę się tym – obiecuje Phil. – Mam na myśli SEM.
  - Ile my tu właściwie badamy spraw? – wtrąca się znów Joe. – I czy zakładamy, że wszystkie są ze sobą powiązane? Czy dlatego właśnie mamy traktować ich wszystkich, jakby już nie żyli?

– Nie zakładam, że wszystkie są ze sobą powiązane – odpowiada doktor Scarpetta. – Ale obawiam się, że tak właśnie może być.

– Jak już wspominałem, śladów z domu Daggie Simister nie ma w bazie CODIS – podejmuje przerwany wątek Randy. – Ale DNA z wewnętrznej strony lateksowej rękawiczki różni się od DNA krwi z zewnątrz tej samej rękawiczki. Co nie jest wcale takie dziwne. W środku znajdują się komórki skóry człowieka, który je nosił. Na zewnątrz jest krew kogoś innego, a przynajmniej tak by można przypuszczać – wyjaśnia, a Matthew się zastanawia, jak taki człowiek może być żonaty.

Kto mógłby z nim żyć? Kto mógłby to wytrzymać?

– Czy to krew Daggie Simister? – pyta wprost doktor Scarpetta.

Podobnie jak wszyscy pozostali ma prawo zakładać, że zakrwawiona rękawiczka znaleziona na miejscu morderstwa Daggie Simister będzie ubrudzona właśnie jej krwią.

– Cóż, krew na dywanie rzeczywiście należy do niej.

– Chodzi o ten dywan przy oknie, gdzie prawdopodobnie dostała czymś w głowę – wyjaśnia Joe.

– Mówię o krwi na rękawiczce. Czy to krew Daggie Simister? W głosie doktor Scarpetty pobrzmiwają pierwsze nuty zniecierpliwienia.

– Nie, proszę pana – odpowiada Randy w swój zwykły sposób. Krew na rękawiczce z pewnością nie należy do niej, co jest dość dziwne – wyjaśnia z powagą. – Można by się przecież spodziewać, że będzie to właśnie jej krew.

O Boże. Znowu zaczyna, myśli Matthew z przerażeniem.

– Mamy oto lateksowe rękawiczki znalezione na miejscu zbrodni, lecz krew znajduje się na zewnątrz, a nie w środku jednej z nich.

– Dlaczego miałyby być w środku? – pyta Marino, marszcząc brwi.

– Nie ma jej tam.

– Wiem, że jej nie ma, ale dlaczego miałyby być?

– Cóż, na przykład sprawca mógł się skaleczyć i zostawić ślady krwi w środku, mógł się skaleczyć, kiedy miał założone rękawiczki. Widziałem już takie przypadki. Sprawca posługiwał się nożem, skaleczył się i zostawił swoją krew w środku rękawiczki, co jednak w tym wypadku najwyraźniej nie nastąpiło. Dochodzimy więc w tym miejscu do bardzo ważnego pytania. Skoro w przypadku zabójstwa pani Simister krew znaleziona na rękawiczkach należy do zabójcy, czemu znajduje się ona po zewnętrznej stronie rękawiczki? I dlaczego jej DNA różni się od DNA, które znalazłem w środku rękawiczki?

– Wydaje mi się, że to pytanie jest oczywiste. – Matthew nie może już dłużej znieść zagmatwanego przemądrzałego monologu Randy’ego.

Jeszcze minuta i będzie musiał wyjść z laboratorium, skłamać, że musi iść do toalety, załatwić coś ważnego, połknąć truciznę.

– Można by się spodziewać, że na zewnątrz rękawiczki będzie krew osoby, której dotykał sprawca – mówi dalej Randy.

Wszyscy w laboratorium znają już odpowiedź, ale nie doktor Scarpetta. Randy buduje napięcie, zmierza do wielkiego finału, nikt nie może mu tego odebrać. DNA to jego działka.

– Randy? – rozbrzmiewa zniecierpliwiony głos Kay. Używa tego tonu, kiedy Randy niepotrzebnie gmatwa sprawę i irytuje wszystkich, łącznie z nią. – Wiemy, czyja krew jest na rękawiczce? – pyta go wprost.

– Tak, proszę pana, wiemy. Właściwie, prawie wiemy. Ta krew należy albo do Johnny’ego Swifta, albo do jego brata Laurela. To bliźniacy, więc ich DNA jest takie samo – dochodzi wreszcie do sedna.

– Jesteś tam? – pyta Matthew po chwili, kiedy doktor Scarpetta nie odzywa się przez dłuższy czas.

– Nie bardzo rozumiem, jak mogłaby to być krew Laurela – zabiera głos Marino. – Przecież to nie jemu odstrzelono głowę i to nie jego krew była rozbryzgana po całym pokoju.

– Ja też tego nie rozumiem – przyłącza się do niego Mary, toksykolog. – Johnny Swift zginął jeszcze w listopadzie, więc dlaczego jego krew pojawia się kilka tygodni później w sprawie, która na pozór nie ma żadnego związku z jego śmiercią?

– Cóż, niewykluczone, że ktoś po prostu podrzucił te rękawiczki snuje przypuszczenia Joe.

– Może powinieneś w końcu powiedzieć to, o czym i tak wszyscy myślimy – warczy na niego Marino. – A wszyscy podejrzewamy, że ten, kto odstrzelił głowę tej biednej staruszce, chce nam pokazać, że ma coś wspólnego ze śmiercią Johnny’ego Swifta. Ktoś się z nami bawi.

– Kilka dni wcześniej miał operację...

– Brednie – przerywa mu gniewnie detektyw. – Nie wierzę, żeby te rękawiczki miały coś wspólnego z jego operacją. Jezu Chryste, szukasz jednoroźców tam, gdzie są same konie.

– Co?

– Myślę, że treść wiadomości jest oczywista – oświadcza głośno Marino, przechadzając się po pokoju, czerwony ze złości. – Ten, kto zabił Daggie Simister, mówi nam, że zabił też Johnny’ego Swifta. I kpi sobie z nas, podrzucając nam te rękawiczki.

– Nie możemy na tym etapie zakładać, że nie jest to krew Laurela przypomina doktor Scarpetta.

– To by wiele wyjaśniało – odpowiada Randy.

– Gównu by wyjaśniało. Jeśli Laurel zabił tę Simister, to po cholere zostawił swoje DNA w jej umywalce? – irytuje się Marino.

– Więc może to jednak była krew Johnny’ego Swifta?

– Zamknij się, Randy. Kiedy cię słucham, wypadają mi włosy.  
– Ty nie masz żadnych włosów, Pete – mówi poważnie Randy.  
– Więc chcecie powiedzieć, że nie da się ustalić, czy to DNA Johnny’ego, czy też Laurela, bo są cholernymi bliźniakami, tak? – wykrzykuje Marino. – Nie, to jest naprawdę popieprzone! – Spogląda oskarżycielsko na Randy’ego, potem na Matthew i znów na Randy’ego. – Jesteście pewni, że coś wam się nie pomyliło, kiedy robiliście te badania?

Nigdy nie dba o to, kto może go słyszeć, kiedy kwestionuje czyjąś wiarygodność lub jest po prostu niemiły.

– Może pomieszały wam się próbki albo coś takiego – dodaje.

– Nie, proszę pana – odpowiada swoim zwyczajem Randy. – To nie wchodzi w grę. Matthew otrzymał próbki, ja zrobiłem analizę i sprawdziłem rezultaty w CODISie. Łańcuch dowodowy nie został nigdzie przerwany, a DNA Johnny’ego Swifta jest w bazie, bo przesyła się tam teraz dane wszystkich osób poddawanych sekcji, co oznacza, że DNA Johnny’ego Swifta zostało wprowadzone do CODISu w listopadzie zeszłego roku. Chyba mam rację, prawda? Jesteś tam jeszcze? – zwraca się do doktor Scarpetty.

– Tak, jestem i... – zaczyna Kay.

– Zgodnie z zaleceniami z ostatnich lat należy wprowadzać do CODISu wszystkie sprawy, czy jest to samobójstwo, wypadek, morderstwo czy nawet śmierć naturalna – wymądrza się Joe, jak zwykle jej przerywając. – To, że ktoś był ofiarą przestępstwa albo że jego śmierć nie jest wynikiem przestępstwa, nie oznacza jeszcze, że wcześniej nie miał żadnych związków z przestępczością. Zakładam, że wiemy z całą pewnością, iż bracia Swift byli bliźniakami jednojajowymi.

– Wyglądają tak samo, mówią tak samo, ubierają się tak samo, pieprzą tak samo – mruczy Marino do siebie.

– Marino? – odzywa się w końcu doktor Scarpetta. – Czy policja pobrała próbkę DNA Laurela Swifta podczas śledztwa w sprawie śmierci jego brata?

– Nie. Nie było powodu, żeby to robić.

– Naprawdę? Mogli to zrobić choćby po to, żeby wykluczyć go jako sprawcę – dziwi się Joe.

– Co za idiotyzm. Przecież DNA Laurela było wszędzie, w całym domu – zwraca się do niego detektyw. – On tam mieszka!

– Dobrze byłoby sprawdzić DNA Laurela – proponuje doktor Scarpetta. – Matthew? Badałeś rękawiczkę z domu pani Simister za pomocą jakichś środków chemicznych, które mogłyby uniemożliwić dalsze testy?

– Użyłem tylko superkleju – odpowiada Matthew. – Sprawdziłem też ten jedyny odcisk, jaki udało mi się znaleźć. Nic. W ASID go nie ma. Nie mogłem go też porównać z fragmentem odcisku z kombi. Za mało danych.

– Mary? Chciałabym, żebyś pobrała próbki krwi z tej rękawiczki.

– Superklej nie powinien był niczego zniszczyć, bo reaguje z aminokwasami obecnymi w tłuszczu na skórze i pocie, nie na krew. – Joe czuje się w obowiązku wyjaśnić wszystkim tę kwestię.

– Chętnie dam Mary kilka próbek – mówi Matthew do czarnego telefonu. – Na lateksie zostało jeszcze sporo krwi.

– Marino? – To znowu głos doktor Scarpetty. – Chcę, żebyś poszedł do biura lekarza sądowego i odszukał akta sprawy Johnny’ego Swifta.

– Ja mogę to zrobić – mówi szybko Joe.

– Marino? – powtarza Kay. – W środku powinny być karty z jego DNA. Zawsze robimy ich kilka.

– Dotkniesz tych akt, a znajdziesz swoje zęby po drugiej stronie głowy – szepcze detektyw do Joe.

– Włóż jedną z tych kart do koperty i przekaz ją Mary – kontynuuje doktor Scarpetta. – Mary? Chciałabym, żebyś porównała krew z rękawiczki i krew z tej karty.

– Chyba nie do końca cię zrozumiałam – mówi Mary, a Matthew wcale jej się nie dziwi.

Nie ma pojęcia, co toksykolog może zrobić z kropelką zaschniętej krwi z karty DNA i równie małą ilością zaschniętej krwi z rękawiczki.

– Może masz na myśli Randy’ego? – podsuwa Mary. – Mówisz o kolejnych testach DNA?

– Nie – wyjaśnia doktor Scarpetta. – Chciałabym, żebyś zbadała te próbki na obecność litu.

Kay płucze w zlewie wypatroszonego kurczaka. W kieszeni ma Treo, w uchu słuchawkę.

– Wtedy nie badali jego krwi pod tym kątem – mówi do Marina przez telefon. – Jeśli nadal brał wtedy lit, jego brat nie raczył wspomnieć o tym policji.

– Powinni byli znaleźć gdzieś w domu buteleczkę z lekarstwem – zauważa Marino. – Co to za hałas?

– Otwieram puszek z bulionem. Szkoda, że cię tu nie ma. Nie wiem, dlaczego nie było tam tego litu – odpowiada, przelewając zawartość puszek do miedzianego garneczka. – Być może Laurel schował leki, żeby nie znalazła ich policja.

– Dlaczego? Przecież to nie kokaina ani nic w tym rodzaju.

– Johnny Swift był znanym psychoneurologiem. Być może nie chciał, aby wszyscy wiedzieli, że cierpi na tego typu zaburzenia.

– Masz rację. Na pewno nie chciałbym, żeby grzebał mi w głowie ktoś, kto sam jest nieźle pokręcony.

Kay sieka cebulę.

– W rzeczywistości te problemy prawdopodobnie nie miały żadnego wpływu na jego umiejętności i profesjonalizm, ale na świecie jest mnóstwo ignorantów. Niewykluczone, że dlatego Laurel nie chciał, by ludzie dowiedzieli się o kłopotach jego brata.

– To nie ma sensu. Jeśli wierzyć temu, co mówił, wybiegł z domu natychmiast po znalezieniu ciała. Chyba nie miał czasu, żeby chodzić po domu i zbierać lekarstwa swojego brata.

– Przypuszczam, że będziesz musiał sam go o to zapytać.

– Gdy tylko dostaniemy wyniki badania na obecność litu. Wolę wiedzieć, na czym stoję. A teraz mamy większy problem na głowie – dodaje detektyw.

– Trudno mi sobie wyobrazić problemy większe od tych, które nas ostatnio dopadły – odpowiada Kay, rozcinając kurczaka.

– Chodzi o strzelbę – wyjaśnia Marino przez telefon. – O tę, z której zabito tamtą kobietę przy Walden Pond.

Siedzi przy jej biurku, drzwi są zamknięte na klucz.

– Sprawa wygląda tak – ciągnie. – Nie chciałem mówić o tym przy wszystkich, ale dziś rano rozmawiałem z moim kumplem z policji w Hollywood, który odpowiada za depozyty. Sprawdził wszystko w komputerze. Wystarczyło mu pięć minut, żeby dostać się do informacji o strzelbie, z której dwa lata temu facet zastrzelił chłopaka w nocnym sklepie. I wiesz, gdzie powinna być teraz ta strzelba? Lepiej usiądź.

– Może jakoś sobie poradzę. Wal.

– W naszym podręcznym magazynie broni.

– W akademii? W naszej kolekcji broni w akademii?

– Policja z Hollywood oddała nam ją jakiś rok temu, razem z innymi pistoletami, których już nie potrzebowali. Pamiętasz?

– Byłeś w magazynie, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jej tam nie ma?



- Nie będzie. Wiemy, że niedawno ktoś zastrzelił z niej kobietę.
- Idź i natychmiast to sprawdź – mówi mu doktor Scarpetta. – Potem do mnie zadzwoń.

## Rozdział 51

**K**rab czeka w kolejce.

Stoi za grubą kobietą w jaskrawym różowym kostiumie. Trzyma w rękach buty, torbę na zakupy, płaszcz, prawo jazdy i kartę pokładową. Przechodzi do przodu, wrzuca buty i płaszcz do plastikowego pojemnika.

Kładzie pojemnik i torbę na czarnym pasie, który przesuwa rzeczy do wnętrza prześwietlarki. Stawia stopy na dwóch białych śladach, a pracownik ochrony lotniska nakazuje mu gestem, by przeszedł przez bramkę. Krab wypełnia jego polecenie, nic nie brzęczy, Krab pokazuje swoją kartę pokładową, bierze buty i płaszcz z pojemnika, podnosi swoją torbę. Rusza w stronę bramki numer 21. Nikt nie zwraca na niego uwagi.

Wciąż czuje zapach gnijących ciał. Wydaje mu się, że ten smród nigdy nie wypłynie z jego nozdrzy. Może to tylko rodzaj halucynacji węchowej. Doświadczył tego już kiedyś. Czasami czuje zapach wody kolońskiej, wody kolońskiej Old Spice, którą czuł wtedy, gdy zrobił złą rzecz na materacu i został odesłany do miejsca, gdzie były te stare ceglane domy, gdzie padał śnieg i było zimno, do miejsca, do którego właśnie się wybiera. Pada tam śnieg, niezbyt intensywnie, ale pada. Sprawdził prognozę pogody, zanim pojechał taksówką na lotnisko. Nie chciał zostawiać swojego blazera na parkingu długoterminowym. To naprawdę sporo kosztuje, byłoby też

niedobrze, gdyby ktoś zajrzał do środka, do tylnej części. Nie zdążył jej jeszcze dobrze posprzątać.

W torbie ma trochę rzeczy, nie za dużo. Potrzebuje tylko kilku ubrań na zmianę, przyborów toaletowych, trochę lżejszych butów. Stare buty nie będą mu już potrzebne. Stanowią zagrożenie dla środowiska. Ta myśl go bawi. Zastanawia się, czy jednak nie zachować ich na zawsze.

Wiele przeżyły, bywały w różnych miejscach, widziały różnych ludzi, wracały do różnych miejsc i wspinały się na różne miejsca, by szpiegować. Prowadziły go śmiało do wnętrz domów, niosły z pokoju do pokoju, z miejsca na miejsce, gdy robił to, co kazał Bóg. Karząc. Mieszając im w głowach. Strzelba. Rękawiczka. Żeby im pokazać.

Buty zaprowadziły go prosto do tego domu. Założył kaptur i wszedł, zanim się zorientowali, co się dzieje. Głupie religijne maniaczki. Głupie małe sieroty. Głupia sierota w aptece, z Mamą Numer Jeden, która kupuje mu lekarstwa. Wariatka. Krab nienawidzi wariatów i cholernych maniaków religijnych, nienawidzi małych chłopców, małych dziewczynek, nienawidzi zapachu Old Spice. Marino używa Old Spice'a, ten wielki, głupi gliniarz. Krab nienawidzi doktor Self, powinien był zostawić ją na materacu, pobawić się sznurami, załatwić ją po tym, co zrobiła.

Krabowi zabrakło czasu. Bóg nie jest szczęśliwy.

Zabrakło czasu, by ukarać największego grzesznika.

„Będziesz musiał wrócić – powiedziała. – Tym razem z Basilem”.

Buty Kraba kierują się w stronę bramki, prowadzą go do Basila.

Wrócą stare dobre czasy, jak wtedy, gdy po zrobieniu złej rzeczy Krab został odesłany do miasta ceglanych budynków, potem wrócił, a potem poznał w barze Basila.

Nigdy się nie bał Basila. Wręcz polubił go od chwili, gdy usiedli obok siebie i pili tequile. Wypili razem kilka kieliszków, coś było na rzeczy. Krab

to wyczuwał.

– Jesteś inny – powiedział.

– Jestem gliniarzem – odparł Basil.

To było w South Beach, gdzie Krab często się kręcił, szukając seksu, szukając narkotyków.

– Nie jesteś zwykłym gliniarzem – powiedział Krab. – Czuję to.

– Doprawdy?

– Czuję to. Znam się na ludziach.

– Wiesz co? Zabiorę cię gdzieś – zaproponował nagle Basil, a Krab zrozumiał, że on także go wyczuł. – Mógłbyś coś dla mnie zrobić – powiedział do niego Basil.

– Dlaczego miałbym coś dla ciebie zrobić?

– Bo ci się to spodoba.

Później tej samej nocy Krab siedział w samochodzie Basila, nie w jego policyjnym wozie, ale w białym fordzie LTD, który wyglądał jak nieoznakowany wóz policyjny, choć nim nie był. To był samochód Basila.

Nie byli w Miami, Basil nie mógł więc jeździć tutaj samochodem policyjnym ze znaczkami okręgu Dade. Ktoś mógłby go zapamiętać. Krab był trochę rozczarowany. Uwielbia policyjne samochody, uwielbia syreny i migające światła. Te migające kolorowe światła przypominają mu sklep z ozdobami choinkowymi.

– Nie będą się nawet zastanawiać, jeśli je odpowiednio podejdziesz – powiedział mu Basil tamtego wieczoru, kiedy się poznali. Jeździli już chwilę po okolicy i palili trawę.

– Dlaczego ja? – spytał Krab, ani trochę nie obawiając się Basila.

Na zdrowy rozsądek powinien był się bać. Basil zabija, kogo tylko chce, zawsze tak robił. Mógł też zabić Kraba. Bez trudu.

Ale Bóg mówi Krabowi, co ma robić. Dzięki temu czuł się bezpieczny.

Basil zauważył dziewczynę. Później okazało się, że miała tylko osiemnaście lat. Wybierała właśnie gotówkę z bankomatu, obok stał jej samochód z włączonym silnikiem. Głupia. Nigdy nie wybieraj gotówki po zmroku, szczególnie jeśli jesteś młodą dziewczyną, ubraną w szorty i obcisłą koszulkę. Jeśli jesteś młodą ładną dziewczyną i jedziesz sama autem, może ci się przytrafić coś złego.

– Daj mi swój nóż i pistolet – powiedział Krab Basilowi.

Krab włożył pistolet za pas i naciął kciuk nożem. Rozsmarował sobie krew na twarzy i położył się na tylnym siedzeniu. Basil podjechał pod bankomat, wyskoczył z samochodu. Otworzył tylne drzwiczki i zajrzał do Kraba, robiąc przy tym odpowiednio zatroskaną minę.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął do niego, a potem zwrócił się do dziewczyny: – Proszę, pomóż nam. Mój przyjaciel jest ranny. Gdzie jest najbliższy szpital?

– O mój Boże. Powinniśmy zadzwonić po pomoc. – Zaczęła nerwowo szukać komórki w torebce. Wtedy Basil wepchnął ją na tylne siedzenie, a Krab natychmiast przystawił jej pistolet do głowy.

Odjechali.

– Cholera – zaklął Basil. – Jesteś dobry – powiedział i zaczął się śmiać, nabuzowany. – Powinniśmy chyba zdecydować, dokąd jedziemy.

– Proszę, nie róbcie mi krzywdy – płakała dziewczyna, a Krab, który siedział przy niej i przystawiał jej pistolet do głowy, nagle coś poczuł.

Poczuł ochotę na seks.

– Zamknij się – rzucił do niej Basil. – Nic ci to nie pomoże. Musimy znaleźć jakieś dobre miejsce. Może w parku. Nie, tam chodzą patrole.

– Znam takie miejsce – powiedział Krab. – Nikt nas tam nie znajdzie. Jest idealne. Będziemy mieli mnóstwo czasu, ile tylko zechcemy. Był podniecony. Chciał seksu, chciał tego bardzo.

Pokazał Basilowi drogę do zrujnowanego domu, domu bez elektryczności i bieżącej wody, z materacem i nieprzyzwoitymi czasopismami w pokoju na tyłach. To Krab wymyślił, jak je związać, aby musiały siedzieć z rękami uniesionymi nad głową.

– Ręce do góry! – Jak na kreskówkach.

– Ręce do góry! – Jak na westernach.

Basil powiedział, że Krab jest sprytny, że jest najsprytniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Po kilku wspólnych wypadach, kiedy zawozili tam kolejne kobiety i trzymali je, aż za bardzo śmierdziały, były zbyt chore albo po prostu zbyt zużyte, Krab powiedział Basilowi o sklepie z ozdobami choinkowymi.

– Widziałeś go kiedyś?

– Nie.

– Na pewno go zauważysz. Jest tuż przy plaży przy Al A. Właścicielka jest bogata.

Krab wyjaśnił, że w soboty zawsze są tam tylko ona i jej córka. Prawie nikt tam nie zagląda. Kto kupuje bożonarodzeniowe ozdoby w lipcu, w sklepie przy plaży?

– No to jazda.

Nie powinien był robić tego tam. Zanim Krab zrozumiał, co się dzieje, Basil wziął ją na zaplecze, zgwałcił, pociął, ochlapał wszystko krwią, podczas gdy Krab przyglądał się temu i zastanawiał, jak się z tego wywinąć.

Drwal przy drzwiach miał półtora metra wysokości, był ręcznie rzeźbiony w drewnie. W dłoni trzymał prawdziwą siekierę, staromodną, z zakrzywionym drewnianym trzonkiem i lśniącym metalowym ostrzem, pomalowanym do połowy czerwoną farbą. To Krab wpadł na ten pomysł.

Jakąś godzinę później wyniósł worki ze śmieciami, upewniwszy się wcześniej, czy w pobliżu nikogo nie ma. Włożył je do bagażnika samochodu Basila. Nikt ich nie widział.

– Mieliśmy szczęście – powiedział Krab Basilowi, kiedy wrócili do swojej kryjówki, do starego domu, i wykopali dół. – Nie rób tego więcej.

Miesiąc później znów coś zrobił, próbował porwać dwie kobiety naraz. Kraba przy tym nie było. Basil kazał im wejść do samochodu, a potem ten cholerny grat się zepsuł. Basil nigdy nikomu nie powiedział o Krabie. Chronił go. Teraz Krab chciał mu się odwdziżyć.

*Robią tam jakieś badania, napisał do Basila. Ci w więzieniu wiedzą o tym, proszono ich o ochotników. To byłoby dla ciebie dobre. Mógłbyś zrobić coś konstruktywnego.*

To był miły, niewinny list. Żaden z więziennych strażników nie mógł mieć do niego zastrzeżeń. Basil powiedział naczelnikowi więzienia, że chce wziąć udział w programie badawczym przeprowadzanym w Massachusetts, że chciałby w jakiś sposób odpokutować za swoje winy, że jeśli lekarze dowiedzą się dzięki niemu, co dolega ludziom takim jak on, być może w przyszłości nie będzie już takich zbrodni. Nie wiadomo, czy naczelnik więzienia uwierzył w te wyjaśnienia, lecz w grudniu ubiegłego roku Basil został przeniesiony do szpitala stanowego Butler.

Wszystko dzięki Krabowi. Słudze Boga.

Od tej pory musieli się porozumiewać w bardziej wymyślny sposób. Ale ona pokazała Krabowi, jak może przekazywać Basilowi wszystko, co chce.

Krab znajduje miejsce przy bramce numer 21. Siada z dala od pozostałych pasażerów oczekujących na lot o dziewiątej. Samolot odlatuje

o czasie. Wylądował na miejscu w południe. Krab otwiera torbę i wyjmując list, który Basil napisał do niego przed miesiącem.

*Dostałem czasopisma wędkarskie. Piękne dzięki. Zawsze dowiaduję się z nich wielu ciekawych rzeczy.*

*Basil Jenrette.*

*PS*

*Znowu wsadzą mnie do tej cholernej rury, w czwartek 17 lutego.*

*Obiecują, że to nie potrwa długo. Od piątej do piątej piętnaście. Obiecanki cacanki.*



## Rozdział 52

Śnieg przestał wreszcie padać, bulion gotuje się na wolnym ogniu. Doktor Scarpetta odmierza dwa kubki ryżu i otwiera butelkę czerwonego wytrawnego wina.

– Możesz zejść na dół? – woła, podchodząc do drzwi.

– A mogłabyś wejść na górę? – odpowiada jej głos Bentona, dochodzący z gabinetu na piętrze.

Kay rozpuszcza masło w miedzianym rondelku i zaczyna podrumieniać kurczaka. Wsypuje ryż do bulionu. Dzwoni jej komórka. To Benton.

– To absurdalne – mówi, patrząc na schody prowadzące na piętro. Nie możesz tutaj zejść? Gotuję. Źle się dzieje na Florydzie. Muszę z tobą porozmawiać.

Polewa kurczaka odrobiną bulionu.

– A ty musisz na to spojrzeć – odpowiada Benton.

Kay czuje się trochę dziwnie, słysząc jego głos dochodzący jednocześnie ze słuchawki i z gabinetu na piętrze.

– To absurdalne – powtarza.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – mówi Benton jednocześnie dwoma głosami. – Dlaczego ona miała drzazgi między łopatkami? Skąd się mogły wziąć?

– Drzazgi?

– Podrapany pas skóry, w którą wbite były drzazgi. Na plecach, między łopatkami. Ciekaw jestem, czy masz jakieś zdanie na ten temat i czy możesz mi powiedzieć, czy to stało się przed jej śmiercią czy już po niej.

– Może zabójca ciągnął ją po drewnianej podłodze albo uderzył w plecy czymś drewnianym. Mogło być kilka powodów. – Kay odwraca kurczaka widelcem.

– Czy gdyby ktoś ciągnął ją po podłodze, nie miałyby tych drzazg także w innych miejscach? Zakładając, że była wtedy naga.

– Niekoniecznie.

– Wolałbym, żebyś przyszła na górę.

– Jakież obrażenia wskazujące na walkę?

– Dlaczego tu nie przyjdiesz?

– Przyjdę, jak tylko zapanuję nad lunchem. Napaść na tle seksualnym?

– Nie ma żadnych dowodów, ale z pewnością w grę wchodził motyw seksualny. Nie jestem jeszcze głodny.

Doktor Scarpetta dosypuje jeszcze trochę ryżu i odkłada łyżkę na papierowy ręcznik.

– Jakież potencjalne źródła DNA? – pyta.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Może odgryzła mu kawałek nosa albo palca i wyjęli go potem z jej żołądka.

– Mów poważnie.

– Ślina, włosy, jego krew – wylicza. – Mam nadzieję, że zebrali z niej wszystko, co tylko można było.

– Może jednak porozmawiamy o tym na górze.

Kay zdejmuje fartuch i idzie w stronę schodów, rozmawiając jednocześnie przez telefon i myśląc o tym, jakim absurdem jest rozmawianie przez komórkę z osobą, która przebywa w tym samym domu.

– Kończę – mówi, stając na szczycie schodów i spoglądając na niego.

Benton siedzi na czarnym skórzanym krześle. Przez chwilę patrzą sobie w oczy.

– Dobrze, że nie przyszedłaś tu wcześniej – mówi. – Rozmawiałem właśnie przez telefon z nieprawdopodobnie piękną kobietą.

– Dobrze, że nie było cię w kuchni i nie słyszałaś, z kim ja rozmawiałam!

Przysuwa sobie krzesło, siada obok Bentona i patrzy na monitor, na zdjęcie martwej kobiety leżącej twarzą do dołu na stole chirurgicznym, na czerwone odciski dłoni na jej ciele.

– Prawdopodobnie namalowano je farbą w sprayu i przy szablonie mówi.

Benton powiększa widok fragmentu skóry między łopatkami kobiety. Kay przygląda się czerwonemu otarciu.

– Odpowiadając na jedno z twoich pytań – mówi po chwili – owszem, można określić, czy te drzazgi wbiły się w jej skórę przed śmiercią czy po. Określa się to na podstawie reakcji tkanki. Pewnie nie robili badań histologicznych.

– Nie wiem.

– Czy Thrush ma dostęp do SEMEDS, skanującego mikroskopu elektronowego z rentgenowskim systemem energii dyspersyjnej?

– W laboratoriach policji stanowej mają wszystko.

– Proponowałabym pobranie próbki tych drzazg, powiększenie jednej z nich sto do pięciuset razy i dokładne obejrzenie. Dobrze byłoby też zbadać

je na obecność miedzi.

Benton patrzy na nią przez moment, potem wzrusza ramionami.

– Dlaczego?

– Bo znajdujemy ją we wszystkich miejscach, które ostatnio badamy. Nawet na zapleczu tego sklepu, o którym mówił twój Basil. Prawdopodobnie to miedź zawarta w środku grzybobójczym.

– Rodzina Quincych zajmowała się architekturą krajobrazu. Podejrzewam, że wielu hodowców drzew cytrusowych używa takich środków.

Być może po prostu ktoś z rodziny przeniósł go na butach.

– Znaleźliśmy tam też farbę, być może taką, jakiej używano do malowania tych dłoni. W miejscu, gdzie były również ślady krwi.

Benton milknie na moment, zastanawia się.

– To wspólny element wszystkich morderstw Basila – mówi po chwili. – Na ciałach wszystkich ofiar, które udało nam się odnaleźć, były ślady miedzi. Miedzi, a czasem też pyłku kwiatowego drzew cytrusowych.

Wtedy wydawało nam się to bez znaczenia. Pyłek kwiatowy jest wszędzie. Nikt nie pomyślał o środkach grzybobójczych. Może zabierał je gdzieś, gdzie używa się tego typu środków, do miejsca z drzewami cytrusowymi? – Spogląda w okno, na szare niebo i pług śnieżny, który mozolnie odśnieża ulicę.

– O której godzinie musisz wyjść? – Doktor Scarpetta patrzy na fotografię otartej skóry na plecach kobiety.

– Dopiero po południu. Basil ma być o piątej.

– Świetnie. Zobacz, w tym miejscu skóra jest otarta mocniej niż gdzie indziej. – Wskazuje na ekran. – Na tyle mocno, że został zniszczony nabłonek. A jeśli przyjrzesz się temu lepiej... – powiększa obraz –

zobaczysz, że zanim otarcie zostało oczyszczone, była na nim warstwa płynu surowiczo-krwistego.

– Jasne. To wygląda jak strup. Ale nie na całej powierzchni.

– Jeśli otarcie jest dość głębokie, dochodzi do wycieku płynu z naczynek. I masz rację, niecałe otarcie jest pokryte tym strupem, co każe mi przypuszczać, że w rzeczywistości jest to kilka otarć powstałych w różnym czasie, choć wszystkie powstały na skutek wielokrotnego kontaktu z szorstką powierzchnią.

– To dziwne. Próbuję to sobie wyobrazić.

– Szkoda, że nie mamy wyników badań histologicznych. Białe krwinki o różnokształtnych jądrach wskazywałyby zapewne, że rana powstała jakieś cztery do sześciu godzin przed śmiercią. Rdzawo-brązowe strupy powstają dopiero po upływie około ośmiu godzin. Z pewnością ofiara żyła jeszcze przez jakiś czas po tym, jak powstała ta rana.

Kay przygląda się kolejnym fotografiom, uważnie, długo. Robi notatki.

– Jeśli spojrzysz na fotografii od trzynastej do osiemnastej, zobaczysz coś, co wygląda jak niewielkie kawałki czerwonej opuchlizny na jej pośladkach i nogach – mówi po chwili. – Moim zdaniem są to ślady ukąszeń owadów, i zaczęły już się goić. A jeśli wrócisz do zdjęcia zadrapania na plecach, zobaczysz opuchliznę i ledwie widoczny krwotok wybroczynowy, co może być wynikiem ukąszenia pająka. Jeśli się nie mylę, pod mikroskopem zobaczysz przekrwienie i przenikanie białych krwinek, głównie granulocytów eozochłonnych, w zależności od jej reakcji.

Nie jest to zbyt miarodajne badanie, ale moglibyśmy też sprawdzić, czy nie wystąpiła u niej reakcja anafilaktyczna. Ale nie sądzę, by do tego doszło. Ta kobieta z pewnością nie umarła w wyniku szoku anafilaktycznego powstałego po ukąszeniu owada. Szkoda, że nie mamy tej cholernej histologii. Tam mogło być coś więcej niż te drzazgi. Włosy

wywołujące pokrzywkę. Pająki, szczególnie tarantule, strzelają nimi, kiedy czują się zagrożone.

– Swędzenie? – pyta krótko Benton.

– Jeśli rzeczywiście została zaatakowana przez pająka, swędziałyby ją to jak diabli – potwierdza doktor Scarpetta. – Mogła się ocierać o coś plecami i podrapać do krwi.

## Rozdział 53

**C**ierpiała. Nie wiem, gdzie ją trzymał, ale była wielokrotnie kąsana przez owady. A to ukąszenie na plecach wygląda mi na bolesne, swędzące i paskudne – mówi Kay.

– Komary? – podsuwa Benton.

– Tylko jeden? Tylko jedno ukąszenie między łopatkami? Nigdzie indziej na jej ciele nie ma podobnych otarć, prócz kolan i łokci – mówi dalej Scarpetta. – Tam są niewielkie otarcia czy zadrapania, jakie można by znaleźć na ciele każdego, kto klęczał na szorstkiej powierzchni lub się o nią opierał. Ale to wcale tak nie wygląda – wskazuje na czerwone miejsce między łopatkami martwej kobiety.

– Moim zdaniem ona klęczała, kiedy ją zastrzelił – mówi Benton. Wskazuje na to układ plam krwi na jej spodniach. Czy można sobie otrzeć kolana, kiedy się klęczy w spodniach?

– Jasne.

– Więc najpierw ją zabił, a potem rozebrał. To zmienia postać rzeczy, prawda? Gdyby chciał ją seksualnie upokorzyć i sterroryzować, najpierw kazałby jej się rozebrać i uklęknąć nago, a potem dopiero włożyłby jej pistolet do ust i strzelił.

– A co z łuską w jej odbyciu?

– Może to złość. Może chciał, żebyśmy ją znaleźli i połączyli ze sprawą na Florydzie.

– Uważasz, że to morderstwo zostało popełnione spontanicznie, w ataku złości. A z drugiej strony mówisz o przemyślanym posunięciu, elemencie gry, którą miałyby z nami prowadzić sprawca. – Doktor Scarpetta patrzy nań pytająco.

– W przypadku takich ludzi te wszystkie elementy da się ze sobą połączyć. Witaj w świecie brutalnych socjopatów.

– Cóż, jedno jest jasne – stwierdza Kay. – Przynajmniej przez jakiś czas przetrzymywano ją w miejscu, gdzie było dużo owadów. Prawdopodobnie mrówki, może pająki. W normalnym domu czy pokoju hotelowym raczej trudno o plagę mrówek czy pajaków, przynajmniej nie w tym regionie. Nie o tej porze roku.

– Prócz tarantul. Zwykle ludzie trzymają je w domu, więc nie mają nic wspólnego z klimatem – odpowiada Benton.

– Została porwana z jakiegoś innego miasta. Gdzie właściwie znaleziono ciało? W Walden Pond?

– Około piętnastu metrów od ścieżki, a o tej porze roku chodzi tamtędy niewielu ludzi. Znalazła ją rodzina, która wybrała się na spacer nad staw. Ich labrador wbiegł w las i zaczął szczekać.

– To musi być naprawdę okropne, człowiek wybrał się na spacer, a tu coś takiego... – Doktor Scarpetta kręci głową, przeglądając raport z sekcji zwłok zapisany na płycie CD. – Nie leżała tam długo, jej ciało podrzucono po zmroku – mówi. – Oczywiście jeśli wierzyć temu, co tutaj napisano. To, że podrzucił ją po zmroku, wydaje się logiczne. I może zostawił ją z dala od ścieżki, bo nie chciał, by ktoś go zauważył. A jeśli chodzi o to... – wskazuje na zakrytą kapturem twarz i spodnie, które wyglądają jak pielucha. – Mógł zrobić to w ciągu kilku minut, jeśli był przygotowany, jeśli wcześniej



wyciął w majtkach otwory na oczy, jeśli ciało było już nagie i tak dalej. To wszystko każe mi podejrzewać, że znał ten teren.

– Tak, to brzmi sensownie.

– Jesteś głodny czy zamierzasz siedzieć tutaj przez cały dzień?

– Odpowiem, jak mi powiesz, co zrobiłaś.

– Risotto alia Sbirraglia. Znane także jako risotto z kurczaka.

– Sbirraglia? – Benton bierze ją za rękę. – To jakaś egzotyczna rasa weneckich kur?

– Prawdopodobnie nazwa pochodzi od *sbirri*, czyli pejoratywnego określenia policji. Odrobina humoru w ten niewesoły dzień.

– Nie rozumiem, co policja ma wspólnego z potrawą z kurczaka.

– Jeśli wierzyć moim źródłom wiedzy kulinarnej, w czasach gdy Wenecję okupowali Austriacy, policjanci szczególnie lubili tę potrawę. Myślałam też o butelce Soave albo bardziej treściwego Piave Pinot Bianco.

Masz jedno i drugie w swojej piwnicy, a jak mówią weneccjanie, „Ten, kto dobrze pije, dobrze śpi, a kto dobrze śpi, nie myśli o złych rzeczach, nie robi złych rzeczy i idzie do nieba”, czy jakoś tak.

– Obawiam się, że całe wino świata nie powstrzyma mnie od myślenia o złych rzeczach – wzdycha Benton. – I nie wierzę w niebo. Tylko w piekło.

## Rozdział 54

Nad drzwiami strzelnicy pali się czerwone światło, a z wnętrza dobiega głuchy huk wystrzałów. Marino przechodzi przez hol głównego budynku akademii i otwiera drzwi strzelnicy. Nie przejmuje się zapalonym światłem ostrzegawczym, jeśli tylko strzelcem jest Vince.

– Latałeś już dzisiaj? – pyta detektyw, wchodząc na strzelnicę po schodach z metalowej kratki.

Vince jest ubrany w czarny kombinezon lotniczy i czarne skórzane buty do kostek. Kiedy nie tkwi po uszy w świetle broni, jest jednym z pilotów helikopterów. Podobnie jak w wypadku wielu innych pracowników Lucy, jego wygląd zupełnie nie pasuje do profesji. Vince ma sześćdziesiąt pięć lat, pilotował black hawki w Wietnamie, a potem pracował w ATF. Ma krótkie nogi, wydatny tors i siwy kucyk, którego, jak twierdzi, nie obcinał od dziesięciu lat.

– Mówiłeś coś? – pyta Vince, zdejmując słuchawki i okulary do strzelania.

– Cud, że w ogóle jeszcze coś słyszysz.

– Nie tak dobrze, jak kiedyś. Kiedy wracam do domu, staję się głuchy jak pień, przynajmniej tak mówi moja żona.

Marino rozpoznaje rewolwer; Black Widow z palisandrową rękojeścią, który testuje Vince, to broń znaleziona pod łóżkiem Daggie Simister.

– Czarna Wdowa, słodka dwudziestkadwójka – mówi Vince. – Pomyślałem, że warto by ją dodać do bazy danych.

– Wygląda tak, jakby wcześniej nikt z niej nie strzelał.

– Nie zdziwiłbym się. Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu ludzi ma w domu broń do ochrony przed włamywaczami, a nie pamięta, gdzie ją położyło, albo w ogóle nie pamięta, że ją ma, albo też nie wie, że już dawno gdzieś zaginęła.

– Mamy właśnie taki problem. Zaginiona broń – mówi Marino.

Vince otwiera pudełko z amunicją i wkłada pociski do bębna.

– Chcesz spróbować? – pyta. – Dość dziwna broń dla zniedołężniałej staruszki. Ale ktoś jej to dał. Zwykle polecam coś łatwiejszego w obsłudze, na przykład lady smith trzydziestkęósemkę albo pitbulla. Rozumiem, dlaczego leżał pod łóżkiem, praktycznie poza zasięgiem tej staruszki.

– Kto ci to powiedział? – pyta Marino, ogarnięty tym samym uczuciem, które ostatnio tak często go nawiedzało.

– Doktor Amos.

– Nie było go na miejscu przestępstwa. Skąd, do diabła, może o tym wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Przyłazi tutaj co chwila i gra mi na nerwach.

Mam nadzieję, że doktor Scarpetta nie zatrudni go na stałe. Jeśli to zrobi, będę musiał poszukać sobie pracy gdzie indziej. Proszę. – Podaje detektywowi naładowany rewolwer.

– Nie, dziękuję. Mógłbym ewentualnie postrzelać do Amosa, ale to chyba nie wchodzi w grę.

– Wspominałeś coś o zaginionej broni.

– Zginęła strzelba z naszego magazynu.

– Niemożliwe. – Vince kręci głową.

Schodzą ze strzelnicy, Vince odkłada rewolwer na stół, na którym leżą inne, a także strzelby, pudełka z amunicją, różnego rodzaju tarcze i przestrzelona szyba samochodowa.

– Mossberg osiem trzy pięć UltiMag – mówi Marino. – Użyty podczas napadu i morderstwa dwa lata temu. Sprawa wyjaśniona w błyskawicznym tempie, kiedy facet za ladą przestrzelił podejrzanemu głowę.

– Hm, dziwny zbieg okoliczności – mówi skonsternowany Vince.

– Doktor Amos zadzwonił jakieś pięć minut temu i spytał, czy może do mnie wpaść i sprawdzić coś w komputerze.

Przechodzi do lady, na której stoją mikroskopy porównawcze, cyfrowy miernik i komputer. Stuka w klawiaturę palcem wskazującym, wywołuje menu i wybiera listę broni przechowywanej w magazynie. Sprawdza broń, o której mówił Marino.

– Powiedziałem, że nie, bo rzeczywiście nie mógł. Testowałem właśnie broń, a wtedy nikomu nie wolno wejść do środka. Spytałem, co takiego chce sprawdzić, ale powiedział, że to nieważne.

– Nie mam pojęcia, jak on na to wpadł. – Marino kręci głową. Skąd mógł się dowiedzieć? Wie o tym tylko mój kumpel z policji w Hollywood, a on na pewno nikomu nie mówił. Ja wspominałem o tym tylko doktor Scarpette i teraz tobie.

– Mossberg, lufa sześćdziesiąt centymetrów – czyta Vince. – Masz rację. Użyty podczas napadu i morderstwa. Podejrzany nie żyje. Otrzymany od policji Hollywood, marzec zeszłego roku. – Spogląda na Marina. – O ile dobrze pamiętam, to była jedna z dziesięciu czy dwunastu sztuk broni, których chcieli się pozbyć z depozytu. Hojni wujkowie, pod warunkiem że zapewnimy im bezpłatne szkolenia i konsultacje, piwo i czekoladki. Zobaczmy, co tutaj mamy. – Sprawdza dane na dole listy. Wygląda na to, że

używano jej tylko dwukrotnie. Raz strzelałem ja, w kwietniu, sprawdzałem, czy wszystko z nią w porządku.

– Sukinsyn – mruczy Marino, czytając mu przez ramię.

– Potem korzystał z niej jeszcze doktor Amos, dwudziestego ósmego czerwca o trzeciej piętnaście po południu.

– Po co?

– Może przeprowadzał testy z żelatynowymi manekinami. Zeszłego lata doktor Scarpetta zaczęła dawać mu lekcje gotowania. Tak często tutaj bywa, że nie jestem w stanie wszystkiego spamiętać. Według tych zapisów zwrócił broń tego samego dnia o piątej piętnaście. A jeśli sprawdzę tę datę w komputerze... Tak, jest taki zapis. Co oznacza, że wyjąłem ją z magazynu, a potem tam schowałem.

– Więc jak to się stało, że ktoś niedawno zastrzelił z niej człowieka?

– Chyba że w tym zapisie jest błąd – zastanawia się głośno Vince, marszcząc brwi.

– Może dlatego właśnie chciał się dostać do twojego komputera?

Sukinsyn. Kto zapisuje dane w rejestrze? Ty czy użytkownik? Ktoś oprócz ciebie ma dostęp do tego komputera?

– Ja wprowadzam wszystkie dane elektroniczne. Składasz zamówienie pisemne tutaj, w tej książce... – Vince wskazuje na grubą księgę leżącą przy telefonie – zapisujesz godzinę pobrania i godzinę zwrotu, wszystko odręcznie, z podpisem. Później ja wprowadzam te dane do komputera i potwierdzam w ten sposób, że broń wróciła do magazynu.

Widzę, że nigdy nie korzystałeś z naszego małego arsenału.

– Nie zajmuję się testowaniem broni. Zostawiam to tobie. Cholerny sukinsyn!

– W zamówieniu wpisujesz, jaki typ broni cię interesuje i na kiedy chciałbyś zarezerwować strzelnicę. Pokażę ci.

Sięga po księgę i otwiera ją na ostatniej zapisanej stronie.

– Tu znów jest wpis doktora Amosa – mówi. – Badanie broni przy użyciu żelatynowych bloków. Strzelał z taurusa PT145 dwa tygodnie temu. Tym razem przynajmniej łaskaw był coś wpisać. Poprzednio nawet tego nie chciało mu się zrobić.

– Jak dostał się do magazynu?

– Przyniósł własny pistolet. Kolekcjonuje broń, ma na tym punkcie fioła.

– Możesz sprawdzić, kiedy zapis dotyczący tej strzelby został wprowadzony do komputera? – pyta Marino. – No wiesz, kiedy dany plik został ostatnio zachowany. Zastanawiam się, czy Joe nie mógł jakoś zmienić danych w komputerze po fakcie, wejść do pliku tej broni i wpisać, że to ty mu ją dałeś, a potem zwróciłeś do magazynu.

– To zwykły plik tekstowy nazywany Log. Zamknę go teraz, ale nie zachowam, zobaczymy wtedy, kiedy był ostatnio modyfikowany. – Vince zamyka plik, a potem wbija wzrok w ekran, zszokowany. – Dwadzieścia trzy minuty temu! Nie wierzę!

– To nie jest chronione żadnym hasłem?

– Oczywiście, że jest. Tylko ja się mogę do tego dostać. No i Lucy, oczywiście. Zastanawiam się tylko, dlaczego doktor Amos chciał tutaj przyjść i sprawdzić coś w komputerze. Skoro i tak zmienił już zapis, to po co zawracał mi głowę?

– To proste. Gdybyś otworzył przy nim ten plik, a potem go zamknął i zachował, zmieniłaby się data ostatniego zachowania i niczego byś potem nie podejrzewał.

– A to spryciarz...

– Przekonamy się jeszcze, jaki jest sprytny.

– Sprawa jest naprawdę poważna. Skoro to zrobił, to znaczy, że zna moje hasło.

- Zapisaleś je gdzieś?
  - Nie. Jestem bardzo ostrożny.
  - Kto oprócz ciebie ma dostęp do tych plików i do magazynu? Dopadnę go tym razem. W ten czy inny sposób.
  - Lucy. Ona ma dostęp do wszystkiego. Chodź, sprawdzimy na miejscu. Magazyn to ognioodporne pomieszczenie o metalowych drzwiach, które może otworzyć tylko ten, kto zna kod. Magazyn mieści w sobie szafki zawierające tysiące różnego rodzaju pocisków i naboji, oraz stojaki i wieszaki z setkami różnego rodzaju strzelb, rewolwerów, pistoletów i karabinów. Każdy z nich zaopatrzone jest w specjalny znaczek z numerem identyfikacyjnym.
  - Prawdziwy sklepik ze słodyczami – mówi Marino, rozglądając się dokoła.
  - Nigdy tu nie byłeś?
  - Broń mnie nie kręci. Miałem z nią przykre doświadczenia.
  - Jakie?
  - Musiałem jej używać.
- Vince przegląda stojaki ze strzelbami, podnosi każdą z nich i sprawdza numer. Robi to dwukrotnie. Wraz z Marinem przechodzi od stojaka do stojaka, szukając mossberga. Bez powodzenia.



Doktor Scarpetta wskazuje na układ plam opadowych, czerwono-fioletowych przebarwień, miejsc, gdzie opadła krew wskutek siły ciężenia. Białe obszary na piersiach, brzuchu, udach i wewnętrznych częściach

przedramion to miejsca, gdzie ciało zamordowanej kobiety przyciśnięte było do jakiejś twardej powierzchni, zapewne podłogi.

– Leżała przez jakiś czas na brzuchu – mówi Scarpetta. – Przynajmniej kilka godzin.

Przywołuje na ekran komputera następną fotografię, pokazującą ciało ofiary na stole chirurgicznym. Jest już umyta, lecz odciski dłoni pozostały nietknięte, co oznacza, że są wodoodporne. Kay wraca do fotografii, którą oglądała przed chwilą, potem sprawdza jeszcze kilka innych, próbując złożyć w jedną całość dane dotyczące śmierci tej kobiety.

– Więc może po tym, jak ją zabił, odwrócił ją twarzą do dołu, żeby namalować odciski na jej plecach, i pracował nad tym kilka godzin – zastanawia się Benton. – Krew opadła na dół, zaczęły się tworzyć zsinienia i stąd ten układ plam.

– Ja widzę to trochę inaczej. – Doktor Scarpetta kręci głową. – Najpierw pomalował ją, gdy leżała na plecach, potem odwrócił, zajął się plecami i w takiej pozycji ją zostawił. Z pewnością nie robił tego wszystkiego na zewnątrz, w zimnym parku, raczej tam, gdzie nikt nie mógł usłyszeć strzału ani widzieć, jak wkładał ciało do samochodu. Być może zresztą zrobił to wszystko w samochodzie, w którym ją przywiózł, w furgonetce, suwie, ciężarówce. Zastrzelił, pomalował i przewiózł.

– Wszystko w jednym.

– Cóż, to zmniejszyłoby ryzyko, prawda? Porwać ją, zawieźć na odludzie i zabić w samochodzie, oczywiście jeśli byłby to odpowiednio duży samochód, a potem porzucić ciało – mówi doktor Scarpetta, przeglądając fotografie. Zatrzymuje się przy jednej, na którą patrzyła już wcześniej.

Teraz widzi ją inaczej. Zdjęcie pokazuje mózg kobiety, a właściwie jego resztki. Włóknista błona, która wyściela wnętrze czaszki, opona twarda,



powinna być kremowobiała. Na tej fotografii ma żółtopomarańczowe przebarwienia. Doktor Scarpetta przypomina sobie dwie siostry, Ev i Kristin, fotografię z komody w ich sypialni. Przypomina sobie żółtawą cerę jednej z nich i wraca do raportu z sekcji, sprawdza informację o twardówce, białkach oczu. Jest normalna.

Przypomina sobie surowe warzywa, dziewiętnaście torebek marchewki w lodówce Ev i Kristin, myśli o białych lnianych spodniach zamordowanej kobiety, pasujących raczej do ciepłego klimatu.

Benton patrzy na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

– Ksantochromia skóry – wyjaśnia Kay. – Żółte przebarwienie, które nie zmienia koloru twardówki. Prawdopodobnie wywoływane przez karotenemę. Być może wkrótce się dowiemy, kim jest ta kobieta.

## Rozdział 55

**D**oktor Bronson jest w swoim gabinecie, ogląda coś pod mikroskopem. Marino puka w otwarte drzwi.

Doktor Bronson, inteligentny i kompetentny, zawsze ma na sobie nieskazitelnie biały fartuch. Jest przyzwoitym szefem. Ale nie potrafi zerwać z przeszłością. Robi wszystko tak, jak robiło się kiedyś, dotyczy to także oceny innych ludzi. Marino wątpi, czy doktor Bronson bawi się w dogłębne sprawdzanie danych osobowych nowych pracowników, czy stosuje wszystkie nakazane procedury, które we współczesnym świecie są już standardem.

Puka ponownie, tym razem głośniej. Doktor Bronson podnosi wzrok znad mikroskopu.

– Witam, proszę wejść – mówi z uśmiechem. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

To człowiek minionej epoki, uprzejmy i czarujący. Ma całkiem łysą głowę i roztargnione szare oczy. Na jego starannie uporządkowanym biurku leży fajka, a w gabinecie zawsze unosi się delikatny aromat tytoniu.

– Przynajmniej tutaj, na słonecznym południu pozwalają jeszcze palić w budynku – zauważa Marino, przysuwając sobie krzesło.

– Cóż, nie powinienem tego robić. – Doktor Bronson wzdycha. Żona powtarza mi, że dostanę raka gardła albo języka. A ja jej odpowiadam, że jeśli się tak stanie, przynajmniej nie będę mógł narzekać na swój los.

Marino przypomina sobie, że nie zamknął drzwi. Wstaje, zamyka je i siada z powrotem.

– Jeśli wytną mi język albo struny głosowe, nie będę mógł za wiele powiedzieć – dodaje doktor Bronson, jakby jego gość nie zrozumiał żartu.

– Potrzebuję kilku rzeczy – mówi Marino. – Po pierwsze, chcielibyśmy zbadać próbkę DNA Johnny’ego Swifta. Doktor Scarpetta mówi, że w jego aktach powinno być kilka kart DNA.

– Ona powinna zająć moje miejsce. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby właśnie ona zajęła moje miejsce – stwierdza doktor Bronson, a sposób, w jaki to mówi, każe detektywowi przypuszczać, że dyrektor wie aż za dobrze, co myślą o nim ludzie.

Wszyscy chcą, by odszedł na emeryturę. Chcieli już tego przed laty.

– Ja zbudowałem to miejsce – ciągnie. – Nie mogę pozwolić, żeby przyszedł tu jakiś Tom, Dick czy Harry i spaprał wszystko. To byłoby nie fair względem ludzi. Z pewnością nie fair względem mojego personelu. – Podnosi słuchawkę i wciska guzik. – Polly? Bądź tak dobra i przynieś mi tutaj akta Johnny’ego Swifta. Pamiętaj też o tych wszystkich pokwitowaniach. – Słucha przez chwilę, potem odpowiada: – Bo będziemy musieli wydać kartę DNA Pete’owi. Potrzebują jej do jakichś badań w laboratorium.

Odkłada słuchawkę, zdejmuje okulary i czyści je chusteczką.

– Zakładam więc, że pojawiły się jakieś nowe tropy w tej sprawie? – pyta.

– Chyba na to wygląda – potwierdza Marino. – Kiedy będziemy mieli pewność, pan dowie się o tym pierwszy. Powiedzmy na razie, że mamy

kilka nowych informacji, z których jasno wynika, że Johnny Swift został zamordowany.

– Chętnie zmienię orzeczenie, jeśli tylko jakoś to udowodnicie. Ta sprawa od początku mi się nie podobała. Ale musiałem trzymać się dowodów, a te były dosyć skąpe i wskazywały raczej na samobójstwo.

– Prócz braku broni na miejscu zbrodni – nie może się powstrzymać Marino.

– Cóż, różne rzeczy się zdarzają, Pete. Nawet nie pamiętam, w ilu już sprawach rodzina niszczyła lub chowała różnego rodzaju materiały dowodowe w trosce o dobre imię swoich bliskich. Szczególnie przy autoerotycznym uduszeniu. Przyjeżdżam na miejsce, a tam nie ma ani jednego czasopisma pornograficznego ani sznurów czy pasów, którymi krępował się zmarły. To samo z samobójstwami. Rodziny nie chcą, by ktokolwiek o tym wiedział albo chcą otrzymać pieniądze z ubezpieczenia, ukrywają więc nóż czy też pistolet. Robią naprawdę dziwne rzeczy.

– Musimy porozmawiać o Joe Amosie – mówi Marino.

– To moje rozczarowanie. – Doktor Bronson kręci głową, a na jego życzliwej zazwyczaj twarzy pojawia się grymas niechęci. – Prawdę mówiąc, żałuję, że poleciłem go jako stypendystę waszej szacownej instytucji. Szczególnie dlatego, że Kay zasługuje na kogoś o nieco lepszego niż ten mały arogancki gnojek.

– Właśnie do tego zmierzam. Na jakiej podstawie? Dlaczego pan go polecił?

– Ze względu na jego imponujące wykształcenie i referencje. Naprawdę ma się czym pochwalić.

– Gdzie są jego dokumenty? Ma je pan jeszcze? Oryginały?

– Oczywiście. Zatrzymałem oryginały, a kopie przesłałem Kay.

– Czy kiedy przeglądał pan te wszystkie wspaniałe dyplomy i referencje, sprawdzał pan jakoś ich autentyczność? – Marino wolałby uniknąć tego pytania, ale nie ma wyjścia. – Ludzie potrafią teraz sfałszować wiele rzeczy. Szczególnie dzięki grafice komputerowej, Internetowi i tak dalej.

Dlatego właśnie kradzież tożsamości stała się ostatnio takim problemem.

Doktor Bronson podjeżdża z krzesłem do szafy na dokumenty i otwiera szufladę. Przegląda przez chwilę pliki dokumentów oznaczonych fiszkami, wreszcie wyciąga ten z nazwiskiem Joe Amosa. Wręcza go detektywowi.

– Proszę bardzo – mówi.

– Mogę posiedzieć tu przez chwilę?

– Nie wiem, dlaczego nie ma tu jeszcze Polly – mówi doktor Bronson, przysuwając się z powrotem do mikroskopu. – Możesz tu siedzieć, ile tylko chcesz, Pete. Ja wracam do swojej sprawy. Smutna historia.

Znaleźli tę biedaczkę w basenie. – Ustawia ostrość, pochylony nad okularem. – Właściwie znalazł ją jej dziesięcioletni syn. Powstaje tylko pytanie, czy utonęła, czy też jej śmierć była wynikiem jakiegoś innego poważnego schorzenia czy też urazu, na przykład zawału serca. Była bulimiczką.

Marino przegląda listy dotyczące Joe Amosa, które pisali dyrektorzy wydziałów medycznych różnych uczelni i inni patologowie. Przerzuca pięciostronicowy życiorys.

– Doktorze Bronson, czy kiedykolwiek dzwonił pan do któregoś z tych ludzi? – pyta Marino.

– A po co? – Dyrektor podnosi wzrok znad mikroskopu. – Na sercu nie ma żadnych blizn. Oczywiście jeśli miała zawał, a potem żyła jeszcze kilka godzin, niczego nie znajdę. Pytałem, czy wcześniej wymiotowała albo zażywała jakieś środki przeczyszczające. To też mogło zaciemnić obraz sprawy.

– Żeby sprawdzić referencje Joe – odpowiada na jego pytanie Marino. – Żeby się upewnić, czy wszystkie te szuchy rzeczywiście go znają.

– Oczywiście, że go znają. Napisali do mnie przecież te listy.

Marino podnosi do światła pierwszy z brzegu papier. Dostrzega znak wodny, który wygląda jak korona i włożony w nią miecz. Podnosi kolejne listy. Na wszystkich jest ten sam znak wodny. Listy wyglądają przekonująco, ale równie dobrze mogły zostać sfabrykowane za pomocą jakiegoś programu graficznego. Marino bierze do ręki opinię napisaną rzekomo przez szefa działu patologii w szpitalu Johna Hopkinsa i wybiera numer. Zgłasza się sekretarka.

– Szef wyjechał – oznajmia.

– Dzwonię w sprawie doktora Joe Amosa – mówi Marino.

– Kogo?

Wyjaśnia. Pyta, czy mogłaby zajrzeć do swoich dokumentów.

– Pani szef napisał list polecający dla Joe Amosa prawie rok temu, siódmego grudnia – mówi jej Marino. – Na dole są inicjały osoby, która przepisała ten list na komputerze. LFC.

– Tu nie ma nikogo z takimi inicjałami. Zresztą osobą, która pisałaby taki list, byłabym ja, a to z pewnością nie moje inicjały. O co tu właściwie chodzi?

– O zwykłe oszustwo – odpowiada Marino.

## Rozdział 56

**L**ucy jedzie jednym ze swoich podrasowanych wrodów drogą Al A na północ, do domu Freda Quincy'ego.

Siedziba firmy Freda znajduje się poza jego domem w Hollywood. Quincy nie spodziewa się jej, ale Lucy wie, że jest u siebie, a przynajmniej był pół godziny temu, kiedy dzwoniła do niego i chciała namówić go do prenumeraty „The Miami Herald”. Był uprzejmy, znacznie bardziej uprzejmy, niż byłaby Lucy, gdyby jakiś akwizytor odważył się zadzwonić na jej domowy numer. Mieszka dwie przecznice od plaży i musi mieć sporo pieniędzy. Lucy zatrzymuje motocykl przed bramą, za którą znajduje się podjazd prowadzący do piętrowego domu, i wciska guzik interkomu.

- Czym mogę służyć? – pyta ją męski głos.
- Policja.
- Nie wzywałem policji.
- Chciałam porozmawiać z panem o pana matce i siostrze.
- W jakim wydziale pani pracuje? – pyta podejrzliwie mężczyzna.
- U szeryfa Browarda.

Wyjmuje portfel i podnosi swoje fałszywe dokumenty do oka kamery. Kilka sekund później brama zaczyna się odsuwać. Lucy wrzuca bieg i

wjeżdża na granitowy podjazd. Zatrzymuje się przed wielkimi czarnymi drzwiami, które otwierają się w chwili, gdy gasi silnik.

– Niezła maszyna – mówi mężczyzna, którym zapewne jest Fred.

Jest szczupły, średniego wzrostu, ma wąskie ramiona, jasne włosy i szaroniebieskie oczy. Na swój delikatny sposób wydaje się całkiem przystojny.

– Chyba nigdy nie widziałem takiego harleya – mówi, obchodząc motocykl dokoła.

– Jeździ pan? – pyta Lucy.

– Nie. Zostawiam niebezpieczne rozrywki innym.

– Zapewne Fred Quincy? – Lucy ściska jego dłoń. – Mogę wejść?

Idzie za nim do wykładanego marmurowymi płytkami holu, a potem do salonu, którego okna wychodzą na wąski, mętny kanał.

– Co z moją mamą i Helen? Znaleźliście coś?

Fred reaguje w sposób, w jaki zareagowałby każdy normalny człowiek na jego miejscu. Nie jest po prostu ciekawy ani nie wpada w histerię. Jego oczy wypełnia ból, jest w nich także iskra nadziei.

– Fredzie – mówi do niego Lucy, przechodząc od razu na ty. – Nie jestem z policji. Zatrudniam prywatnych detektywów i mam laboratoria.

Poproszono nas o pomoc w tej sprawie.

– Więc oszukałaś mnie – mówi Quincy chłodnym, nieprzyjaznym tonem. – Coraz mniej mi się to podoba. Założę się, że to ty dzwoniłaś przed chwilą i chciałaś mnie namówić do prenumeraty. Żeby sprawdzić, czy jestem w domu.

– Zgadza się. – Lucy kiwa głową.

– Zastanawiam się, czy powinienem jeszcze w ogóle z tobą rozmawiać.

– Nie chciałam mówić o tej sprawie przez interkom.

– Dlaczego ktoś znów się tym zainteresował? Dlaczego teraz?



– Przykro mi, ale to ja będę teraz zadawać pytania – odpowiada Lucy.



– Wuj Sam kieruje palec na CIEBIE i mówi: CHCĘ TWOICH CYTRUSÓW.

Doktor Self robi dramatyczną pauzę. Siedzi rozparta wygodnie na skórzanym krześle pośrodku studia, w którym kręcony jest jej program „Porozmawiaj o tym”. W tym odcinku nie ma żadnych gości. Nie potrzebuje ich. Na stoliku obok krzesła stoi telefon. Kamery pokazują ją na przemian z różnych stron, kiedy wciska guzik i mówi:

– Tutaj doktor Self. Jesteś na antenie. Więc jak sądzisz? – pyta. Czy Departament Rolnictwa narusza czwartą poprawkę do naszej konstytucji?

To pułapka, a doktor Self nie może się już doczekać, kiedy skoczy do gardła głupkowi, który właśnie do niej zadzwonił. Spogląda na monitor, ogromnie zadowolona ze swego wyglądu.

– Pewnie, że tak – mówi głupek przy telefonie.

– Jak masz na imię? Sandy?

– Tak. Ja...

– Wuj Sam z siekierą, tak? Tak widzą to ludzie?

– Kantują nas. To spisek.

– Więc tak to widzisz? Dobry wujek Sam ścina wszystkie nasze drzewa. Ciach, ciach... – Zerka na kamerzystów; widzi, jak jej producent się uśmiecha.

– Ci gnoje weszli do mojego ogrodu bez pozwolenia, a potem powiedzieli, że zetną wszystkie drzewa...

– A gdzie mieszkasz, Sandy?

– W Copper City. Wcale się nie dziwię, że ludzie chcą do nich strzelać albo szczuć ich psami...

– Powiem ci coś, Sandy – przerywa mu doktor Self i pochyla się do przodu, jakby chciała wygłosić właśnie jakąś bardzo ważną uwagę. Ludzie tacy jak ty nie przywiązują wagi do faktów. Brałeś udział w spotkaniach? Pisałeś jakieś protesty? Próbowalesz zapytać o to wprost i dopuścić do siebie myśl, że może jednak wyjaśnienia Departamentu Rolnictwa mają jakiś sens?

Doktor Self często broni poglądów przeciwnych do tych, które prezentują jej rozmówcy. Jest z tego znana.

– Te brednie o huraganach... biiip... – wścieka się głupek.

Doktor Self jest pewna, że zaraz zaczniesz przeklinać.

– To nie żadne „biiip” – przedrzeźnia go. – Nie ma w tym żadnego „biiip”. Prawda jest taka – mówi, zwracając się do kamery – że zeszłej jesieni mieliśmy cztery duże huragany, a zaraza cytrusowa to choroba bakteryjna roznoszona przez wiatr. Po przerwie porozmawiamy o realnych zagrożeniach, jakie niesie ze sobą ta plaga, a pomoże nam w tym specjalny gość. Zostańcie z nami!

– Zeszliśmy z anteny – mówi kierownik.

Doktor Self sięga po butelkę z wodą. Pije ją przez rurkę, by nie rozsmarować sobie szminki. Czeką, aż charakteryzatorka przypudruje jej nos i czoło, niecierpliwi się, gdy musi na nią czekać, niecierpliwi się, gdy poprawki trwają dłużej, niż myślała.

– W porządku, wystarczy. – Doktor Self podnosi rękę i odgania charakteryzatorkę. – Idzie chyba nieźle – zwraca się do producenta.

– Myślę, że w następnej części powinniśmy się skupić na psychologii.

Dlatego właśnie ludzie chcą cię oglądać, Marilyn. Nie chodzi im o politykę, tylko o problemy z dziewczyną, szefem, matką, ojcem.

- Nie potrzebuję dobrych rad.
- Nie chciałem...
- Posłuchaj, mój program jest wyjątkowy, bo to niepowtarzalna mieszanka bieżących spraw i emocjonalnych reakcji.
- Absolutnie.
- Trzy, dwa, jeden.
- Witam ponownie. – Doktor Self uśmiecha się do kamery.

## Rozdział 57

**M**arino stoi pod palmą przed wejściem do akademii, obserwując Rebę, która idzie właśnie do swojej nieoznakowanej crown victorii.

Idzie wyzywającym krokiem, przynajmniej tak on to widzi. Zastanawia się, czy Reba robi to celowo, czy też jest to jej naturalne zachowanie. Zastanawia się też, czy go dostrzegła, ukrytego w cieniu drzewa, gdzie pali papierosa.

Nazwała go dupkiem. Wielu ludzi go tak nazywało, ale nie sądził nigdy, że zrobi to ona.

Reba otwiera samochód, potem jednak rozmyśla się nagle i nie wsiada. Nie patrzy w jego kierunku, Marino jest jednak pewien, że wyczuwa jego obecność. Nie powinna była powiedzieć tego, co powiedziała. Nie miała prawa mówić o doktor Scarpencie. Effexor wszystko zepsuł. Tak naprawdę Pete nie był wcale w depresji, dopóki nie zaczął go zażywać, a potem znów Reba zaczęła mówić o Kay i tych wszystkich gliniarzach, mających na nią ochotę.

Effexor był klęską. Doktor Self nie miała prawa dawać mu lekarstwa, które niszczyło mu życie seksualne. Nie miała prawa rozmawiać z nim ciągle o Scarpencie, jakby to właśnie ona była najważniejszą kobietą w jego życiu. Reba musiała mu przypomnieć. Powiedziała to, co powiedziała, żeby

uprzytomnić mu, że nie może się kochać, a także przypomnieć o mężczyznach, którzy mogą i chcą to robić z doktor Scarpettą. Marino nie zażywa effexoru już od kilku tygodni i ma coraz mniej problemów z seksem, tyle że teraz jest przygnębiony.

Reba przechodzi na tył samochodu i otwiera bagażnik.

Marino jest ciekawy, co ona robi. Dochodzi do wniosku, że właściwie może ją o to zapytać, a przy okazji przyznać uczciwie, że ponieważ on sam nie może nikogo aresztować, potrzebuje jej pomocy. Może ludziom grozić, straszyć ich, ale nie może nikogo zamknąć. To jedyny element pracy w policji, którego mu teraz brakuje. Reba wyciąga z bagażnika coś, co wygląda jak torba z praniem, i rzuca ją na tylne siedzenie, jakby była czymś wkurzona.

– Masz tam trupa? pyta Marino. Podchodzi do niej swobodnym krokiem i rzuca niedopałek na trawę.

– Słyszałeś kiedyś o koszu na śmieci?

Reba zatrzaskuje mocno drzwi, nawet na niego nie patrzy.

– Co jest w tej torbie?

– Muszę pojechać do pralni. Nie miałam czasu w tygodniu, zresztą to nie twoja sprawa – mówi, chowając się za ciemnymi okularami. – Nie traktuj mnie więcej jak gówno, przynajmniej nie przy innych ludziach.

Jeśli chcesz być dupkiem, to przynajmniej zachowuj się dyskretnie.

Marino spogląda ponownie na swoją palmę, jakby był to jego ulubiony widok, spogląda na budynek akademii, zastanawiając się, jak ubrać to w słowa.

– Cóż, byłaś dla mnie niemiła.

Reba wpatruje się weń z niedowierzaniem.

– Ja? O czym ty mówisz? Zwariowałeś? O ile dobrze pamiętam, to przy naszym ostatnim spotkaniu zaciągnąłeś mnie do Hooters i nawet nie

zapytałeś, czy chcę tam iść. Nie rozumiem, do ciężkiej cholery, dlaczego taki facet zabiera babkę do knajpy, gdzie są kelnerki z gołymi cyckami i tyłkami. Mówisz, że ja byłam dla ciebie niemiła? Chyba żartujesz. Kazałeś mi tam siedzieć, a sam gapiłeś się na te wszystkie dziwki!

– Wcale nie.

– Jasne, że tak.

– Ani trochę – mówi Marino, wyciągając paczkę papierosów. – Na nikogo się nie gapiłem. Myślałem o swoich sprawach, piłem kawę, a potem ni stąd, ni zowąd ty zaczęłaś wygadywać te bzdury o doktorce. Nie będę spokojnie wysłuchiwał takich bredni.

Jest zazdrosna, myśli, zadowolony. Powiedziała to, co powiedziała, bo myślała, że gapił się na kelnerki w Hooters, i może tak było. Żeby dać jej do myślenia.

– Pracuję z nią od stu lat i nie pozwalam nikomu mówić o niej w ten sposób – kontynuuje, zapalając papierosa. Mruży oczy w słońcu, przyglądając się grupie studentów w mundurach, którzy zmierzają w stronę parkingu, skąd pojedą zapewne do obiektu szkoleniowego policji Hollywood na pokaz działań jednostki zajmującej się rozbieraniem bomb.

– Przepraszam – szepcze Reba. – Nie chciałam powiedzieć o niej nic złego. Mówiłam tylko, że kilku facetów, z którymi pracuję...

– Chciałbym, żebyś kogoś aresztowała – przerywa jej Marino, spoglądając na zegarek. Nie zamierza słuchać ponownie tego, co powiedziała mu już raz w Hooters, i nie chce dopuścić do siebie myśli, że być może po części była to jego wina.

Że była to głównie jego wina.

Effexor. Reba dowiedziałyby się wcześniej czy później. To cholerstwo go zniszczyło.

– Za jakąś godzinę. Gdybyś mogła odłożyć wizytę w pralni – mówi.

– Nie cierpię jeździć do pralni. – Reba rzuca to ze złością, która nie całkiem go przekonuje.

Nadal go lubi.

– Mam własną pralkę i suszarkę – dodaje. – Nie mieszkam przecież w przyczepie kempingowej.

Marino wybiera numer Lucy, mówiąc jednocześnie do Reby:

– Mam pomysł. Nie wiem, czy się uda, ale może będziemy mieli szczęście.

Lucy odbiera i mówi mu, że nie może rozmawiać.

– To ważne – upiera się Marino, zerkając na Rebę. Przypomina sobie ich wspólny weekend w Key West, kiedy nie zażywał jeszcze effexoru. – Daj mi dwie minuty.

Słyszy, jak Lucy kogoś przeprosza, że musi odebrać telefon i zaraz wróci. Męski głos odpowiada, że nie ma problemu. Marino słyszy kroki Lucy. Spogląda na Rebę i przypomina sobie, jak upili się rumem w Paradise Lounge, oglądali razem zachody słońca i siedzieli do późnej nocy w gorącej kąpieli, kiedy nie zażywał jeszcze effexoru.

– Jesteś tam? – pyta Lucy.

– Czy można utworzyć takie połączenie, w którym będą brały udział dwie komórki i jedna linia stacjonarna, ale rozmawia tylko dwoje ludzi? – pyta.

– A co to, jakieś pytanie z testu Mensy?

– To ma wyglądać tak, jakbym gadał z tobą ze swojego gabinetu, ale w rzeczywistości będę rozmawiał przez komórkę. Halo? Jesteś tam?

– Sugerujesz, że ktoś podsłuchuje twoje rozmowy z telefonu podłączonego do systemu PBX?

– Z telefonu na moim biurku – precyzuje Marino, spoglądając na Rebę i zastanawiając się, czy jej zaimponował.

– O tym właśnie mówię. Kto? – pyta Lucy.

– Właśnie zamierzam się tego dowiedzieć, ale chyba i tak już wiem.

– Nikt nie mógłby tego zrobić bez hasła administratora systemu.

A administratorem jestem ja.

– Myślę, że jednak ktoś zna to hasło. To tłumaczyłoby wiele rzeczy.

Czy można zrobić to, o czym mówiłem? – pyta ponownie. – Czy mogę zadzwonić do ciebie z biura, potem włączyć się do rozmowy z komórki i zostawić linię telefoniczną stacjonarną otwartą, jakbym nadal przez nią rozmawiał, choć wcale mnie tam nie będzie?

– Tak, możemy to zrobić – odpowiada Lucy. – Ale nie w tej chwili.

Doktor Self naciska pulsujący guzik na telefonie.

– Nasz następny rozmówca musiał czekać kilka minut. Ma niezwykle przezwisko. Krabie? Przepraszam. Jesteś jeszcze z nami?

– Tak – rozbrzmiewa w studiu łagodny głos.

– Jesteś już na antenie – mówi Self. – Może powiesz nam, skąd się wzięło to niezwykle przezwisko? Wszyscy na pewno jesteśmy ciekawi.

– Tak się nazywam.

Zapada cisza. Doktor Self natychmiast ją wypełnia. Na antenie nie może być ani chwili milczenia.

– No dobrze, niech będzie Krab. Zadzwoniłeś do nas z niezwykle historią. Zajmujesz się strzyżeniem trawników. Strzygłeś właśnie pewien trawnik i zauważyłeś w którymś ogrodzie zarażone drzewa, tak?

– Nie. Niezupełnie.

Doktor Self jest zirytowana. Krab nie trzyma się scenariusza. Kiedy zadzwonił we wtorek po południu, a ona udawała swoją własną sekretarkę, powiedział wyraźnie, że odkrył zarazę w ogrodzie pewnej staruszki w Hollywood, tylko na jednym drzewie, co oznacza, że wszystkie drzewa w tamtym ogrodzie i w sąsiednich też muszą być ścięte. Kiedy wspomniał o



chorym drzewie jego właścicielce, staruszka zagroziła, że się zabije, jeśli on doniesie o tym do Departamentu Rolnictwa, zastrzeli się ze strzelby swego nieżyjącego męża.

Mąż staruszki zasadził te drzewa, kiedy się pobrali. Teraz już nie żyje, a drzewa to wszystko, co po nim zostało, jedyna pamiątka. Gdyby ktoś ściął te drzewa, pozbawiłby ją cennej części życia, a tego by nie zniosła.

– Śmierć tych drzew oznacza dla staruszki konieczność pogodzenia się w końcu z własnym losem – tłumaczy doktor Self swoim widzom. A kiedy tak się stanie, staruszka straci chęć do życia, przestanie widzieć w nim jakikolwiek sens. Będzie chciała umrzeć. Stoisz przed bardzo trudnym dylematem, Krabie, prawda? Zupełnie jakbyś miał zabawić się w Boga – mówi do mikrofonu.

– Nie bawię się w Boga. Robię to, co mi każe Bóg. To nie zabawa.

Doktor Self jest nieco zmieszana, ale się nie poddaje.

– To naprawdę trudny wybór. Zastosować się do zaleceń rządu czy iść za głosem serca?

– Namalowałem na nich czerwone pasy – mówi Krab. – Teraz ona już nie żyje. Ty byłaś następna. Ale nie ma czasu.

## Rozdział 58

Siedzą w kuchni przy stole, obok okna, które wychodzi na wąski, mętny kanał.

– Kiedy zajęła się tym policja – mówi Fred Quincy – poprosili mnie o kilka rzeczy zawierające ich DNA. Grzebień, szczoteczki do zębów, nie pamiętam już, co jeszcze. Nigdy się nie dowiedziałem, co z tym zrobili.

– Prawdopodobnie nigdy nie zrobiono tych badań – wyjaśnia Lucy, myśląc o tym, co przed chwilą powiedział jej Marino. – Pewnie te rzeczy ciągle leżą w magazynie. Możemy o nie poprosić, ale wolałabym nie czekać.

Sugestia, że ktoś się mógł dostać do hasła administratora systemu, jest absurdalna. Jest przerażająca. Marino musi się mylić. Lucy nie może jednak przestać o tym myśleć.

– Oczywiście nie traktują tej sprawy priorytetowo. Zawsze uważali, że one po prostu uciekły. Nie było żadnych śladów przestępstwa – ciągnie Fred. – Twierdzili, że powinny być jakieś ślady walki albo że ktoś powinien był coś widzieć. To się stało w biały dzień, dokoła byli ludzie. No i zniknął samochód mamy.

– Powiedziano mi, że samochód tam stał. Audi.

– Ależ skąd! Mama nie miała audi, ja miałem. Ktoś musiał zobaczyć moje auto, kiedy przyjechałem tam później, żeby ich szukać. Mama miała chevy blazera. Przewoziła nim różne rzeczy. Wie pani, ludziom wszystko się miesza. Pojechałem do sklepu, bo przez cały dzień nikt nie odbierał telefonu. Zniknęły samochód i torebka, nie było śladu ani po mamie, ani po mojej siostrze.

– Czy coś wskazywało na to, że w ogóle otworzyły wtedy sklep?

– Nic nie było włączone. Na drzwiach wisiała kartka „Zamknięte”.

– Coś zginęło?

– Niczego nie zauważyłem. Z pewnością nic, co rzucałoby się w oczy. Kasa była pusta, ale to jeszcze nic nie znaczy. Mama nie zostawiała w niej na noc pieniędzy. Musiało się coś wydarzyć, skoro nagle potrzebujecie ich DNA.

– Dam ci znać – mówi wymijająco Lucy. – Być może trafiliśmy na trop.

– Nie możesz mi powiedzieć?

– Obiecuję, że dam ci znać, gdy tylko coś się wyjaśni. Co sobie pomyślałeś, kiedy zacząłeś ich szukać, jak przyjechałeś do sklepu?

– Szczerze? Pomyślałem, że w ogóle tam nie pojechały, że wybrały się gdzieś na drugi koniec tęczy.

– Dlaczego tak to ująłeś?

– Mieliśmy sporo problemów. Finansowe wzloty i upadki. Problemy osobiste. Tata miał świetnie prosperującą firmę ogrodniczą, wiesz, zajmował się architekturą krajobrazu.

– W Palm Beach.

– Tam była główna siedziba. Ale miał też szklarnie i sady w innych miejscach, także w tej okolicy. Potem, w połowie lat osiemdziesiątych, zniszczyła go zaraza cytrusowa. Trzeba było wyciąć wszystkie drzewa, musiał zwolnić prawie wszystkich pracowników, stał na krawędzi

bankructwa. To było trudne dla mamy. Potem tata stanął na nogi, znów zaczął odnosić sukcesy, a to też było trudne dla mamy. Właściwie nie wiem, czy powinienem ci o tym wszystkim mówić.

– Fred, próbuję ci pomóc. Nie uda mi się, jeśli nie będziesz ze mną szczery.

– Trzeba zacząć od momentu, gdy Helen miała dwanaście lat – decyduje się Fred. – Ja pojechałem właśnie na studia do college’u. Oczywiście jestem od niej starszy. Helen zamieszkała na pół roku z bratem mojego ojca i jego żoną.

– Dlaczego?

– To było smutne... taka ładna, zdolna dziewczyna. Dostała się na Harvard, kiedy miała zaledwie szesnaście lat, ale nie wytrzymała nawet semestru, załamała się nerwowo i wróciła do domu.

– Kiedy?

– To było jesienią. Przed tym, jak zniknęły obie z mamą. Na Harvardzie wytrzymała tylko do listopada.

– Osiem miesięcy przed zaginięciem?

– Tak. Biednej Helen dostały się naprawdę kiepskie geny.

Milknie na chwilę, jakby się zastanawiał, czy mówić dalej, wreszcie kiwa głową:

– W porządku, skoro już zacząłem... Moja matka nie była całkiem normalna. Pewnie sama się już tego domyśliłaś, choćby ta jej obsesja na punkcie świąt. Zupełne wariactwo, raz lepiej, raz gorzej, odkąd tylko pamiętam. Ale zrobiło się naprawdę kiepsko, kiedy Helen miała dwanaście lat. Mama zachowywała się wtedy naprawdę irracjonalnie.

– Chodziła do jakiegoś psychiatry?

– Najlepszego, na jakiego było nas stać. Do tej gwiazdy z radia. Ona mieszkała wtedy w Palm Beach. Doktor Self. Zaproponowała

hospitalizację. To właśnie dlatego matka odesłała Helen do ciotki i wuja. Zdecydowała się leczyć w szpitalu, a ojciec był bardzo zajęty i nie miał ochoty opiekować się dwunastoletnim dzieciakiem. W końcu mama wróciła do domu. Potem wróciła też Helen, ale żadna z nich nie była normalna.

– Czy Helen chodziła do psychiatrii?

– Wtedy jeszcze nie – odpowiada Fred. – Była po prostu dziwna. Nie niezrównowazona jak mama, tylko po prostu dziwna. W szkole radziła sobie całkiem dobrze, nawet bardzo dobrze, a potem zaczęła studia na Harvardzie i się załamała, wypaliła, znaleziono ją w holu jakiegoś domu pogrzebowego, nie wiedziała, kim jest. Jakby tego było mało, umarł tata. Z mamą było coraz gorzej, wyjeżdżała gdzieś na weekend, nie mówiła dokąd, wkurzała mnie. To było straszne.

– Więc ci z policji uznali, że była niezrównowazona, i że zdarzało jej się wyjeżdżać bez uprzedzenia, więc być może po prostu uciekła z Helen?

– Sam się nad tym zastanawiałem. Wciąż się zastanawiam, czy moja mama i siostra nie żyją sobie spokojnie gdzieś daleko stąd.

– Jak umarł twój tata?

– Spadł z drabiny w bibliotece. Dom w Palm Beach miał dwa piętra, mnóstwo marmurów i kamienne płytki.

– Był sam, kiedy to się stało?

– Helen znalazła go na półpiętrze.

– Sama?

– Może z chłopakiem. Nie wiem.

– Kiedy to było?

– Kilka miesięcy przed tym zniknięciem. Helen miała wtedy prawie siedemnaście lat, była nad wiek rozwinięta. Prawdę mówiąc, kiedy wróciła z Harvardu, w ogóle nie można się z nią było dogadać. Zastanawiałem się zawsze, czy to reakcja na mojego tatę, wujka, krewnych z rodziny ojca.

Strasznie są poważni i religijni, Jezus to, Jezus tamto, ciągle w kościele. Diakoni, nauczyciele ze szkółki niedzielnej, zawsze gotowi nauczać innych.

– Poznałeś któregoś z chłopaków Helen?

– Nie. Ciągle gdzieś ją nosiło, znikająca na całe dni. Same kłopoty. Ja też nie wracałem do domu, jeśli nie musiałem. Obsesja mamy na punkcie świąt to smutny żart. W naszym domu nigdy nie było świąt. Zawsze było okropnie. – Fred milknie i wstaje od stołu. – Napiłbym się piwa, nie masz nic przeciwko temu?

– Śmiało.

Quincy wyjmuje butelkę michelob, odkręca kapsel. Zamyka drzwi lodówki i siada z powrotem na swoim miejscu.

– Czy twoja siostra trafiła kiedyś do szpitala? – pyta Lucy.

– Do tego samego, w którym była mama. Przez miesiąc, zaraz po tym załamaniu nerwowym. Nazywałem to klubem MacLean. Stare dobre rodzinne geny.

– Masz na myśli szpital MacLean w Massachusetts?

– Tak. Nie zapisujesz niczego? Nie wiem, jak ty to wszystko spamiętasz.

Lucy spogląda na długopis, który trzyma w dłoni, i myśli o małym dyktafonie ukrytym w kieszeni.

– Potrzebujemy DNA twojej mamy i siostry – mówi.

– Nie mam pojęcia, skąd je teraz wziąć. Chyba że weźmiemy to, co zabrała policja.

– Twoje wystarczy. Pomyśl o tym jak o drzewie rodzinnym DNA.

## Rozdział 59

**D**oktor Scarpetta patrzy przez okno na zimną białą ulicę. Dochodzi trzecia, a ona niemal od rana rozmawia przez telefon.

– Jakie ma pani zabezpieczenia? Musi pani mieć jakiś system, który kontroluje to, co mówią ludzie na antenie – mówi.

– Oczywiście. Jeden z producentów rozmawia z każdym, aby się upewnić, czy to nie jakiś wariat.

Dziwny dobór słów jak na psychiatrę.

– W tym wypadku ja sama rozmawiałam wcześniej z tym człowiekiem. To długa historia – dodaje szybko doktor Self.

– Powiedział, że nazywa się Krab, kiedy rozmawiała pani z nim po raz pierwszy?

– Nie zastanawiałam się wtedy nad tym. Wielu ludzi ma dziwne przydomki. Muszę to wiedzieć. Czy ostatnio zmarła nagle jakaś staruszka? Popełniła samobójstwo? Pani wie o takich rzeczach, prawda?

On groził, że mnie zabije.

– Codziennie umierają jakieś staruszki – odpowiada Kay wymijająco.

– Może pani podać mi więcej szczegółów? Co on dokładnie powiedział?

Doktor Self powtarza opowieść o zarażonych drzewach, o smutku po stracie ukochanego męża, o groźbach staruszki, która mówiła, że zastrzeli

się ze strzelby swojego męża, jeśli Krab doprowadzi do wycięcia jej drzew. Benton wchodzi do salonu z dwoma kubkami kawy, a Kay włącza głośnik w telefonie.

– Potem zagroził, że mnie zabije – kończy doktor Self. – Albo że chciał to zrobić, ale zmienił zdanie.

– Jest przy mnie ktoś, kto powinien to usłyszeć. – Doktor Scarpetta przedstawia jej Bentona. – Proszę powtórzyć mu to, co przed chwilą powiedziała pani mnie.

Benton siada na sofie, a doktor Self oświadcza, że nie rozumie, dlaczego jakiś psycholog sądowy z Massachusetts miałby się interesować samobójstwem na Florydzie, samobójstwem, którego może wcale nie było. Ale może ten ekspert potrafi ocenić, na ile realne jest zagrożenie dla jej życia, bardzo chętnie zaprosiłaby go też do swojego programu.

Co za człowiek mógłby grozić jej w ten sposób? Czy naprawdę jest w niebezpieczeństwie?

– Czy w pani studiu przechowuje się dane osób, które dzwonią do programu? – pyta Benton. – Czy ich numery są gdzieś zapisywane?

– Tak sądzę.

– Chciałbym to wiedzieć jak najszybciej – mówi. – Może uda nam się dowiedzieć, skąd ten mężczyzna dzwonił.

– Wiem, że nie odbieramy telefonów o zastrzeżonym numerze, zwłaszcza po telefonie wariatki, która groziła na antenie, że mnie zabije.

Dzisiejsza historia to nie pierwszy taki przypadek.

– Więc z pewnością znają państwo numery wszystkich rozmówców, którzy dzwonią do programu – kontynuuje Benton. – Chciałbym dostać wydruk numerów tych, którzy do pani dzwoniли w czasie audycji.

Chciałbym też spytać o pierwszą rozmowę z tym człowiekiem. Mówiła pani, że rozmawiała z nim wcześniej. Kiedy to było i czy dzwonił z



miejscowego numeru?

– To było we wtorek po południu. Mój telefon nie pokazuje numeru rozmówcy. Mam zastrzeżony numer i nie potrzebuję tego.

– Czy przedstawił się wtedy?

– Jako Krab.

– Zadzwoił do pani do domu?

– Do mojego prywatnego gabinetu. Spotykam się z pacjentami w gabinecie za domem. Tak naprawdę to domek gościnny przy basenie.

– Skąd mógł zdobyć ten numer?

– Nie mam pojęcia, nie zastanawiałam się nad tym wcześniej. Oczywiście mają go moi koledzy, ludzie, z którymi łączą mnie interesy, pacjenci.

– Czy to mógł być któryś z pani pacjentów?

– Nie rozpoznałam jego głosu. Nikt nie przychodzi mi do głowy. Rozumiem, że to jakaś większa sprawa. – Robi się nachalna. – Uważam, że mam prawo wiedzieć, co się dzieje, i dlaczego tak bardzo was to interesuje. Po pierwsze, nie powiedzieliście mi jeszcze, czy jakaś staruszka popełniła ostatnio samobójstwo z powodu drzew wyciętych w jej ogrodzie.

– Nic takiego się nie wydarzyło – odpowiada jej doktor Scarpetta. Ale mieliśmy niedawno sprawę, która nieco przypomina pani historię.

Starsza kobieta, której drzewa oznaczono jako chore i przeznaczono do wycięcia, zginęła od strzału w głowę.

– Boże. Czy to się stało w zeszły wtorek po szóstej po południu?

– Prawdopodobnie wcześniej – mówi Kay, która doskonale wie, dlaczego doktor Self o to pyta.

– Bogu dzięki. Więc już nie żyła, kiedy ten człowiek, Krab, do mnie zadzwonił. Zadzwoił pięć, może dziesięć po szóstej i opowiedział tę historię o kobiecie, która groziła, że się zabije. Więc musiał to zrobić już

wcześniej. Nie chciałabym, żeby zginęła tylko dlatego, że ten człowiek chciał wystąpić w moim programie.

Benton spogląda znacząco na Kay, jakby chciał powiedzieć: Co za narcystyczna, niewrażliwa suka, a potem mówi do mikrofonu:

– Próbuje obecnie dociec kilku innych rzeczy, pani doktor. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby udzieliła nam pani nieco więcej informacji o Davidzie Lucku. Przepisała mu pani ritalin.

– Chcecie powiedzieć, że i jemu coś się stało? Wiem, że zaginął. Macie jakieś nowe informacje?

– Owszem, są powody do obaw. – Doktor Scarpetta powtarza to, co już raz jej mówiła. – Niepokoi nas los Davida, jego brata i dwóch kobiet, z którymi mieszkali. Jak długo David był pani pacjentem?

– Od zeszłego lata. Po raz pierwszy przyszedł do mnie w lipcu. Pod koniec lipca. Jego rodzice zginęli w wypadku, miał kłopoty ze sobą, kiepsko radził sobie z nauką. Zarówno on, jak i jego brat uczyli się w domu.

– Jak często go pani widywała? – pyta Benton.

– Zwykle raz w tygodniu.

– Kto przyprowadzał go na te spotkania?

– Czasami Kristin. Czasami Ev. A czasami obie, wtedy spotykałam się z całą trójką.

– Jak David trafił do pani? – Tym razem pyta Scarpetta. – Jak trafił do pani gabinetu?

– To przejmująca historia. Kristin zadzwoniła kiedyś do programu.

Najwyraźniej słuchała mnie często i uznała, że może uda się jej dotrzeć do mnie w ten sposób. Zadzwoniła więc do programu i powiedziała, że opiekuje się południowoafrykańskim chłopcem, który stracił właśnie oboje rodziców i potrzebuje pomocy, i tak dalej, i tak dalej. To była naprawdę wzruszająca historia, zgodziłam się więc na antenie przyjąć tego chłopca.

Nie uwierzyłaby pani, ile listów od słuchaczy dostałam po tym programie.

Nadal je dostaję, ludzie chcą wiedzieć, jak sobie radzi mały sierota z RPA.

– Ma pani taśmę z nagraniem tej audycji? – pyta Benton.

– Mamy nagrania wszystkich audycji.

– Jak szybko może mi pani dostarczyć fragment z tą rozmową i nagranie z dzisiejszego programu? Obawiam się, że całkiem nas tu zasypało, przynajmniej na jakiś czas. Robimy, co możemy na odległość, ale nasze możliwości są ograniczone.

– Tak, słyszałam, że macie tam trudną sytuację. Mam nadzieję, że nie odetną wam prądu – mówi doktor Self, jakby spędzili ostatnie pół godziny na miłej pogawędce. – Mogę zadzwonić natychmiast do mojego producenta, a on prześle wam to mejlem. Jestem pewna, że będzie też chciał zaprosić was do programu.

– I numery telefoniczne gości – przypomina jej Benton.

– Doktor Self? – włącza się Kay, spoglądając z przerażeniem za okno.

Znów zaczyna śnieżyć.

– A co z Tonym? Bratem Davida?

– Ciągłe się kłócili.

– Tonym także się pani zajmowała?

– Nigdy go nie widziałam.

– Powiedziała pani, że znała Ev i Kristin. Czy któraś z nich miała jakieś kłopoty z odżywianiem?

– Nie leczyłam ich. Żadna z nich nie była moją pacjentką.

– Myślę, że to było widoczne. Jedna z nich była na stałej diecie marchewkowej.

– Sądząc po cerze, to musiała być Kristin.

Doktor Scarpetta spogląda na Bentona. Gdy tylko odkryła żółtawą oponeę twardą, kazała laboratorium akademii skontaktować się z detektywem Thrushem. DNA zabitej kobiety pasowało do DNA pobranego z żółtych plam na bluzce, którą Kay zabrała z domu Ev i Kristin. Ciało leżące w bostońskiej kostnicy należy najprawdopodobniej do Kristin, ale Kay nie zamierza dzielić się tą informacją z doktor Self, gdyż mogłaby ona opowiedzieć o tym na antenie.

Doktor Scarpetta kończy wreszcie rozmowę, a Benton wstaje z sofy i dorzuca drew do ognia. W świetle latarni za oknem widać gęsty śnieg opadający powoli na ulicę.

– Wystarczy kawy na dzisiaj – stwierdza Benton. – Moje nerwy już więcej nie zniosą.

– Czy ten śnieg nigdy nie przestaje padać?

– Główne ulice są już pewnie odśnieżone. Tutaj bardzo szybko sobie z tym radzą. Nie sądzę, żeby chłopcy mieli z tym coś wspólnego.

– Owszem, mają z tym coś wspólnego. Zaginęli – mówi Kay, przysuwając się bliżej do ognia. – Wygląda na to, że Kristin nie żyje. Prawdopodobnie wszyscy czworo już nie żyją.

## Rozdział 60

**M**arino dzwoni do Joe, podczas gdy Reba siedzi obok i przegląda jego piekielne scenki.

– Chciałbym z tobą pogadać o paru sprawach – mówi detektyw do Amosa. – Mamy problem.

– Jaki problem? – pyta ostrożnie Joe.

– Wolę o tym porozmawiać w cztery oczy. Najpierw muszę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc, załatwić parę spraw. Gdzie będziesz przez następną godzinę?

– W pokoju sto dwanaście.

– Jesteś tam już?

– Idę.

– Niech no zgadnę... – zastanawia się Marino – pracujesz nad kolejną scenką, którą mi ukradłeś?

– Jeśli właśnie o tym chcesz ze mną rozmawiać...

– Nie, nie o tym – odpowiada detektyw. – O czymś znacznie gorszym.

– Jesteś naprawdę niezły – chwali go Reba, odkładając folder ze scenkami na biurko. – Są naprawdę dobre. Są świetne, Pete.

– Zrobimy to za pięć minut, damy mu czas na dojście do gabinetu mówi Marino, a potem łączy się z Lucy. – Co mam robić?

– Odłożysz teraz słuchawkę, ja też to zrobię, potem wciśniesz przycisk konferencyjny na swoim telefonie stacjonarnym i zadzwonisz do mnie z komórki. Potem podniesiesz słuchawkę stacjonarnego i odłożysz ją na bok, żeby linia była otwarta. Jeśli ktoś monitoruje naszą rozmowę, to będzie zakładał, że jesteś w swoim biurze.

Marino czeka kilka minut, potem robi to, co kazała mu Lucy.

Wraz z Rebą wychodzi z budynku, rozmawiając jednocześnie z Lucy przez telefon. Rozmawia z nią tak, jakby naprawdę dawno się nie widzieli i chcieli dłużej pogadać. Ma nadzieję, że Joe przysłuchuje się temu uważnie. Na razie szczęście im dopisuje. Odbiór jest bardzo dobry.

Gawędzą o nowych motocyklach. Gawędzą na różne tematy, podczas gdy Marino i Reba zmierzają do biura Joe.

Motel Ostatni Posterunek to naczepa podzielona na trzy pokoje, używane do odgrywania scen przestępstw. Każda część zaopatrzona jest w oddzielne drzwi z numerami hotelowymi. Pokój 112 znajduje się w środku. Marino zauważa, że zasłona w oknie jest zaciągnięta, słyszy też szum klimatyzacji. Próbuje otworzyć drzwi, ale są zamknięte na klucz, więc wali w nie nogą obutą w wielki harleyowski but. Tanie drzwi wylatują z zawiasów i uderzają z hukiem o przeciwległą ścianę. Joe siedzi przy biurku, ze słuchawką przy uchu i dyktafonem przypiętym do telefonu. Na jego twarzy maluje się najpierw krańcowe zdumienie, a potem przerażenie. Marino i Reba patrzą na niego.

– Wiesz, dlaczego ten motel nazywa się Ostatni Posterunek? – pyta detektyw, podchodząc do Amosa i podrywając go z krzesła z taką łatwością, jakby ważył mniej niż dziecko. – Bo jesteś już martwy jak pułkownik Custer.

– Puść mnie! – wrzeszczy Joe.

Jego stopy wiszą nad podłogą. Marino trzyma go pod pachami, ich twarze niemal stykają się ze sobą. Detektyw popycha go na ścianę.

– Puść mnie! To boli!

Marino zwalnia chwyt i tamten siada ciężko na podłodze.

– Wiesz po co ona tu przyszła? – pyta, wskazując na Rebę. – Żeby aresztować twoje żałosne dupsko.

– Nic nie zrobiłem!

– Fałszowanie dokumentów, kradzież, może morderstwo, bo ukradłeś broń, z której w innym stanie odstrzelono głowę jakiejś biednej kobiecie. Aha, i jeszcze fałszerstwo – kończy wyliczankę, nie przejmując się tym, czy którekolwiek z wymienionych przestępstw można udowodnić.

– Nic nie zrobiłem! Nie wiem, o czym mówisz!

– Przestań się wydzierać. Nie jestem głuchy. Posłuchaj, detektyw Wagner jest świadkiem, prawda?

Reba kiwa głową, twarz ma zaciętą, zimną. Wygląda naprawdę groźnie.

– Widziałaś, żebym go chociaż tknął palcem?

– Nie, niczego takiego nie widziałam.

Joe jest tak przerażony, że jeszcze trochę, a zsika się ze strachu.

– Chcesz nam dobrowolnie powiedzieć, dlaczego ukradłeś tę strzelbę i komu ją dałeś albo sprzedałeś? – Detektyw przysuwa sobie krzesło, odwraca je i siada okrakiem, kładąc swe potężne ramiona na oparciu. – A może to ty odstrzeliłeś głowie tej kobiecie. Może odgrywasz piekielne scenki w rzeczywistości, chociaż tej akurat nie napisałem. Musiałeś ukraść ją komuś innemu.

– Jaka kobieta? Nikogo nie zastrzeliłem! Nie ukradłem żadnej strzelby. O jakiej strzelbie mówisz?

– O tej, którą zabrałeś z magazynu dwudziestego ósmego czerwca o trzeciej piętnaście po południu. Tej, której dane w komputerze właśnie

poprawiłeś, popełniając kolejne oszustwo.

Joe otwiera usta i wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami.

Marino sięga do tylnej kieszeni, wyciąga stamtąd złożoną kartkę i podaje ją Amosowi. To kopia strony z księgi, widnieje na niej data i godzina pobrania oraz zwrotu mossberga.

Joe wpatruje się w kartkę, dłonie mu drżą.

– Przysięgam na Boga, że jej nie zabrałem – mówi. – Pamiętam, co się wtedy stało. Robiłem badania z żelatyną i strzelałem z tego mossberga. Potem go odłożyłem, żeby zrobić coś w laboratorium, chyba sprawdzałem nowe bloki żelatyny, te które miały udawać pasażerów podczas katastrofy lotniczej. Pamiętasz, kiedy Lucy zrzuciła z tego wielkiego helikoptera kadłub samolotu, żeby studenci mogli...

– Do rzeczy!

– Jak wróciłem, strzelby już nie było. Pomyślałem, że to Vince schował ją z powrotem do magazynu. Było już późno. Schował ją, bo pewnie chciał iść do domu. Pamiętam, że się wkurzyłem, bo chciałem z niej jeszcze trochę postrzelać.

– Nic dziwnego, że musisz kraść moje scenki – mówi Marino. – Nie masz za grosz wyobraźni. Spróbuj jeszcze raz.

– Mówię prawdę.

– Chcesz, żeby ona wywlokła cię stąd w kajdankach? – pyta detektyw, wskazując kciukiem na Rebę.

– Niczego mi nie udowodnisz.

– Mogę udowodnić, że dopuściłeś się fałszerstwa. Chcesz porozmawiać o wszystkich tych listach polecających, które sfalszowałeś, żeby się tutaj dostać?

Przez moment Joe nie może wykrztusić słowa. Potem zaczyna odzyskiwać pewność siebie. W jego oczach znów pojawia się cwaniacki



błysk.

– Udowodnij to – mówi.

– Wszystkie listy zostały napisane na tym samym papierze ze znakiem wodnym.

– To jeszcze niczego nie dowodzi. – Joe wstaje z podłogi i rozciera obolały kark. Pozwę cię do sądu – obiecuje.

– Świetnie. W takim razie mogę ci jeszcze przywalić – odpowiada Marino, pocierając pięść. – Może złamię ci kark. Detektyw Wagner nie widziała, żebym cię dotykał, prawda?

– Nie, nic takiego nie widziałam – oświadcza Reba. Po chwili pyta: Skoro nie ty zabrałeś tę broń, to kto to zrobił? Czy na strzelnicy był wtedy z tobą ktoś jeszcze?

Joe zastanawia się przez moment, w jego oczach coś błyska.

– Nie – zaprzecza.

## Rozdział 61

**D**wadzieścia cztery godziny na dobę strażnicy w pokoju nagrań kontrolują zachowanie więźniów, którzy mogą mieć skłonności samobójcze.

Obserwują Basila Jenrette'a. Obserwują go, kiedy śpi, bierze prysznic, je. Patrzą, kiedy korzysta z toalety. Widzą, kiedy odwraca się plecami do kamery i rozładowuje napięcie seksualne, ukryty pod kołdrą na swoim stalowym łóżku.

Wyobraża sobie, jak śmieją się z niego. Wyobraża sobie, co mówią, obserwując go na monitorach. Śmieją się z niego, pokazują sobie nawzajem. Widzi to na ich twarzach, dostrzega ich drwiące uśmiešky, kiedy przynoszą mu posiłki albo wypuszczają go z celi, by mógł poćwiczyć lub zadzwonić. Czasami robią uwagi. Czasami stają pod jego celą, kiedy rozładowuje właśnie napięcie, przedrzeźniają go, śmieją się i walą w drzwi.

Basil siedzi na swoim łóżku, patrzy w kamerę zamontowaną wysoko na przeciwległej ścianie. Przerzuca ostatni numer „Pól i Strumieni” i wraca myślami do pierwszego spotkania z Bentonem Wesleyem, kiedy to popełnił błąd i odpowiedział szczerze na jedno z jego pytań.

– Myślisz czasem o tym, żeby zrobić krzywdę sobie albo innym? zapytał wtedy doktor Wesley.

– Robiłem już krzywdę innym, więc pewnie czasem o tym myślę odparł.

– Jakie to są myśli, Basil? Czy możesz opisać, co sobie wyobrażasz, kiedy myślisz o krzywdzeniu innych ludzi i siebie?

– Myślę o tym, co już kiedyś robiłem. O tym, jak widzę jakąś kobietę i nabieram na nią ochoty. Jak każę jej wsiąść do mojego samochodu, wyciągam pistolet albo odznakę i mówię jej, że ją aresztuję, a jeśli będzie się opierać, jeśli choćby dotknie drzwi, będę musiał ją zastrzelić.

Wszystkie robiły, co im kazałem.

– Żadna ci się nie opierała?

– Tylko te dwie ostatnie. Przez ten cholerny samochód. Takie głupie.

– Czy te pozostałe, wszystkie prócz dwóch ostatnich, wierzyły, że jesteś policjantem, i że je aresztujesz?

– Wierzyły, że jestem gliniarzem. Ale wiedziały, co się dzieje. Chciałem, żeby wiedziały. Byłem twardy. Pokazywałem im to, kazałem im kłaść tam rękę. Miały umrzeć. Takie głupie.

– Co jest głupie, Basil?

– One były wszystkie takie głupie. Mówiłem to już tysiące razy. Słyszałeś, kiedy to mówiłem, prawda? Nie wolałybyś, żebym zastrzelił cię od razu, w samochodzie, niż zabrał w jakieś odludne miejsce, żeby tam bawić się tobą do woli? Pozwoliłybyś, żebym zabrał cię do kryjówki i związał?

– Powiedz mi, jak je wiązałeś. Zawsze w ten sam sposób?

– Tak. Miałem naprawdę świetny sposób. Jedyne w swoim rodzaju.

Wymyśliłem go, kiedy zacząłem moje aresztowania.

– Mówiąc o aresztowaniach, masz na myśli porywanie i dręczenie kobiet?

– Tak.

Basil uśmiecha się do siebie, wspominając tamten dreszcz podniecenia, który czuł, gdy zaginał druciane wieszaki na kostkach i nadgarstkach

kobiet, i gdy potem przewlekał przez nie sznur.

„Były moimi marionetkami”, wyjaśniał doktorowi Wesleyowi podczas tej pierwszej rozmowy, zastanawiając się jednocześnie, co pobudziłoby go do żywszej reakcji.

Bez względu na to, co mówił Basil, doktor Wesley przyglądał mu się spokojnie, słuchał, nie okazywał żadnych emocji. Może niczego nie czuł.

Może jest taki jak Basil.

– W tej mojej kryjówce były odsłonięte krokwie, tam gdzie odpadł tynk z sufitu, szczególnie w jednym pokoju na tyłach. Przerzucałem sznury nad krokwiemi i potem mogłem je skracać albo wydłużać, dawać im krótszą albo dłuższą smycz.

– Czy one nigdy się nie opierały? Nawet gdy już wiedziały, co im szykujesz w tej swojej kryjówce? Co to było? Dom?

– Nie pamiętam.

– Czy nigdy nie stawiały oporu, Basil? Wydaje mi się, że niełatwo jest krępować kogoś w tak skomplikowany sposób i trzymać go jednocześnie na muszce.

– Zawsze wyobrażałem sobie, że ktoś się temu przygląda. – Basil nie odpowiada na jego pytanie. – I że potem uprawiam seks. Uprawiam seks godzinami z ciałem leżącym tuż obok, na tym samym materacu.

– Seks z martwym ciałem czy seks z inną osobą?

– Nigdy mnie to nie bawiło. To nie dla mnie. Lubię je słyszeć. Rozumiesz, to musiało cholernie boleć. Czasami miały potem wywichnięte ramiona. Musiałem im też popuszczać linę, kiedy wychodziły do łazienki. Tego nie lubiłem najbardziej. Opróżniania wiadra.

– A co z ich oczami, Basil?

– Ach, czegóż to ich oczy nie widziały... To nie była zamierzona gra słów.

Doktor Wesley się nie roześmiał, co nieco zirytowało Basila.

– Pozwalałem im tańczyć na stryczku. To też nie był zamierzony żart. Czy pan się nigdy nie uśmiecha? Przecież to zabawne.

– Słucham cię, Basil. Słucham każdego twojego słowa.

Dobre i to. Doktor Wesley rzeczywiście go słuchał, każde słowo wydawało mu się ważne i fascynujące, uważał Basila za najbardziej interesującą, najoryginalniejszą osobę, jaką kiedykolwiek spotkał.

– Gdy tylko chciałem się z nimi kochać – ciągnął swą opowieść Basil.

– Wtedy właśnie zajmowałem się ich oczami. Wiesz, gdybym się urodził z fiutem przyzwoitych rozmiarów, to nie byłoby konieczne.

– Były przytomne, kiedy je oślepieałeś.

– Gdybym mógł dać im jakiś gaz i znieczulić na czas tej małej operacji, zrobiłbym to. Nie lubiłem, kiedy wrzeszczały i rzucały się na wszystkie strony. Ale nie mogłem się z nimi kochać, dopóki nie były ślepe. Tłumaczyłem im to. Mówiłem: „Przepraszam, ale muszę to zrobić, rozumiesz? Postaram się załatwić to jak najszybciej. Będzie troszkę bolało”. Czy to nie zabawne? „Będzie troszkę bolało”. Zawsze, kiedy ktoś mi to mówi, wiem, że będzie bolało jak cholera. Potem mówiłem im, że je rozwiązę, żebyśmy się mogli kochać. Mówiłem, że jeśli będą próbowały uciekać albo zrobią coś głupiego, załatwię je jeszcze gorzej niż do tej pory. To wszystko. Potem się kochaliśmy.

– Jak długo to trwało?

– Masz na myśli seks?

– Jak długo trzymałeś je przy życiu i uprawiałeś z nimi seks?

– Zależy. Jeśli lubiłem się z nimi kochać, trzymałem je nawet przez kilka dni. Najdłużej trwało to chyba dziesięć dni. Ale to nie było dobre, bo dopadło ją jakieś paskudne zakażenie i zrobiła się obrzydliwa.

– Robiłeś im coś innego? Prócz oślepienia i seksu?

- Eksperymentowałem. Z niektórymi.
- Poddawałeś je kiedyś torturom?
- Cóż, powiedziałbym, że wyłupianie komuś oczu... – zaczął Basil i natychmiast tego pożałował.

Te słowa poruszyły całą lawinę kolejnych pytań. Doktor Wesley zaczął mówić o odróżnianiu dobra od zła, o świadomości cierpień, jakie zadawał innym ludzkim istotom, że skoro wiedział, czym są tortury, to był świadom tego, co robi, i że powinien był się nad tym zastanowić. Nie użył dokładnie tych słów, ale do tego właśnie zmierzał. Ta sama stara śpiewka, którą słyszał już w Gainesville, kiedy psychiatrzy próbowali wy badać, czy jest poczytalny i czy może być normalnie sądzony. Nie powinien był się przed nimi odsłaniać. Głupio postąpił. W porównaniu z więzieniem szpital psychiatryczny to pięciogwiazdkowy hotel, szczególnie jeśli siedzi się w celi śmierci, w małej, klaustrofobicznej komórce, a do tego trzeba się ubierać jak klaun, w biało-niebieskie pasiaste spodnie i pomarańczową koszulkę.

Basil wstaje ze swojego stalowego łóżka i przeciąga się. Udaje, że nie interesuje go kamera zawieszona na ścianie. Nigdy nie powinien był się przyznawać, że czasami myśli o samobójstwie, że najchętniej przeciąłby sobie nadgarstki i patrzył, jak wypływa z niego krew, patrzył na kałużę rosnącą na podłodze, bo to przypominałoby mu przyjemne chwile z przeszłości, zabawy z... iloma to kobietami? Stracił rachubę. Może było ich osiem. Powiedział doktorowi Wesleyowi, że było ich osiem. A może dziesięć?

Znów się przeciąga. Korzysta z toalety i wraca na łóżko. Otwiera ostatni numer „Pól i Strumieni”, spogląda na stronę pięćdziesiątą drugą, gdzie powinny się znajdować krótkie notki o pierwszej strzelbie myśliwskiej oraz wspomnienia z polowania na króliki i oposy.

Tyle że ta strona nie jest prawdziwa. Prawdziwa strona pięćdziesiąta druga została wyrwana i zeskanowana. Potem w tekst wklejono wiadomość napisaną taką samą czcionką i w takim samym formacie. Nowa strona została potem starannie wklejona na swoje miejsce, a to, co wygląda jak reportaż z polowania na króliki, jest w rzeczywistości listem do Basila.

Strażników nie obchodzą czasopisma wędkarskie. Nie przeglądają ich nawet, wiedząc, że są zupełnie pozbawione seksu i przemocy.

Basil chowa się pod kołdrą i obraca na bok, odwrócony plecami do kamery, jak zawsze, gdy chce rozładować napięcie seksualne. Sięga pod cienki materac i wyciąga dwa paski białej bawełny z dwóch par białych bokserów, które rozrywa już od tygodnia.

Ukryty pod kołdrą szarpie brzeg materiału zębami, a potem drze do końca. Każdy kawałek przywiązuje następnie do długiego ponad półtorametrowego sznura uplecionego z podobnych fragmentów materiału.

Starczy mu materiału na jeszcze dwa kawałki. Rozrywa zębami tkaninę i drze. Oddycha ciężko i kołysze się, jakby rozładowywał napięcie seksualne, przywiązuje kolejny kawałek do sznura, a potem wreszcie ostatni.

## Rozdział 62

**L**ucy siedzi przed trzema wielkimi monitorami w centrum komputerowym akademii i czyta mejle, które przywraca na serwer.

Ona i Marino odkryli do tej pory, że zanim jeszcze Joe Amos otrzymał stypendium w akademii, kontaktował się z producentem telewizyjnym, który chciał stworzyć kolejny magazyn kryminalny w którejś z płatnych telewizji kablowych. Za swój wkład w scenariusz programu Joe miał dostawać po pięć tysięcy za każdy wyemitowany odcinek. Zaczął wręcz tryskać świeżymi pomysłami pod koniec stycznia, mniej więcej w czasie gdy Lucy nagle poczuła się niedobrze w trakcie testowania nowego sprzętu w jednym z helikopterów i pobiegła do toalety, zapominając o swoim Treo. Początkowo Joe działał ostrożnie, przywłaszczał sobie tylko niektóre pomysły na piekielne scenki. Później zrobił się bezczelny, kopiował całe historie, grzebiąc do woli w bazach danych.

Lucy otwiera kolejną wiadomość, datowaną na dziesiątego lutego minionego roku. Autorką jest Jan Hamilton, zeszłoroczna stażystka, która znalazła przy trupie strzykawkę i groziła akademii procesem.

*Drogi doktorze Amos!*



*Słyszałam pana niedawno w programie doktor Self i byłam zafascynowana tym, co mówił pan o Narodowej Akademii Medycyny Sądowej. To musi być naprawdę niesamowite miejsce. Przy okazji gratuluje też uzyskania stypendium. To naprawdę imponujące. Zastanawiam się, czy byłby pan skłonny pomóc mi w uzyskaniu stażu na akademii. Studiuję biologię jądrową i genetykę na Harvardzie, chciałabym zostać patologiem sądowym, specjalizować się w DNA.*

*W załączniku przesyłam moje zdjęcie i dane osobowe.*

*Jan Hamilton*

*PS*

*Najlepiej pisać do mnie na ten adres. Moje konto w Harvardzie jest chronione ścianą zaporową i mogę go używać tylko wtedy, gdy jestem w kampusie.*

– Cholera – klnie głośno Marino. – Jasna cholera!

Lucy otwiera kolejne listy, dziesiątki listów, które stają się coraz bardziej osobiste, potem romantyczne, a potem sprośne, całą korespondencję między Joe i Jan z czasów jej stażu w akademii. W jednym z ostatnich, wysłanym w lipcu, Joe proponował wprowadzenie drobnych zmian w scenariuszu piekielnej scenki, która miała zostać przedstawiona na Trupiej Farmie. Prosił, by Jan wpadła do jego biura po strzykawkę i „inne rzeczy, które mógłbym w ciebie wsadzić”.

Lucy nigdy nie widziała nagrania z piekielnej scenki, która tak bardzo odbiegła od przyjętego scenariusza. Nigdy nie widziała nagrań żadnej piekielnej scenki. Do tej pory w ogóle jej to nie interesowało.

– Jak się to nazywa? – pyta coraz bardziej zdenerwowana.

– Trupia Farma – odpowiada Marino.

Lucy znajduje właściwy plik i otwiera go.

Na ekranie widać studentów oglądających ciało jednego z najgrubszych ludzi, jakich Lucy kiedykolwiek widziała. Mężczyzna leży na ziemi, ubrany w tani szary garnitur, który miał na sobie w chwili śmierci. Zaczyna się już rozkładać. Na jego twarzy roją się robaki.

Kamera przesuwa się nieco, pokazując ładną młodą kobietę, która wsuwa rękę do kieszeni trupa, a potem wyjmuje ją gwałtownie, krzycząc do kamery, że coś ukłuło ją w rękę, przebiło rękawiczkę.

Stevie.

Lucy dzwoni do Bentona. Nie odbiera. Wybiera numer ciotki, ale i ona nie odpowiada. Dzwoni do laboratorium obrazowania mózgu. Telefon odbiera doktor Susan Lane, która mówi Lucy, że Benton i doktor Scarpetta powinni zjawić się tam lada moment, że mają badać pacjenta, Basila Jenrette'a.

– Wysłałam ci krótki film – mówi Lucy. – Jakieś trzy lata temu badaliście pewną młodą dziewczynę, Helen Quincy. Zastanawiam się, czy nie jest to ta sama osoba, którą zobaczysz na filmie.

– Lucy, nie powinnam...

– Wiem, wiem... Proszę. To bardzo ważne.

Ping... ping... ping...

W magnesie leży Kenny Jumper. Susan przeprowadza właśnie strukturalne badanie rezonansem magnetycznym, a laboratorium wypełniają typowe dla tego procesu dźwięki.

– Mogłabyś wejść do bazy danych? – prosi swoją asystentkę. Sprawdź, czy badaliśmy pacjentkę o nazwisku Quincy, Helen Quincy.

Jakieś trzy lata temu. Josh, ty rób swoje – zwraca się do technika. – Poradzisz sobie przez chwilę beze mnie?

– Spróbuję – uśmiecha się Josh.

Beth, asystentka Susan, stuka w klawiaturę komputera z tyłu laboratorium. Wkrótce odnajduje dane Helen Quincy. Doktor Lane rozmawia z Lucy przez telefon.

– Masz jej zdjęcie? – pyta Lucy.

– Tylko mózgu. Nie robimy zdjęć pacjentom.

– Obejrzałaś film, który ci przed chwilą przesłałam? Może to coś ci przypomni.

Lucy wydaje się zdenerwowana, rozczarowana.

Tap... tap... tap...

– Poczekaj. Tylko prawdę mówiąc, nie wiem, co twoim zdaniem mogłabym z tym zrobić – mówi Susan Lane.

– Może ją pamiętasz? Pracowałaś tutaj przed trzema laty. Ktoś ją zbadał, być może ty, a może ktoś inny. W tym czasie był u was na stażu Johnny Swift. Może on też ją widział. Przeglądał jej wyniki.

Doktor Lane nie rozumie, do czego właściwie zmierza jej rozmówczyni.

– Może ty ją badałaś. – Lucy nie daje za wygraną. – Może widziałaś ją trzy lata temu, może przypomnisz sobie jej twarz, kiedy ją zobaczysz. ..

Doktor Lane nie mogłaby jej pamiętać. Widziała już tak wielu pacjentów, a trzy lata to szmat czasu.

– Poczekaj – rzuca do słuchawki.

Podchodzi do komputera i nie siadając nawet na krześle, sprawdza swoją pocztę. Otwiera plik z krótkim filmem i odtwarza go kilkakrotnie, patrzy na twarz młodej, ładnej kobiety o jasnych włosach i ciemnych oczach, która pochyla się nad ciałem straszliwie otyłego mężczyzny jedzonego już przez robaki.

– Dobry Boże – wzdycha doktor Lane.

Młoda kobieta na filmie rozgląda się, patrzy w kamerę, prosto na doktor Lane i sięga do kieszeni szarego garnituru trupa. Tutaj film się kończy, ale

Susan odtwarza go jeszcze raz, coś sobie uświadamiając.

Patrzy przez pleksiglas na Kenny'ego Jumpera, na jego głowę wystającą z drugiej strony magnesu. Chłopak jest drobny i szczupły, ma na sobie workowate, ciemne ubranie i za duże buty. Wygląda trochę jak włóczęga, jest jednak całkiem przystojny, ma delikatne rysy, długie włosy ściągnięte w kucyk i ciemne oczy. Wydaje się tak podobny do dziewczyny z filmu, że mógłby być jej bratem, może nawet bratem bliźniakiem.

– Josh? – mówi doktor Lane. – Czy możesz zrobić tę swoją ulubioną sztuczkę z SSD?

– Na nim?

– Tak. Teraz – dodaje z naciskiem. – Beth, daj mi płytę z danymi Helen Quincy. Szybko.

## Rozdział 63

**B**enton jest trochę zaskoczony widokiem taksówki zaparkowanej przed laboratorium. W samochodzie nie ma nikogo. Może to taksówka, która miała zabrać Kenny’ego Jumpera z domu pogrzebowego Alfa i Omega, ale dlaczego w takim razie stoi tutaj i gdzie jest kierowca?

Obok taksówki, dużego niebieskiego suwa, stoi biała więzienna furgonetka, która przywiozła tu Basila na badania o piątej. Basil nie radzi sobie najlepiej. Mówi, że dręczą go myśli samobójcze, i chce zrezygnować z dalszego udziału w badaniach.

– Tyle w niego zainwestowaliśmy – mówi Benton do Kay, gdy wchodzi razem do laboratorium. – Nawet nie wiesz, jakie to irytujące, kiedy badani nagle rezygnują. Szczególnie on. Cholera. Może ty miałabyś na niego dobry wpływ.

– Nawet nie chcę tego komentować.

Dwaj strażnicy więzienni stoją przed małym pokojem, w którym Benton będzie rozmawiał z Basilem, próbując nakłonić go, by jednak nie zrezygnował z udziału w PREDATORZE i nie próbował się zabić. Ten pokój to część laboratorium, Benton już wcześniej prowadził w nim rozmowy z Basilem. Doktor Scarpetta zauważyła, że strażnicy są nieuzbrojeni.

Wraz z Bentonem wchodzi do pokoju. Basil siedzi przy małym stole.

Nie jest skrupowany, nie ma nawet plastikowych kajdanek. Teraz jeszcze mniej jej się podoba projekt PREDATOR; nie sądziła nawet, że coś takiego jest możliwe.

– To jest doktor Scarpetta – mówi Benton do Basila. – Należy do naszego zespołu badawczego. Pozwolisz, że usiądzie tu przy nas?

– Będzie mi bardzo miło – odpowiada Basil.

Wydaje się, że jego oczy wirują. Są niesamowite. Wydaje się, że wirują, kiedy patrzą na Kay.

– Powiedz mi, co się z tobą dzieje – mówi Benton, usiadłszy wraz z doktor Scarpetta przy stole.

– Jesteście ze sobą blisko – mówi Basil, patrząc na nią. – Nie dziwię ci się – zwraca się do Bentona. – Próbowałem się utopić w toalecie i wiesz co? Nawet tego nie zauważyli. Zabawne, prawda? Szpiegują mnie przez cały czas tą kamerą, a kiedy próbowałem się zabić, nikt tego nie zauważył.

Ubrany jest w dżinsy, tenisówki i białą koszulę. Nie ma paska. Wygląda zupełnie inaczej, niż wyobrażała go sobie Kay. Myślała, że będzie wyższy i dobrze zbudowany. Jest drobny i niepozorny, ma rzednące jasne włosy, nie jest brzydki, po prostu przeciętny. Przypuszcza, że kiedy podchodził swoje ofiary, czuły to samo, co ona teraz, przynajmniej na początku. Był niczym, jakimś bezbarwnym facetem o mdłym uśmiechu.

Wyróżniają go tylko oczy. W tej chwili wydają się dziwne i niepokojące.

– Mogę zadać pani pytanie? – zwraca się do niej Basil.

– Proszę. – Nie jest dla niego szczególnie uprzejma.

– Gdybym spotkał panią na ulicy i powiedział, że albo wsiądzie pani do mojego samochodu, albo panią zastrzelę, co pani by zrobiła?

– Pozwoliłabym się zastrzelić – odpowiada stanowczo Kay. – Nie wsiadłabym do samochodu.

Basil spogląda na Bentona i strzela do niego z palca, jakby to był prawdziwy pistolet.

– Bingo – mówi. – Twarda sztuka. Która godzina?

W pokoju nie ma zegara.

– Jedenaście po piątej – informuje go Benton. – Musimy porozmawiać o tym, dlaczego masz ochotę się zabić.

Dwie minuty później doktor Lane ogląda na swym komputerze obraz cieniowania powierzchniowego Helen Quincy. Obok widać podobiznę tak zwanego normalnego, który leży właśnie w magnesie.

Kenny Jumper.

Przed momentem spytał o godzinę. Potem zaczął się wiercić i narzekać.

Bong-bong-bong... dźwięczy sygnał w sali MRI, podczas gdy Josh obraca na ekranie bladą, pozbawioną włosów i oczu głowę Kenny'ego Jumpera. Głowa urywa się raptownie tuż pod brodą, jakby została odcięta od ciała, bo tu właśnie kończy się sygnał, a zaczyna zwój elektromagnetyczny. Josh przesuwa powoli obraz na ekranie, próbując ustawić go dokładnie w takiej samej pozycji, jak głowę Helen Quincy widoczną na sąsiednim monitorze.

– O kurczę... – mruczy pod nosem.

– Chyba muszę wyjść – mówi przez interkom Kenny. – Która godzina?

– O kurczę... – powtarza Josh, przestawiając obraz i zerkając na sąsiedni monitor.

– Muszę wyjść.

– Jeszcze trochę w tę stronę – mówi doktor Lane, wodząc spojrzeniem od jednego do drugiego monitora, od jednej bladej, pozbawionej włosów i oczu głowy do drugiej.

– Muszę wyjść!

– Tak, teraz – rzuca doktor Lane. – A niech to...

– Bingo! – woła Josh.

Basil robi się coraz bardziej niespokojny, zerka co chwila na zamknięte drzwi. Znowu pyta o godzinę.

– Piąta siedemnaście – odpowiada Benton. – Spieszysz się gdzieś? pyta ironicznie.

Dokąd Basil może stąd pójść? Tylko do swojej celi. Ma szczęście, że tutaj jest. Nie zasługuje na to.

Basil wyciąga coś z rękawa. Początkowo doktor Scarpetta nie wie, co to jest, nie rozumie, co się dzieje, lecz nagle więzień zrywa się z krzesła, dopada do niej i zarzuca jej białą pętlę na szyję. Biały wąski sznur na jej szyi!

– Spróbujesz tylko jakichś sztuczek, a będzie po tobie! – woła.

Doktor Scarpetta widzi Bentona, który wstaje z krzesła i krzyczy na Basila. Czuje, jak krew pulsuje jej w skroniach. Potem otwierają się drzwi. Morderca wyciąga ją na korytarz, krew pulsuje jej jeszcze mocniej. Kay próbuje wsunąć dłonie pod biały sznur na szyi, pod długi pleciony sznur zaciśnięty na jej szyi. Basil ciągnie ją za sobą. Benton krzyczy, krzyczą strażnicy.



## Rozdział 64

**P**przed trzema laty podczas badań w szpitalu MacLean u Helen Quincy stwierdzono dysocjacyjne zaburzenia osobowości.

Być może nie miała piętnastu czy dwudziestu oddzielnych, autonomicznych osobowości, może tylko trzy, cztery lub osiem. Benton tłumaczy cierpliwie, na czym polega zaburzenie, do którego dochodzi w chwili, gdy dana osoba oddziela się od swej prawdziwej osobowości.

– To reakcja adaptacyjna na jakąś ogromną traumę – mówi, jadąc wraz z Kay na zachód, w stronę Everglades. – Dziewięćdziesiąt siedem procent ludzi z tego typu zaburzeniami to ofiary seksualnego lub fizycznego wykorzystywania, a u kobiet występuje ono dziewięć razy częściej niż u mężczyzn. – Milknie na chwilę, gdy oślepiające promienie słońca uderzają prosto w przednią szybę auta. Doktor Scarpetta mruży oczy osłonięte ciemnymi okularami.

Daleko przed nimi widać helikopter Lucy wiszący nad zniszczonym sadem cytrusowym, który wciąż jest w posiadaniu rodziny Quincych a dokładnie, wuja Helen. Przed dwudziestu laty rozwinęła się tu zaraza, wszystkie drzewa grejpfrutowe zostały ścięte i spalone. Od tej pory dawny sad zarasta chwastami, a porzucony dom jest w ruinie. Adger Quincy wciąż żyje. Ten drobny, niepozorny mężczyzna jest ogromnie religijny.

Adger zaprzecza, by cokolwiek niezwykłego wydarzyło się w czasie, gdy dwunastoletnia Helen zamieszkała u niego i jego żony, a Florrie przebywała w szpitalu MacLean. Twierdzi wręcz, że bardzo się troszczył o rozpuszczoną, niesforną dziewczynkę, którą „trzeba było sprowadzić na dobrą drogę”.

– Robiłem, co mogłem, robiłem, co w mojej mocy – zapewniał Marina, gdy ten z nim rozmawiał.

– Skąd wiedziała o pańskim starym sadzie, o starym domu? – spytał go detektyw.

Adger nie chciał o tym mówić, przyznał się jednak, że od czasu do czasu woził tam dwunastoletnią Helen, by „sprawdzić, jak się mają sprawy”.

– Jakie sprawy?

– Żeby się upewnić, czy nikt nie niszczy mojej własności.

– A co tam było do niszczenia? Kilka hektarów spalonych drzew, chwasty i rozpadający się dom?

– Nie widzę w tym nic złego. I modliłem się z nią. Rozmawiałem z nią o Bogu.

– Fakt, że mówił o tym w ten sposób... – komentuje Benton, spoglądając na helikopter, który opada ku ziemi powoli i lekko niczym piórko – wskazuje, że wie, iż zrobił coś złego.

– Potwór – rzuca krótko doktor Scarpetta.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy, co on i być może jacyś inni mężczyźni zrobili Helen – mówi cicho Benton, zaciskając mocno dłonie na kierownicy.

Jest zły. Jest poruszony tym, co na razie tylko podejrzewa.

– Jedno jest jednak oczywiste – odzywa się po chwili. – Jej różne osobowości, różne wcielenia, były reakcją na straszliwy uraz psychiczny w

sytuacji, gdy nie miała się do kogo zwrócić. Tę samą reakcję można było zaobserwować u niektórych więźniów obozów koncentracyjnych.

– Potwór.

– Bardzo chory człowiek. A teraz jest jeszcze bardzo chora młoda kobieta.

– Nie powinno mu to ujść na sucho.

– Obawiam się, że już mu uszło.

– Mam nadzieję, że trafi do piekła.

– Prawdopodobnie już w nim się znalazł.

– Dlaczego musisz go bronić? – Kay spogląda na Bentona i nieświadomie pociera szyję.

Szyję ma posiniaczoną i wciąż jest obolała. Za każdym razem, gdy dotyka sinych śladów, przypomina sobie Basila zarzucającego jej upleciony z płótna sznur, który na chwilę zablokował dopływ krwi, a więc i tlenu, do mózgu. Straciła przytomność. Na szczęście jest cała i zdrowa. Nie byłaby, gdyby nie strażnicy, którzy błyskawicznie obezwładnili Jenrette'a.

Teraz Basil i Helen siedzą w odosobnieniu, pilnie strzeżeni. Jenrette nie jest już wymarzoną obiektem badań PREDATORA. Nie będzie już więcej przyjeżdżał do szpitala MacLean.

– Nie bronię go – mówi Benton. – Próbuję wytłumaczyć to, co się stało.

Zwalnia, gdy widzi zjazd numer 27, prowadzący do stacji benzynowej CITGO i postoju dla ciężarówek. Skręca na wąską żwirową drogę i zatrzymuje samochód. Przy drodze leżą stare opony, a dostępu strzeże gruby zardzewiały łańcuch. Benton wysiada z samochodu, odpina łańcuch i odrzuca go na bok. Przejeżdża kilka metrów, ponownie zatrzymuje samochód i wysiada, a następnie zakłada łańcuch z powrotem. Prasa i tłumy ciekawskich nie wiedzą jeszcze, co się tu dzieje.

Rdzewiejący łańcuch i tak nie powstrzyma nieproszonych gości, ale też nie zaszkodzi.

– Niektórzy uważają, że kiedy już zobaczysz jeden przypadek dysocjacyjnego zaburzenia osobowości, to tak jakbyś widział wszystkie mówi. – Niezupełnie się z tym zgadzam, chociaż trzeba przyznać, że jak na coś tak niezwykle skomplikowanego i dziwaczного, symptomy są zadziwiająco podobne. Kiedy jedna osobowość zaczyna dominować nad pozostałymi, dochodzi do radykalnej przemiany, zmieniają się twarz, postawa, chód, nawyki, dochodzi nawet do znaczącej zmiany głosu i wymowy. Często kojarzy się to zaburzenie z opętaniem przez złe duchy.

– Myślisz, że te inne osobowości Helen – Jan, Stevie, inspektor badający cytrusy i Bóg wie kto jeszcze – są świadome siebie nawzajem?

– Kiedy była w MacLean, zaprzeczała, że jest jakby kilkoma osobami w jednym ciele, choć nasi ludzie widzieli na własne oczy te zmiany. Cierpiała na halucynacje słuchowe i wzrokowe. Czasami dwie osobowości rozmawiały ze sobą w obecności lekarza. Potem znów była sobą, Helen Quincy, która siedziała grzecznie na krześle i zachowywała się tak, jakby to psychiatra był chory umysłowo i wmawiał jej jakieś bzdury.

– Ciekawe, czy Helen jeszcze kiedykolwiek stanie się sobą.

– Kiedy wraz z Basilem zabiła swoją matkę, zmieniła nazwisko na Jan Hamilton. To było czysto praktyczne posunięcie, Kay, nie zmiana osobowości. Nie traktuj Jan jako oddzielnej istoty, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. To było tylko fałszywe nazwisko, za którym kryli się Helen, Stevie, Krab i Bóg wie kto jeszcze.

Spod kół samochodu wzbijają się chmury kurzu, w oddali widać rozpadający się dom otoczony chwastami i krzewami.

– Podejrzewam, że mówiąc w przenośni, Helen Quincy przestała istnieć, gdy miała dwanaście lat – stwierdza cicho doktor Scarpetta.

Helikopter Lucy wylądował na małej polanie, łopaty śmigła kręca się jeszcze przez chwilę, przecinając ze świstem powietrze. Obok domu stoi furgonetka z kostnicy, trzy wozy policyjne, dwa suvy z akademii i ford Reby.

Kurort Morska Bryza znajduje się zbyt daleko od morza, by docierała doń bryza, a poza tym wcale nie jest kurortem. Nie ma tu nawet basenu. Mężczyzna dyżurujący w obskurnej recepcji z rozklekotanym klimatyzatorem i sztucznymi kwiatami mówi, że przy dłuższym pobycie można liczyć na specjalne zniżki.

Opowiada też, że Jan Hamilton przychodziła i wychodziła o dziwnych porach, znikwała na całe dni, szczególnie ostatnio, czasami też dziwnie się ubierała. Raz bardzo seksownie, kiedy indziej znów jak kloszard.

– Moje motto to „Żyj i daj życie innym” – oświadczył recepcjonista, gdy Marino dotarł tu śladem Jan Hamilton.

Nie było to trudne. Kiedy wypełzła z magnesu, a strażnicy obezwładnili Basila i skuli go kajdankami, skuliła się w rogu pokoju i zaczęła płakać. Przestała być już Kennym Jumperem, nigdy o nim nie słyszała, nie miała pojęcia, o czym mówią otaczający ją ludzie, nigdy nie знаła Basila Jenrette'a i nie wiedziała, skąd wzięła się na podłodze sali MRI szpitala MacLean w Belmont. Była bardzo grzeczna, odpowiadała na wszystkie pytania Bentona, podała mu swój adres, wyjaśniła, że pracuje na pół etatu jako barmanka w South Beach, w restauracji o nazwie Plotka należącej do bardzo miłego człowieka, Laurela Swifta.

Marino klęczy przed szafą. Szafa nie ma drzwi, tylko drążek, na którym wiszą rzeczy. Na brudnym dywanie leżą sterty starannie ułożonych ubrań. Detektyw przegląda je uważnie, pot zalewa mu oczy, bo okienny klimatyzator na niewiele się zdaje.

– Czarny płaszcz z kapturem – mówi do Gusa, jednego z agentów z oddziałów specjalnych Lucy. – Wygląda znajomo.

Podaje złożony płaszcz Gusowi, ten zaś wkłada go do brązowej papierowej torby, na której zapisuje datę i miejsce. Obok niego leżą już dziesiątki takich toreb, starannie zaklejonych i opisanych.

Wielkie, okryte rękawiczkami dłonie Marina przeglądają kolejne ubrania, workowate, wytarte męskie spodnie, parę butów ze ściętymi obcasami, czapkę Miami Dolphins, białą koszulę z napisem „Departament Rolnictwa” na plecach. Napis, który powinien być znacznie dłuższy i brzmieć:

„Departament Rolnictwa Stanu Floryda”, składa się z czarnych drukowanych liter wykonanych zapewne za pomocą zwykłego sitodruku.

– Jak mogłeś nie zauważyć, że tak naprawdę to babka, a nie facet? – pyta Gus, zaklejając kolejną torbę.

– Nie było cię przy tym.

– Wierzę ci na słowo – mówi Gus i wyciąga rękę, czekając na kolejne ubranie, parę czarnych rajstop.

Gus jest uzbrojony i ma na sobie mundur, bo tak zawsze ubierają się agenci oddziałów specjalnych Lucy, nawet jeśli nie jest to konieczne, a w dzień taki jak ten, gdy z nieba leje się żar, a podejrzana, dwudziestoletnia dziewczyna, przebywa zamknięta w szpitalu stanowym w Massachusetts, ściąganie agentów oddziałów specjalnych do Morskiej Bryzy zapewne nie było konieczne, tego jednak chciała Lucy. Tego chcieli jej podwładni. Bez względu na to, ile razy Marino powtarza im to, co Benton powiedział mu o różnych osobowościach Helen, agenci nie są całkiem pewni, czy w pobliżu nie czają się jacyś niebezpieczni, całkowicie realni przestępcy, może wspólnicy Helen, tacy jak Basil Jenrette.

Dwaj inni agenci sprawdzają komputer stojący na biurku obok okna, które wychodzi na parking. Jest tu także skaner, kolorowa drukarka, ryza kredowego papieru i kilka czasopism wędkarskich.

Deski na werandzie są spaczone, niektóre przegniłe, niektóre dawno już się rozpadły, odsłaniając piaszczysty grunt pod piętrowym domem położonym niedaleko Everglades.

Jest cicho, z dala dochodzi tylko szum samochodów, słysząc też zgrzyt łopat. W powietrzu unosi się odór śmierci, gęsty, niemal namacalny. Wypływa z czterech dołów zawierających ludzkie szczątki. Jak dotąd policja znalazła cztery takie miejsca, ale ciemniejsze plamy na powierzchni ziemi wskazują, że może ich być więcej.

Kay Scarpetta i Benton wchodzi do holu, gdzie na podłodze stoi puste akwarium. Leży w nim wielki martwy pająk. Obok widać opartą o ścianę strzelbę mossberg i pięć pudełek z nabojami. Scarpetta i Benton patrzą w milczeniu na dwóch mężczyzn w garniturach i krawatach, którzy pchają nosze ze zwłokami Ev Christian. Zatrzymują się przy szeroko otwartych drzwiach.

– Kiedy odwieziecie ją do kostnicy, będziecie musieli tu jak najszybciej wrócić – mówi do nich doktor Scarpetta.

– Domyśliliśmy się. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego odpowiada jeden z nich.

– Ktoś już tu odwalił za panią trochę roboty – dodaje drugi.

Składają metalowe podpórki i wkładają nosze do granatowej furgonetki.

– Jak to będzie wyglądać w sądzie? – pyta na odchodnym jeden z pracowników kostnicy. – To znaczy, skoro ta kobieta popełniła samobójstwo, to jak będzie można oskarżyć kogoś o jej zamordowanie?

– Wkrótce się pan przekona – zapewnia go doktor Scarpetta.

Mężczyźni ruszają ponownie w kierunku furgonetki, a Kay patrzy na Lucy, która wychodzi właśnie zza rogu domu. Ma na sobie ubranie ochronne i ciemne okulary, zdjęła jednak maskę i rękawiczki. Idzie w stronę helikoptera, tego samego, w którym nieopatrnie zostawiła kiedyś swoje Treo.

– Trudno byłoby chyba dowieść, że ona tego nie zrobiła – mówi Scarpetta, otwierając opakowanie z jednorazową odzieżą ochronną, dla siebie i dla Bentona. Mówiąc „ona”, ma na myśli Helen Quincy.

– Trudno też dowieść, że zrobiła. Oni mają rację. – Benton patrzy posepnie na nosze i ich ponurą zawartość. Dwaj pracownicy firmy pogrzebowej ponownie rozkładają metalowe podpórki, by móc otworzyć drzwi furgonetki. – Samobójstwo, które jest zabójstwem, sprawcą zaś jest zaburzona osobowość. Prawnicy będą mieli o czym myśleć.

Nosze przechylają się niebezpiecznie na nierównym gruncie i doktor Scarpetta boi się, że zwłoki zaraz spadną. Już raz do tego doszło, spuchnięte ciało zsunęło się na ziemię, zbezczeszczone po raz kolejny.

– Sekcja wykaże zapewne śmierć przez powieszenie – mówi, spoglądając znów na Lucy, która wyjmuje coś z helikoptera, skrzynkę z lodem.

– Taka będzie oficjalna przyczyna śmierci – dodaje. – Ale cała reszta to zupełnie inna historia.

Reszta to ból i cierpienie Ev, jej nagie, rozdęte ciało zawieszona na sznurach pod krokwią, pokryte niezliczonymi śladami ukąszeń owadów i głębokimi, ropiejącymi ranami. Kiedy Kay badała palpacyjnie jej głowę, wyczuła pod palcami luźne kawałki kości, twarz kobiety zgnieciona była na miazgę, skóra głęboko poraniona. Na całym ciele widać było także potłuczenia oraz czerwone otarcia powstałe tuż przed jej śmiercią lub tuż po niej. Doktor Scarpetta podejrzewa, że Jan lub Stevie lub Krab czy też



jakiegokolwiek inne wcielenie Helen, które torturowało Ev w tym domu, wielokrotnie kopało i biło ofiarę po jej śmierci. Na jej plecach, brzuchu i pośladkach widać niewyraźne odciski butów.

Do domu zbliża się Reba i wchodzi ostrożnie po gnijących stopniach werandy. Ma na sobie białe ubranie ochronne, jej twarz zakrywa maska.

W dłoni trzyma brązową papierową torbę, starannie zawiniętą od góry.

– Z boku jest jeszcze jeden, płytszy dół – mówi. – Leżą w nim czarne worki na śmieci i jakieś ozdoby choinkowe. Rozbite, ale jedna z nich to chyba Snoopy w czapce Świętego Mikołaja, a druga – Czerwony Kapturek.

– Więc ile to będzie w sumie ciał? – pyta Benton.

Kiedy staje twarzą w twarz ze śmiercią, nawet najbardziej brutalną, nie wzdraga się i nie ucieka. Jest chłodny i opanowany. Wydaje się niemal, że wcale go to nie obchodzi, jakby informacja o Snoopym i Czerwonym Kapturku nie miała żadnego znaczenia.

Jest opanowany, ale nie spokojny. Kay obserwowała go w samochodzie kilka godzin temu i przed chwilą, w domu, gdy w coraz większym stopniu docierała do nich prawda o pierwszej z popełnionych tu zbrodni, zbrodni popełnionej na dwunastoletniej Helen Quincy. W kuchni stoi zardzewiała lodówka, a w niej napoje i słodycze z datą ważności sprzed ośmiu lat, kiedy to Helen była dwunastoletnią dziewczynką, która trafiła pod opiekę wujka i ciotki. Na stole leżą dziesiątki pornograficznych czasopism z tego samego okresu, co wskazywałoby na to, że pobożny nauczyciel religii, Adger, przywoził tu swoją bratanicę wiele razy.

– Znaleźliśmy tych dwóch chłopców – mówi Reba zza białej maski zakrywającej jej twarz. – Wygląda na to, że mają rozbite głowy. Ale to nie moja działka – zwraca się do doktor Scarpetty. – Są też jakieś pomieszane szczątki. Chyba nagie, ale leżą tam też jakieś ubrania, osobno, obok. Może najpierw wrzucili do dołów ciała, a dopiero potem ciuchy.

– Najwyraźniej zabił ich więcej, niż powiedział – zwraca się Benton do Kay, kiedy Reba milknie na chwilę i otwiera papierową torbę. – Niektóre zostawił na miejscu zbrodni, a inne zakopał.

W torbie widać rurkę do nurkowania i różową dziewczęcą tenisówkę.

– Pasuje do tej na materacu – mówi Reba. – Te rzeczy leżały w dole, w którym spodziewaliśmy się znaleźć więcej ciał. Ale było tam tylko to.

– Wskazuje na rurkę i tenisówkę. – Lucy je znalazła. Nie wiem, o co tu chodzi.

– Obawiam się, że ja wiem. – Doktor Scarpetta zakłada rękawiczki i ogląda oba.

Wyobraża sobie dwunastoletnią Helen wrzuconą do dołu i zasypywaną ziemią, spod której w końcu wystaje tylko rurka do nurkowania, zapewniająca dostęp powietrza dręczonej przez wuja dziewczynce.

– Zamykanie dzieci w skrzyni, przykuwanie ich łańcuchem do ścian w piwnicy, zakopywanie żywcem tak, by mogły oddychać tylko przez rurkę...

– wylicza doktor Scarpetta, patrząc w pełne zgrozy oczy Reby.

– Nic dziwnego, że jest teraz tymi wszystkimi ludźmi – mówi Benton, już nie taki opanowany. – Pieprzony drań.

Reba odwraca się, wpatrzona w przestrzeń, przełyka z trudem. Potem bierze się w garść i zawija górną część papierowej torby, powoli i starannie.

– Cóż mówi, odchrząkując. – Mamy zimne napoje. Nie dotykaliśmy niczego. Nie otwieraliśmy torebek na śmieci z rysunkiem Snoopy'ego, ale sądząc po ich wyglądzie i zapachu, są w nich jakieś części ciała. Jedna jest trochę rozdarta, przez dziurę widać coś, co wygląda jak zlepione rude włosy, no wiecie, jakby farbowane rudą henną. Znaleźliśmy też ramię i rękaw bluzki. Cola light, Gatorade i woda. Zbieram zamówienia. Jeśli macie ochotę na coś innego, możemy kogoś wysłać.

A może lepiej nie.

Spogląda na tyły domu, w stronę dołów na śmieci. Przęłyka głośno raz za razem i mruga nerwowo powiekami. Jej usta drżą lekko.

– Coś mi się wydaje, że żadne z nas nie nadaje się teraz do kontaktu z resztą społeczeństwa – dodaje, odchrząkując ponownie. – Chyba nie powinniśmy wchodzić do supermarketu, roznosząc dookoła takie zapachy. Po prostu nie mogę zrozumieć, jak... jeśli on to zrobił, musimy go dopaść. Powinni mu zrobić to samo, co on jej! Zakopać go żywcem, tylko nie dawać mu tej choleralnej rurki do oddychania! Odciąć mu jaja!

– Bierzmy się do roboty – mówi cicho doktor Scarpetta, zwracając się do Bentona.

Rozwijają jednorazowe fartuchy i zaczynają je wkładać.

– Nie uda nam się tego udowodnić – mówi Reba. – Nie ma mowy.

– Nie bądź taka pewna – odpowiada doktor Scarpetta, wręczając Bentonowi ochraniacze na buty. – Zostawił mnóstwo śladów, bo nigdy nie przypuszczał, że będziemy tu czegoś szukać.

Wkładają na głowy białe czepki i schodzą po starych zniszczonych schodach, naciągając po drodze rękawiczki i zakrywając twarze maskami.